

AMY SCHUMER

*Dzieweczyna
z tatuażem
na lędźwiach*



AMY SCHUMER

*Dziewczyna
z tatuażem
na lędźwiach*

PRZEŁOŻYŁ

Przemysław Hejmej



Dla Kimby i Jasy'ego

Notka do czytelników

Cześć, to ja, Amy. Napisałam książkę! Już dawno chciałam to zrobić, ponieważ uwielbiam rozśmieszać ludzi i poprawiać im nastrój. Część historii, które tu przeczytacie, będzie zabawna, jak na przykład ta, w której się posrałam w Austin. Inne z kolei mogą was nieco zasmucić, jak choćby opowieść o tym, że mało brakowało, a zostałybyśmy z siostrą sprzedane we Włoszech jako niewolnice seksualne. Żartuję. Niestety, żadnej z tych historii nie ma w niniejszej książce, chociaż obie rzeczywiście miały miejsce.

Skoro już o tym mowa – wszystko, co opisano poniżej, wydarzyło się faktycznie. To prawda i tylko prawda, tak mi dopomóż Bóg. Ale nie cała prawda. Możecie mi wierzyć lub nie, jednak nie mówię wam, moi drodzy, wszystkiego.

Książka ta nie jest autobiografią. Autobiografię napiszę, kiedy zbliżę się do dziewięćdziesiątki. A ponieważ niedawno skończyłam trzydzieści pięć lat, mam przed sobą jeszcze długą drogę, zanim stanę się godna memuarów. Na razie chciałam się z wami podzielić historyjkami ze swojego życia, w których gram rolę córki, siostry, przyjaciółki, satyryczki, aktorki, czyjejś sympatii, dziewczyny na jedną noc, pracownicy, pracodawczynie, kochanki, fajterki, hejterki, pożeraczki spaghetti i amatorki wina.

Pragnę również zaznaczyć, że książka ta NIE JEST PORADNIKIEM TYPU „ZRÓB TO SAM” ANI INFORMATOREM, JAK COŚ SOBIE W ŻYCIU ZAŁATWIĆ. W ciągu ostatnich kilku lat proszono mnie stale, abym pisała różne artykuły, na przykład o tym, jak znaleźć faceta. Albo jak faceta zatrzymać. Albo kiedy wypada odpowiedni moment, żeby pomasować go między moszną a odbytem. O żadnej z tych spraw nie mam zielonego pojęcia. Jestem kompletnie popieprzona i totalnie zakręcona, więc nie mogę zaoferować wam takich mądrości. Jedyne, co mogę zrobić, to przedstawić wam swoje błędy, pomyłki, swój ból i powody do śmiechu. Wiem, co jest dla mnie ważne, a to coś to moja rodzina (ale, na miłość boską, nie cała, tylko niektórzy jej członkowie). A także śmiech i radość życia z przyjaciółmi. Oraz, oczywiście, jakiś orgazm od czasu do czasu. Uważam, że najlepiej (i co najmniej) jeden dziennie.

W każdym razie mam nadzieję, że moja książka się wam spodoba. A jeśli nie, nikomu o tym nie mówcie.

Życzcie mi powodzenia!



List otwarty do mojej wagini

Po pierwsze, przepraszam. Po drugie, nie ma za co.

Wiem, że naraziłam cię na wiele trudnych doświadczeń. Pozwalałam, aby obcy ludzie wylewali na ciebie gorący wosk i wrywali ci włosy. Niektórzy z tych ludzi nawet cię oparzyli, chociaż mówiłam im, że masz niezwykle wrażliwą skórę. To moja wina, bo chadzałam do jakiegoś podejrzanego miejsca gdzieś na osiedlu Astoria w Queens, które wyglądało tak, jakby sprzedawano tam narkotyki. Jestem odpowiedzialna za drożdżycę, którą cię zainfekowałam, za zakażenia dróg moczowych i zbyt długie noszenie rajstop i spanksów, chociaż wiedziałam, że przysporzy ci to problemów. Chcę także przeprosić za Lance'a z drużyny lacrosse'a, który swoim palcem potraktował cię tak, jakbyś wisiała mu pieniądze. To było do dupy i całkowicie się z tobą solidaryzuję w gniewie. Ale miałaś też chyba wielu sympatycznych gości, prawda? Co? Musisz przyznać, że dobrze się razem bawiłyśmy. Dokładałam nawet starań, aby móc nazwać cię „cipką” – co preferujesz, jak wiem – na żywo w telewizji.

W miarę upływu lat robiłam, co w mojej mocy, aby odwiedzali cię wyłącznie ludzie mili. Chyba zrobiłam też swoje, żebyś pozostawała zdrowa. Wiem, że czasami pozwalałam wchodzić w ciebie bez prezerwatywy, ale na swoją obronę powiem, że tak jest przyjemniej i że były to tylko te osoby, z którymi chodziłam i którym ufałam. No cóż, większość z nich. Miałyśmy jednakowoż sporo szczęścia, co?

Przepraszam również, że kiedyś po stosunku z nowym chłopakiem nie mogliśmy znaleźć kondomu i że dopiero trzy dni później uświadomiłam sobie, iż utknął w moim wnętrzu; musiałam wtedy przeć, jakbym rodziła, aż wreszcie wylazł. Pewnie byłaś ze mnie bardzo niezadowolona. A może dobrze się bawiłaś, mając u siebie gościa przez tak długi czas? W każdym razie moja wina!

No i co powiesz? Walniemy razem jakiś browar? Okej, dobra, niczego, co zawiera drożdże. Ale ty stawiasz.

Moja jedyna przygoda na jedną noc

Miałam w życiu tylko jedną przelotną przygodę seksualną. Tak, jedną. Wiem, że rozczaruję teraz (jakże mi przykro) wszystkich tych, którzy myślą, że przez cały czas łączę sobie z margaritą w jednym ręku i sztucznym fiutem w drugiej. Być może nieporozumienie to bierze się z faktu, że będąc na estradzie, wyrzucam z siebie najdziwsze i najgorsze wspomnienia seksualne – czyli w sumie aż pięć kontaktów (astronomiczna liczba) na przestrzeni ostatnich trzydziestu pięciu lat. Kiedy się o nich słyszy, jednym po drugim, można zapewne odnieść wrażenie, że moja vagina jest jak drzwi obrotowe w domu towarowym Macy's tuż przed Bożym Narodzeniem. Tymczasem ja opowiadam o tych paru porażkach dlatego, że słuchanie o czyimś zdrowym i regularnym życiu seksualnym ciekawe nie jest. Wyobrażacie sobie, żebym stojąc przed publicznością, mówiła: „No więc wczoraj wieczorem poszłam do łóżka ze swoim chłopakiem. Najpierw się czule obejmowaliśmy, a potem on tak słodko się ze mną kochał”? Ludzie by natychmiast wyszli, a ja razem z nimi.

Poza tym nawet ja myślę czasami swój sceniczny anturaż z prawdziwą mną, tą rozsądną, z realnego życia. Próbuję wtedy przekonywać samą siebie, że stać mnie na pozbawiony emocji seks, taki, o jakim ciągle słyszę od różnych mężczyzn oraz od Samantha Jones z *Seksu w wielkim mieście*. I miewam swoje momenty, jednak przez 99,9 procent życia taka nie jestem. Nigdy nie spiknęłam się z żadnym facetem po zakończeniu któregoś z moich występów. Czyż to nie smutne? Jeżdżę po kraju dwanaście lat i ani razu nie poznałam mężczyzny po przedstawieniu, nie zabrałam go do siebie ani nawet się z nim nie całowałam. Nic. Znam paru satyryków płci przeciwnej twierdzących, że nigdy nie chodzą do łóżka z dziewczyną, która by wcześniej nie widziała ich występu. Ze mną jest dokładnie odwrotnie. Nie jestem latawicą, nie ganiam za fiutem. Uprawiam seks w normalnych ilościach, przeważnie z kimś, z kim akurat chodzę, i zwykle wtedy leżę, przyjmując pozycję „szczęśliwego dziecka” z ćwiczeń jogi; wydaję przy tym odgłosy świadczące, że się dobrze bawię. Kiedy bywam singielką i kroi się jakaś przelotna przygoda, zachowuję się zwykle jak każda ostrożna i dbająca o siebie laska, a myśl, że jakiś nieznany mi fiut mógłby we mnie wejść, nie przyspiesza bicia mego serca. No cóż, może z tym jednym wyjątkiem...

Byłam wtedy w trasie, podróżowałam między dwoma paskudnymi miastami: Fayetteville w Karolinie Północnej i Tampą na Florydzie. Nie boję się tak ich nazwać i zirytować tym samym mieszkańców obu miejscowości, ponieważ wiem na pewno, że nigdy nie przeczytali ani jednej książki. Żart, żart, żart, choć chyba nie do końca. Kursując między tymi miastami, człowiek ma wątpliwą przyjemność latania maleńkim, podniebnym busikiem, z niewiadomych powodów nadal zwanym samolotem. Aby do niego wsiąść, trzeba kucnąć, a przez cały lot słyszeć warkot śmigieł i śpiewy w rodzaju „La la la la la bamba”, choć ma się głęboką nadzieję, że to ostatnie rozbrzmiewa wyłącznie w naszej głowie.

Było wcześniej rano i miałam kaca. Jak już mówiłam, występowałam w Fayetteville, gdzie nie ma nic do roboty, jak tylko pić, aż człowiek padnie. Na lotnisko

dotarłam tak, jak zwykle docieram na lotnisko – bez stanika, z zerowym makijażem, w spodniach od dresu, T-shircie i w płaskich pantoflach. Nie należę do osób, które nad ranem wyglądają szczególnie pociągająco. Twierdziłabym wręcz, że przypominam jota w jotę Beetlejuice’a z filmu *Sok z żuka* – granego przez Michaela Keatona, a nie tego, którego zwykle przedstawia Howard Stern. Cieszyłam się wtedy fantastycznym okresem w życiu, kiedy jeszcze nikt nie robił mi zdjęć, chyba że sama wpadłam niespodziewanie w kadr. Byłam cudowną, trzydziestoletnią dziewczyną, która otwierała usta i natychmiast je zamykała, gdy tylko zdała sobie sprawę, że zapomniała umyć zęby – a właściwie nie tyle zapomniała, ile po prostu zostawiła swoją szczoteczkę w Charleston. Jakoś nie przyszło mi wtedy do głowy, żeby kupić sobie w Karolinie Północnej nową. Jedną z oznak tego, że dzień wcześniej wypijałam za dużo, były czerwone od wina zęby, jakie miałam po przebudzeniu, i taka ilość konturówki rozmazanej pod oczami, że przypominałam skrzydłowego formacji ataku w drużynie futbolowej New England Patriots. Krótko mówiąc, tego ranka wyglądałam obrzydliwie i zalatywałam curry, i gdyby ktoś wrzucił mi do kubka z kawą dolara, sądząc, że jestem bezdomna, pomyślałabym: *No tak*.

Dotarłam do lotniskowej kontroli bezpieczeństwa, a on tam już był: metr osiemdziesiąt osiem, mocno zbudowany, włosy rudoblond, jakieś trzydzieści pięć lat. Pierwszy pocałunek w życiu wymieniłam z rudzielcem, dlatego mam do nich słabość. Ten tutaj był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam. Podnieciłam się z miejsca, od samego patrzenia. Mała notka na marginesie: NORMALNIE NIC TAKIEGO SIĘ ZE MNĄ, KURWA, NIE DZIEJE. To faceci przyglądają się kobietom przechodzącym obok w spódniczkach albo ciasno opiętych dzinsach i dostają erekcji, a już na pewno czują jakiś rodzaj ekscytacji. Natomiast kobietom rzadko się zdarza, żeby na widok jakiegoś gościa myślały sobie: *A nieeeech mnie!* Omiotłam go wzrokiem od stóp do głów, starając się znaleźć choćby najmniejszy fragment ciała, który nie byłby godny Gastona z *Pięknej i Bestii*, ale niczego takiego nie widziałam. Brakowało mu tylko kucyka z kokardką na głowie.

Głośno westchnęłam; spojrział na mnie, zanim przeszedł przez wykrywacz metalu. Cała krew spłynęła mi do pochwy. Uśmiechnęłam się do niego, przypominając sobie, że wyglądam jak Bruce Vilanch (ci, którzy go nie znają i są zbyt leniwi, aby zajrzeć do Google’a, niech sobie wyobrażą puchacza w blond peruce). Przeszłam przez kontrolę bezpieczeństwa i udałam się do odpowiedniej bramki na lotnisku – i nagle bum! On też tam był – i wyglądał jeszcze seksowniej. Miał na sobie koszulkę z długim rękawem, na tyle opiętą na piersiach, że wiedziało się, co jest pod spodem. Uświadomiłam sobie z absolutną jasnością, iż pod nią znajduje się miejsce, na którym chciałabym oprzeć policzek i wdychać wszystkie feromony tego faceta, czekając, aż mnie posiadzie niczym Marlon Brando w *Tramwaju zwanym pożądaniem* albo Ryan Gosling w dowolnym-swoim-filmie-albo-innym-miejscu.

Popędziłam do toalety, żeby znaleźć kosmetyczkę w torebce, która staje się workiem bez dna, kiedy czegoś naprawdę potrzebuję (czyli przez cały czas). Nie przesadzam, tam dosłownie można znaleźć wszystko to, co w prawdziwym strusim gnieździe. Lepiej, aby nie powstał o mnie żaden artykuł z cyklu „Co trzymasz w swojej

torebce?” w jakimś czasopiśmie o celebrytach, bo opinia publiczna mogłaby się dowiedzieć, że są tam różne naprawdę zabawne i zaskakujące rzeczy. I że w związku z tym powinnam się leczyć. Znalazłam trochę różu do policzków i balsam do ust i pomyślałam sobie: *Super. Tylko tyle trzeba, żeby z poziomu żenady wspiąć się na poziom przeciętności.* Spojrzałam w lustro, zobaczyłam w nim różowawy trądzik, który stworzyłam na swojej twarzy, i zaśmiałam się do siebie. Pierdolić to. Podwinęłam spodnie od dresu do połowy łydek z myślą: *Podkreślmy naszą najmocniejszą stronę.* Umyłam palcem zęby i cała spryskałam się wodą. Wyszłam stamtąd tak, jakbym była na wybiegu, i przepłynęłam tuż obok niego. Tylko że teraz, w terminalu, nie spojrział na mnie ani razu, nawet przez sekundę.

Kupiłam gumę do żucia i jakiś magazyn z Jennifer Aniston na okładce, po czym – z poczuciem klęski – wsiadłam do samolotu. Dotarłam do swojego maleńkiego fotela przy oknie, zaczęłam czytać, że Jennifer umrze w samotności i że jest to nie fair, i wtedy znów go zobaczyłam. Wchodził na pokład. Przeszedł alejką między siedzeniami, a ja gapiłam się na jego potężne ramiona i wielkie dłonie obejmujące torbę podróżną, gdy torował sobie drogę. Myślałam: *Może jak będzie mnie mijał, udam, że kicham... i padnę na podłogę tuż przed nim... a on się potknie i zwali na mnie jak długi.* A potem zobaczyłam, że spogląda prosto na miejsce obok.

Nie, pomyślałam. To chyba niemożliwe, żeby zajął sąsiedni fotel. Nie, nie, nie. Ależ TAK! *Gem, set i, kurwa, piłka meczowa, TO SIĘ DZIEJE NAPRAWDĘ.*

Nigdy, przenigdy nie rozmawiam z ludźmi w samolotach. To wielkie ryzyko, może wiązać się ze skutkami w rodzaju towarzystwa Jamesa Tobacka (wygooglujcie go sobie), który – zanim jeszcze wystartowaliśmy – powiedział mi: „Kobietę zna się naprawdę dopiero wtedy, kiedy się jej wyliże odbyt”, albo z obecnością pewnej pani, która przez trzy godziny pokazywała mi zdjęcia swojego martwego kanarka. Jednak w tym wypadku od razu się do faceta odezwałam.

– Cześć, jestem Amy.

Uśmiechnął się, ukazując maleńką przerwę między zębami. Uwielbiam u mężczyzn takie szczeliny, bardziej niż cokolwiek innego.

– Cześć. A ja Sam – odpowiedział z brytyjskim akcentem.

Po chwili wiedziałam już, że służy w angielskiej wersji naszych marines i że przyjechał do Fayetteville tylko na parę dni. Nie mogłam, kurna, dać sobie z tym rady. To było dla mnie za wiele. Jakby coś mnie opętało, traciłam panowanie nad własnym głosem niczym Sigourney Weaver pod koniec *Pogromców duchów*. Normalnie byłam w rui, jak to mówią. Kto tak mówi? Nie wiem. Zamknijcie się i czytajcie dalej, jak załatwił mnie ten brytyjski superbohater. Wystartowaliśmy, a ja udawałam, że bardzo boję się latać. Nie było żadnych turbulencji, a mimo to złapałam go za ramię i złożyłam mu twarz na piersi, wdychając jego zapach. Jawnie się do niego przystawiałam; oboje śmialiśmy się z mojej napastliwości. Łechtaczka pulsowała mi jak serce w rozterce, a w myślach ciągle słyszałam piosenkę zespołu 98 Degrees zatytułowaną *Daj mi tę jedną noc (Una Noche)*. Choć byłam już wtedy troszkę znana, on nigdy o mnie nie słyszał, co było kolejnym dużym plusem. Powiedziałam mu, że dziś wieczorem mam występ i że potem moglibyśmy się spotkać. Wymieniliśmy się adresami mejlowymi. Zanosiałam modły do

wszystkich bogów, by to spotkanie doszło do skutku.

Wcześniej bywałam w podobnej sytuacji kilka razy: kroiły mi się szybki numerek albo jednonocna przygoda, ale do niczego nie dochodziło. Raz czy dwa instynkt kazał mi powiedzieć „nie”, bo nie czułam się bezpieczna. Przeważnie jednak rezygnowałam z powodu czystego lenistwa. Przychodziły mi do głowy myśli o rzeczach praktycznych, na przykład: Kiedy będę mogła już sobie pójść, żeby zjeść trochę spaghetti? Nie jesteśmy parą, więc nie wolno mi zachowywać się u niego jak w domu, to znaczy szczotkować zębów, myć buzi, nałożyć sobie maseczki na oczy do spania ani do uszu wsadzić zatyczek. Ma być ostro i seksownie, a tymczasem ja wyglądam jak Shrek w wersji blond tuż po północy. A jak będzie rano? Co sobie powiemy? Czy zamówię mu Ubera? A jeśli on powie mi coś przykrego albo spróbuje się ze mną kochać jeszcze raz, nad ranem, kiedy moja vagina śmierdzi jak miska po zupie ramen? Jestem po prostu zbyt pragmatyczna i leniwa na jednonocne przygody. Zawsze zastanawiam się nad konsekwencjami i nie popijam już tak jak w college’u.

Natomiast sytuacja z Samem przedstawiała się inaczej. Podniecał mnie, rozbudzał fantazję, był marzeniem. Nawet jego akcent czynił go cokolwiek nierealnym. Nie przeszkadzało mi, że miał wrócić do swojego zagranicznego domu następnego dnia tuż po wschodzie słońca. Kiedy rozstaliśmy się na lotnisku i poszłam przeprowadzić swój show, przez cały ten czas tylko niecierpliwie czekałam na jakąś wiadomość od niego. I wiadomość przyszła, gdy występ się skończył – mejl z pytaniem, jak mi poszło. Zażartowałam, że ktoś właśnie odkrył mój talent i chcę wykorzystać ten fakt w swojej dalszej karierze.

Zapytał: „Kto cię odkrył?”.

Odpisałam: „Iluzjonista. Mam być jego asystentką”. Wydawało mi się to całkiem zabawne.

Rzucił: „Będzie cię przecinał na pół?”.

Odpowiedziałam: „Liczyłam, że ty to zrobisz”.

BANG! Oto najbardziej agresywne seksualnie, a jednocześnie zgodne z prawdą zdanie, jakie w życiu napisałam. Które w dodatku zadziało.

Umówiliśmy się w klubie, który był na parterze mojego hotelu. Wypiliśmy po pół piwka i tańczyliśmy do muzyki Ice Cube’a, informującego nas, że możemy wszystko osiągnąć, jeśli się tylko solidnie przyłożymy. Potem wyszliśmy. Droga przez jasno oświetlony hol do pogrążonej w półmroku windy to jedyne, co zapamiętałam przed czekającym nas aktem seksualnym. W windzie przechodziły mi przez głowę następujące myśli: *Przeleć mnie, przeleć mnie, przeleć mnie, przeleć mnie, przeleć mnie.*

W tamtym okresie życia bardzo potrzebowałam solidnego zastrzyku seksualnej pewności siebie. Jakiś czas wcześniej dowiedziałam się bowiem, że facet, w którym byłam zakochana i z którym kiedyś chodziłam, to gej. Mimo że od naszego rozstania minęło trochę czasu, wiadomość ta złamała mi serce. I sprawiła, że zwątpiłam w samą siebie. Osobę, dzięki której czułam się tak cudownie, czułam się taka sexy, naprawdę interesowali mężczyźni. I to od dawna. Myślałam: *Czyżbym była męska?* Kiedy człowiek dojrzewa i trochę mądrzeje, poczucie wartości czerpie z własnego wnętrza, a nie od kogoś, z kim uprawia seks. Jednak odkrycie, że chodziłam z gejem, bardzo utrudniło mi

wtedy życie. Miałam kłopot ze swoją seksualnością i zastanawiałam się, czy jestem cokolwiek warta.

I nagle pojawił się Sam – piękny, idealny, wymarzony mężczyzna, który chciał pomóc biednej sierotce odnaleźć drogę do domu. Winda w hotelu jechała zdecydowanie zbyt wolno.

Wpadliśmy do mojego pokoju o wystroju typowo korporacyjnym i nie traciliśmy już czasu.

Rzuciłam torebkę w kąt, rozebraliśmy się do bielizny i wskoczyliśmy do łóżka. Żadne nie miało wątpliwości, po co tu jesteśmy. Przyświecał nam jeden cel: spałaszować się nawzajem, nasycić sobą. Auuuuuuu, tak, tak, wiem, sorry. Ale taka jest prawda. Wszystko odbyło się jak należy. Całowanie jak należy. Wrażenie jego ciała też jak należy. Poszliśmy na całość. Nie mogę zacytować teraz *Pięćdziesiąciu twarzy Greya* ani napisać czegoś bardzo zmysłowego, dlatego opowiem wam o samych faktach. Oboje byliśmy bardzo aktywni (oralnie). Oboje nie mogliśmy uwierzyć, że to się naprawdę dzieje (liczne orgazmy). On był tak zachwycony i podekscytowany, że w pewnej chwili przybił mi piątkę. Niesamowite wrażenie (to znaczy seks, nie przybicie piątki). Po tamtym przygnębiającym odkryciu, że facet, z którym wielokrotnie się kochałam, woli mężczyzn, doznawałam cudownego zadośćuczynienia, kiedy ta niebiańska istota brała mnie w ramiona, sprawiając, że czułam się chciana i piękna. Seks był doskonały. On był doskonały. Oboje znajdowaliśmy się w ekstazie, ciesząc się, wręcz delektując każdym zapachem, dźwiękiem i dotykiem.

Po wszystkim powiedziałam, że było mi bardzo przyjemnie go poznać i życzyłam mu powodzenia w dalszym życiu. Nie mógł uwierzyć, że wyrzucam go za drzwi. Nie mógł w to uwierzyć tak bardzo, że został i kochaliśmy się jeszcze co najmniej trzy razy, z krótkimi, czułymi przerwami pomiędzy, opowiadając sobie różne historie, śmiejąc się i tuląc do siebie.

W końcu powiedziałam, że na niego czas. Uprawianie seksu z obcym facetem jakoś mi nie przeszkadza, ale spanie obok już tak – to zbyt wielka zażyłość. Ponieważ on próbował kreślić nam plany na wspólną przyszłość, poinformowałam go, że to jednorazowa znajomość. Stwierdziłam, że było cudownie i że nigdy już nie pójdę z mężczyzną na jedną noc do łóżka, ponieważ nie zniosłabym porównania. Pocałowaliśmy się na pożegnanie. Poszłam spać z ogromnym uśmiechem na twarzy, dziękując w myślach.

Zdaję sobie sprawę, że owa noc w Tampie, jedna z najlepszych w moim życiu, to była tylko przelotna przygoda. Ale czułam się wtedy jak Marlene Dietrich w filmie *Maroko*. Proszę zaprotokołować, że wcale nie postuluję, aby wszyscy ograniczali się do jednej jednonocnej przygody. Och nie, nie, nie, wręcz przeciwnie: niektórym z nas wyszłoby znacznie bardziej na zdrowie, gdyby przez całe życie mieli tylko przelotne kontakty. Ale jeśli chodzi o mnie, to spotkanie spadło mi jak gwiazdka z nieba w chwili, gdy nie czułam się specjalnie atrakcyjna dla mężczyzn. A nawet zasadniczo pozbawiona seksualności. Pragnęłam podniesienia na duchu, potwierdzenia swojej wartości. Ta nieoczekiwana noc pełna miłości ze świetnie zbudowanym, brytyjskim rudzielcem była dla mnie niczym azytromycyna, która przepędza z ciała wszelkie pozostałości patogenów.

(Czy może być bardziej aseksualna metafora? Nie. A w ogóle to sędzę, że antybiotyki nie działają).

Wszyscy wiemy, że jednorazowe numerki nie są żadnym panaceum na złamane serce i niskie poczucie własnej wartości. Poza tym ich konsekwencje bywają nieprzyjemne. Każda z nas próbowała zapewne wykorzystać seks jako remedium, co kończyło się poczuciem jeszcze większej samotności oraz powrotem do tego samego gnojka, od którego ledwo udało nam się odejść. Czasami jednak takie przygody rzeczywiście potrafią rozwiązać konkretny problem. Więcej nawet – bywa tak, że gdy próbujemy pozbyć się danego kłopotu za pomocą seksu, okazuje się, iż to właśnie seks jest dla nas nagrodą samą w sobie. Nie trzeba wyciągać z niego żadnej nauzki. Niczego od nas nie wymaga, a daje czystą przyjemność. Orgazmy z facetem, który patrzy na ciebie jak na obiad w porze lunchu, są dokładnie tym, co przepisałby nam lekarz. Proponuję wprowadzić Krajowy Dzień Rudzielca: ten człowiek zdecydowanie zasługiwał na uroczystą paradę czy coś w tym stylu.

Próbował się ze mną kontaktować jeszcze kilkukrotnie, gdy akurat był w Stanach, ale ja pozostałam wierna pragnieniu, żeby zachować w sercu święte wspomnienie tamtej nocy. Rzecz dziwna: nocy, która wydaje mi się najniewinniejszą w całym moim życiu. I nadal tak jest.

Jestem introwertyczką

Jestem introwertyczką. Wiem – myślicie sobie: *Co ty pieprzysz, Amy? Przed chwilą opowiadałaś, jak się spiknęłaś z jakimś obcym facetem w Tampie, a teraz twierdzisz, że niby jesteś nieśmiała? Nieprawda, jesteś ryczącym zwierzęciem scenicznym, które lubi pójść w tango!* No dobra, zgoda. Tak czasem jest, to prawda. A jednak, bez cienia wątpliwości, jestem klasycznym, książkowym przykładem introwertyczki.

Jeśli nie wiecie, co to słowo znaczy, zaraz was oświecę. Natomiast ci, którzy znają ów wyraz, niech sobie przeskoczą od razu do rozdziału, jak znaleźć najlepsze „gloryholes” w Pekinie. Nie, żartuję. Nie posiadam takich informacji. Poza tym weź, kurna, przeczytaj mój opis osoby introwertycznej, zamiast się tak spieszyć dalej, z boczeńcu.

Być introwertykiem to nie to samo, co być człowiekiem nieśmiałym. Chodzi o to, że lubi się samotność. Nie tylko lubi – nawet się jej potrzebuje. Prawdziwy introwertyk postrzega innych jako energetyczne wampiry. Nie żeby ich nienawidził, po prostu musi uważać, kiedy jest w ich obecności – tak jak uważa się na słońce. Ono daje życie, no pewnie, ale może też spalić. Wtedy czeka cię na przykład ów pomarszczony dekolt i starczy rowek między piersiami, którego się zawsze bałam, a który teraz mam. Dla mnie kremem z filtrem były w takim wypadku medytacja i słuchawki na uszach, które chroniły przed piekłem, jakim są inni ludzie.

Uwielbiam pewne zdjęcie opublikowane przez „National Geographic”. Przedstawia młodego niedźwiedzia brunatnego, który siedzi sobie spokojnie pod drzewem nieopodal granicy fińsko-rosyjskiej. Napis poniżej głosi mniej więcej tak: „Niedźwiadki bawiły się intensywnie przez cały dzień. Jeden z nich oddzielił się od pozostałych na parę minut, aby zażyć relaksu w samotności i nacieszyć się spokojem”. Dla mnie to bardzo ważny i sensowny przekaz, gdyż właśnie taka jestem! Tylko że w moim wypadku niedźwiadek zostaje wyrwany ze swojego ustronia pod drzewem, kilkoro ludzi maluje mu pyszczek i robi loki na futerku, a potem wbija go w sukienkę, żeby móc wypchnąć na estradę, gdzie ma jeździć na małym cyrkowym rowerku. Nie twierdzę, że miś nie lubi rozbawiać ludzi, ale jednak dla małego, kudłatego introwertyka jest to zadanie dość trudne.

Znam osoby, które pisząc książkę, strasznie się męczyły: na każdej stronie czuć, jak musiały ze sobą walczyć, drzeć się na strzępy. Natomiast dla mnie napisanie tej historii stanowiło jedną z największych przyjemności w życiu. Chciałabym móc spędzać większość dnia, tylko siedząc, pisząc i z nikim nie rozmawiając. Pewnie zdziwi was informacja, że najczęściej przebywam sama, chyba że znajduję się akurat w garderobie przed występem, co dla introwertyka jest szalenie wycieńczające. Gdy zbliża się pora lunchu, omijam stoły z jedzeniem i pędzę do swojej przyczepy albo w jakiś cichy zakątek, żeby pomedytować. Muszę się całkowicie wyłączyć. Ten czas, spędzony w milczeniu, jest dla mnie jak pokarm. Oczywiście odżywiam się normalnym jedzeniem, i to solidnie. Ale jeśli nie mam występu albo zdjęć, wolę być przez cały dzień sama. Może godzinka na wspólny obiad z przyjaciółką, ale to wszystko.

Każdemu się wydaje, że wykonawca estradowy, a zwłaszcza wykonawczyni,

uwielbia być non stop na wizji. Moim zdaniem oraz zdaniem bliskich mi ludzi nie ma nic bardziej odległego od prawdy. W dzieciństwie przyjmowano za pewnik – właściwie bezwiednie – że skoro jestem dziewczynką i aktoreczką zarazem, to na pewno uwielbiam ciągle zabawianie innych, rozśmieszanie ich i sprawianie im przyjemności. Myślę, że wszystkie małe dziewczynki wychowuje się podobnie, nawet te, które nie są tak zabawne jak ja. Od kobiet zawsze oczekuje się, iż będą uprzejmymi paniami domu, które podsuną towarzystwu jakąś anegdotkę i same wybuchną perlistym śmiechem w reakcji na czyjaś wypowiedź. To właśnie naszym życiowym zadaniem jest gładko wychodzić ze wszystkich niezręcznych sytuacji za pomocą rozczulających uprzejmości – zasadniczo bowiem stajemy się darmowymi gejszami. Lecz kiedy nie spełniamy tych oczekiwań (ponieważ jesteśmy introwertyczne), ludzie wokół nas zakładają, że albo mamy depresję, albo jesteśmy pojebane. Możliwe, że jestem pojebana, to fakt, jednak wcale nie dlatego, iż nie chcę się krygować ani uśmiechać do kogoś, kto opowiada mi ze swadą, jak to w gimnazjum uprawiał biegi przełajowe.

Zaczęłam sobie to wszystko uświadamiać dopiero, gdy zamieszkałam z moim ówczesnym chłopakiem, Rickiem. Jednak już jako dziecko czułam, że coś tu nie gra. Nie lubiłam się bawić tak długo jak inne maluchy i nie dawałam się nigdy namówić na domowe imprezki połączone z noclegiem u koleżanek. Kiedy dorosłam, nie miałam pod ręką mamy, gotowej na każde zawołanie przyjechać po mnie w środku nocy i mnie skądkolwiek zabrać. Cała sytuacja stała się jaśniejsza. Można powiedzieć, że związek z Rickiem był moją pierwszą dorosłą relacją w życiu. Po raz pierwszy bawiłam się z kimś w dom, naśladując sposób, w jaki ludzie w związkach małżeńskich pilnie wypełniają obowiązki towarzysko-rodzinne. Pamiętam, że na święta jeździliśmy do domu jego rodziców; zdałam sobie wtedy sprawę, że muszę często odpoczywać od tej grupki uroczych osób, z którymi spędzaliśmy całe dni. Mniej więcej co półtorej godziny wycofywałam się do pokoju Ricka albo szłam sobie na spacer. Nikt nie robił mi z tego powodu wyrzutów, ale z pewnością wszyscy to zauważali. Pewnego razu Rick zabrał mnie na ślub swojego przyjaciela. Po dwóch godzinach gadek o niczym i drobnych uprzejmości schowałam się w łazience. Nie miałam już nic więcej do zaoferowania ani do powiedzenia i ogarnęło mnie nieznośne poczucie, że marnuję czas.

Dopiero gdy zaprzyjaźniłam się z innymi satyrykami i komikami występującymi na scenach, uświadomiłam sobie, że bycie introwertyczką nie jest skazą charakteru. My wszyscy, wybrawszy się na wakacje lub we wspólną podróż, potrzebujemy najpierw krótkiej chwili odpoczynku w swoim pokoju. Potem wysyłamy sobie esemesy i idziemy się zameldować w hotelu. Sprawa się komplikuje, kiedy czyjaś praca wymaga nieustannego przemieszczania się oraz wchodzenia w interakcje z wciąż nowymi ludźmi, nowymi miastami, nową publicznością. W tym zawodzie człowiek napotyka całe mnóstwo osób i czuje się chujowo, jeśli nie poświęci odrobiny energii na krótką rozmowę z każdym taksówkarzem, recepcjonistą hotelowym, organizatorem, członkiem ekipy technicznej, osobą z publiczności, kelnerem i tak dalej. I naprawdę mam tu na myśli „wydatkowanie energii”. A energia się kiedyś kończy, trzeba ją uzupełniać. Doładowywać się, cholera. To nie tak, żebym nie szanowała tych wszystkich ciężko pracujących ludzi (nawiasem mówiąc, sama też wykonywałam te zawody, ponieważ

uprawiałam w życiu każdą profesję z wyjątkiem bycia doułą. Więcej na ten temat później). Wiem, że mają dobre intencje, i wiem, że na świecie istnieje mnóstwo osób, które – w odróżnieniu ode mnie – pragną opowiedzieć taksówkarzom o każdym szczególe swojej podróży lotniczej (zawsze udanej) i o pogodzie w Nowym Jorku (zimno czy gorąco – a kogo to, kurwa, obchodzi?). Ile kluczy do pokoju w naszym hotelu pani potrzebuje? (Sto dziewięć, cholera). Ja po prostu nie należę do takich ludzi i nie zamierzam marnować czyjegoś czasu i czyjejś energii (ani też swoich) na bezmyślne pogaduchy. Za każdym razem, gdy biorę taksówkę z lotniska, kierowca pyta mnie, po co przyjechałam i czym się zawodowo zajmuję. Kiedy byłam jeszcze początkująca, zwykłam udzielać bezpośrednich odpowiedzi. Dopiero potem poszłam po rozum do głowy, ponieważ zawsze słyszałam takie same zdania:

Ach, pani jest satyryczką?

Czy ja już pani gdzieś nie widziałem?

Jesteś na YouTubie?

O, mój kuzyn też jest komikiem. Nosi pseudonim Rudy Kutafon. Zna go pani? To proszę poszukać w Google'u.

Wiesz, kto jest naprawdę zabawny? Jeff Dunham.

Powinna pani zrobić jakiś show o taksówkarzach.

Och, mogę ci dostarczyć sporo zabawnego materiału na występy.

Nie grałaś przypadkiem w takim jednym filmie?

Nie? Na pewno?

Nie przepadam za kobietami satyrykami.

To ostatnie szczególnie działa mi na nerwy. Raczej nie słyhać, żeby ktoś rzucił sobie tak lekko: „Nie przepadam za czarnymi”. Uważam, że tego typu wypowiedź jest obraźliwa dla kobiety parającej się komedią. Niech zgadnę: zapewne większość z was widziała w życiu tylko jedną aktorkę kabaretową, i to jeszcze w latach osiemdziesiątych. Zgadza się? Nie mam wątpliwości, kurna, że się wam cholernie podobała.

Aby więc uniknąć tego typu konwersacji, przez pewien czas odpowiadałam taksówkarzom, że jestem nauczycielką w szkole. Mimo to nadal zadawali mi związane z tym pytania. Przyjęłam więc następującą wersję: „Żeby mieć na chleb, zajmuję się opowiadaniem różnych historii”. Brzmiało to tak niedorzecznie, że taksówkarze milkli i rozmowa się kończyła.

Potrafię wystać na scenie całą noc i opowiadać tysiącom nieznanych mi osób o najdelikatniejszych, bardzo osobistych sprawach – na przykład o uczuciach względem ostatniego faceta, który we mnie był, albo o tym, że gdy się upiję, wpięprzam wszystko jak ten żarłok z filmu *Siedem*. Ale na imprezach lub innych spotkaniach nie idzie mi już tak dobrze, bo tam odnoszę wrażenie, że jestem zobligowana do bycia bardziej towarzyską. Zazwyczaj znajduję sobie jakiś kącik, w którym się kryję, i natychmiast zaczynam roztaczać w nim aurę grozy, niczym dziewczynka z *The Ring*, w nadziei, że nikt tu nie przyjdzie, aby ze mną gadać. Zdarza się jednak, że we właściwym miejscu i o właściwym czasie potrafię być całkiem sympatyczna. Kiedyś na przykład zamieniłam kilka miłych zdań z nagimi starszymi kobietami w przebieralni na siłowni. Daję radę, nawet gdy one suszą sobie włosy na szary busz po przejściu tornada.

Nic więc dziwnego, że czasem wolę media społecznościowe od interakcji z żywym człowiekiem. Zapewne jest to także przejaw postawy introwertycznej. Po prostu media społecznościowe są wydajniejsze: mam na przykład na myśli randkowanie w sieci. Wszystko załatwia się tam szybko i bezboleśnie, a kiedy człowiek się orientuje, że ten ktoś po drugiej stronie jest stuknięty albo mało zabawny, można natychmiast zerwać kontakty. Już same zdjęcia, jakie dana osoba decyduje się wstawić na Instagramie, pozwalają nam zaoszczędzić mnóstwo czasu. Zakończyłam kiedyś potencjalnie romantyczną znajomość, ponieważ koleś zamieścił fotkę z pogrzebu psa swojego kumpla. Dosłownie: zwłoki zwierzęcia uroczyście chowano do grobu w worku na śmieci. Facet opatrzył zdjęcie komentarzem, że miał zaszczyt w tym uczestniczyć. A to nawet nie był jego pies!

Moim zdaniem to, co się wrzuca na Instagram, powinno być bardziej uczłowieczone i sensowniejsze. Nie żeby pogrzeb psa nie spełniał tych kryteriów. Po prostu tamten post unaoczniał mi z całą jasnością, że facet potrzebuje w życiu smutku i lubi uczestniczyć w dramatach. Wtedy czuje się ważny. Ja sama najchętniej wrzucam zdjęcia siostry, jak zbiera kupy swojego czworonoga podczas spaceru, całe ich stosy. No bo dlaczego nie pokazywać siebie i nie mówić o sobie prawdy? Kiedy po raz pierwszy zainteresowali się mną paparazzi, zostałam przez nich uwieczniona, jak uprawiam na Hawajach SUP, czyli wiosłowanie na desce w pozycji stojącej. Nie rozpoznałam siebie na tych zdjęciach. Zobaczyłam je w różnych czasopismach i pomyślałam: *Och, super, Alfred Hitchcock ożył i uwielbia teraz sporty wodne*. Ale nie, niestety, to byłam ja. Przyjaciółka powiedziała mi, że fotki są w necie, jednak zrobiła to w taki sposób, jakby oboje moi rodzice zginęli właśnie w pożarze. A ja dumnie – i natychmiast – zaprezentowałam najbrzydsze z rzeczonych zdjęć na Instagramie, bo uznałam, że jest przekomiczne. W tej książce często będę śmiać się z siebie, bo czuję się spoko, zdrowa, silna i całkiem ponętna. Nawet jeśli nie jestem najostrzejszą laską na sali, już raczej jak trzeci pod względem seksowności barman w lokalu Dave & Buster's w Cincinnati. Innym razem jakiś paparazzo sfotografował mnie, gdy oddawałam się tak nieprzystojnej czynności jak spożywanie kanapki – przy czym od razu zamieściłam sprostowanie dotyczące gatunku mięsa w kanapce (oni twierdzili, że jadłam zwykłą szynkę, ale to było prosciutto).

Z drugiej strony wszyscy znamy mężczyzn i kobiety (zarówno celebrytów, jak i zwykłych ludzi), którzy publikują w sieci wyłącznie fotki swoich niesamowitych kaloryferów i innych mięśni bądź też zdjęcia, na których zupełnie przypadkiem wyglądają wprost cudownie, znane jako #skromnoszpan (ten wyśmienity termin ukuł @twittels – niech spoczywa w pokoju). Nie, nie chcę mieć z nimi do czynienia, przekażcie im to. W ogóle nie chcę znać kogoś, kto jest tak doskonały i nie ma pojęcia o prawdziwych życiowych problemach. Media społecznościowe są znakomitym narzędziem zarówno dla introwertyków, jak i ludzi przyzwoitych, ponieważ skracają czas między wrażeniem, że ktoś jest super, a uświadomieniem sobie, iż jest dokładnie odwrotnie. Nie wiem, jak introwertycy mogli kiedyś przetrwać bez Internetu. Ani jak mogą przetrwać z Internetem. Właściwie to nie mam pojęcia, jakim cudem nadal żyjemy. To przecież niemożliwe.

Wiedząc, że jest się introwertykiem, można lepiej zarządzać tą cechą osobowości,

a nawet zacząć postrzegać ją jako coś pozytywnego. Znany jest przecież fakt, że wielu dyrektorów i prezesów dużych firm to introwertycy. Również dla mnie stanowisko kierownicze jest czymś bardzo dogodnym, niezależnie od tego, nad czym akurat pracuję. Otaczam się mądrymi, utalentowanymi ludźmi, pozwalam im wykonywać swoją robotę, wysłuchuję pomysłów oraz rozpoznaję ich najmocniejsze strony po to, by na drodze współpracy otrzymać optymalny produkt końcowy. Jeśli chodzi o moje występy stand-upowe, sama jestem autorką wszystkich dowcipów, lecz całość kreacji scenicznej zawdzięczam współpracy z grupką zabawnych osób, które działają razem, choć osobno. Oto mój ulubiony sposób realizowania zadań.

Nie może więc dziwić fakt, że wielu scenarzystów jest introwertykami. Bardzo chętnie wspólnie przygotowują moje programy w telewizji, pracując ramię w ramię, tyle że krótkimi zrywami, po czym jeden po drugim zaszywają się w twórczych, introwertycznych kokonach, by doprowadzić sprawę do końca. Większość z nas to jaskiniowcy, zdolni socjalizować się tylko przez określony czas. Jeśli chodzi o scenarzystów, nasz typowy plan dnia wygląda mniej więcej tak:

Południe: W biurze pojawia się personel.

12.15: Grupa zamawia lunch. Wszyscy chcemy zupę, ale jej dostarczenie zajęłoby aż dwie godziny, więc bierzemy coś w Bareburgerze. Kyle Dunnigan zawsze zamawia najdłużej, ponieważ jego burger musi być wolny od glutenu i produktów mlekopochodnych, przy czym Kyle pragnie nas o tym informować za każdym razem. (W tym roku wyrzekł się wolności od wspomnianych wyżej składników pokarmowych, po czym rzucił pracę, czym wprowadził nas wszystkich w ogromną wściekłość, że przez tak długi czas musieliśmy wysłuchiwać jego głędzenia).

12.16–12.59: Personel dyskutuje o lunchu i lamentuje, ileż można czekać na zamówienie.

13.00–13.15: Konsumujemy lunch i rozmawiamy o *Kawalerze do wzięcia*.

13.15–13.30: Co chwila przerwy na toaletę. Kurt Metzger opowiada o jakiejś stukniętej dziewczynie, której robił minetkę.

13.30–14.00: Dyskusja o różnych pomysłach scenicznych, gównianie gadki o ludziach, wspólne oglądanie filmików na YouTubie.

14.00–15.00: Dyskusja o tym, co powinniśmy przekąsić. Siusiam setny raz.

15.00–16.00: Ubarwiamy scenariusze.

16.00–19.00: Każdy idzie i pisze w bezpiecznym zaciszu własnego domu.

Przebywając dłuższy czas w towarzystwie innych osób, trudno jest być kreatywnym. Nie mam pojęcia, jak to wszystko udaje się scenarzystom nocnych programów – cały dzień są przecież razem, produkując szeregi żarcików i skeczów. Ja sama mam szczęście dysponować rzeszą ludzi, którzy pozwalają sobie wzajemnie robić to, co do nich należy. Największe uznanie budzi we mnie proces wspólnego pisania w samotności. Często siadamy z moją siostrą, Kim, na kanapie i w milczeniu rozpisujemy tę samą scenkę – co trwa nie tyle całe godziny, ile dni. Czasem wymienimy ze dwa zdania, ale wyłącznie o jedzeniu.

Podsumowując, chciałabym złożyć hołd tajnej broni introwertyków – jednemu z naszych najwspanialszych mechanizmów przystosowania, który pozwala nam radzić

sobie w sytuacjach towarzyskich. Tak zwane irlandzkie pożegnanie to coś, co na przestrzeni lat wydatnie udoskonaliłam. Niech Irlandczycy się nie obrażają za ten termin. Jesteście przecież geniuszami, jeśli chodzi o pomysły na zwijanie się z dowolnego miejsca bez żadnych tłumaczeń. Nawet gdy jestem pijana, potrafię wymknąć się z dowolnej imprezy, bardzo subtelnie, jak ninja, i bez ostrzeżenia – klasyczne zachowanie introwertyka, do którego często się uciekam. Jestem niczym Omar Little z *Prawa ulicy*. Niemal. „Amy, nie zauważyłem, jak wczoraj wychodziłaś... Chyba się nie pożegnałaś!” Pewnie, że nie, słodki tyłeczku. Gdybym się z tobą pożegnała, to tylko przez absolutny przypadek, bo akurat stałaś sobie w drzwiach, a ja próbowałam się przez nie przebić.

Żałuję, że nie mogę się po irlandzku wymigać z tego rozdziału, bo jak zwykle wykańcza mnie tak długie pisanie o sobie. Lecz zanim oleję was całkowicie i profesjonalnie, pragnę przypomnieć, że żadnej książki nie należy oceniać po okładce, zwłaszcza głośno, w sposób nietaktowny, niefrasobliwy i typowy dla blondynek. (Z wyjątkiem może tej konkretnej publikacji, gdyż jej okładka jest bardzo fajna, środek również). Wprawdzie mój zawód wymaga ode mnie, abym umiała śmiać się z siebie do mikrofonu tudzież obnosić się z sercem na dłoni, jednak nie znaczy to, że nie jestem introwertyczką. Wierzcie lub nie, lecz tak samo ja wy posiadam skomplikowane życie wewnętrzne i lubię bywać sama. Jest mi to potrzebne. I nigdy nie czułam się szczęśliwsza niż wtedy, gdy wreszcie uświadomiłam sobie tę prawdę. Jeśli wy też jesteście introwertyczni (a zwłaszcza introwertyczne), jeśli jesteście osobami, od których powszechnie oczekuje się ogromnego wydatkowania energii na rzecz wszystkich pozostałych, zachęcam was, byście zawsze znaleźli chwilę dla siebie.

Nie bójcie się szukać wymówek. Doładujcie baterie tak długo, jak trzeba. Oprzyjcie się o jakieś drzewo i odpoczywajcie od innych niedźwiedzi. Ja też tam gdzieś będę, ale obiecuję, że nie zakłócę wam ciszy.

O byciu nowobogackim

Termin „nuworysz” to eleganckie określenie człowieka zamożnego, który doszedł do wszystkiego własnym wysiłkiem. Który nie odziedziczył majątku po pradziadku. Sam na niego zapracował. Albo kupił los na loterię i wygrał uczciwie. Ja jednak wolę słowo „nowobogacki”, ponieważ komunikuje ono: „Tak, pochodzę z biedoty i godzę się z tym!”.

Jestem nowobogacka.

Sądzę, że mam szczęście, iż mieszkam w Ameryce – tu, gdzie ludzie traktują kogoś takiego jak ja (prostaczkę) jako osobę z rodowodem sięgającym samego Benjamina Franklina, przez którą przepływają studolarówki. W Anglii dorobkiewiczze nie wzbudzają aż takiego entuzjazmu, uważa się ich za ordynarnych. Natomiast w Ameryce nowobogaccy są celebrowani znacznie bardziej niż „starobogaccy”, ponieważ doszli do czegoś sami, w taki czy inny sposób. Świeżo zarobioną forszę wydajemy na głupoty, na przykład zabiegi w spa, podczas których węgorce oskubują nam z palców u nóg martwy naskórek, bądź też na tłuszcz z małych fok, który każemy sobie wstrzykiwać w dupę, byśmy wyglądali młodziej (mnóstwo flory i fauny morskiej ginie z tego powodu). Ludzie nam przyklaskują. Śmiało, załóż jakąś fundację charytatywną, oddaj trochę tej forsy, a nikogo w Stanach nie będzie obchodzić, jak ją zarobiłeś. Znany koszykarz zmajstrował ci dziecko, a ty wycisnęłaś z niego, ile się dało? Super, będziesz mieć własny program w telewizji. Nagrałaś filmik porno z jakimś drugorzędym raperem? Oto klucz do korporacji wartej miliard dolarów. Albo jak w moim wypadku: „Hej, to ty opowiadasz kawały o fiutach pijanym gostkom siedzącym w dusznych salkach lokali o nazwach Zrywać Boki czy Bananowy Hamak? Może chciałabyś zagrać w filmie?!”.

Uświadomiłam sobie, że praktycznie rzecz biorąc, pod kategorię nowobogackiej podpadam już drugi raz. Gdy byłam dzieckiem, rodzice wiedli absolutnie typowe życie nuworyszy... aż do chwili, gdy tuż przed moim wejściem we wrażliwy okres nastoletni ześliznęli się do klasy (i stylu życia) ludzi bez forsy. Ale wyprzedzam fakty.

Urodziłam się jako pół-Żydówka (rzecz bardzo cenna) w szpitalu Lenox Hill na Upper East Side na Manhattanie, po czym limuzyną odwieziono mnie pięć przecznic dalej, do naszego ogromnego, dwupoziomowego apartamentu. Pomysł taty. Mówiąc wprost, rodzice byli bogaci. Tarzali się w pieniądzach. To znaczy takie odnosiłam wrażenie. Wystarczył impuls, a wsiadali do prywatnego odrzutowca i lecieli na Bahamy. Sądzili, że takie życie w obłokach będzie trwało bez końca. Ale nie trwało.

Tata był właścicielem firmy pod nazwą Lewis of London specjalizującej się w meblach dla dzieci, która importowała łóżeczka i tym podobne produkty z Włoch. Nie pamiętam, dlaczego akurat tak się nazywała, ale jeśli chodziło mu o eleganckie miano dla firmy, które właśnie dla nowobogackich brzmiałoby dostatecznie prestiżowo i międzynarodowo, to trafił w dziesiątkę. W tamtych czasach tata nie miał konkurencji, nikt inny nie sprzedawał wysokiej jakości zagranicznych mebli dla małych dzieci, dlatego młodzi i bogaci rodzice zamieszkujący Manhattan dobijali się do jego sklepu, gdzie mogli sobie wybrać dla swoich pociech najszykowniejsze klatki, jakie tylko dało się nabyć za pieniądze.

Dzieciństwo miałam pod paroma względami ekstrawaganckie, typowe dla bogaczy. Gdy skończyłam pięć lat, wyprowadziliśmy się z miasta na sympatyczne przedmieścia Long Island, gdzie raz w tygodniu jadalśmy homary, a na niedzielne śniadanie – wędzoną rybę. „Nie ma co żydzić!”, jak to wtedy mówiliśmy. W „dzień homarowy” mama przynosiła żywe jeszcze stworzenia ze sklepu spożywczego i kładła je na podłodze w kuchni, abyśmy – mój brat, moja siostra i ja – mogli się nimi pobawić. Wtedy wydawało mi się to świetnym zajęciem (zanim wrzucało się te smakowite skorupiaki do wrzątku), ale spoglądając na to z dzisiejszej perspektywy, wiem, że igraliśmy z naszym pokarmem mniej więcej tak, jak Mała Syrenka z krabem Sebastianem – a to już jest całkiem niefajne. Dlaczego rodzice nie sprawili nam normalnych złotych rybek? Wszystkie inne dzieciaki jeździły sobie na rowerach i ganiały po dworze, a my organizowaliśmy walki homarów, jakby to byli jacyś gladiatorzy. Chore. W każdym razie jeśli chodzi o wspomnienia z dzieciństwa w zamożnym domu, to najdokładniej pamiętam jedzenie. Jak się nad tym głębiej zastanowić, okaże się, że z większości wydarzeń lub istotnych chwil w moim życiu zostało mi głównie to – czyli potrawy, które wtedy jadłam. Parę lat temu, nim zaczęłam zarabiać „prawdziwe” pieniądze, spytałam Judda Apatowa, czy fajnie jest być bogatym. Wy tłumaczył mi, że kiedy człowiek staje się zamożny, odkrywa, iż wszystkie dobre rzeczy w życiu są za darmo. Możesz kupić sobie dom, stać cię na najlepsze sushi i na płyty CD, ale to właściwie tyle. Mimo to – jak dla kogoś, kto długo pracował jako kelner przy stole życia i wyjadał resztki z talerzy innych w drodze do kuchni – informacja o wybornym sushi zabrzmiała w mych uszach całkiem atrakcyjnie.

W każdym razie firma Lewis of London panowała na rynku niepodzielnie... do czasu, aż inne sklepy zaczęły sprzedawać importowane z Europy meble dla dzieci, a wówczas moi rodzice popadli w ruinę. Stało się to, nawiasem mówiąc, równocześnie z wykryciem u ojca początków stwardnienia rozsianego. Świetny timing, o Wszechświecie!!! Nie pamiętam już, jakie to uczucie, kiedy się wszystko traci, ale pamiętam facetów, którzy przyszli zabrać samochód taty. Miałam wtedy dziesięć lat. Patrzyłam, jak ojciec stoi na podjeździe z pustym wyrazem twarzy, a jego wóz znika, odholowany. Mama twierdzi, że nic nie wiedziała o naszej sytuacji finansowej, ale gdyby to był odcinek pod tytułem *Jak roztrwonić wielką gotówkę* w programie dokumentalnym MTV *True Life*, to pewnie padłyby w nim słowa: „Wywaliła miliony męża na futra i domy”. Gdyby natomiast był to film emitowany na kanale Lifetime, usłyszelibyśmy komentarz: „Była tylko ofiarą, a jej życie w ułamku sekundy zmieniło się dramatycznie”. Nie wiem, które z tych dwóch zdań jest prawdziwe. Pewnie żadne. Wiem natomiast, że mama nie chciała opuścić domu – jakby negocjowanie rzeczywistości było jakimś wyjściem – kiedy ci sami faceci przyszli po jej czarny kabriolet marki Porsche.

Co do mnie, poczucia straty nie miałam, choć zauważyłam zmianę, jeśli chodzi o przyjęcia urodzinowe. Chyba właśnie wtedy zdałam sobie sprawę z finansowego położenia naszej rodziny. Kiedy skończyłam dziewięć lat (wciąż jeszcze mieliśmy pieniądze), rodzice urządzili dla mnie „wiejskie party” w naszym pięknym domu przy Surrey Lane, cichej ulicy w Rockville Centre. Z samego rana w garażu ktoś umieścił pudełko z wywierconymi otworami. Podniosłam pokrywkę i ujrzałam stadko

wpatrzonych we mnie kaczuszek. Pomyślałam, że umarłam i znajduję się w niebie. Pamiętam, że w głębi serca wierzyłam, iż to właśnie ja jestem małą bohaterką książki *Pajęczyna Charlotty*. Tak bardzo kochałam te małe stworzonka, że mogłabym tam spędzić cały dzień, głaszcząc je, i umrzeć szczęśliwa.

Ponieważ stać nas było na cały ten kram, wiele godzin – w trybie zmianowym – prawdziwi farmerzy zwozili do naszego domu prawdziwe zwierzęta z prawdziwej wsi. Dawać te osiołki! Pojawiły się kozy i kurczęta, i kucyk. Jeśli słowa te czyta teraz jakiś dzieciak ze stanu Iowa, pewnie myśli sobie w duchu: „Wielkie mi rzeczy”. Parę zwierzątek w obejściu to przecież normalka. Ale wiercie mi, jeśli ktoś wychowuje się w Nowym Jorku i nagle widzi krowę na swoim podjeździe, czuje się wielki i bogaty – i na rok zostaje najpopularniejszym uczniem w szkole. Wszyscy moi ówcześni przyjaciele przebrali się w ogrodniczki i zaczęli zabawę w stogu siana – po prostu ociepieli. Ohyda, jeśli się to widzi i rozumie, w czym rzecz: oto banda bogatych małolatów, którym się wydaje, że udawanie biednych wiejskich dzieci to najlepsza w świecie rozrywka. Byłam kiedyś na imprezie urodzinowej, gdzie toczyła się bitwa na jedzenie. Wyobrażacie sobie te głodujące maluchy w Syrii, gdyby widziały takie marnotrawstwo pożywienia? Ciarki człowieka przechodzą.

Bez obaw, los odplacił mi pięknym za nadobne wkrótce potem. Rodzice tracili pieniądze, a nasze życie stawało się coraz mniej komfortowe. Nadszedł czas przeprowadzek do coraz skromniejszych domów, aż wreszcie mieliśmy wrażenie, że gnieździśmy się wszyscy na jednej kupie – i nie mam tu na myśli takiej fajnej kupy, jak w książce *Tam, gdzie żyją dzikie stwory*. Raczej smutną, biedną gromadkę, niczym w domu dziadków z *Charliego i Fabryki Czekolady*. („Amy, może byś nawiązała czasem do jakiejś pozycji dla dorosłych?”. Nie!) Tuż przed moimi studiami i wyjazdem do college’u mama znalazła nam mieszkanie w suterenie, gdzie moja siostra, cztery lata młodsza ode mnie, dostała osobny pokój, a ja musiałam spać w łóżku z rodzicielką. (Szybka rada: Jak jesteście napruci w trąbę, nigdy nie dawajcie dyla z taryfy, nie zapłaciwszy za kurs, i nie chowajcie się na golasa do łóżka, w którym śpi wasza matka. Bo taksjarsz pójdzie za wami do domu i zapuka do drzwi, a wtedy wasza rodzicielka będzie musiała go przeproszać i zapłacić mu za usługę, kiedy wy leżycie pod kołdrą, chichracie się i czujecie, jak wszystko wokół wiruje... Koleżanka mi opowiadała taką historię).

Szczerze mówiąc, nigdy nie czułam się biedna, nawet wtedy, gdy rzeczywiście tacy byliśmy. Zawsze miałam tyle pieniędzy, aby wystarczyło na lunch i wycieczkę klasową. Niczego mi nigdy nie brakowało. Od czasu do czasu bywaliśmy na przedstawieniach na Broadwayu albo jechaliśmy samochodem do miejsc, gdzie rosły jakieś drzewa i znajdowały się jeziora i stawy albo trochę większa kałuża (gdy już zrobiło się naprawdę źle). Żyliśmy sobie ponad stan, nie tak jak bohaterki serialu *Bogate życie w New Jersey*. Raczej na poziomie personelu którejs z restauracji należących do Lisy Vanderpump, jednej z aktorek wspomnianego tasiemca. (Tak, przemawiam tylko metaforami zaczerpniętymi z *Bravo* – Bogu niech będą dzięki za ten talk-show i za Andy’ego Cohena). Na szczęście wszystkie moje ówczesne koleżanki ubierały się fatalnie i nie wykazywały zainteresowania designerskimi ciuchami ani innymi sprawami materialnymi. Nigdy nie nosiłam żadnej biżuterii (i nie potrafiłam poprawnie zapisać tego słowa,

przynajmniej za pierwszym podejściem) ani czegokolwiek ze znanych marek. Koleżanki to wszystko obchodziło troszkę bardziej niż mnie, ale i tak nie dawało się tego szczególnie zauważyć. Koszulki kupowałyśmy w sklepach sieci Bebe, choć stać nas było tylko na T-shirty z nazwą „Bebe”, które znajdowały się w ciągłej sprzedaży – zapewne nie bez powodu.

Jeździłam gównianym samochodem, ale przynajmniej miałam własny wóz. Twizzie, bardzo wyeksploatowane kombi, śmierdział wprawdzie chlewem, lecz stać go było jeszcze na wiele. Uwielbiałam kręcić nim kółka i palić gumę. Odwoziłam ze szkoły do domu tylu chętnych, ilu się tylko zmieściło. Wrzeszczałam: „Zabieramy na pakę!” (to jest chyba kwestia z filmu *Głupi i głupszy*) i zataczałam rundki po całym parkingu. Gdy Twizzie osiągał prędkość prawie trzydziestu mil na godzinę, siedzący w nim ludzie odnosili takie wrażenie, jakby trzymali w rękach hantle do ćwiczeń. Ale mimo wszystko to był przecież samochód! Nie uważałam się wtedy za osobę o niskich dochodach. Pamiętam, że moja sukienka na szkolny bal absolwentów podobała mi się tak bardzo, że założyłam ją dwukrotnie – raz, kiedy poszłam na bal rocznika niżej, i drugi raz na swoje zakończenie szkoły. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek domagała się czegoś, na co nie mogłam sobie pozwolić. Czułam, że mam w życiu wielkiego farta.

Dopiero w college’u zaczęłam dostrzegać, że aby poradzić sobie finansowo, muszę pracować troszeczkę ciężiej niż przeciętna studentka. Korzystałam ze stołówki, podkradałam jedzenie z klubu studenckiego, a w razie konieczności naciągałam facetów na drinki. Nie było to łatwe, bo na pierwszym roku wyglądałam jak blond Babadook. Ale dostałam pracę: miałam na college’u prowadzić zajęcia z fitnessu, co stało się głównym legalnym źródłem moich dochodów. (Poza tym sprzedawałam trochę trawki, kradłam też w sklepach spożywczych... Oj, ciinii. Niech to nie wyjdzie poza tę książkę). W każdym razie okazałam się najgorszą handlarką narkotyków w historii. Saszetki szybko mi się kończyły, dlatego musiałam wykorzystywać worki na śmieci marki Hefty, nawet do pakowania drobniotkiej ilości zioła. Dodawałam do tego jakiś prezent, na przykład pieczonego ziemniaka czy cokolwiek, co wałało mi się po pokoju. W każde wakacje, gdy przyjeżdżałam z college’u, razem z siostrą robiłyśmy za barmanki w jedynym lokalu w Long Beach, podając piwo, wino i jedzenie i nieomal przyplacając to piekło życiem. Harowałyśmy po szesnaście godzin na dobę, do domu wracałyśmy okryte dziesięcioma warstwami oparów z płyt smażalniczych. Stopy miałyśmy spuchnięte, a fartuszki wypchane dolarami. Pieniądze z napiwków wysypywałyśmy na łóżko i je przeliczałyśmy. Niekiedy było tego aż pięćset baksów, uważałyśmy się wtedy za królowe życia. Zasypiałyśmy z uśmiechem na ustach, aby zbudzić się o ósmej rano i znów cały dzień robić to samo, co dnia poprzedniego.

Po ukończeniu college’u byłam B do E do Z do G do R do O do S do Z o A, bez grosza, bez grosza. Tak jak Vanilla Ice, zanim zaczął występować w Home and Garden TV. Pracując jako kelnerka, mogłam zarobić wyłącznie na czynsz. Moje codzienne śniadania, obiady i kolacje opierały się na tanich pierożkach i niczym więcej. Były też moją przekąską i brunchem. Mieszkałam w kawalerce rozmiarów szafy, z aneksem kuchennym i z sublokatorką wziętą z ogłoszenia. Pewnego razu kilku kolegów satyryków wybierało się razem na sushi, a ja nie mogłam z nimi pójść, ponieważ tego wieczoru

wydałam ostatnie dolary, aby zapłacić za swoje pięć minut na scenie (bardzo opłacalna inwestycja, ponieważ przed siedmioosobową, malkontencką publicznością poległam na całej linii). Sushi w Nowym Jorku kosztuje więcej niż krwawy diament, dlatego nie wchodziło to w grę. Wówczas jedna z koleżanek, Lorie S., postawiła mi potrawę o nazwie California roll. Byłam jej ogromnie wdzięczna, a jednocześnie zawstydzona, że musiała to dla mnie zrobić.

Wzięłam się w garść i wkrótce przestałam płacić za możliwość występu na imprezach typu *open mike* – otwarty mikrofon. Przestałam też wracać do domu głodna, natomiast zaczęłam zarabiać po kilkaset dolarów za weekendowe stand-upy. Później, czyli około czterech lat temu, suma ta podskoczyła do kilku tysięcy za weekend. Pierwszy czek na bardzo wysoką kwotę otrzymałam za występ w jakimś college’u – zapłacono mi osiemset dolarów za jedną godzinę. Biegałam po swoim mieszkanku, pisząc z radości.

Zarobiwszy pierwszą w życiu poważną forszę podczas trasy *Last Comic Standing*, zabrałam Kim do Europy. Nie musiałyśmy sypiać na jednej pryczy w jakimś brudnym schronisku młodzieżowym. Stać nas było na pokoje w prawdziwych hotelach, z osobnymi łazienkami i tak dalej. Nie były może wytworne, ale czułyśmy się w nich jak córki Rockefellerów. Albo – jeśli należycie do pokolenia Y – jak dyrektorki generalne wytwórni Roc-A-Fella Records.

Rzecz w tym, że zarówno starobogacy (Rockefellerowie), jak i nowobogacy (Roc-A-Fellowie) mają ze sobą coś wspólnego: F-O-R-S-E. Wisi mi, czy ci pierwsi patrzą na mnie z góry dlatego, że jestem nuworyszką, czy nie. Chętnie stuknę się z którymś z nich kieliszkiem, siedząc sobie elegancko w samolocie. Cóż za niezwykły przywilej móc latać w klasie biznes. Wcale nie uważam, że jest to coś w życiu oczywistego. Wciąż pamiętam swój pierwszy raz, kiedy weszłam na pokład prywatnego odrzutowca. Pierwszy raz, jeśli chodzi o kwestie związane z posiadaniem dużych pieniędzy, jest zawsze najlepszy. Występowałam wówczas w przedstawieniu, którego główną atrakcją byli Louis CK, Sarah Silverman oraz Aziz-Który-Nie-Potrzuje-Nazwiska. Odbywało się ono w Connecticut, nie miałam więc daleko, ale gdy Louis spytał, czy przydałby mi się transport na miejsce, odpowiedziałam: „No, kurwa, pewnie!”. Ludzie bogaci mają poczucie winy, że obnoszą się ze swoją forszą przed tymi, którzy jej nie mają, i nie chcą nigdy powiedzieć czegoś, przez co by ich zniechęcili. Louis nie rzekł na przykład: „Amy, nie chciałabyś się przelecieć prywatnym odrzutowcem, moją własnością? Wystarczy zaledwie dwadzieścia minut, żeby cię odstawić do domu”. Nie. Zapytał tylko: „Potrzebujesz transportu?”, jakbyśmy grali w starym filmie, a ja była smutną damą, która czeka na tramwaj w deszczową noc.

To okropne, jak cudownie jest latać prywatnym samolotem. Po prostu ohydna. Zachęcam, żebyście potraktowali ten akapit jako nieobowiązkowy i przeskoczyli do następnego, to może wtedy nie zniechęcicie zarówno mnie, jak i swojego życia. Bo gdy człowiek lata prywatnym odrzutowcem, samochód dowozi go bezpośrednio na pas startowy, o wyznaczonej godzinie tuż przed odlotem. Jeśli planujesz wystartować o dwudziestą pierwszą, wysiadasz z auta o dwudziestą pięćdziesiąt pięć! Żadnego stania w zatłoczonym terminalu („terminal” to odpowiednie słowo, bo kojarzy się z czymś terminalnym, czyli bliskim śmierci), żadnych fluorescencyjnych światełek na lotnisku,

długich kolejek do toalety, żadnego czekania na kontrolę bezpieczeństwa wraz z innymi zniecierpliwionymi ludźmi, którzy nieomal się spóźnili na lot. Brak niekończących się ogonków do automatów, żeby wybulić dziesięć dolców za wodę i gumę do żucia, która ci nawet nie smakuje, ponieważ nie ma tej ulubionej. Po prostu wysiadasz z auta i wchodzisz sobie do samolotu, a po mniej więcej kwadransie jesteś w powietrzu. W miejscu docelowym czeka już inny samochód, dokładnie tam, gdzie wysiadasz z odrzutowca. Podają ci twój bagaż i idziesz sobie, zadowolony, w swoją, kurna, stronę. Latałam paroma samolotami, które były ekskluzywnie hiperhip-hopowe, i paroma takimi, które wydawały się stare i brudne. Ale to bez znaczenia. Jesteś na pokładzie sam!!! Chcę powiedzieć, że wtedy masz poczucie, że ci się cholernie przyfarcilo, skoro wolno ci postawić stopę na pokładzie prywatnego odrzutowca. Ja doceniałam każdą sekundę. Tak jak każdy nowobogacki powinien.

Zatrzymuję się tylko w lepszych hotelach, zamiast z taksówek korzystam z usług Ubera... nawet w porach maksymalnych cen. Stać mnie na drogie dania, kiedy tylko zechcę, i nie rezygnuję z nich. Robię to dla siebie. Nie będę wam ściemniać: to fantastyczne uczucie wiedzieć, że mogę posłać swoją bratanicę do dowolnej szkoły, jaką ona sobie wybierze, bo w wieku dwóch lat jest już geniuszem i za same stopnie w przyszłej szkole otrzyma stypendium. Może także stypendium sportowe, kiedy zostanie siatkarką w najlepszej drużynie ligi międzyuczelnianej. Kojącą jest myśl, że stać mnie na to, aby opłacić pobyt mojego taty w lepszym ośrodku i zapewnić mu najlepszych w Ameryce speców od stwardnienia rozsianego. Jednocześnie wiem, że brzmi to bardzo nie fair w stosunku do tych, którzy nie mogą sobie na to wszystko pozwolić. Jestem nowobogacka, ale nie jestem suką. To kłamstwo. Dotychczas nie okłamywałam was w tej książce i teraz też nie chcę tego robić. Jednak jestem suką.

Najlepsze w posiadaniu pieniędzy jest to, że człowiekowi czasem odważa i zaczyna je wydawać na jakieś głupoty. Jeśli któryś z moich przyjaciół ma akurat występ w klubie kabaretowym, czasem płacę za to, żeby wypełniono mu garderobę po sam sufit nedorzeczną liczbą kwiatów, jak na pogrzebie jakiegoś hip-hopowca – wiadomo: wieńce, girlandy, wszystko w ten deseń. Jeden ze scenarzystów naszego programu telewizyjnego popełnił błąd, mówiąc mi, że otrzymał bardzo skromną rolę (występ gościnny) w serialu *Figurantka*. Oczywiście kazałam dostarczyć do jego przebieralni całe tony róż, aby reszcie obsady opadły szczęki, a on sam poczuł się zażenowany. Stać mnie też było na kupno drogich imitacji skafandrów kosmicznych w sklepie z pamiątkami w Muzeum Historii Naturalnej (dla siebie i siostry). Chodziłyśmy w nich przez cały dzień, jak skończone kretynki, a potem nigdy więcej ich nie założyłyśmy (zobacz sobie zdjęcie pod koniec tego rozdziału, strona 37). Stać mnie na zatrudnienie prywatnego szefa kuchni, który przygotowuje dania dla mnie i dla reszty rodziny, niekoniecznie od święta.

Mój agent, młody i ogromnie nieśmiały facet, jest jednocześnie moim przyjacielem. Nie lubi, gdy uwaga skupia się na nim. Szkoda, bo stawianie go w niezręcznej sytuacji uważam za bardzo zabawne. Zdarzało mi się zatrudniać klauna, który zjawiał się w jego biurze podczas ważnego spotkania, robił mu zwierzątka z baloników, śpiewał na jego cześć i tak dalej. Lubię wypożyczać ferrari, aby godzinę pojeździć sobie z przyjaciółmi. Wynajęłam też jacht, tylko dlatego, że była słoneczna

pogoda. Jestem jak raper, ale taki, z którym się można dogadać. Nie kupuję tych ferrari czy jachtów, tylko je wypożyczam, opłacając pełne ubezpieczenie. Nie każę wnosić na pokład skrzynek z najdroższym szampanem marki Cristal. Kupuję wino musujące po umiarkowanych cenach i wypijam tylko pół kieliszka, bo potem boli mnie głowa, a mam przecież scenariusz do napisania. Jestem niczym początkujący lekkoatleta, ostrożny i kierujący się rozsądkiem. Albo właścicielka zwycięskiego kuponu na loterię, która posiada własnego doradcę finansowego tudzież lekko skrzywione poczucie humoru. Jestem noooooowobogacka.

Dziwne to uczucie, gdy nagle traktują człowieka zupełnie inaczej tylko dlatego, że wystąpił w telewizji albo że ma trochę gotówki. To, że jestem teraz sławna, nie czyni mnie jeszcze nikim szczególnym. Sława nie jest wieczna – a nawet nie trwa zbyt długo. Zupełnie mi to nie przeszkadza, ponieważ kiedy niektóre osoby starają się być dla mnie miłsze ze względu na moje pieniądze, nie czuję się z tym za dobrze. Ci, których lubię najbardziej na świecie, wciąż mnie olewają albo traktują jak pojemnik na odpadki z Long Island, którym *de facto* jestem. Chcę, aby ludzie traktowali mnie tak samo, jak ja traktuję ich. Jedyne, co mogę o sobie powiedzieć dobrego, to to, że do forsy podchodzę na luzie. Każdy, kto przebył drogę od pucybuta do milionera i wie, jak to jest, ale spina się w kwestii pieniędzy, jest zwykłym palantem. Staram się nie zapominać, kim byłam. Pamiętam czasy, gdy napiwek wynoszący trzydzieści procent rachunku mógł rozjaśnić mi dzień, a nawet cały tydzień. Pamiętam, jak musiałam sprzedawać swoje ubrania w ciucholandach, aby móc zapłacić za *open mike*. Pamiętam, że prawie oddałam swoje komórki jajowe, ponieważ nie miałam innego pomysłu na zarobienie paru dolców (jestem Żydówką, więc moje jajeczka powinny były pójść za podwójną cenę!). Pamiętam, jak wybrałam się z całym swoim bilonem do automatu w TD Banku i zamieniłam go na banknoty. Tylko w ten sposób mogłam zaprosić swojego ówczesnego chłopaka na kolację do TGI Fridays z okazji jego urodzin.

A teraz zabieram przyjaciółki na wakacje i wszystkim stawiam sushi California roll! Zdecydowanie dzielę się bogactwem – zostawiam sute napiwki, wspomagam szczytne cele, przyjaciół i rodzinę. To powinna być standardowa praktyka wszystkich zamożnych ludzi. Za to, czym się zajmuję, dostaję dużo pieniędzy. Taka już jest natura show-biznesu. Każdy, kto sprzedaje bilety na swoje występy na żywo, a widzowie na nie przychodzą, jest opłacany w nadmiarze. Nie ma więc żadnej wymówki, trzeba ludziom pomagać i jakoś im to oddać. Kiedy po musicalu *Hamilton*, który miał miejsce na Broadwayu, zostawiłam barmanom tysiąc dolarowy napiwek, wzbudziłam tym wielką sensację. Dziwne wrażenie, muszę powiedzieć. Czy coś takiego nie zdarza się całkiem często w trakcie najbardziej popularnego musicalu w mieście, w którym mieszkają rzesze bogatych ludzi? Jeśli po występie dostaję jakąś premię pieniężną, przekazuję ją mojemu supportowi oraz wizażystkom i makijażystkom. Wielu przyjaciółom, których uważam za ludzi niezwykłych, wręczyłam czekki z sześcioma cyframi, aby choć troszkę ułatwić im życie. Większość honorarium za czwarty sezon naszego programu w telewizji przekazałam członkom ekipy, którzy pracują przy realizacji komediowego serialu skeczowego *Inside Amy Schumer* – niektórzy dwa lata, inni aż cztery. Każdy dolar zarobiony przeze mnie na planie filmu *Thank You for Your Service* powędrował do osób

cierpiących na zespół stresu pourazowego oraz organizacji charytatywnych, które opiekują się rodzinami żołnierzy.

Rozdawanie pieniędzy to wielka przyjemność! Swój pierwszy raz pamiętam, jakby to było wczoraj, ponieważ zawsze o czymś takim marzyłam. Otóż gdy wypłacono mi bardzo znaczną kwotę, wystawiłam siostrze czek opiewający na dziesięć tysięcy dolarów i wręczyłam go Kim w moim salonie. Spojrzała na papierek i powiedziała: „Co ty, kurwa, wymyśliłaś? No nie. Nie ma mowy. Serio?”. Pieniądze wzbudziły w niej ekscytację, ale głównie cieszyła się ze względu na mnie, wiedziała bowiem, jak wspaniałą rzeczą jest móc się z kimś dzielić. Potem wybrałyśmy się na spacer po Chelsea Piers i chodziłyśmy, spoglądając na czek i uśmiechając się do siebie. Zjadłyśmy po kanapce z homarem, zakąsiłyśmy batonikami i czułyśmy się tak, jakbyśmy unosiły się w powietrzu. Było to jedno w najwspanialszych doznań w całym moim życiu. Ale dawanie to nie tylko przyjemność, to przede wszystkim coś nie do przecenienia! Jednakowoż moi doradcy finansowi każą mi się trochę ogarnąć, a siostra ostrzega, żebym nie stała się drzewkiem życzeń, na którym każdy będzie mógł wyryć swoje nazwisko, przez co w konsekwencji zmienię się w uschły pień. Ale dla mnie być hojną oznacza być szczęśliwszą, ponieważ mimo posiadania dużych pieniędzy nigdy nie zapomniałam, co to znaczy naprawdę ich potrzebować. Oczywiście wiele osób miało i ma znacznie gorzej ode mnie, ja jednak dobrze wiem, jak to jest musieć polegać wyłącznie na sobie.

Rok po tym, jak rodzice wszystko stracili, moje przyjęcie urodzinowe różniło się bardzo od fantazyjnego wiejskiego party z czasów, gdy jeszcze się nam przelewało. Tematem przewodnim imprezy była piosenka Lionela Richiego *Dancing on the Ceiling*. Na dywanie pośrodku salonu tata umieścił błyskająca kulę. Siedmioro dzieci biorących udział w przyjęciu tańczyło wokół niej przy dźwiękach wspomnianego utworu, raz za razem, bez końca. Tata filmował nas kamerą do góry nogami, a potem wszyscy oglądaliśmy filmik, zającąc się pizzą.

Pamiętam, że naprawdę świetnie się wtedy bawiłam. To była, i nadal jest, znakomita piosenka, a dzieciaki niczego więcej nie potrzebowały. Ani nadmuchiwanym zamków, ani kogoś przebranego za Królową Śnieżkę – wystarczyły kawałek pizzy i dyskotekowa kula, a impreza sama się kręciła. Nie zdawałam sobie sprawy, że nie mamy już pieniędzy; myślałam po prostu, że rodzice wzięli pod uwagę mój wielki afekt dla Lionela Richiego.

Dziś jestem równie szczęśliwa jak w czasach, kiedy byłam kelnerką w barze albo gdy pobierałam zasiłek dla bezrobotnych. Nie sądzę, by pieniądze wpływały na nasze poczucie szczęścia. Wiele jednak ułatwiają, a jeśli dzięki nim mogę komuś pomóc – czuję się wspaniale. Nadal spędzam większość czasu w domu i zamawiam sobie chińszczyznę lub sushi. Wciąż się obzeram bez opamiętania w środku nocy albo się upijam, lecz dość drogim winem, a nie skrzynką produktów firmy Carlo Rossi, które towarzyszyły mi przez ponad połowę życia. Cieszę się, że od tego nie umarłam. Myślę, że byłabym naprawdę paskudną suką, gdyby moje pieniądze nie pochodziły z „nuworyszostwa”. I proszę zaprotokołować, że jeśli za trzynaście lat bratanica poprosi mnie o samochód, odpowiem:

„Ależ oczywiście”, i przekażę jej lśniące kombi, które potrafi ostro skręcać i przy prędkości ponad trzydziestu mil na godzinę trzęsie wszystkim, co fabryka dała.



Przewodnik po moich pacynkach

Nie wiedzieć czemu te koszmarnie stwory zawsze mnie pociągały. Od wczesnego dzieciństwa. Nigdy nie lubiłam nowych, pluszowych, ślicznych przytulank – takich z tęczami i serduszkami, które wmusza się małym dziewczynkom. Moich ulubieńców raczej nie spotykało się stłoczonych razem na witrynie wystawowej sklepów z zabawkami. O nie. Wprost uwielbiałam te przerażające, postrzępione i zmaltretowane stwory z minionej epoki.

Chciałabym wam je teraz przedstawić, przy czym kolejność prezentacji jest całkowicie przypadkowa. (Niech czasem nie pomyślą, że mam wśród nich faworytów. Choć, oczywiście, mam). Planuję kiedyś zamieścić na Twitterze prośbę, żeby ludzie wrzucali fotki swoich maskotek z dzieciństwa, które nadal mają i kochają. Pozwolę sobie stwierdzić bez ogródek, że jeśli jesteś kobietą sporo po trzydziestce i wciąż śpisz z tymi stworami, to nie jesteś normalna. Ja absolutnie tego NIE robię. Nie co noc. Absolutnie. Więc się zamknijcie.

Mousera kupiłam, mając mniej więcej dziesięć lat, na wyprzedaży garażowej przed domem mojej koleżanki z Long Island. Pomagałam wystawiać rzeczy do sprzedania i wtedy go zobaczyłam. Miał w sobie to coś, oczy mi rozbłysły. Toczyła się debata, czy Mouser jest myszą czy niedźwiedziem, ja jednak nigdy nie miałam wątpliwości, że tą pierwszą. Inny kłopot rodzi także fakt, że wprawdzie wykonano go z filcu i weluru, ale jakimś dziwnym sposobem Mouser pokryty jest rdzą.

Bunny pojawiła się w moim życiu, kiedy miałam około siedmiu lat. Jako jedyna spośród moich ulubieńców była stosunkowo nowa i niedawno kupiona w sklepie. W owym czasie sporą popularnością cieszyły się spłaszczone pacynki w kształcie królika. Mimo że Bunny odpowiada najprzeciętniejszym gustom i jest właściwie dość typowa, kocham ją bez dwóch zdań. Zwracam się do niej per „dziewczynko”, aczkolwiek – właśnie to sobie uświadomiłam – żadnemu ze swoich towarzyszy nigdy nie przypisywałam konkretnej płci.

Pandę dostałam, mając osiem lat. Ona też była w miarę nowa, a że do tego miękka, bawiłam się nią najczęściej i niebawem zupełnie zlachmaniłam. Również o Pandzie nigdy nie myślałam w kategoriach męskich czy żeńskich. Po prostu jako o pandzie.

Mając siedem lat, zobaczyłam w sklepie z antykami Penny. Połączyła nas najbardziej zakazana historia miłosna wszech czasów. Zakochałam się w niej od razu i do szaleństwa. Podczas gdy mama chodziła po sklepie, ja przykleiłam się do tej małej pandy o twardej główce pełnej słomy oraz smutnych, świdrujących oczach. A gdy mama odmówiła kupna Penny, ponieważ ta kosztowała czterdzieści dolarów, pękło mi serce. Na szczęście dwa tygodnie później przeżyłam niespodziankę – znów zobaczyłam swoją ukochaną, dzięki mamie, która przywiozła ją do naszego domu. Na widok zwierzaka krzyknęłam głośno: „Penny!”. Mama była pod wrażeniem, że nadałam stworkowi imię, zanim jeszcze stał się moją własnością. Kiedyś Penny zniknęła mi z oczu na cały rok: sądziłam, że ją zgubiłam, a ona tymczasem siedziała sobie w domu tej całej Rachel. Podobno Rachel myślała, że podarowałam jej Penny, na co wyjaśniłam, że chyba ją

pogięło, bo przecież nigdy bym się nie rozstała z kimś tak mi drogim. Drugie pojawienie się Penny było szczególnie urocze. Wydaje mi się, że jest dziewczyną, ale to jej nie definiuje do końca. To przecież wojownicza.

Ozdobę mojej kolekcji stanowi dama przedstawiona na fotografii na końcu niniejszego rozdziału: Pokey. Pokey należała do mamy, gdy ta była jeszcze małą dziewczynką, więc słyszałam o niej od urodzenia. Potrafiła wystraszyć każdego chłopaka, którego przyprowadzałam, i była w tym niezawodna. W dzieciństwie koleżanki zapraszały mnie do siebie na noc, ale tylko pod warunkiem, że obiecuję zostawić Pokey w domu. Przezywano ją „narzeczoną laleczki Chucky” albo „koszmarkiem”, lecz dla mnie wcale taka nie była. Kochałam ją. Do dzisiaj, gdy potrzebuję pociechy, Pokey obejmuje mnie rączkami za szyję, jak w czasach wczesnego dzieciństwa. Nie jestem pewna jej płci, wiem tylko, że wylałam na nią tyle łez, aż zmieniła barwę. Przeprowadziła mnie – przeprowadził, przeprowadziło? – przez wiele trudnych chwil. Ciało Pokey wypełnia taka sama zbita słoma, jaka znajduje się w głowie Penny. Pewnego razu wybrałyśmy się do lalkowego lekarza i mimo wielkiej niepewności co do płci Pokey poprosiłam, aby uszyto jej różowe okrycie wierzchnie z białą koronką (była to nie lada wyprawa). Swoją drogą nigdy nie przykładałam większej wagi do tego, jakiej ktoś jest płci. Mieliśmy, a właściwie nadal mamy kota o imieniu Penelopa, który mieszka z moją mamą, ale jest już właściwie obiema łapami w grobie. Nazwałam go Penelopą, zanim się dowiedziałam, że to chłopak. Jednak do zmiany imienia nie doszło i wciąż mówimy o nim „ona”.

Na przestrzeni lat pojawiała się i znikła wiele innych pacynek. Posiadałam na przykład dwugłowego niedźwiedzia, który pozostał bezimienny. Był prezentem od ekschłopaka, zresztą całkiem fajnym. „Miękki” i „niepokojący” – tymi przymiotnikami opisałabym też siebie. Wciąż mam tego misia. Jest aż nazbyt wspaniały – tak z kolei moja dawna sympatia opisałaby siebie. Zresztą dostawałam od facetów bardzo dużo maskotek. Należę do kobiet, które od razu po zerwaniu wymazują wszelkie wspomnienia o swoich eks. Jak bohaterka filmu *Zakochany bez pamięci*, usuwam ich ze swojego życia. Kasuję fotki z telefonu komórkowego i wyrzucam prezenty. Zachowuję wprawdzie zdjęcia na papierze, ale trzymam je w pudełku w szafie.

Ten sam eks, który podarował mi dwugłowego niedźwiedzia, przyniósł mi na walentynki ogromnego – ale naprawdę ogromnego – goryla. Nazywaliśmy go Carlos. Proszę nie doszukiwać się w tym jakichś rasistowskich podtekstów. Po prostu podoba mi się to imię. Facet często sprawiał mi prezenty wielkogabarytowe, niekiedy celowo. A przecież moje mieszkanko było maleńkie, te giganty się w nim nie mieściły. Pewnego razu przyniósł mi roślinę rozmiarów drzewa, która zmieniła moje lokum w taką dżunglę, że Jane Goodall by nią nie pogardziła. Musiałam wytaszczyć drzewko na podwórko za domem; w Nowym Jorku takie podwórka sprowadzają się do wąskiej, budzącej grozę alejki, w której dokazują szczury, pożerając wszystko, co człowiek tam przechowuje – w moim wypadku deski surfingowe.

Ostatnią pacynką otrzymaną od chłopaka był pewien mały konik. Gdy moja dwuletnia bratanica go zobaczyła, nadała mu imię „Neigh”, bo właśnie taki odgłos wydają konie – informuję tych, którzy wychowali się w mieście. Mała chodzi z nim spać, a ja

wprawiam się w cierpliwym czekaniu, aż go kiedyś wypuści z rąk. Na razie jednak oboje wydają się mocno ze sobą związani. Mam nadzieję, że kiedy bratanica dorośnie, nie będzie tak samo traktować facetów. Albo lasek. A może w ogóle nie przyjmie żeńskiej tożsamości płciowej. Cokolwiek by zrobiła, będzie dobrze. Albo zrobił. Cholera, przestańcie na mnie wrzeszczeć, trudno się wtedy pisze.

Wiem, że dopiero zaczęliście czytać tę książkę i powoli mnie poznajecie. Zapewne macie wątpliwości, czy naprawdę kochałam swoje pacynki. Sądźcie, że to, co napisałam, to tylko wybryk mojej fantazji na temat tych dziwacznych, aczkolwiek zabawnych stworków. Jednakże moja miłość do pacynek jest w stu procentach autentyczna. Dokąd zaprowadzi mnie ta obsesja? Na pewno nie na jakiś ohydny nowojorski śmietnik. Kiedyś kazałam swojemu chłopakowi wyciągać stamtąd ukochane maskotki, po tym, jak ludzie od przeprowadzek popełnili potworny błąd i wszystkie wyrzucili do kontenera. (Żeby oddać tym facetom sprawiedliwość, powiem, że Pokey faktycznie wygląda jak mieszkanka jakiegoś miasteczka rodem z horroru i zupełnie nie pasuje do sypialni dobrze wychowanej panienki). Pewnie chcielibyście teraz spytać: „Amy, czy zleciłaś życiowemu partnerowi Tildy Swinton, Sandro, namalowanie portretu swoich maskotek, aby upamiętnić je na wieki wieków?”. Nie, to już byłaby przesada – nie, czekajcie, to znaczy pewnie, kurwa, że TAK, zleciłam.

Są tego warte. To zszyte byle jak kłębki podniszczonego materiału, zbite razem do kupy, ale kocham je bardziej niż większość członków mojej rodziny.



Tata

Kiedy miałam czternaście lat, mój tata zesrał się w wesołym miasteczku.

Wydarzyło się to pewnego pięknego letniego poranka. Ojciec zabrał Kim i mnie do Adventurelandu, którego nazwa mówiła właściwie wszystko: był to park rozrywki oferujący mnóstwo przygód, o ile człowiek nigdy nie był na prawdziwej wyprawie z przygodami ani w prawdziwym parku rozrywki. Cały tydzień marzyłam tylko o tej wycieczce oraz o dwóch najfajniejszych atrakcjach: statku piratów oraz ogromnej huśtawce. Prawdę mówiąc, obie należały do skromniejszych urządzeń w tym miejscu, jednak we mnie budziły autentyczny dreszcz emocji. Lubiłam tę jazdę, która dawała poczucie nieważkości, ten prąd spływający od brzucha wprost do waginy, kiedy całe ustrojstwo gwałtownie opadało. Jednak nigdy wcześniej nie korzystałam z karuzeli, która oferuje podróż do góry nogami i okręcanie się wokół własnej osi aż do wyrzucania. Później zresztą też nie. Powiecie pewnie, że mam ogólnie niski próg tolerancji lękowej.

Gdy byłam dzieckiem, obejrzałam film *Trop*, który przeraził mnie bardziej, niż można sobie wyobrazić. Sypiałam wtedy z poduszką zakrywającą kark, ponieważ jeden z bohaterów ginie tam od ciosu wielkim kuchennym nożem w plecy. *Ze mną tak nie będzie. Spróbuj tylko przebić tę poduszkę*, myślałam. Jak gdyby morderca miał zamiar przeniknąć nocą do mojego pokoju, aby mnie zadźgać od tyłu, lecz na widok poduszki natychmiast zarzuciłby swoje plany. Podobną taktykę zastosowałam po przeczytaniu samego opisu filmu *Misery* (którego zresztą nie oglądałam). Spałam z poduszkami na nogach, w razie gdyby Kathy Bates miała ochotę wybrać się nocą na Long Island, wdrzeć do naszego domu i połamać mi kończyny podbijakiem. Może właśnie dlatego zawsze kładłam się spać (i nadal to robię) z moimi straszliwymi pacynkami rodem z horroru. Dla ochrony.

Powiem wam, że byłam kiedyś ogromnym strachajłą. W czwartej klasie odbyłam nawet rozmowę ze szkolnym psychologiem na temat wszystkiego, co wzbudza we mnie lęk. Przy czym nie stało się tak z inicjatywy zaniepokojonej nauczycielki: to ja sama poprosiłam o to spotkanie. Okazałam się chyba jedyną dziewięciolatką w dziejach, która domagała się godziny u psychoanalityka. Po sesji facet przekazał mamie listę wszystkich moich fobii. Obejmowała ona trzęsienie ziemi tudzież tasiemce, które raczej nie występowały tam, gdzie mieszkaliśmy, ale mój brat uczył się o nich w szkole i nie mógł sobie darować, by mnie porządnie nie nastraszyć. Otóż przekonał mnie, że jestem łatwym celem dla tych pasożytów i że na sto procent zeżrą mnie od środka żywcem. Jednakże na pierwszym miejscu wspomnianej listy (nigdy tego nie zapomnę) figurowała bardzo konkretna obawa, że mogę się przypadkiem zamienić w masło. U podłoża tego lęku leżała upiorna i bardzo stara książeczka dla dzieci pod tytułem *Little Black Sambo*. Była to jedna z tych opowiadań ze znacznie mniej skomplikowanych, a jednocześnie bardziej rasistowskich zamierzonych epok, kiedy przerażające i obraźliwe bajki pisano po to, aby ułatwić dzieciom zasypianie. Dawniej niezwykle popularna, dziś słusznie zakazana i wycofana z obiegu. Mama trzymała w domu jeden egzemplarz, walający się tu i tam. Bajka opowiada o chłopcu, który wybiera się na poszukiwanie przygód, ostatecznie jednak musi uciekać przed tygrysami. Tygrysy kręcą się wokół drzewa z taką szybkością,

że w końcu zmieniają się w kałużę masła, które chłopiec zabiera potem do domu, dla swojej mamy, aby wykorzystała je do zrobienia naleśników. No wiadomo, jasna sprawa. W każdym razie po lekturze zawsze zdejmował mnie lęk, że ja również zmienię się w lepkie masło, co teraz nie brzmi już tak koszmarnie. Raczej kojarzy mi się z odpowiedzią na pytanie: Jak chciałabyś spędzić swoje ostatnie dwadzieścia cztery godziny na tym świecie?

No dobra, wróćmy do meritum: tamtego ranka, kiedy tata miał nas zabrać do Adventurelandu, ubrałam się w dżinsowe szorty sięgające tuż nad kolana (niesamowicie twarzowo) oraz koszulkę z długim rękawem z wizerunkiem Diabła Tasmańskiego, żeby ludzie wiedzieli, z kim mają do czynienia. Koszulkę należało związać z boku w węzeł, ponieważ były to wczesne lata dziewięćdziesiąte i tak się wtedy zadawało szyku.

Tata dość często zabierał rodzinę w różne miejsca w poszukiwaniu rozrywek, ale ponieważ rodzice niedawno się rozeszli, zaczęłyśmy jeździć już tylko z nim. W ten sposób my miałyśmy trochę radochy, a on mógł poczuć się jak rodzic. Odebrał nas swoim małym, czerwonym kabrioletem około dziesiątej rano (nawet gdy stracił wszystkie pieniądze, nie wyrzekł się kabrioletu). Ja usiadłam z przodu, gdyż tutaj znacznie mniej wiało. Kim dała się przekonać, że z tyłu będzie jej wygodniej. Jazda na miejsce trwała jakieś czterdzieści minut, lecz mnie się wydawało, że ze czterysta. Tak bardzo nie mogłam się już doczekać kilkunastu różnych kolejek, karuzel, kwaśnych żelków Sour Powers w nieograniczonych ilościach oraz automatów do gier, które na mnie czekały!

Przy tacie czułam się zawsze ogromnie kochana. Dawał nam wszystko, co mógł, ale pamiętam, że w dzieciństwie nie bardzo wiedziałam, kim naprawdę jest. Nie był lubiącym golfa i piwo człowiekiem rodzinnym, takim, jakich widywałam w telewizji albo w domach moich koleżanek, zwłaszcza w kuchni. Nie dawał się łatwo zdefiniować – ani łatwo zrozumieć. W latach siedemdziesiątych mieszkał w Nowym Jorku jako młody i zamożny kawaler do wzięcia. Zresztą samo to miasto przeżywało wówczas swój najlepszy okres. Tata zajmował luksusowy apartament razem ze swoim najlepszym przyjacielem, znanym ówczesnym aktorem. Brał narkotyki, sypiał z dziewczynami i cieszył się każdą mijającą chwilą. Gdy poznał moją mamę, pożegnał się z dotychczasowym stylem życia. Chyba.

Przez całe moje dzieciństwo trzymał formę – był opalony i zawsze dobrze ubrany. Prowadził biznes na skalę międzynarodową, często podróżował do Francji, Włoch czy Pragi. Zawsze wiedziałam, że wrócił do domu, zanim jeszcze go usłyszałam albo zobaczyłam, ponieważ pachniał wspaniale i mocno. Wyczuwałam wtedy mieszaninę zapachów drogiej, europejskiej wody kolońskiej, delikatnej woni papierosów oraz czegoś jeszcze, czego nie umiałam określić, dziś zaś wiem, że to był alkohol.

Nie miałam pojęcia, że tata ostro popija. Nigdy nie widziałam go nawet lekko wstawionego, nie przyszłoby mi to do głowy. Jeśli ktoś nie wie, jakie są oznaki, nie może ich dostrzec. Pamiętam, że gdy kiedyś wróciłam do domu ze szkoły, znalazłam go nieprzytomnego i nagiego na podłodze, ale nie dodałam dwu do dwóch. Innym razem przeproszał mnie za to, że nie przyszedł na mecz siatkówki, na którym przecież był. Pomyślałam sobie tylko: *Och, zapominalski tata!* Wiedziałam, że zalatywał whisky, zupełnie mi to jednak nie przeszkadzało. (Do dzisiaj, kiedy mój partner jest pijany albo

na kacu, jego zapach przypomina mi tatę. Wtedy tulię faceta mocno. On zaś, słysząc, dlaczego to robię, śmieje się i sądzi, że się wygłupiam).

Dopiero po latach zrozumiałam, że ojciec ma poważny problem alkoholowy. Kilka razy jeździł na odwyk, jeszcze gdy byliśmy dziećmi. Muszę mu oddać, że w swym uzależnieniu potrafił być bardzo sprytny. Pił wyłącznie podczas podróży lub kiedy spaliśmy, czyli... cały czas, każdej nocy. Smykałkę do picia odebrało mu tylko jedno – stwardnienie rozsiane.

Chorobę taty zdiagnozowano, gdy miałam około dziesięciu lat. Ojca zabrano do szpitala, ponieważ problem objawił się nagle, uderzył w niego jak fala przyływu. Zaczęło się od mrowienia w stopach i palcach rąk, które przerodziło się w całkowite drętwienie i ból nóg. Kiedy tata wyszedł wreszcie ze szpitala, zdawało się, że powrócił do normalnej kondycji. Nie myślałam więcej o jego chorobie, nikt o niej nie wspominał. Kochałam tatę, lecz jak każda zajęta sobą nastolatka nie brałam pod uwagę faktu, że jest śmiertelny. Choć widziałam go w szpitalnym łóżku, cierpiącego i powalonego bólem, nadal uważałam ojca za niezwyciężonego. Tamtego ranka, w drodze do Adventurelandu, miałam w głowie wyłącznie szaleństwa na pirackim statku i nie mogę powiedzieć, żebym specjalnie martwiła się jego zdrowiem.

Po dotarciu na miejsce natychmiast pobiegłyśmy w stronę wielkiej karuzeli i ustawiliśmy się w kolejce. Było dość chłodno, a ludzi niewielu, co oznaczało, że możemy sobie pozwolić na dwie, a nawet trzy rundki, zanim przejdziemy do kolejnych atrakcji. Karuzelę uwielbiałam, ponieważ pozwalała mi udawać kogoś nieustraszonego. Wielokrotnie okręcałam się z krzeselkiem wokół własnej osi, zanim jeszcze wystrzelaliśmy w górę, co potem wzmagало efekt szaleńczego szybowania po niebie.

Zaraz po karuzeli chciałam jak najszybciej dorwać się do statku piratów, jednak Kim wołała wielki i budzący grozę rollercoaster. Ponieważ miałyśmy do dyspozycji cały dzień, zgodziłam się, chociaż rollercoastery sprawiają mi zerową przyjemność. Szarpie to to człowiekiem, zmusza do wrzasku, a czasem każe zaglądać śmierci w oczy – o nie, to nie dla mnie, ani wtedy, ani teraz. Nie cierpiałam, jak wózek wlecze się pod górkę niemilosiernie wolno, żeby potem nagle zlecieć z harmidrem przy akompaniamencie krzyków wszystkich osób, które już żałują, że się tutaj znalazły. Ale Kim bardzo to lubiła. A ja lubiłam Kim. A ponieważ byłam jej starszą siostrą i chciałam, aby uważała mnie za osobę odważną, udałam, że to nic takiego. Ustawiliśmy się w kolejce.

Szczerze mówiąc, pragnęłam również zaimponować tacie. Wiedział, że jestem straszliwym cykorem. Liczyłam zatem, że zauważy moją odwagę i powie coś w stylu: „Hej, Amy... Świetnie, że poszłaś na tę kolejkę górską. Fajna sprawa”. Ojciec uwielbiał sporty ekstremalne, na przykład skoki ze spadochronem. Spróbowałam ich, kiedy byłam już trochę starsza, także po to, aby zrobić na nim wrażenie, mimo że każda sekunda opadania napawała mnie odrazą. Staliśmy więc w długiej kolejce, która moim zdaniem posuwała się do przodu zbyt szybko. Zgarbiłam się, w nadziei, że będę za niska, poniżej kryterium wzrostu umożliwiającego przejażdżkę. Ale niestety. Zaczęłam zatem budzić w sobie wiarę w to, że gdy dojdziemy do bramki, rollercoaster zostanie wyłączony albo zamkną całe miasteczko ze względu na poszukiwania jakiegoś zaginionego dziecka. Wśród tysięcy dzieciaków chociaż jedno nie mogłoby się teraz zgubić? Szkoda. Wreszcie

przyszła kolej na nas.

– Chcecie usiąść w pierwszym wagoniku? – zapytał sześciolatek (na oko) młodziak, który pracował jako operator kolejki.

– TAK! – wrzasnęła Kim.

Spojrzałam na tatę, który uniósł do góry kciuki. Gest ten wydał mi się nieomal sarkastyczny.

– No – potwierdziłam, chociaż Kim zdążyła już wskoczyć do wagonika na przedzie.

– Będę patrzył, dziewczynki! – krzyknął tata z entuzjazmem.

Pomachałyśmy mu. Wózki zaczęły się wolno wspinać na Górę Samobójców, czy jak tam się ta kolejka nazywała.

Z następnych dwóch minut zapamiętałam niewiele. Wreszcie wagonik się zatrzymał i mogłam otworzyć oczy. Jedyne, co można tu było uznać za plus, to fakt, że w sensie fizycznym nie ucierpiałam. Poza tym rollercoaster dawał świetną okazję do ćwiczenia się w separowaniu od innych – w czym, jako nastolatki, doszliśmy z bratem i siostrą do perfekcji. Wyszliśmy z wagoników, Kim pełna emocji i ekscytacji. To były najwspanialsze chwile w jej życiu.

Nie mogę się wypowiadać za innych szaleńców biorących w tym udział, ale dla mnie tamta przejażdżka okazała się traumatycznym doświadczeniem. Schodząc po trapie, miałam poczucie, że u jego podstawy powinien czekać na mnie prezydent Stanów Zjednoczonych z medalem za odwagę. Medalu jednak nie było. Był tata, który się do nas uśmiechał.

– Nie ma kolejki! – wykrzyknęła Kim. – Chodźmy jeszcze raz!

No więc poszłyśmy. I jeszcze raz, i znowu, i jeszcze. Za każdym razem tata wołał do nas wesoło z ziemi. Przypuszczam, że jechałyśmy tym ustrojstwem pięciokrotnie, nim zatrzymałyśmy się na chwilę i zobaczyłyśmy, że ojca nie było.

– Gdzie tata? – spytała Kim.

– Pewnie poszedł kupić nam cukierki czy coś – odpowiedziałam.

Tak sobie czekając, przejechałyśmy się rollercoasterem jeszcze raz. I jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze jeden. Po dwunastym razie poczułam, że jestem już absolutnie gotowa udać się na statek piratów, który przecież był dla mnie główną atrakcją lunaparku. Kim aż się paliła, aby znów wsiąść do wagonika, lecz musiałam ją powstrzymać. Uznałam, że fajnie byłoby zrobić sobie przerwę, bo przecież kiedyś chcę mieć własne dzieci. Poza tym byłam pewna, że tata zaraz po nas przyjdzie, jak już skończy... Ale co on właściwie robił?

Wtedy nie zdawałam sobie jeszcze sprawy, jak zabawnym człowiekiem jest mój ojciec. Większość z tego, co mówił i robił, po prostu przelatywało mi koło uszu – zresztą, jeśli już o tym mowa, nie tylko mnie, bo dotyczyło to wszystkich innych ludzi. Jego poczucie humoru odznaczało się taką dawką sarkazmu, że niektórzy dopiero po paru dniach uświadamiali sobie, że zostali obrażeni. Tata często rzucał pod nosem celne, ironiczne uwagi, czy to podczas rozmowy z kelnerami, z bankierami, czy też z moją mamą – i nikt ich nie słyszał, tylko ja. Gdy raz babcia, zwracając się do taty, powiedziała: „Jeśli umrę...”, on szelmowsko poprawił ją na: „Kiedy umrę...”. Nawet wobec nas, dzieci, tata pozwalał sobie na mroczne żarciki. Pamiętam, jak raz weszłam do kuchni, a wtedy on zaczął udawać, że przyłapałam go właśnie na niecnej czynności wsadzania

naszego psa, Muffina, do kuchenki mikrofalowej. Zawsze odnosiło się dziwne wrażenie, że ojca niczym nie da się ani zirytować, ani zaskoczyć.

Tamtego dnia, siedząc z Kim na ławce w lunaparku, zobaczyłam nowe oblicze taty. Czekaliśmy bez końca. Zaplatałam siostrze głupie warkoczyki na głowie, każąc dać sobie sygnał ręką, gdyby ojciec w końcu się pojawił. I się pojawił. Podeszedł do nas, a ja w pierwszej chwili zwróciłam uwagę tylko na jego minę, spanikowaną i przegraną zarazem. Dopiero potem zauważyłam, że nie ma na sobie spodni.

Kim najwidoczniej nie była tego świadoma, ponieważ natychmiast zapytała:

– Kupimy sobie karmelki?!

– Pewnie – odpowiedział tata.

Popatrzyliśmy po sobie. Nie byłam zdolna wydobyć słowa. Jego T-shirt, mokry w okolicach pasa, na szczęście zakrywał bieliznę. Portki zniknęły.

– Musimy iść, Aim – zwrócił się do mnie bardzo spokojnym tonem.

Chciałam zadać mu jakieś rzeczowe pytanie, na przykład: „Gdzie są twoje spodnie, tato?”, ale on spojrzał mi głęboko w oczy, komunikując, bym lepiej milczała. Poszłam więc na stoisko imitujące wiejski sklepik i kupiłam Kim karmelki. Potem wszyscy żwawo pobiegliśmy do samochodu. Nie sprawdzałam, czy ktoś się na nas gapi. Obserwowałam wyłącznie dziesięcioletnią wówczas Kim, całkowicie pochłoniętą każdym kawałkiem swojego smakołyku. *Czy ona naprawdę nie zauważyła, że tata jest bez spodni? Wiem, że to miejsce nazywa się Adventureland, Kraina Przygód, ale chyba nie należy do nich widok ponadczterdziestoletnich facetów ubranych à la Kubuś Puchatek po konkursie mokrego podkoszulka.*

Byliśmy już bardzo blisko auta, kiedy powiał nieco silniejszy wiatr i przyniósł w moją stronę pewną woń. Zapach gówna. Ludzkiego gówna.

I wtedy zrozumiałam. Tata zesrał się w gacie. No dobra. Natychmiast wykorzystałam nadarżającą się okazję, żeby przedstawić się jako bezinteresowna, wspaniałomyślna siostra.

– Teraz ty możesz usiąść z przodu, Kimmy! – powiedziałam pospiesznie.

– Naprawdę?! – ucieszyła się. Możliwość skorzystania z tego przywileju wywołała w Kim taką ekscytację, że serce się krajało. Karmelki w parku rozrywki PLUS miejsce obok kierowcy? Po prostu nie wierzyła w swoje szczęście. Nie wiedziała tylko, że za chwilę karmelki przestaną jej smakować raz na zawsze.

Wsiedliśmy do samochodu, ja na tylną kanapę, Kim z przodu, koło taty. Gdy ojciec zwinął dach, zerknęłam w boczne lusterko i zobaczyłam, jak nozdrza Kim się rozszerzają. Siostra wyczuła smród. Tak zaczęła się najbardziej milcząca podróż w całym moim życiu. Kim trzymała karmelki na kolanach i z wolna, po troszeczkę, odsuwała głowę w stronę przeciwną do tej, po której siedział tata. Dach był całkowicie odsunięty, ale ona i tak musiała odwracać swoją główkę na bok. Wyglądała jak milczący golden retriever. Wreszcie ojciec podjechał pod nasz dom i mogliśmy wysiąść.

Fakt, że Kim nie odezwała się jednym słowem, zrobił na mnie wielkie wrażenie. *Jaka dobra dziewczyna*, pomyślałam. Pocałowała tatę w policzek, podziękowała mu, a następnie wbiegła do domu; jej twarz miała dokładnie taki odcień, jakim mógł się pochwalić Kermit. Ja również wyskoczyłam z wozu, wstrzymałam oddech i ucałowałam

ojca. Zaczęłam już iść po podjeździe, kiedy zawołał za mną.

– Aim!

Odwróciłam się:

– Tak?

Zaczerpnął powietrza i powiedział:

– Proszę, nie mów mamie.

Kiwnęłam głową.

Nic nie zasmuciło mnie w życiu bardziej niż uświadomienie sobie, że moi rodzice są tylko ludźmi. Smutnymi, na wskroś ludzkimi ludźmi. W tamtej chwili postarzałam się o dziesięć lat.

Za drugim razem tata zesrał się już w mojej obecności. Nie było rollercoastera, który by mnie przed tym uchronił. Stało się to dokładnie przede mną, na moich oczach. A właściwie nieco z boku.

Rzecz miała miejsce cztery lata później. Było lato, niedługo miałam zacząć studia w college'u. Wybierałam się właśnie samolotem do Montany, żeby spędzić dwa tygodnie ze swoim starszym bratem, Jasonem. Otaczałam Jasona czcią i stale zabiegałam o jego towarzystwo. Jest starszy ode mnie o prawie cztery lata i uważałam wtedy, że powinien być zyskać tytuł najbardziej intrygującego człowieka roku czasopisma „People”. Właściwie każdego roku, nie tylko jednego. Jako nastolatek przejawiał wyjątkowy talent do koszykówki, lecz niespodziewanie rzucił liceum, nie chciał bowiem żyć po to, by spełniać oczekiwania innych osób. Ciekawiły go takie sprawy jak czas i przestrzeń; na serio rozważał, czyby nie zamieszkać w jaskini i nie prowadzić nocnego trybu życia. Został profesjonalnym muzykiem, nikomu nie mówiąc o tym ani słowa. Ostatni rok szkoły zarzucił; wolał zebrać punkty niezbędne do uzyskania świadectwa maturalnego, podróżując po całym kraju i pisząc na ten temat sprawozdania – w jakiś sposób zdołał przekonać dyrektora naszego liceum i mamę, że to świetny pomysł. Wiem, że moje słowa mogą się kojarzyć z reklamą Dos Equis, która gloryfikuje ekscentrycznego, starszawego faceta z brodą, ale chodzi mi tylko o to, że od urodzenia miałam bzika na punkcie Jasona i zawsze pragnęłam być częścią jego niezwykłego życia, jakkolwiekby je prowadził. Dlatego wykorzystywałam każdą okazję, aby z nim pobyc.

W tamtym okresie tata przechodził przez ostrą fazę okazywania, że jest moim ojcem i że robi wszystko to, co do ojca należy. Zaproponował mi podwózkę na lotnisko. U mężczyzn ze stwardnieniem ojcostwo polega już tylko na grze w bingo albo zawożeniu dziecka w różne miejsca. Było wczesne popołudnie, kiedy po mnie przyjechał. Ruszyliśmy w kierunku portu lotniczego JFK.

Gdy tam dotarliśmy, wyciągnęłam z bagażnika swoją gigantyczną walizkę i bez niczyjej pomocy zaczęłam torować sobie drogę do drzwi wejściowych. W oczach postronnych obserwatorów musiało to dość dziwnie wyglądać: postawny mężczyzna tylko się przygląda, jak jego osiemnastoletnia córka sama podnosi i taszczy walizę. Nie wiedzieli jednak, iż mężczyzna ten jest chory. Nie znałam dobrze objawów jego dolegliwości, rozumiałam tylko, że pozbawia człowieka sił i że nawet jeśli tata wygląda

normalnie, to przeszywa go silny ból, uniemożliwiając wykonywanie najdrobniejszych czynności fizycznych, tych samych, które dawniej nie sprawiały mu najmniejszych trudności.

Ojciec towarzyszył mi, kiedy manewrowałam bagażami po hali odlotów i podczas odprawy biletowej. Wyglądało, że wszystko jest w porządku. Działo się to jeszcze przed jedenastym wrześniem, więc mógł odprowadzić mnie do samolotu, czego bardzo chciał. Ciągłe powtarzał: „Potowarzyszę ci do samego końca”. Myślę, że to musiało być dla niego bardzo ważne, bo wcześniej nigdy nie robił dla mnie takich rzeczy. Tym zajmowała się raczej mama. Jednak cieszyłam się z jego obecności: wprawdzie wtedy lista moich lęków znacznie się już skurczyła, ale wciąż potwornie bałam się latać.

Przeszliśmy przez kontrolę bezpieczeństwa, nie zdejmując butów – stare, dobre czasy! – i ruszyliśmy długim korytarzem w kierunku mojej bramki. W terminalu trwały zakrojone na szeroką skalę prace remontowe, więc musieliśmy mieć się na baczności. Pozostało nam jeszcze sporo do przejścia, gdy nagle tata skręcił ostro w prawo i przytulił się do ściany holu. Zatrzymałam się i odwróciłam, chcąc zobaczyć, co też on wyczynia. Rzucił mi spanikowane spojrzenie, zsunął spodnie, po czym przez około pół minuty srał pod siebie. Nawiasem mówiąc, pół minuty to cała wieczność, kiedy patrzy się na własnego ojca, któremu wytryska z dupy jak z wulkanu. Spróbujcie to sobie przez chwilę wyobrazić. Taka mała Missisipi. Na przykład.

Ludzie mijali nas szybko, przerażeni. Jakaś kobieta zasłoniła swojemu dziecku oczy. Niektórzy się gapiłi. Wrzasnęłam do przechodzącej laski: „NO CO?! Idź dalej!”.

Kiedy tata skończył, wyprostował się i zapytał:

– Aim, masz w bagażu jakieś szorty?

Otworzyłam walizę i wyjęłam z niej spodenki do lacrosse’a. Podałam je tacie, myśląc: *Cholera, to moje ulubione*. On tymczasem wrzucił swoje spodnie do kosza na śmieci, a następnie włożył szorty. Ruszyłam ku niemu, aby się pożegnać, a właściwie – aby pożegnać górną część jego ciała. Nie płakałam, nie śmiałam się, tylko się uśmiechnęłam i powiedziałam:

– Kocham się, tato. Nie powiem mamie.

Odchodząc od miejsca zdarzenia, usłyszałam jego głos:

– Mówiłem, że odprowadzę cię do bramy!

Odwróciłam się, chcąc sprawdzić, czy żartuje. Nie żartował. Ruszyliśmy w kierunku bramek. Oddychałam przez usta i rzucałam nieprzyjemne spojrzenia każdemu, kto ośmielił się na ojca gapić. Gdy wreszcie dotarliśmy do absolutnie ostatniej bramki w tym cholernym terminalu, na samym końcu bardzo długiego korytarza, pocałował mnie na pożegnanie i odszedł.

Normalnie kiedy wsiadam do samolotu, zaczynam się od razu martwić, jak okropny będzie start. Staram się wymyślić sposób na zignorowanie ogarniającego mnie lęku. Jednak tamtego dnia siedziałam na pokładzie z pustką w głowie, nie mogąc się skupić na żadnej myśli. To byłoby zbyt bolesne. Dlatego w ogóle nie myślałam o swoim nieustraszonemu ojcu, którego trapiła tajemnicza, dziwna choroba. Ojcu, który kiedyś przelatywał przez to lotnisko w obłoku drogiej wody kolońskiej, z ekstrawaganckim zegarkiem na ręce, a który teraz zmienił się w anonimowego, bezradnego faceta,

niepanującego nad swoimi jelitami, i to na oczach własnej córki. Nigdy nie wykrzywił się z bólu, nie pozwalał, bym widziała go zlanego potem. To znaczy – bardzo często zalewał się potem. W sensie fizycznym stwardnienie rozsiane przejęło nad ojcem pełną władzę, jednak w środku pozostawał tym samym dzielnym, trochę bezczelnym człowiekiem. Tylko że wtedy o tym wszystkim nie myślałam. Po prostu pięć godzin gapiałam się w okno, całkiem otępiała, aż w końcu wysiadłam z samolotu w Montanie i tuliłam się do brata tak długo, że musiał zaprotestować.

Próbowałam opowiadać o tych dwóch posranych incydentach na scenie. Jest w nich tyle zatrważających momentów, że aż mnie to bawi – bawi dlatego, że to jedyny sposób, by sobie z tym wszystkim poradzić. Wspomnienie Kim, która wystawia głowę poza obrys samochodu, albo to, jak stoję obok pozbawionego spodni ojca i wózka, który woził pasażerów po terenie całego Adventurelandu... Śmieję się z najsmutniejszych chwil w życiu, zwłaszcza wtedy, gdy są okropne, ponieważ bywają jednocześnie komiczne. To wszystko, co możemy zrobić, kiedy coś sprawia nam ból. Właśnie taki jest mój tata. Zawsze obśmiewał sprawy, które inni ludzie uważali za zbyt mroczne i poważne, aby się z nich natrzęsać. Nawet obecnie, gdy jego pamięć i funkcje psychiczne zostały mocno nadwerężone przez chorobę, wystarczy mu powiedzieć, że jego umysł zmienił się w wielką jajecznicę, a natychmiast wybuchnie histerycznym śmiechem i zawoła: „To prawda, to prawda!”.

Mój tata nigdy, przenigdy nie użalał się nad sobą. W żaden sposób. Nie boi się spojrzeć w oczy ponurym faktom dotyczącym własnego życia. Mam nadzieję, że odziedziczyłam po nim tę cechę. Tylko raz widziałam, jak płacze z powodu choroby, zresztą całkiem niedawno – kiedy się dowiedział, że będzie leczony komórkami macierzystymi, co sprawi, że poczuje się o wiele lepiej, a może nawet znów będzie chodził. Tamtego dnia łkał jak małe dziecko. Jednak wcześniej – nigdy.

Mam cudowne wspomnienia z lat dzieciństwa, z chwil, które spędzałam z nim na plaży. Byliśmy wielkimi amatorami plażowania, tata uwielbiał słońce. Nawet w styczniu, w pogodny dzień, nacierał się oliwką dla niemowląt i siadał w fotelu ogrodowym. Chodził opalony przez okrągły rok. Latem z samego rana bieглиśmy nad ocean i wracaliśmy dopiero po zachodzie słońca. Wspólnie pływaliliśmy na falach przyboju; to było coś, co łączyło tylko nas dwoje. Ogromnie pragnęłam, żeby fala wyniosła mnie dalej od niego, nigdy tak się jednak nie stało. Czasem nawet oszukiwałam, wstając i podbiegając trochę do przodu – ale nie, on zawsze wygrywał.

Największą radość dzieciństwa, jak pamiętam, wywoływały we mnie sztormy i nadejścia wielkich fal. Inni ludzie bali się takich chwil i trzymali z dala od wody, lecz nie my. Nawet wówczas, gdy ocean wpadał w gniew i rozstawiał nas po kątach. Podnosiliśmy się na nogi, szliśmy w morze na odległość połowy boiska futbolowego, po czym woda zmywała nas z powrotem na brzeg. Pływaliliśmy wbrew sile przyboju, starając się łapać najlepsze danego dnia fale. Nic nie mogło nas powstrzymać – ani deszcz, ani krzyki mamy, kompletnie nic. Nadal widzę tatę młodego, zdrowego i silnego, o brązowej skórze, z mokrą, czarną czupryną. Dziwne, ale wcale się nie bałam. Może dlatego, że on był przy mnie? Obok niego czułam się niezwyciężona.



Fragmety pamiętnika z roku 1994
(pisanego w wieku trzynastu lat)
wraz z przypisami z 2016

Postanowiłam zacząć pisać pamiętnik, ponieważ niektórych rzeczy po prostu nie wypada mówić na głos[1]. Mam trzynaście lat i kilka problemów. Mój brat, Jason, jest w ostatniej klasie liceum. To mój brat przyrodni, to znaczy z tej samej mamy. Jego ojciec umarł, kiedy Jason miał jedenaście lat. A gdy skończył dwa latka, mama wyszła za mojego tatę. Tata raczej nie polubił mojego braciszka, a właściwie to nawet nie chciał, żeby Jason wszedł do naszej rodziny[2]. Nie zauważyłam tego wcześniej, ale tata ani razu nie wybrał się z nami na „wycieczkę rodzinną”[3]. Niedawno mama zwróciła mi na to uwagę. Powiedziała, że stara się, aby wszyscy byli szczęśliwi, dlatego tata jeździ jednym samochodem, natomiast ja, mój brat, siostra i ona sama – drugim[4].

Dla Jasona jego rodzony ojciec był kimś ogromnie ważnym. Mama poinformowała mnie, że kiedy ten pan umarł, nasz tata nie zrobił nic, aby zastąpić Jasonowi ojca, stać się dla niego dobrym ojczymem[5]. Byli dla siebie jak dwaj dalecy znajomi. Dlatego moja mama wychowała Jasona prawie sama, bez żadnej pomocy mojego ojca. Cieszę się, że mi to wszystko powiedziała tak wyraźnie, bo nie miałam o tym pojęcia. Mama pozwoliła, aby Jason odłączył się od naszej rodziny[6], która tak naprawdę rodziną już nie jest.

*Moja siostra, Kim, ma dziewięć lat i chodzi do czwartej klasy. Kim jest bardzo dojrzała jak na swój wiek. Wydaje mi się, że to dlatego, że ja nie pozwalałam jej zachowywać się tak jak inne dziewięciolatki. Ma w swojej klasie kilka dziewczynek, które są totalnie piii*pii*[7]. Traktują ją jak śmiecia. Na domiar złego Kim jest potwornie wrażliwa, a te dziewczyny robią jej okropne rzeczy. Na przykład któregoś dnia siedziały wszystkie w stolówce, a kiedy Kim się do nich dosiadła, wstały i wyszły. Mama mi o tym opowiedziała. Łzy płynęły mi po policzkach, zanim jeszcze skończyła mówić. Czulałam, że serce mi pęka, tak mi było żal Kim. Więc wskoczyłam na rower, pojechałam prosto do domów tych #\$\$[8] i nawrzeszczałam na nie. Kazałam im dać mojej siostrze spokój ALBO POŻAŁUJĄ[9]!*

Kim zachowuje się czasem jak pozerka[10]. Udaje taką niewinną i delikatną[11], a wtedy ja wściekam się na nią i traktuję ją niesprawiedliwie. Mama powtarza jej, żeby była po prostu sobą, kiedy ktoś w szkole rani jej uczucia. Natomiast ja twierdzę: „Nie, nie ma mowy. Musisz być twarda i nie okazywać im, że cię dotknęli”[12].

Jakieś osiem tygodni temu dowiedziałam się, że rodzice się rozwodzą[13]. Tata bardzo dużo podróżuje, dlatego w sumie nie przygnębiło mnie to jakoś bardzo. Moją siostrę tak. Po pięciu latach małżeństwa mama zrozumiała, że nie kocha mojego tatę i że właściwie nigdy go nie kochała[14]. Jednak została z nim na kolejne pięć lat ze względu na mnie, Jaya i Kim, a także dlatego, że tata zapadł na chorobę, która w nazwie ma na końcu „nienie”[15]. Poza tym przecież wszyscy wiedzą, że mama jest najmilszą osobą na świecie[16]. Mimo to będzie rozwód.

W czwartek idę do psychologa. Nie chcę, ale wiem, że to konieczne[17].

Mam też inny problem: z moimi przyjaciółkami. Lauren, Becky i Kate. Wydaje mi się, że wszystkie jesteśmy najbardziej wysportowanymi, najinteligentniejszymi

i najładniejszymi dziewczynami w naszej klasie[18]. Becky jest trochę niemrawa, ma twarz w kształcie księżycy z delikatnymi piegami oraz proste jak drut włosy do ramion w kolorze brudny blond. Jest wysoka jak ja, tylko trochę szczuplejsza. Uważa się za absolutną piękność, ale chciałaby być jak Lauren. Poza tym to snobka[19]. Jest jeszcze Jen; świetnie gra w piłkę nożną, całkowicie się w to angażuje, ale to idiotka, która zawsze ostatnia łapie, o czym jest akurat mowa. Mierzy sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, ma myszowate włosy i bardzo irlandzki wygląd. Tu chyba wszyscy tak wyglądają[20].

Nie do wiary, że dotąd nie wspomniałam o innym moim najlepszym przyjacielu, Marku. Mark ma włosy sięgające do brody, jest zawsze wyszorowany i czysty. Jest bardzo dobry w piłkę nożną, poza tym świetnie gra na perkusji. Poznaliśmy się w piątej klasie. Podczas ostatnich wakacji Mark założył zespół muzyczny, a ja chciałam zostać w nim wokalistką. Podobało mi się, dopóki grupę tworzyliśmy tylko my dwoje, ale kiedy wszystko zaczęło być na poważnie, wycofałam się. Bardzo się staram, żeby być taka jak Mark[21]. Chyba zbyt się przejmuję tym, co ludzie o mnie myślą. Natomiast Mark wcale. Gdyby nie przyjaźń z nim, nie byłabym nawet w połowie tak szczęśliwa, jak jestem. Jak się nad tym teraz zastanawiam, dochodzę do wniosku, że on chyba jest moim jedynym prawdziwym przyjacielem[22].

A teraz o chłopcach[23]. Jest kilku takich, którzy mi się podobają, ale skupiam uwagę na dwóch. Są to Kevin Williams i Joshua Walsch. Kevin jest nieśmiały, zabawny i w ogóle fajny. Ma potargane, brązowe włosy i ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. A także przepiękne, niebieskie kocie oczy oraz usta jak Joker z komiksów. Powiedziałam mu to kiedyś na biologii, a on uśmiechnął się ironicznie i odpowiedział, że o tym wie. Joshua jest rok ode mnie młodszy, ale uroczy i słodki. Ma czarne włosy i drobniejszą posturę, za to jest silny. Na jego porcelanowej skórze widać mnóstwo piegów. Wygląda tak, jakby właśnie przyплыł statkiem z Irlandii[24].

Zauważyłam, że obaj mają drobne wady wymowy. Joshua taką, która sprawia, że mówi jak członek klanu Kennedych. Tych prawdziwych[25]! Natomiast Kevin odznacza się szparą między przednimi zębami i sepleni. Oooooch, jakie to urocze[26].

Dotarłam dopiero do pierwszej bazy, czyli do pocałunków, ale myślę, że jestem już gotowa na drugą[27].

[1] Oczywiście dziś się już pod tym nie podpisuję, zwłaszcza jako osoba, która na estradzie omawia ze szczegółami swoje niespodziewane spotkanie z pewnym nieobrzezonym penisem.

[2] O rany, naprawdę tak było? Przypuszczam, że to raczej wynik niezłego prania mózgu, które zafundowała nam wtedy mamusia. Owszem, tata niespecjalnie troszczył się o mojego brata, ale też nic do niego nie miał. Po prostu wolał dzieci, które wyszły z jego własnego członka.

[3] Nie wiem, dlaczego „wycieczki rodzinne” są w cudzysłowie. To były po prostu rodzinne wycieczki, a brzmi tak, jakby mama wykorzystywała nas do szmuglowania dragów. Jeździliśmy na Florydę, nad Lake George albo do naszej farmy. Ani razu nie miałam przy sobie balonika z heroiną.

[18] Chyba nie miałam problemów z samooceną.

[19] Nigdy nie jest się zbyt młodym, żeby dowalać przyjaciółkom.

[20] Jen jest obecnie pielęgniarką, ma troje dzieci. Wciąż jesteśmy sobie bliskie.

[21] Byłam w nim zakochana, po prostu.

[22] Mark jest obecnie perkusistą w zespole Taking Back Sunday.

[23] Sorry, Mark!

[24] Miałam wtedy prawdziwą obsesję na punkcie Irlandczyków. Jestem prawie pewna, że tuż przed napisaniem tych słów skończyłam pisać na ich temat jakieś wypracowanie albo oglądać u którejś z koleżanek film *Za horyzontem*.

[25] W odróżnieniu od tych szeregowych, gównianych, fałszywych Kennedych?

[26] Niektóre defekty zawsze mnie podniecały, na przykład jąkanie się albo niezwykle wielki penis.

[27] Wcale nie byłam.

Kiedy oficjalnie
stałam się kobietą

Twierdzi się powszechnie, że dziewczyna zostaje kobietą, gdy ma pierwszą w życiu miesiączkę albo gdy straci dziewictwo. W judaizmie granicę stanowi bat micwa. Oczywiście ja dostrzegałam w tej ceremonii nie tylko okazję do zaśpiewania stosownego fragmentu Tory, lecz także szansę na swój wielki sceniczny debiut w synagodze. Musicale urządziłam, odkąd skończyłam pięć lat, i byłam gotowa swoim występem przyćmić całe wydarzenie. *Pokażę tym Żydom, na co mnie stać*, myślałam w sposób pozbawiony wszelkiego rasizmu. Wszystkie oczy były zwrócone na mnie – dokładnie tak, jak chciałam – ja zaś spoglądałam na zgromadzony tłum z wysokości bimy. Mama płakała z radości, stojąc tuż obok taty, który z kolei promieniał absolutną dumą. Nie zdziwiłabym się wówczas, gdyby zgotowali mi owację na stojąco, nim jeszcze skończę. W pełni panowałam nad sytuacją.

Śpiewałam hebrajskie słowa niczym żydowski aniołek półkrwi, którym istotnie byłam – nie mając przy tym najmniejszego pojęcia, co one znaczą. Równie dobrze mogłam na przykład wzywać zebranych do kontynuowania apartheidu, bo zupełnie nic z tego nie rozumiałam. W szkółce hebrajskiej uczyli nas tylko dwóch rzeczy: jak czytać w tym języku oraz jak w tym języku czytać. Na rok przed swoją bat micwą miałam zajęcia z naszym nauczycielem, panem Fischerem, człowiekiem przerażającym, o twarzy tak pozbawionej wyrazu, że podczas snu oraz w trakcie trzęsienia ziemi musiała wyglądać tak samo. Siedziałam w pierwszym rzędzie. Pan Fischer wziął mnie do tablicy i kazał czytać na głos fragment Tory. Po mniej więcej trzech minutach przerwałam i zadałam mu pytanie: „Ale co to znaczy?”. Wtedy pierwszy raz w historii pan Fischer okazał jakieś emocje. Dłonią przypominającą rękawicę bejsbolowego łapacza trzasnął w biurko tuż obok mojej głowy i krzyknął: „Idź natychmiast do dyrektora!”. Nigdy więcej już o nic nie zapytałam.

Z pewnością nie był to mój pierwszy raz, gdy napytałam sobie biedy, okazując ciekawość, na pewno również nie ostatni. W szkole byliśmy do tego zachęcani, czasem jednak – gdy faktycznie formułowaliśmy jakieś pytania – oskarżano nas, że jesteśmy niegrzeczni albo prowokacyjni. Ponieważ zakończyłam już edukację i nie grozi mi wędrówka korytarzem do gabinetu dyrektora, zadaję takie, kurwa, pytania, jakie tylko chcę. Całkiem fajne uczucie. Nie tylko fajne, ale też, powiedziałabym, kobiece.

Jednakże tamtego dnia, mojego wielkiego dnia, wszystko to nie miało żadnego znaczenia. Nie obchodziło mnie, o czym śpiewam; chciałam tylko, aby wszystkim opadły szczęki. Gromkim głosem wyskandowałam dwie ostatnie linijki tekstu – miejcie się na baczności wy, którzy występujecie w *Skrzypku na dachu*, może wam grozić bezrobocie – a przy ostatniej frazie poszłam na żywioł, dając z siebie wszystko, na maksa. I wtedy moje cudowne marzenie zmieniło się w koszmar. Głos mi się załamał i zabrzmiał, jakby należał do Williama Hunga z amerykańskiej edycji *Idola*. Serce zaczęło mi bić bardzo szybko. Poczułam, że właśnie spaliłam buraka, jak to się często zdarzało. Na sali zapadła cisza, a ja pomyślałam, że zaraz się rozplacę.

Nagle usłyszałam pierwszy śmiech. Potem roześmiał się ktoś następny. I jeszcze

jeden. Wreszcie śmiali się wszyscy. Obrzuciłam wzrokiem osoby siedzące na krzesłach – ryczały ze śmiechu, oczywiście, a jednocześnie spoglądały na mnie z podziwem. Widziałam, że Kim chichra się nerwowo, niepewna, jak na tę sytuację zareaguję. A ja uświadomiłam sobie, że nawet jeśli niechcąc, to wprowadziłam wszystkich w radosny nastrój; pragnęłam również dać Kim do zrozumienia, że śmiech jest w porządku, i sama się roześmiałam. Bardzo zdecydowanie. Z samej siebie. Śmialiśmy się wszyscy – był to prawdziwy, zdrowy ryk, który trwał dobrą chwilę.

Jestem niemal pewna, że tamtego dnia i w tamtym właśnie momencie oficjalnie zostałam kobietą. Nie ze względu na głupią, starożytną ceremonię, w czasie której dzieciom wręcza się obligacje, których nie mogą spieniężyć przed ukończeniem dwudziestego piątego roku życia (nim to się stanie, często je po prostu gubią). Nie, zostałam kobietą, ponieważ przemieniłam cichą, pełną uroczystego namaszczenia salę w miejsce, w którym gruchnął absolutnie niespodziewany śmiech. Zostałam formalnie kobietą, gdyż wtedy po raz pierwszy zrobiłam to, co będę robić przez resztę swojego życia. Zapewne w tamtej chwili nie przyszło mi to do głowy, ale spoglądając wstecz, widzę to z całą jaskrawością.

Wiele jest w życiu takich pierwszych razów, punkcików zwrotnych pojawiających się tu i ówdzie, które sprawiają, że dziewczyny bezwiednie stają się kobietami. I nie chodzi mi tu o jakieś banały czy inne takie, w rodzaju pierwszego pocałunku albo pierwszej jazdy własnym samochodem. Dziewczyna staje się kobietą, gdy po raz pierwszy nie daje sobie w kaszę dmuchać, dostając od kelnera w pubie nie to, co zamówiła. Albo kiedy nagle zaczyna rozumieć, że jej rodzice mają chyba nieźle nasrane w głowach. Stajemy się kobietami, gdy przymierzywszy stanik, orientujemy się, że przez całe życie nosiłyśmy, kurwa, nieodpowiedni rozmiar. Kobieta stajemy się, po raz pierwszy puszczając baka w obecności swojego chłopaka. Kiedy po raz pierwszy w życiu ktoś łamie nam serce. Kiedy po raz pierwszy my je komuś łamiemy. Gdy ktoś, kogo kochamy, umiera. Kiedy pierwszy raz mijasz się z prawdą i robisz z siebie czupiradło po to, by ukochana przyjaciółka mogła wyglądać lepiej od ciebie. Istotne znaczenie mają również sprawy mniej dramatyczne, na przykład ten pierwszy raz, kiedy facet próbuje wsadzić ci palec w odbyty. Gdy ty wyrażasz pogląd, że nie chcesz mieć jego palca w swoim odbycie. Że właściwie niczego nie chcesz tam mieć, kropka. Że nie zamierzasz uprawiać pomysłowego, pełnego przygód seksu, skoro już o tym mowa. Bo czasami wolisz być po prostu pieprzona na misjonarza, bez żadnych udużnień. Później, po latach, wspomina się wszystkie te chwile jako coś, co uczyniło z nas tę kobietę, którą jesteśmy teraz. Ludzie gadają, że momentem przełomu jest pierwsza miesiączka, lecz tak naprawdę ma on miejsce wtedy, kiedy wkładasz sobie pierwszy tampon i uczynisz tego samego najlepszą przyjaciółkę.

Skoro mowa o krwi menstruacyjnej, wróćmy jeszcze do sceny w synagodze, wskutek której stałam się formalnie kobietą. Gdy już wszyscy padli z uciechy, że tak pięknie schrzaniłam przypadający na mnie fragment Tory, wyłonił się rabin i zaczął przemawiać do mnie w obecności zebranych – było to chyba kazanie, ale skierowane bezpośrednio do mnie, skrojone na moją miarę. Informowano mnie wcześniej, że większość osób nie cierpi tej chwili, ja jednak pomyślałam sobie: *No dawaj, dawaj.*

Zaczynij już sypać komplementami.

Rabin Shlomo był wysokim mężczyzną, który musiał się mocno pochylić, aby położyć mi dłonie na ramionach. Podniosłam na niego wzrok, próbując przybrać skromny wyraz twarzy. Zaczął mówić: „Amy...”, i właściwie nie usłyszałam już nic więcej. Miał tak śmierdzący oddech, że dosłownie nie docierało do mnie ani jedno słowo. Musiałam dobrać wszystkie siły, aby nie zemdleć od odoru, który płynął w moją stronę. Dość szybko się zorientowałam, że zaczerpnąć powietrza zdołam wtedy, gdy on weźmie wdech. Rabin przekazywał mi płynące z głębi serca słowa mądrości, a ja starałam się oddychać techniką doktora Lamaze’a, odpowiednią dla kobiet rodzących. *Co on jadł na śniadanie?*, myślałam. *Pampersa dla dorosłych? Ludzkie zwłoki?*

Przemowa zdawała się ciągnąć godzinami. Trwała zapewne jakieś pięć minut, ale kiedy człowiek kryje się w zakamarkach mysiej dziury przed wyziewami smoczej paszczy, czas naprawdę staje w miejscu. Zaczynało mi się kręcić w głowie przez brak tlenu, lecz nagle po mowie ciała rabina poznałam, że powoli zmierza do końca. Zabrzmiały oklaski. Odwróciłam się, nabrałam w płuca świeżego powietrza i uśmiechnęłam się do pustki. Stało się: oficjalnie byłam kobietą.

Dziś mogę sobie pójść na mały lunch składający się z wędzonego łososia i bajgla, a potem zabrać najbliższych przyjaciół do restauracji Medieval Times w New Jersey, gdzie łączy się jedzenie z inscenizacją teatralną. Dokładnie tak, jak życzyliby sobie Pan Bóg oraz Golda Meir.



Obóz Camp Anchor

Kiedy miałam czternaście lat, pojechałam jako wolontariuszka na obóz dla ludzi specjalnej troski. Camp Anchor nadal działa; jest to niezwykle przedsięwzięcie, które służy rocznie ponad siedmiuset osobom. Ludzie zgłaszają się tam na ochotnika, ponieważ chcą pomóc tym, którzy pomocy potrzebują. To dobrze wpływa na duszę i wzbogaca życie. Ja zrobiłam to dlatego, że wolontariuszami byli często chłopcy, a przed śmiercią chciałam jeszcze zaznać języka jakiegoś futbolisty operującego w moich ustach.

Żałuję, ale nie mogę napisać, że pojechałam tam po to, aby pomagać innym. Bądźmy realistami – byłam wtedy nastolatką, którą interesowała tylko ona sama. Wiek dojrzewania niesie ze sobą wiele dziwactw, większość ludzi czuje się wtedy bardzo niepewna siebie. W moim przypadku dochodziły do tego jeszcze przemożne iluzje. Nie tylko pragnęłam podobać się chłopakom, chciałam również ucieleśniać w sobie wszystko to, co w połączeniu nie występuje w przyrodzie: być zarazem piękna i dobra, inteligentna i altruistyczna. Moja mama była nauczycielką osób głuchych, dlatego, odkąd tylko sięgnę pamięcią, stykałam się z dziećmi specjalnej troski. Sądziłam, że pobyt na obozie okaże się łatwizną, poza tym umiałam rozmawiać z tymi maluchami tak, jak rozmawiają dorośli. Zamierzałam okazywać im miłość i szacunek, dawać im siebie. Wyobrażałam sobie, jak uczę małe dziewczynki pływać, i już prawie poklepywałam się po ramieniu, że jestem kimś tak wspaniałym: świętą Amy. Ludzie będą ustawiać się w kolejce długiej na dwa skrzyżowania, aby tylko zobaczyć mój uśmiech. Raz na jakiś czas pozwolę im się uściskać, niczym uliczny mnich buddyjski, co oznaczać będzie dla nich wieczne błogosławieństwo. Ale najbardziej cieszyłam się na podróż autobusem i towarzystwo atrakcyjnych facetów.

Na Camp Anchor zgłosiło się ochotniczo wielu fajnych chłopaków z mojego liceum, głównie tych ze starszych klas, mnie jednak interesował Tyler Cheney. Miał smutne piwne oczy i burzę loków na głowie. Świetnie grał w piłkę, a ponadto przepadał za zespołami Phish oraz Grateful Dead. (Łał – bardzo zróżnicowane zainteresowania, widać nic gościa nie ograniczało). Uwielbiałam rozśmieszać Tylera, co nie było zbyt trudne, ponieważ przeważnie był zjarany, a jego atrakcyjność raczej nie polegała na dwucyfrowym ilorazie inteligencji. Przez prawie całe życie ciągnęło mnie do seksownych facetów z bystrością umysłu wydrażonej dyni, z której robi się lampion na Halloween, oraz z wystającym brzuchem. Zawsze kochałam brzuszki. Tyler spełniał te kryteria. Aby go rozbawić, wystarczyło rzucić jakąś kwestię z filmu *Tomcio Grubasek*. Znałam je wszystkie na pamięć, więc musiał mnie chyba brać za kogoś w rodzaju George'a Carlina. Wydaje mi się, że Tyler zajmuje się obecnie finansami, posiada fundusz hedgingowy czy coś innego, czego nie pojmuję. (Jak to się dzieje, że głupcy potrafią robić w ten sposób pieniądze? Ja nie wiem, co to jest fundusz hedgingowy. Wolałabym już wziąć do ręki jeża. To takie urocze zwierzątko i chyba właśnie tego mi teraz trzeba. Ale pewnie i tak bym go niechcący zabiła. Nie potrafię utrzymać przy życiu nawet zwykłego kwiatka w domu. No dobra, nieważne).

Na lekcjach hiszpańskiego Tyler siedział przede mną. Gapiłam się na kręcone włosy na jego potylicy, próbując siłą woli zmusić go, żeby się odwrócił i wyznał mi

miłość, czyli coś, co dotychczas nie miało szansy się ziścić. Ale kiedy usłyszałam, że wybiera się jako ochotnik na Camp Anchor, pomyślałam sobie: *No proszę, Tyler Cheney? W takim razie ja też. Mogę nawet nogi z dupy powyrywać tym dzieciakom, byle być bliżej niego.*

W dniu wyjazdu na Camp Anchor czekaliśmy na parkingu szkoły podstawowej na autobus, który miał nas tam zabrać. Pamiętam, że dzień wcześniej rozłożyłam sobie na łóżku swój strój na „pierwszy dzień w pracy”. *Niech no tylko Tyler mnie w tym zobaczy,* myślałam. T-shirt w błękitie takim, jaki występuje dziś w logo Twittera. Flanelowe bokserki w zielono-niebieską kratkę z napisem PENN STATE (gdyby chociaż znajdował się on na tyłku; ale nie, działa się to przecież kilka lat wcześniej, jeszcze zanim geniusze od marketingu położyli na wszystkim łapę, postanawiając umieszczać napisy dokładnie tam, gdzie wędrują spojrzenia każdego faceta i większości ciekawskich kobiet). Włożyłam spodenki, po czym wykonałam przed lustrem półobrót, mając głęboką i smutną nadzieję, że właśnie tak będę wyglądać, gdy Tyler zrozumie wreszcie, iż jestem dla niego najlepsza. Wiedziałam, że czeka mnie jeszcze długa droga, ponieważ na razie byłam tylko zwykłą dziewczyną z tłustą cerą, której pojęcie o uwodzeniu mężczyzny sprowadzało się do szeptania mu w ucho cytatów z pewnego amerykańskiego komika. Komik ten, ulubieniec Ameryki, na ogół spływał potem i ważył sto trzydzieści pięć kilogramów. Być może jednak wakacyjny obóz miał się okazać miejscem, w którym Tyler zobaczy mnie w nowym świetle? *Gdyby tylko udało mi się sprostać jego gustom,* myślałam. Związałam włosy w koczek, jak robią to baletnice, i skierowałam suszarkę do włosów na grzywkę, która po dziesięciu sekundach rozjechała się we wszystkie strony (z powodu letniej wilgoci w powietrzu). W rezultacie uzyskałam uderzające wręcz podobieństwo do Sammy’ego Hagara.

W autobusie siedziałam o jeden rząd foteli od Tylera, oblana potem w moim starannie dobranym stroju. Kleiłam się do zielonego siedzenia ze sztucznej skóry, pociętego i pokrytego napisami, które pozostawiły jakieś palanty z problemami wychowawczymi. Słuchałam na walkmanie Roxette i próbowałam wyglądać na interesującą i wycofaną, niczym Brenda z *Beverly Hills, 90210*, na której przez większość życia się wzorowałam. Ona była królową sprzeczności nie do pogodzenia. Zdawała się niewinna jak dziecko (czyli ja), a jednak kipiała wręcz od seksapilu (też całkowicie jak ja). Jakby była stworzona do rzeczy czystych, w rodzaju wspólnego śpiewania przy ognisku, ale tak, żeby pod koniec zostać zerżniętą od tyłu przez Dylana (i żeby nikt tego nie zauważył). Słodziutka, emanująca mroczną, nieprzyzwoitą aurą, dokładnie jak czternastoletnia ja. Tylko że mnie się nic takiego nie przydarzało, nigdy nawet nie zaliczyłam palcówki. Wyglądałam wtedy paskudnie, a jednak bardzo chciałam się podobać i przy tym być kimś tak niegrzecznym jak Brenda. W każdym razie gdy autobus dotarł wreszcie na miejsce, musiałam przerwać marzenia o sobie skupiającej powszechną uwagę bywalców knajpki Peach Pit ze wspomnianego serialu. Odkleiałam uda od siedzenia i wyskoczyłam z pojazdu. Całą grupą szliśmy się zameldować, a ja powtarzałam sobie w duchu zaklęcie, kanalizowałam energię w określonym kierunku: *Przez całe lato będziemy się świetnie bawić, wszyscy razem, prawda, moi drodzy? Jestem jedną z was, będziecie mieć to na względzie. Oddasz mi się całkowicie jeszcze przed czwartym lipca,*

PRAWDA, TYLER?

Podchodząc do recepcji, gdzie mieliśmy się dowiedzieć, do jakiej grupy nas przydzielono, miałam tylko dwa życzenia: 1) żeby Tyler otrzymał skierowanie do tego samego zastępu, co ja, oraz 2) żeby dano mi najładniejsze i najmłodsze dzieciaki – dziewczynki w wieku od pięciu do ośmiu lat, zwane „Juniorkami Trójeczkami”. Uczestników dzielono w zależności od płci i wieku. Kiedy rozważałam wolontariat na tym obozie, zauważyłam w folderze informacyjnym wzmiankę o grupie Juniorek Trójeczek. Chciałam być dla nich jak fajna starsza siostra, która na zawsze pozostawi ślad w ich życiu. Dziewczynki byłyby urocze, a ja wyobrażałam sobie, jak organizujemy doroczny talent show, śmiejemy się i obejmujemy. Zamierzałam każdą z nich wozić na barana, co widząc, Tyler powiedziała: „Łał, pewnie jesteś zmęczona... Masażyk?”. A ja na to: „Jasne, ale może później. Najpierw muszę przewieźć wszystkie, bez wyjątków”. Bohaterka. A potem to ja bym go wymasowała, pośliznęła się i wbiła na jego członek, zasła w ciążę, wrobiła w małżeństwo, po czym wystąpiła w pierwszym sezonie *Nastoletnich matek*.

– Grupa Starszaków Dziesięć! – oznajmiła leciwa kobieta, którą brałam za mężczyznę, dopóki nie warknęła w moją stronę.

– Słucham? – odwarknęłam.

– Będiesz się zajmować starszymi osobami, to znaczy kobietami w wieku powyżej trzydziestki. To twoja grupa – powiedziała, wskazując na stadko pań wyglądających raczej jak bohaterki sitcomu *Złotka*, nie żadne tam małe dziewczynki.

Poczułam się zbita z tropu.

– Nie miałam pojęcia, że na obozie są uczestnicy starsi ode mnie – powiedziałam w tonie sprzeciwu.

Kobieta, która wyglądem przypominała mojego dziadka, kiedy zapuszczał włosy, spojrzała na mnie bez wyrazu i nie raczyła odpowiedzieć.

– Jaka miła niespodzianka – rzuciłam.

Zalatywałam fałszem, a ona to z pewnością wyczuła. Przyjechałam na Camp Anchor, żeby flirtować z chłopakami i móc sobie coś wpisać do podania na studia – i ona o tym świetnie wiedziała. Świdrowała mnie na wylot, nie pomogła nawet grzywka stercząca jak rzezucha, patrzyła prosto w me płytkie serce i marszczyła brwi. Po chwili podała mi dokumenty i kazała iść w swoją stronę.

Powoli zbliżyłam się do innej wolontariuszki, pięknej latynoskiej dziewczyny z sąsiedniego miasteczka. „Cześć, jestem Carli!”, powiedziała, promieniejąc dobrocią. Ona przyjechała tu we właściwym celu, pomyślałam. Ładne dziewczę o czystej duszy, przy którym ja wychodziłam na jedną wielką pomyłkę z zadartym nosem. Była jak Brenda, tyle że bardziej swojska. Nawet jeszcze od niej piękniejsza, seksowna w sposób pozbawiony sprośności, a na domiar wszystkiego – o złotym sercu. Wtedy jeszcze tego rodzaju chodzący ideał nie wywoływał we mnie furii. Chciałam po prostu być dokładnie taka sama jak ona. Dopiero potem poznałam niejakiego Dave’a Macka, cudownego faceta, do którego zapalałabym natychmiast głęboką miłością, typową dla serialowego liceum West Beverly High, gdyby nie to, że on już strzygł oczami w kierunku Carli. *O rany, gdybym przyjechała tu wcześniej niż ona, to może bym go złapała*, myślałam,

okłamując samą siebie. Ale Dave był bystry, wiedział, że Carli to prawdziwy anioł o fantastycznej, oliwkowej cerze i słodkim tyłeczku.

Funkcję przewodniczącej naszej grupy pełniła Joanne, ładna kobieta o kręconych blond włosach, wyrazistym włoskim nosie, z szaszetką biodrówką i wielkimi cyckami. Jako jedyna otrzymywała wynagrodzenie, choć nie sądzę, żeby było zbyt wysokie. Ta miła, silna istota musiała mieć już spore doświadczenie w obcowaniu ze starszymi paniami. Potrafiła być zasadnicza, ale śmiała się razem ze wszystkimi, kiedy wydarzyło się coś zabawnego. Czyli często.

Codziennie wkładałam całe mnóstwo energii, by wydać się Tylerowi atrakcyjną – a może chciałam być tak idealna, tak bardzo bez skazy, jak była Carli. Jednakże laski z grupy starszaków, z którymi spędzałam teraz cały swój czas, dysponowały znacznie lepszą strategią. Nie traciły sił na ukrywanie tego, kim naprawdę są, ani udawanie kogoś, kim wcale nie są. Na przykład Mona, stale nosząca na głowie czapkę bejsbolową oraz chodząca w wielkich T-shircie z atrapą mięśni i wizerunkiem Myszki Mickey. Była silna i męska, jej uśmiech mógł rozjaśnić każde pomieszczenie. Mona miała zespół Downa, podobnie jak jej najlepsza przyjaciółka, Lucy, o krótkich, chłopięcych włosach, która całymi dniami potrafiła opowiadać dowcipy typu „puk, puk”. Prawie nigdy nie rozumiałam ich puenty, jednak Lucy robiła to z takim zachwytem i z taką radością, że nie można się było nie śmiać razem z nią.

Debbie, jeszcze inna obozowiczka, otwarcie flirtowała z chłopakami i miała na ich punkcie bzika. Włosy zaplatała w idealne warkocze i tylko tak czuła się ładna. Pulchna, o młodzieńczym wyglądzie, przywodziła na myśl Julię poszukującą swojego Romea. Ona również cierpiała na zespół Downa. Blanche miała pociągłą, chudą i piegowatą twarz. Bez skrzepowania bywała wredna i niemal od razu dała mi jasno do zrozumienia, że ani trochę mnie nie lubi. Uszanowałam to i trzymałam się od niej z daleka. W ten sposób nie doszło do obopólnej utraty energii na udawanie, że możemy się kiedyś polubić.

Enid była schizofreniczką; tembrem głosu oraz sposobem poruszania się przypominała mi Woody’ego Allena. Miała krótkie, rude włosy z małymi loczkami i neurotyczne skłonności. Często chodziła w kółko, mówiąc coś do siebie. Pewnego razu przeszkodziłam jej informacją, że już czas na lunch, na co odparła: „Nie przerywaj mi, nie widzisz, że rozmawiam?”. No cóż, cholera, miała rację. Nigdy więcej już tak nie robiłam. Enid nie radziła sobie z najprostszą komunikacją społeczną, bywała jednak na tyle uprzejma, by wdawać się ze mną w prawdziwe debaty. I przejawiała przy tym taką inteligencję, że zapominało się o jej zaburzeniu. Czasami, niczym starsza siostra, która lekceważy młodszą, Enid odwracała się do mnie plecami i nie chciała rozmawiać. Zdarzały się jednak momenty, kiedy byliśmy w absolutnej komitywie. Pod koniec wakacji stałam się najbliższą dla niej osobą.

Pewnego słonecznego dnia otrzymałam zadanie, aby zająć się obozowiczką imieniem Beatrice, uroczą sześćdziesięcioletnią kobietą, której sposób mówienia przywodził na myśl Golluma z *Władcy pierścieni*, a która była zadurzona w Davie jeszcze bardziej niż ja. Dave i Beatrice okazywali sobie wielką czułość. Wiadomo było powszechnie, że podczas wieczorków tanecznych z Dave’em może tańczyć tylko Wielka B. Mierzyła zaledwie sto dwadzieścia dwa centymetry wzrostu, ale ważyła

dziewięćdziesiąt kilogramów i choć jej słów nie dawało się w zasadzie odszyfrować, samo ich słuchanie stanowiło przyjemną rozrywkę. Beatrice mamrotała pod nosem coś, co było zrozumiałe chyba tylko w Shire. Śmiała się z tego serdecznie i poklepywała po kolanie.

Tamtego szczególnego dnia mieliśmy zaplanowane ważne zawody w grze basenowej o nazwie „Marco Polo”. Nie ma nic bardziej wakacyjnego niż ta zabawa, nawiązująca do pewnego weneckiego kupca i żeglarza, który w XIII wieku rzekomo podróżował na Daleki Wschód. Jako osoba młodsza i szybsza niż kobiety należące do moich starszaków byłam pewna, że odniosę w tych rozgrywkach sukces. Wiedziałam też, że łatwo dowiodę swojej dominującej pozycji w basenie. Dodatkowo motywowała mnie świadomość, iż strój kąpielowy potęguje wzajemne zainteresowanie cielesne u obozowiczów i chęć dotykania cudzych ciał. Zwłaszcza mojego. Chwytnie mnie za piersi uważano za bardzo zabawne, a gdy któryś z zawodników zdołał mnie dogonić, ścisnął mi cycki tak, jakby to były cytryny na stoisku z lemoniadą. Nie żebym nie lubiła odrobiny czułości, tylko że robili to brutalnie. Mam skłonność do sińców, jestem jak brzoskwinia. Ale jeszcze przed rozpoczęciem rozgrywek Joanne zwróciła się do mnie z prośbą, abym poszła z Beatrice do łazienki i czekała tam, aż kobieta przebierze się w strój kąpielowy.

Zaprowadziłam więc Beatrice do dusznej toalety. Gdy ona weszła do kabiny, ja spojrzałam na swoją twarz w zaparowanym lustrze. I się nie rozpoznałam. Moje ciało przechodziło okres dojrzewania, często miewałam bóle nóg, związane z rośnięciem organizmu. Jednego dnia wyglądałam na długą i tyczkowatą, a już następnego – na grubiotką i uformowaną niczym ziemniak. Jediną wartością *constans* w tamtym czasie była różnica w wielkości moich piersi. Prawa zdecydowanie prowadziła. Lewa przez wiele lat nie mogła jej dogonić i właściwie nigdy w pełni tego nie zrobiła. Stałam tak i stałam, czekając i czekając, a lustro coraz bardziej pokrywało się parą.

– Beatrice?!

Z wnętrza kabiny dobiegł mnie pomruk, podobny do dźwięków wydawanych przez Nell z filmu pod tym samym tytułem.

– Łuloppppr.

– Bea, co się tam dzieje, siostrze? Chodźmy, bo się spóźnimy na mecz.

Po kilku chwilach drzwi otworzyły się gwałtownie i pojawiła się w nich Beatrice, w stroju kąpielowym i w sandałach marki Teva, gotowa na swoją dawkę chloru. Był tylko jeden mały problem: strój założyła sobie odwrotnie. W owym jednoczęściowym modelu plecy są całkowicie odsłonięte, natomiast tym razem goły okazał się przód: zobaczyłam piersi Beatrice w pełnej krasie. Były stare i obwisłe; nigdy wcześniej, w całym swoim krótkim życiu, nie widziałam czegoś tak zwisającego. Przypominały te sztuczne węże, które wyskakują z fałszywych puszek z orzeszkami ziemnymi. Puszki Beatrice przylegały do jej klatki piersiowej, a węże wiły się luźno, miały barwę skóry i sięgały niemal podłogi. Rozejrzała się po toalecie, obrzucając wzrokiem wszystko oprócz mnie. Ja patrzyłam bezpośrednio na nią. Stałam jak zahipnotyzowana: wcześniej obawiałam się, że obozowicze zaczną mnie łapać za cycki, a tymczasem teraz miałam przed oczyma piersi tej kobiety. Widać było, że Bea zupełnie się nie domyśla, iż z jej garderobą jest coś nie

tak. Nagle ruszyła prosto do drzwi wyjściowych.

– Nie, nie, nie! – krzyknęłam, starając się zastąpić jej drogę.

Wtedy się zorientowała, że coś tu nie gra, ale bardzo spieszyło się jej do zabawy.

– Ba ba – powiedziała, mając na myśli basen. Chyba.

– Musisz założyć strój kąpielowy odwrotnie. To nie ta strona, kochanie.

Spojrzała na mnie gniewnie wiecznie zaczerwienionymi oczyma. Widziałam, że gotuje się do wyjścia i nie pozwoli, bym jej w tym przeszkodziła. Nie miała najmniejszej ochoty poprawiać swojego wizerunku. Przecież właśnie wybiła godzina zabawy.

Zablokowałam ciałem drzwi i delikatnie, acz stanowczo poprowadziłam Beatrice z powrotem do kabiny. Chwyciłam dłońmi oba paski kostiumu i szarpnęłam je ku dołowi. Nie było to proste. Strój kąpielowy przylegał do ciała tak ściśle, że musiałam uklęknąć na oba kolana i zerwać go, wykorzystując własny ciężar. No i proszę: Beatrice stała sobie naga, gapiła się na mnie i mrugała powiekami, podczas gdy ja starałam się odpowiednio złapać i nałożyć na nią całe to wdzianko ze spandeksu. Zaledwie kilka cali dzieliło moją twarz od jej pochwy i piersi, które w tym momencie znajdowały się zasadniczo w tej samej lokalizacji. Miękkie, sterczące sutki Beatrice spoczywały na moich spalonych słońcem ramionach. Obróciłam kostium na właściwą stronę i kazałam jej założyć go ponownie. Zignorowała mnie. Pewnie marzyła na jawie, że następne lato spędza z Dave'em na wyspie Martha's Vineyard. Niezrażona, uniosłam jej białą, miękką, niemalże porcelanową stopę i wsadziłam ją do otworu na nogę, a potem to samo uczyniłam z drugą. Następnie, wytěżając wszystkie siły, naciągnęłam maleńki kombinezon kąpielowy na jej gruszkowate ciało.

Kiedy skończyliśmy, pot łał się ze mnie strumieniami, a ilość pary w toalecie musiała się podwoić, niczym w saunie. Ruszyliśmy pod ramię w kierunku basenu. Wreszcie ktoś na tym obozie zechciał wziąć mnie za rękę. Myślę, że Bea wiedziała, że tego potrzebuję. Gwiżdżąc, zaprowadziła mnie na basen, ale ja czułam się zbyt zmęczona i wytrącona z równowagi, aby wziąć udział w grze. Usiadłam więc tylko na leżaku i bez ruchu wpatrywałam się w przestrzeń, podczas gdy Beatrice pluskała się w wodzie z innymi paniami. Wydaje mi się, że któraś z nich złapała mnie za biust, jednak przez kolejne dwie doby nie czułam kompletnie nic.

Mimo wszystko te bliskie spotkania z intymnymi częściami ciała pani B. nie stanowiły najbardziej pamiętnego momentu, jaki przeżyłam w toalecie obozu Camp Anchor. Ten bowiem rezerwuję dla Sally. Sally należała do grupy starszaków i cierpiała na jakieś zaburzenie rozwojowe. Miała czterdzieści lat, ciało siedmiolatki, a do tego twarz bardzo starej kobiety. Nosiła krótkie, czarne włosy *à la* Piotruś Pan z siwymi pasemkami. Poza tym miała całe mnóstwo piegów, jedną stale zmarszczoną brew tudzież ostre wejście czarnych oczu. Była bardzo chuda, mówiła jak małe dziecko, zawsze trzymała się na uboczu. Zainteresowanie jej dowolnymi zajęciami grupowymi wykraczało poza nasze możliwości. Pamiętam, że pewnego razu podeszłam do niej i z udawanym entuzjazmem rzuciłam: „Sally, idziemy do namiotu zajęć praktyczno-technicznych robić ramki na zdjęcia!”. Zajrzała mi w oczy, a przez nie do mojej duszy. Nie zareagowała, nic jej to nie obchodziło. I wiedziała, że mnie również nic nie obchodzi. Wiedziała, że ja wiem, że jej to nie obchodzi. Wtedy jednocześnie kiwnęłyśmy sobie głowami, zawierając

milczącą umowę, że odtąd będziemy ze sobą bardziej szczerze.

W ostatnim tygodniu obozu zaplanowano radosne święto wolontariuszy, które miało się odbyć wieczorem. Ubrałam się w krótkie dzinsowe spodnie, a w służbowej koszulce podwinęłam rękawy. Zamierzałam wyglądać wystrzałowo, ponieważ ustaliłam, że na tej imprezie z całą pewnością pojawi się Tyler (czego dowiedziałam się w ten sposób, że pytałam go o to – a także wszystkich jego kumpli – jakieś trzysta razy). Wcześniej zauważyłam, że jestem jedyną osobą na obozie, która nie nosi converse'ów (jakbym była niedorozwinięta), dokonałam więc zakupu biało-niebieskich bucików, niemalże identycznych z tymi, które miała Carli. Dostrzegła to, lecz zamiast się wkurzyć, powiedziała tylko: „Fajnie! Mamy takie same buty!”. Czy ta dziewczyna bywała kiedyś niewspaniała, nieidealna? Nie mogłabyś czasem walnąć czegoś głupiego, Carli? Może choć raz wypuścić gazy pochwowe... czy coś... cokolwiek, żebym wiedziała, że jesteś człowiekiem, a nie laleczką American Girl z idealnymi cycuszkami?

Na tym etapie wakacji miałam już niemal pewność, że są z Dave'em parą; co chwila wymyślali jakiś powód, żeby się dotykać, i chichotali do siebie, kiedy przebywali akurat na osobności. Owego wieczoru Dave szeptał coś Carli do ucha, a ja zostałam sama, ze swoimi nowymi butami i skarpetkami, które były do nich za duże. Stałam wraz z innymi dziewczynami obok fortepianu w namiocie muzycznym, bez powodzenia próbując nauczyć się słów utworu *We Didn't Start the Fire*. Zrobiłabym wtedy wszystko, żeby zamienić się z Carli miejscami. Buty w niczym mi nie pomogły. Ona była jak Kopciuszek, ja zaś jak jedna z jej przyrodnych siostr, która na siłę próbuje wcisnąć szklany pantofelek na stopę, byle tylko księżę się z nią ożenił. I wtedy nagle, zupełnie niespodziewanie, Sally szarpnęła mnie za rękaw i wskazała na toaletę. Nie była kobietą szczególnie rozmowną, ale najwyraźniej musiała tam pójść. Osoby z grupy Starszaków Dziesięć zawsze chodziły do łazienki w towarzystwie opiekunów, a na tę konkretną okazję Sally upatrzyła sobie mnie i postanowiła powierzyć mi ów zaszczyt. I prawdę mówiąc, rzeczywiście uważałam to za honor. Szliśmy do toalety w milczeniu. Umiałyśmy już ze sobą współpracować. Ona miała jakieś dwadzieścia lat więcej ode mnie i wywalila mi wcześniej prosto z mostu: żadnych uprzejmostek, zdziro. Co ja przyjąłam z całkowitym zrozumieniem i wdzięcznością.

Jak dziesiątki razy wcześniej, ustawiliśmy się w kolejce do ciasnej łazienki, w której mieściły się tylko cztery kabiny. Gdy Sally miała już wejść do środka, znów pociągnęła mnie za rękaw. Spojrzałam na dół (mierzyła nie więcej niż metr wzrostu). Wpatrywała się we mnie z wielką intensywnością, jakby rzucała jakiś czar. Jednakowoż na uczestników obozu nie wolno było krzyczeć ani zadawać im pytań w rodzaju: „Rzucasz na mnie czar czy co?!”. Dlatego spytałam tylko: „O co chodzi, Sal?”. Nie odpowiedziała. Nie musiała. Spojrzałam na podłogę i dostrzegłam gówno spływające nie po jednej, lecz po obu jej nogach, prosto na stopy, a także na moje nowiuteńkie buty. Stłumiłam w sobie przemożną chęć, by wrzaskiem utorować sobie drogę i zwać z tej łazienki prosto do pobliskiego jeziora. Wpatrywałam się w jej czarne oczy, dopóki nie skończyła. Najwyraźniej zależało jej w tym momencie na kontakcie wzrokowym, a ja – na Boga – kontakt ten utrzymałam.

Gdy było po wszystkim, skoncentrowałam się na kontroli oddechu. Converse'y

wrzuciłam do kosza na śmieci. Tylko do tego się nadawały. Koniec, nigdy nie będę jak Carli. Zaprowadziłam podopieczną do kabiny i zapewniłam ją: „Nic się nie stało, Sally, wszystko jest w porządku”, ale ona nie wyglądała na szczególnie zmartwioną. Raczej patrzyła na mnie wzrokiem, który zdawał się mówić: „No i co, zdziro?”. Na co ja mogłam odpowiedzieć tylko wezwaniem...

– JOANNE!!!

Tak właśnie wyglądały moje ostatnie, niezapomniane chwile na Camp Anchor – stałam boso w ludzkich odchodach, wzywając pomocy. Joanne oczywiście przyszła i wybawiła mnie z kłopotu. Niemniej gdy kilka dni później turnus się zakończył i wracaliśmy do domu, ja siedziałam zupełnie sama w tyle autobusu. Rozeszły się bowiem pogłoski, że nurzałam się w kupie po kolana, i może uznacie to za dziwne, ale nikomu specjalnie nie zależało, aby przestawać z bosonogą Schums. Tamtego wieczoru nie dołączyłam do pozostałych wolontariuszy i nigdy nie nauczyłam się choćby kawałka utworu *We Didn't Start the Fire*. O seksie z Tylerem lub Dave'em mogłam wyłącznie pomarzyć. Gdy jesienią rozpoczął się rok szkolny, Tyler zaczął chodzić z pewną niesamowicie piękną blondynką o imieniu Stacey. Stanowili nasz licealny odpowiednik Brada Pitta i Angeliny Jolie. Gdyby jakiś tabloid pisywał o nich artykuły, pierwsza bym go prenumerowała. Wyglądali jak rodzeństwo, co wtedy mi właściwie nie przeszkadzało, jednak patrząc wstecz, dochodzę do wniosku, że było też dość dziwaczne. Chyba dlatego tak mnie ciągnie do *Gry o tron*.

W każdym razie w tamte wakacje dostałam znacznie więcej, niż się spodziewałam, mimo że nie zrealizowałam założonego celu, czyli rozkochania w sobie chłopaka. Skończyły mi się żarciki w stylu Chrisa Farleya, którymi zabawiałam Tylera, a Dave chyba nie bardzo nawet wiedział, że ktoś taki jak ja istnieje na świecie. Ale dostałam coś znacznie więcej niż satysfakcję, że kilku nastoletnim amatorom marychy, do których zarywałam, lekko na mój widok staje. Dane mi było spędzić trochę czasu z kobietami z drużyny Starszaków Dziesięć: niezłą miałam z nimi przeprawę, taką małą wojenkę. Wszystko robiłyśmy razem i gdyby dziś dane mi było znów stanąć wraz z nimi do walki, uznałabym to za zaszczyt. Może nie licząc Marthy, najstarszej w grupie. Ubierała się jak Marilyn Monroe i śmierdziała niczym męskie wydzieliny pozostawione długo na słońcu. Gdybym musiała walczyć po jej stronie, to raczej jako snajper, ulokowany gdzieś bardzo daleko.

Minęło dwadzieścia lat, a ja wciąż pamiętam ich imiona i twarze, mam je zapisane w sercu. Są takimi samymi ludźmi, o takich samych uczuciach – a także ciałach – jak wszyscy inni. Czasem owe ciała produkują mnóstwo kupy, w której człowiek zmuszony jest stać, innym razem trzeba je zmuszać do włożenia stroju kąpielowego we właściwej konfiguracji. Przy czym kobiety te kładą absolutną lagę na to wszystko. Nauczyły mnie tego samego. Dla nastolatki takiej jak ja równało się to wówczas wielkiemu życiowemu odkryciu.

Często idealizuje się osoby specjalnej troski, widząc w nich istoty niewinne, a jednak jakimś sposobem pełne mądrości, które uczą nas pokory i pozwalają nam stawać się lepszymi ludźmi. Ale po pierwsze, nie da się być mądrym i niewinnym jednocześnie. To kolejna z tych niemożliwych kombinacji, o których pisałam wyżej. Równie

nieosiągalna i nieprawdopodobna jak Brenda. Albo Carli. I po drugie, absolutnie nie chcę tu sugerować, że panie z Camp Anchor właśnie takimi ideałami były – zwłaszcza one. Miały swoje wady, jednak czuję się wdzięczna, że mogłam je wszystkie poznać, gdy miałam zaledwie czternaście lat. Wyjeżdżałam z obozu bogatsza o znajomość z kobietami, które nie bały się poinformować faceta, że chcą z nim zatańczyć, i niczego w sobie nie zmieniały dla mężczyzn, których darzyły miłością. Nie wstydziły się funkcji swoich organizmów, nie okłamywały ani siebie, ani innych. Nie traciły czasu na bzdurne pogawędki albo grę pozorów. Wybuchwały śmiechem, kiedy tylko chciały, jakby nie istniało żadne jutro, i tak samo płakały, gdy miały na to ochotę. Wydaje mi się, że znalazłam wtedy swoje bratnie dusze.

Jak utraciłam dziewictwo

Na temat utraty dziewictwa snułam fantazje tak, jak chyba większość dziewcząt wyobraża sobie swój ślub: w otoczeniu rodziny i przyjaciół, w obecności duchownego. Żartuję, żartuję. Mówiąc poważnie, nigdy nie należałam do tych panienek, które marzą o ceremonii ślubnej oraz ślicznym weselu. Nie interesowały mnie biała suknia ni wędrownka alejką między kościelnymi ławkami. Katalog moich imaginacji nie zawierał tego wątku. Sama właściwie nie wiem dlaczego. Natomiast wiele lat myślałam o chwili, w której stracę swoje D, pisane zawsze dużą literą. Wyobrażałam sobie, jak patrzę prosto w oczy ukochanemu mężczyźnie, jak go całuję, jak się uśmiechamy i splatamy palce, a potem z dwojga stajemy się jednym – wszystko bardzo powoli, bardzo pięknie. Mnóstwo czułych, miłosnych szeptów i pęka tama, rozlewają się najwspanialsze odczucia: orgazm mój i jego, nasze łyzy szczęśliwości. Zakładałam, że oboje będziemy wtedy w stanie dziewiczym, że weźmiemy głęboki oddech i po chwili... już w takim stanie nie będziemy. Płacząc i tuląc się do siebie, spędzimy resztę nocy. A potem, myślałam sobie, będziemy się z tego śmiać: no wielkie mi halo, dobrze, że w końcu jest po wszystkim. Cały następny dzień schodzimy, trzymając się za ręce i wędrując po naszym maleńkim świecie, delektując się nowym rodzajem spokoju i rozkoszy, aż znów wymkniemy się razem i powtórzmy nasz idealny stosunek płciowy. Wszystko tak, jak należy. Niestety nie tak to się stało. Nie dane mi było przeżyć opisanych chwil.

Na rok przed faktyczną utratą dziewictwa zapragnęłam oddać je facetowi imieniem Mike. Nie był moim oficjalnym chłopakiem, ale za nim szalałam. Umawialiśmy się na randki, odkąd skończyłam trzynaście lat. Jako szesnastolatka poczułam się już gotowa. Poszłam do mamy oraz mojej przyjaciółki Christine i powiedziałam im: „Myślę, że jestem gotowa na seks z Mikiem”. Po latach zdaję sobie sprawę, że zwracanie się do własnej matki z prośbą o wsparcie w kwestii utraty dziewictwa, będąc jeszcze w liceum, jest nieco dziwne. Ale wychowywano mnie bez barier, a w tamtym momencie wydawało mi się to czymś, co powinnam zrobić. Z mamą bardzo często rozmawialiśmy o seksie i tych sprawach. Ilekroć miałam jakieś pytania, szłyśmy razem do baru z małżami u Bigelowa. Zadawałam je, pochłaniając jednocześnie talerz zupy z owoców morza, przyrządzonych tak, jak robi się to w Nowej Anglii. Mama się zaśmiewała, ponieważ poruszałam sprośne tematy, mocno przy tym siorbiąc. Z perspektywy czasu myślę, że i jedno, i drugie było nie na miejscu, uczyniło mnie jednak tą osobą, którą jestem dzisiaj. Jednakże podczas tamtej konkretnej rozmowy o seksie mama i Christine powiedziały zgodnie: „Nie, nie rób tego – lepiej zaczekaj, niech to będzie szczególny dzień”. Mama ostrzegła, że poczuję się okropnie, jeśli on w kolejny weekend umówi się z jakąś inną dziewczyną. Zastanowiłam się nad jej słowami i doszłam do wniosku, że ma rację. Nie byłam jakąś głupiotką grupie, która jeździ w trasę za ukochanym zespołem, lecz normalną nastolatką. Dlatego posłuchałam ich rad i na cały następny rok zachowałam swoją błonę dziewiczą.

Mniej więcej w tym samym okresie zaczęłam się umawiać z jakimś Jeffem. Był przystojny w klasyczny sposób i popularny w szkole, choć różnił się od większości innych nastoletnich chłopców: częściej się złościł, nie wszystko chwycił. Nie zwracałam uwagi na sygnały świadczące chyba o braku stabilności psychicznej. Gdy na przykład

w McDonalddie dano mu filet rybny zamiast Big Maca, wpadł w taką wściekłość, że się rozplakał. Naprawdę mu odbiło. To były autentyczne łzy gniewu. Takimi łzami faceci powinni się zalewać tylko wtedy, gdy oglądają jakiś film, który dotyczy relacji z ojcem i spraw z tym związanych (czyli większość filmów). Czyż nie jest zabawne, że podobno to dziewczęta mają jakieś problemy z ojcami, podczas gdy w rzeczywistości ma je każdy facet? Tylko że ten konkretny nie radził sobie nie tylko z ojcem, matką czy psem, ale nawet z filetem rybnym. Pomyślałam sobie: *No cóż, on nic nie może na to poradzić, taki już jest. Ale ja go rozumiem. Nie zostawię go teraz.* Właściwie oboje byliśmy lubiani w szkole, jednak będąc z nim, odnosiłam zawsze wrażenie, że toczy się rozgrywka my kontra reszta świata.

Dopiero niedawno zdołałam przełamać paradygmat wiązania się z facetami, którzy rzucają hasła w rodzaju „tylko ty jedna mnie rozumiesz”. Z kimś takim nie należy się wiązać. Nie jest bowiem dziełem przypadku, że gostka nikt nie lubi – ani jego rodzina, ani przyjaciele, ani nawet pies. Lecz Jeff był uroczy, a poza tym kochał mnie, a ja jego. Był jak Bieber wobec Seleny – z tym wyjątkiem, że nie posiadał pieniędzy i że w tamtym okresie żadne z nas niczym się specjalnie nie wyróżniało.

Jakoś tak się złożyło, że mieliśmy zwyczaj oglądać razem *Monday Night Raw*, czyli telewizyjną transmisję meczów wrestlingu, podczas których czarny charakter, ubrany w obcisłe spodenki, obrzuca obelgami bohatera pozytywnego, także w ciasnych spodenkach. Obaj bardzo się angażują emocjonalnie, potem przez kilka minut okładają się solidnie, aż wreszcie łysy, brzuchaty sędzia unosi rękę jednego z nich na znak zwycięstwa. Nie podobało mi się to, aczkolwiek dziś mam paru znajomych zapaśników, a z jednym nawet kiedyś chodziłam. To jednak nie moja bajka. Doceniam sprawność fizyczną oraz inscenizacje teatralne, ale... po prostu to nie dla mnie.

Cieszyło mnie, że mamy z Jeffem własną małą tradycję, że przemycamy do mojego pokoju stada puszek taniego piwa i od czasu do czasu się całujemy. Żyłam tylko dla tych wieczorów. Wszystko było dla mnie takie nowe. Miesiąc wcześniej doświadczyłam swojego pierwszego orgazmu – z własnej ręki, rzecz jasna. Masturbować się nauczyłam, oglądając film *Manekin*. Dziś nieszczególnie mnie on podnieca (jeśli was tak, proszę bardzo), ale wtedy, siedząc któregoś dnia na kanapie, sama w pokoju, po prostu włożyłam sobie dłoń w majtki i zaczęłam pocierać górną krawędź pochwy. Robiłam to tak długo, aż doszłam. Czułam ogromną ekscytację, jakbym dostała nową zabawkę. Natychmiast spróbowałam ponownie i szybko zrozumiałam, że muszę odczekać pół godziny. Naprawdę mam nadzieję, że wszystkie czytające te słowa dziewczyny przeżywają orgazmy. Jeśli tak nie jest, polizcie sobie palec i pocierajcie szczyt pochwy, wykonując koliste ruchy, aż do spełnienia. A potem pokażcie tę technikę swojemu facetowi, abyście nie miały do niego żalu, że dochodzi samotnie. Proszę bardzo, nie ma za co, zasługujecie na to! Zróbcie mu też laskę i nie wstydzcie się tego. Życie jest na to za krótkie.

Na czym to ja skończyłam? Ach, no dobrze. W tamtym okresie, jak sądzę, otarłam się już o orgazm z Mikiem, ale wydawało mi się wtedy, że chcę siku. (Czy ktoś miał podobnie? Nie? Trudno). Przeprosiłam go, poleciałam do łazienki i starłam wszystko, co mokre, uważając to za paskudne. Dopiero później oświecono mnie, że wilgoć jest jak najbardziej pożądana. Dzięki Bogu, pomyślałam, ponieważ te wszystkie wędrówki do

toalety zaczynały wyglądać podejrzanie.

Wtedy jeszcze nie mieliśmy z Jeffem zbyt wielu doświadczeń seksualnych. Dotarliśmy do trzeciej bazy, jak to mówią: mnóstwo razy próbowałam mu obciągnąć. Nigdy się jednak nie udawało, dlatego oboje odczuwaliśmy z tego powodu głęboką frustrację. Od wysiłku dostałam ramion niczym Michelle Obama, lecz poza tym niewiele dobrego z tego wynikło. Jeff miał chyba jakieś poczucie winy o podłożu religijnym, związane z uprawianiem seksu, które go blokowało psychicznie. A może to ja byłam do niczego. W każdym razie facet albo się wściekał, albo peszył. Rozumiem, że to bywa dla mężczyzny bardzo trudne. Ponieważ Jeff był moim chłopakiem i naprawdę go kochałam, któregoś razu złożyłam mu propozycję, aby onanizował się sam, przede mną, bo być może tak przewycięży wstyd. Udawałam, że wspieram ten samogwałt aż do końca, chociaż tak naprawdę przyprawiał mnie o mdłości. I się udało. Jeff się rozluźnił, a ja (wreszcie) mogłam być mu pomocna w osiągnięciu orgazmu. Było to dla mnie ważne, ponieważ chciałam uprawiać z nim seks, ale dopiero wtedy, gdy w odpowiedni sposób zaliczymy wszystkie trzy bazy. Nie wiem, dlaczego miałam to wbite do głowy. W liceum tyle się rozmawiało o zdobywaniu poszczególnych baz, że chyba uznałam, iż ta kolejność jest obowiązkowa. Poza tym wychowywałam się w środowisku, w którym uznawano, że faceci zawsze dążą do „uzyskania czegoś od nas” w sensie seksualnym. A my, dziewczęta, byłyśmy programowane tak, że albo damy tym zapędom odpór, albo zostaniemy zaliczone w poczet dziwek. Chciałam poczekać z „pójściem na całość” po prostu dlatego, że nie czułam się jeszcze gotowa. Zależało mi na jakimś okresie poprzedzającym, na wprowadzeniu do seksu. Krok po kroku.

Po tamtym pamiętnym wieczorze przy programie *Monday Night Raw* oraz udanym obciążanku kontynuowaliśmy z Jeffem nasze spotkania i cotygodniowe oglądanie wrestlingu. Zapaśnicy o ksywkach Mankind i Stone Cold Steve Austin udawali, że się biją, a my popijaliśmy sobie piwo. Pewnego razu, leżąc na łóżku przy zgaszonym świetle i gapiąc się w telewizor, poczułam, że odpływam myślami. Późna pora i treść programu plus piwo sprawiły, że na przemian zapadałam w płytki sen i się budziłam. Leżałam na plecach, niczego nie podejrzewając, i wtedy nagle Jeff zaczął palcówkę. Wcześniej przy tym nie majstrowaliśmy, dlatego jego bezpośrednia inicjatywa mnie zaskoczyła. Poczulałam ból, po raz pierwszy w takiej sytuacji, zerknęłam więc w dół i zrozumiałam, że włożył mi swój członek. To wcale nie była palcówka, tylko pełna penetracja. Bez pytania, bez pocałunków w ramach gry wstępnej, bez spoglądania mi w oczy – a nawet sprawdzenia, czy nie śpię. Wzdrygnęłam się, a wtedy on natychmiast wyszedł ze mnie i zawołał pośpiesznie: „Myślałem, że chcesz!”. Wydało mi się to bardzo dziwne, że tak stanowczo protestuje, jakby przygotował sobie to zdanie na własną obronę – a przecież nie wypowiedziałam jak dotąd ani słowa. Znów spojrzałam na dół i zobaczyłam na pościeli trochę krwi. Byłam skołowana i obolała. Zaraz potem Jeff wyszedł, a ja obróciłam się na bok i rozplakałam.

Nazajutrz przeprosił. Był bardzo zdenerwowany, powtarzał, że czuje się okropnie i że chciał się nawet zabić. Pocięłam go najlepiej, jak umiałam, bo naprawdę się o niego martwiłam. Pragnęłam, by poczuł się lepiej. Sama byłam zagubiona. Nie rozumiałam oczywiście, dlaczego Jeff tak postąpił, przeważała jednak troska o faceta,

którego kochałam, a który wydawał się załamany – chciałam mu pomóc. Przytuliłam głowę do jego piersi i zapewniłam, że wszystko jest w porządku. To ja pocieszałam jego. Powtórzę: ja go pocieszałam.

Nadal trochę krwawiłam, bolało mnie, byłam okropnie skołowana. Co się stało, to się nie odstanie, lecz na samą myśl robiło mi się niedobrze. To nie miało sensu. Przecież byłam dziewczyną Jeffa, wiele razy rozmawialiśmy o seksie, przyjmowaliśmy bardzo otwartą postawę, dyskutując na ten temat. To przecież ja pomogłam mu uzyskać spełnienie w mojej obecności. Pamiętam, że z nas dwojga to ja bardziej parlałam do seksu. Gdyby tamtego wieczoru poprosił, byśmy się kochali, prawdopodobnie bym się zgodziła. Dlatego nie rozumiałam, czemu zachował się w ten sposób. Czyżby uważał, że musi się dosłownie wcisnąć we mnie, po kryjomu? Dziś widzę z całą jaskrawością, że obcowanie płciowe wywoływało w nim wielkie poczucie winy, a także głęboki strach. Może tę właśnie metodę uznał za wolną od brzemienia winy i wstydu? A może, jak podczas sesji obciążania, tak było mu łatwiej, ponieważ ja pozostawałam bierna? Nie wiem. Tylko że podjął decyzję sam, beze mnie. Nie chodziło mu o nas, tylko o siebie. Poczulałam się smutna i zdradzona. Myślałam dotąd, że Jeffowi naprawdę na mnie zależy, jednak to, co zrobił, nie mieściło się w katalogu działań kochającej osoby. Ale, mimo wszystko, nadal pragnęłam, żeby między nami wszystko się ułożyło.

Najdziwniejsze w tym jest to, że chociaż Jeff przepraszał i powtarzał, jak źle się z tym czuje (on!), nie pamiętam, by zadał sobie trud zapytania o moje uczucia. A ja zrobiłam to, co robi większość dziewczyn, czyli ciągnęłam ten związek, ponieważ za mało wtedy wiedziałam. Na przykład że tego rodzaju seks bez obopólnej zgody zdarza się niewiarygodnie często. Wykorzystywanie seksualne jest czymś tak powszechnym, iż prowadzi się całe kampanie społeczne, aby nauczyć chłopców i młodych mężczyzn, co to znaczy uzyskać zgodę partnerki.

Tyle że ja miałam siedemnaście lat i pragnęłam podobać się swojemu chłopakowi. Nadal chciałam z nim być – i byłam. Umawialiśmy się na randki, a dwa miesiące później zaczęliśmy uprawiać regularny seks. Za drugim razem starałam się udawać, że to mój pierwszy. Poszłam nawet do pokoju mamy i opowiedziałam jej, że straciłam dziewictwo. Ale to było przecież kłamstwo; skłamałabym i teraz, mówiąc, że nie czułam się wewnętrznie pokiereszowana. Jeff zawiódł moje zaufanie – nie tylko zaufanie do niego, ale także do ludzi w ogóle. Moje marzenia o pięknej, pełnej intymnych uniesień, pamiętnej chwili, łączącej dwoje młodych ludzi, zostały mi wyrwane żywcem. On mi je zabrał. Wtedy jeszcze nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale teraz wiem, że po tym doświadczeniu coś we mnie stwardniało, i to w sposób nieodwracalny. Jeśli chodzi o seks, przez wiele lat nie umiałam być sobą, nie zaznałam tego luksusu. Bywałam zbyt defensywna, wysoko trzymałam gardę, zakładając, że facet chce mnie skrzywdzić albo zbyt wiele ode mnie wziąć. Poza tym pozwalałam sobie na impertynencję – do tego stopnia, że podczas aktu wydawałam się rozkojarzona, jakby seks nic dla mnie nie znaczył. Powtarzałam sobie, że mogę się kochać z każdym facetem, którego zapragnę, nawet jeśli nic mnie nie obchodzi. Żadna z tych wersji mojej osoby nie była prawdziwa.

Dziś chciałabym powiedzieć, że moje życie seksualne wreszcie jest wolne od kompleksów, nieśmiałości i postawy obronnej. Lecz nie mogę. Tylko będąc

w prawdziwym związku z mężczyzną, opuszczam gardę. Ta ja chcę być tą, która podejmuje wszystkie decyzje. Żeby seks sprawiał mi przyjemność i odbywał się beztrudnie, muszę być z kimś dłużej i całkowicie mu ufać. Jeśli tak jest, to go uwielbiam. To znaczy seks. Zdecydowanie jestem pieprzną laską. Jednak moje pierwsze doświadczenie pozbawiło mnie niefrasobliwego podejścia do tej kwestii; nie zapowiadało również, że stanę się tym, kim jestem. Kobiety, tak samo jak mężczyźni, zasługują na radość z obcowania płciowego i realizowania się na własnych warunkach.

Bardzo dużo dziewczyn przeżywa swój pierwszy raz tak jak ja – albo jeszcze gorzej. Niektóre z nich budzą się i stwierdzają nagle, że ich chłopak (albo nawet kolega) właśnie uprawia z nimi seks. Inne stają się ofiarami brutalnych aktów przemocy, bądź to we własnych domach, bądź w miejscach publicznych. Jedna na sześć kobiet zostaje zgwałcona, przy czym czterdzieści cztery procent z nich ma mniej niż osiemnaście lat.

Ilekcóż ktoś mówi publicznie, że został wykorzystany seksualnie, mniejsza o to jak, zawsze obserwujemy rozmaite ludzkie reakcje. Myślę, że również niniejszy rozdział spotka się ze zróżnicowanymi opiniami czytelników. Niektórzy uznają zapewne, że przecież nic wielkiego się nie stało albo że była to wyłącznie moja wina, ponieważ wcześniej piłam alkohol i leżałam w łóżku obok własnego chłopaka.

Czyż to nie smutne, że gdy dziewczyna opowiada o nadużyciach seksualnych wobec siebie, wiele osób od razu podejrzewa ją o kłamstwo? A tymczasem zarówno fakty, jak i statystyki mówią nam coś zupełnie innego. My zaś żądamy, aby ofiary były nieskazitelne, to znaczy: aby nie spożywały alkoholu, nie przychodziły na imprezę w krótkich spódniczkach bądź sukienkach odsłaniających to i owo albo żeby nie ciągnęła się za nimi opinia, że lubią seks.

Jeśli chodzi o sytuację opisaną wyżej, fakty pozostają oczywiste, przynajmniej dla mnie – on we mnie wszedł bez mojej zgody.

Wiele dziewczyn milczy na temat swoich doświadczeń. To ich wybór. Ja mówię o tym otwarcie, ponieważ nie chcę, aby wasza córka, siostra lub przyjaciółka przeżyły kiedyś taki pierwszy raz. Zamierzam wykorzystać swoją pozycję i powtarzać ludziom, że przed stosunkiem płciowym muszą mieć pewność, iż ta druga osoba się na to zgadza. Mam nadzieję, że wszyscy rodzice rozmawiają na ten temat ze swoimi dziećmi, że uczulają je, jak ważna jest świadoma decyzja. A gdy już to robicie, to bardzo was proszę: nie popełnijcie tego samego błędu, jaki popełniła moja matka. Nie dyskutujcie o tak istotnych sprawach nad miską zupy rybnej, bo to jest po prostu paskudne i odrażające.

Żałuję, że nie porozmawiałam wtedy z kimś dorosłym albo z którymś z moich rodziców, bo może poradziłabym sobie z poczuciem zagubienia i zdrady. Żałuję, że nie walczyłam o siebie i nie powiedziałam Jeffowi, że to, co zrobił, było złe. Nie tak to wszystko miało wyglądać. Nie chcę, aby czytelnik pomyślał sobie teraz: *Mój syn nie jest cholerykiem, nie wylewa łez wściekłości nad kanapką z panierowaną rybą, więc raczej rozumie, że zanim włoży dziewczynie penisa, musi mieć jej zgodę.* A jednak te rzeczy zdarzają się tak często, że po prostu trzeba o nich rozmawiać. Wszyscy powinni pojąć, że nie ma żadnych usprawiedliwień dla gwałtu. Ci, którzy się go dopuszczają, muszą ponieść konsekwencje swojego czynu. Kiedyś przygotowałam stand-upowy występ na ten wstydlivy temat. Zatyłowałam go „Gwałt w szarej strefie”, bo przecież nie napadł na

mnie żaden narkoman, wyskakujący z krzaków w Central Parku, nie musiałam krzyknąć „nie”, nie doświadczyłam pospiesznych pompek na swoim ciele, dopóki nie skończył. Jeff był w moim wnętrzu bardzo krótko, ale to nie powinno tak wyglądać. Dziewictwo nie jest czymś, co się „traci” lub „oddaje”. Seks jest dzieleniem się sobą. Mój pierwszy raz nie musiał być idealny, ale chciałam przynajmniej wiedzieć, że się akurat wydarza. Albo mieć swój udział w podjęciu decyzji. Tymczasem Jeff po prostu poczęstował się moim dziewictwem – i coś się we mnie nieodwracalnie zmieniło.

Czego o mnie nie wiecie

Stworzenie listy rzeczy, których o mnie nie wiecie, jest dość trudne, ponieważ jestem jak otwarta księga. Ale oto rezultat moich wysiłków:

Mam brzydką bliznę na lewej nodze po wypadku na desce surfingowej, z czasów gdy byłam nastolatką. Myślę, że blizna jest fajna, ale w głębi ducha obawiam się, że wcale nie – że jest ohydna.

Znam język migowy. Nie perfekcyjnie, jednak mogę się całkiem dobrze w nim komunikować. Przekonałam się boleśnie, że nie wszyscy głusi chcą ze mną gadać tylko dlatego, że umiem migać.

Przerażają mnie pająki, a na widok fretki chce mi się wymiotować.

Nie mam alergii na żaden pokarm, chociaż od bakłażanów bolą mnie usta.

Mam wargi sromowe wewnątrz-, nie zewnątrzskrętne.

Używam środka antykoncepcyjnego o nazwie NuvaRing. (Nigdy nie dostałam pieniędzy za jego reklamowanie, a uważam, że powinnam. Tak samo w przypadku Chardonnay Rombauer).

Nigdy nie byłam w ciąży, chociaż wyglądam, jakbym była.

Nigdy nie uprawiałam seksu analnego. (Chętnie bym spróbowała, ale podobno nie wolno nic jeść na kilka godzin przed, co nie wchodzi w grę).

Nikt nigdy nie spuścił mi się na twarz (choć sądzę, że wszędzie indziej – owszem).

Moja ulubiona potrawa to spaghetti z parmezanem. Lubię ją jeść, zapadając w sen.

Skakałam ze spadochronem, ale mi się nie podobało, ponieważ trzeba **WYSKOCZYĆ Z TEGO PIEPRZONEGO SAMOLOTU**.

Nie chodzę już do synagogi, akceptuję jednak fakt, że jestem Żydówką. Lubię też najohydniejsze żydowskie żarcie, w rodzaju białej sałatki rybnej w bajglu czy ryby w galarecie.

Darzę sympatią swoje stopy i uszy. Wiem, że mam bardzo małe usta, ale i tak mi się podobają. Dzięki temu uniknęłam zrobienia laski paru facetom.

Moi ulubieni żyjący aktorzy to Samantha Morton oraz Mark Rylance.

Lubię palić trawkę, a także lubię palić trawkę...

Parę razy spożywałam grzybki (odjaaaaazd).

Nigdy nie brałam ekstazy, kokainy ani kwasu. Ale czuję się tak, jakbym je wszystkie zażyła.

Uwielbiam Ani DiFranco. Wkrótce zrobi się wam od tego niedobrze, gdyż Ani pojawi się w tej książce jeszcze nieraz. Chodzę na jej koncerty, odkąd skończyłam trzynaście lat. Ale nie chcę jej osobiście poznać, bo zaczęłabym beczeć i miałyby przeze mnie fatalny dzień.

Nie znoszę głosu Roda Stewarta.

A siódmą rzeczą, której o mnie nie wiecie, jest to, że świetnie radzę sobie z liczbami.

Siostra, przygotowując się do obrony pracy magisterskiej z psychologii, sprawdziła mój iloraz inteligencji. Wyszło jej, że w jednej połowie kategorii badawczych jestem genialna, a w drugiej – poznawczo upośledzona.

Spałam dotychczas z dwudziestoma ośmioma facetami. Nie pamiętam imion ich wszystkich, tylko ksywki, które im nadałam (Trzecie Jądro, Facet Pitbull, Kuzyn Stefan – żart, żart, żart, żart).

Kiedyś na wuefie udawałam, że wpadłam do wykopu, żeby wymigać się od biegu na jedną milę. Leżałam sobie w piachu, dopóki mnie nie znaleźli.

Moją ulubioną poetką jest Anne Sexton, a ulubionym wierszem *Admonitions to a special person*.

Jeśli czegoś mam bardzo dużo, to tym czymś jest wino, ale proszę, nie przestawajcie przysyłać mi kolejnych butelek.

Książkę *Tortilla Flat* czytałam dziesięć razy, nie bez powodu. Film *Genialny klan* obejrzałam razy sto.

Moją ulubioną sceną filmową jest ta, w której Billy Crudup poznaje postać graną przez Samanthę Morton podczas imprezy odbywającej się w biały dzień. Chodzi o obraz *Syn Jezusa* i ona tańczy do utworu *Sweet Pea*.

Jeśli chodzi o melanże, to najczęściej znajdziecie mnie w... domu. Nie cierpię imprez.

Najwięcej myśli poświęcam swojej rodzinie.

Mam słabość do facetów ze szparką między zębami.

Moja prababka ze strony ojca przemyciała alkohol do Nowego Jorku.

Sama nie wiem, kiedy śmiałam się najserdeczniej w życiu, ale to musiało być razem z siostrą.

Najlepszym zakupem, jakiego kiedykolwiek dokonałam, było wygodne łóżko.

Zawsze odmawiam przyjęcia dwóch rzeczy, które mi się proponuje: kokainy i szynki.

Zasadniczo nie cierpię zwiedzania muzeów, z wyjątkiem Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej. Lubię dinozaury i żywe przedstawienia zwierząt. Poza tym w sklepiku sprzedają tam lody astronautów.

Moim ulubionym miejscem w Stanach Zjednoczonych jest Nowy Orlean. Muzyka, jedzenie i ludzie są tam najlepsze. Moim ulubionym miejscem poza krajem jest Altea, mała wioska rybacka w Hiszpanii.

Nienawidzę horrorów, ponieważ bardzo się przy nich boję, ale o tym zapominam i niechętno je oglądam. Potem wymyślam jakiś pretekst, byle tylko siostra spała ze mną w pokoju. Ona z reguły nie ma nic przeciwko temu, ale to dlatego, że straszna ofiara losu ze mnie.

Nie wiem, czy chciałabym mieć dzieci. Możliwe, że nie.

Jedną z moich ulubionych rozrywek jest bywanie z Amber Tamblyn w klubach, gdzie gibam się i wyginam najlepiej, jak potrafię.

Nigdy nie byłam z dziewczyną, z wyjątkiem sytuacji zaaranżowanej dla mojego programu telewizyjnego, aczkolwiek wydaje mi się to ciekawe. Związku z punktem 39 brak.

Medytuję dwa razy dziennie po dwadzieścia minut. Pomaga mi to oczyścić umysł i pozbyć się stresu, ponadto dodaje energii.

Pewnego razu pojechałyśmy z siostrą na Oktoberfest do Monachium, gdzie

zakradaliśmy się do różnych namiotów, bawiąc się jak nigdy w życiu.
Jestem patologicznym kłamcą.
Żartowałam.

Złego słowa nie powiem o kantowaniu

Całe życie byłam i jestem kanciarą. Wiem, że myślicie sobie teraz: *Nie zapędzaj się, Amy, to tekst Jaya Z, nie twój.* Ale to prawda. Nie można być satyrykiem i skłaniać kompletnie obcych sobie ludzi do śmiechu, nie będąc jednocześnie szalbierzem. Moje oszustwa są bardzo silnie zakorzenione. Od samego początku. Istnieją dowody na to, że skłonność do kantowania ujawniła się u mnie już w pierwszych miesiącach życia. Jak większość niemowląt nie sypiałam zbyt dobrze, a już z całą pewnością nie lubiłam zostawać w pokoju sama. Wpadłam więc na pomysł, jak podstępem zmusić mamę do sypiania na podłodze, tuż obok mnie. Darłam się wniebogłose i nie odpuszczałam, dopóki nie pojawiła się dokładnie tam, gdzie sobie życzyłam, i w porze, która mi odpowiadała. Oczywiście tata traktował moje wyczyny z niechęcią, jednak ten imponujący trik udawało mi się realizować przez wiele miesięcy, dyktując ludziom kilka dziesięcioleci starszym ode mnie, gdzie i kiedy mają spać. Frajerzy!

Dopuszczałam się kantów również w kwestii jedzenia, ponieważ – podobnie jak zwierzątka domowe czy kilkuletni malcy – jestem motywowana żywieniowo, co chyba warto o mnie wiedzieć. Może się przydać. Już jako dziecko potrafiłam skutecznie zabiegać o pokarm. Mając dwa lata, nauczyłam się otwierać kredens w kuchni i wyzerać schowane tam płatki Cheerios. Jako sześciolatka okłamałam mojego dobrotliwego dziadka, łżąc mu w żywe oczy, że mama pozwoliła mi wziąć jeszcze jeden jogurt. Wrobiłam go, poniósł odpowiedzialność, wszystko się między nami zmieniło. Co gorsza, wciąż taka jestem. Nie dalej niż w zeszłym tygodniu, kiedy o pierwszej w nocy wychodziłam z mieszkania Kim po wspólnym obejrzeniu jakiegoś programu w telewizji, siostra przyłapała mnie na kradzieży torebki z popcornem, którą zgarnęłam z jej spizarki i chciałam zabrać sobie do domu.

W dzieciństwie troszkę oszukaństwa jest, och, po prostu niezbędne. Człowiek ma tak mało kontroli nad wszystkim: co je, w co się ubiera, dokąd chodzi, z kim albo w co się bawi. Istny koszmar. Dlatego dość wcześnie zaczęłam wypracowywać strategię negocjowania warunków z dorosłymi. Bywając u koleżanek, dysponowałam znaczną siłą oddziaływania, gdyż ich rodzice nie przywykli do mojej strategii. Spoglądałam tym ludziom głęboko w oczy, poważna jak zawał serca, i zwracając się do nich po imieniu, realizowałam własne założenia negocjacyjne. „Słuchaj, Lauro, razem z twoją piękną córeczką mamy teraz zamiar zjeść po miseczce lodów, bo samo ciastko nam nie wystarczy. Przyniesiesz je czy ja mam to zrobić?” Nie tylko Laurze, lecz wszystkim rodzicom opadały szczęki. Wydawali z siebie nerwowy śmiech i odpowiadali: „Ha, ha, ha... Amy, mów do mnie »pani Booker«”. Na co ja replikowałam: „Wiem, jak się nazywasz, Lauro. A teraz możesz podstawić mi jakiś stółek, żebym dosięgła zamrażarki i wyjęła nasz drugi deser?”

Czasami tego typu próby dobicia targu wywoływały u dorosłych prawdziwy śmiech, co dawało mi poczucie najprawdziwszej mocy – jakbym była jedną z nich i sprawowała kontrolę nad sytuacją. Dotyczyło to zwłaszcza mężczyzn, którzy normalnie zasądziłiby wobec mnie najwyższy wymiar kary. Czy był to nauczyciel, na którego lekcji

gadałam, czy gliniarz, który przyłapał mnie z piwem w papierowej torebce na plaży, za każdym razem czułam, że mogę się wywinąć tylko w jeden sposób – śmiechem. Wtedy struktura władzy i zależności waliła się w ciągu paru sekund. Moim najważniejszym kanciarstwem i ostateczną bronią stał się dowcip! Pewnego razu, gdy pan Simons, mój nauczyciel w liceum, nie pozwolił mi pójść do toalety (no dobra, tak naprawdę to chciałam się spotkać w holu ze swoim chłopakiem, a pan Simons mnie przejrzał), rzuciłam głośno przed całą klasą: „No to super, panie profesorze. W takim razie nigdzie się stąd nie ruszę, chociaż czuję, że krew menstruacyjna cieknie mi z pochwy. Zaraz przesiąknę przez majki na krzesło”. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, pan Simons poczerwieniał, a ja, dłużej nie czekając – wybiegłam truchtem z klasy.

Dziś powiedziałabym, że poza rozbawianiem całkiem sporej widowni największym przejawem kanciarstwa w moim życiu były kradzieże sklepowe, których się dopuszczałam jako nastolatka. Nie jestem z tego dumna – ostatecznie poniosłam nawet dotkliwą i spektakularną porażkę. Lecz chyba nie żałuję, ponieważ – jakkolwiek dziwnie to zabrzmie – z tego procederu wyniosłam niemałe korzyści i wiele się dzięki temu nauczyłam. Sklepowe kradzieże pozwalały mi bowiem wyostrzać instynkty i uczyć się brania z życia tego, na co zasługiwałam. Nie zrozumcie mnie źle, nie akceptuję takich zachowań. Z tamtego doświadczenia wyciągnęłam jeden ważny wniosek, który brzmi: NIE KRADNIJ. Wiem, że kiedy ktoś udziela nam mądrej rady, aby chwytać życie za jaja i korzystać ze wszystkiego, co się nam należy, ma z reguły na myśli to, byśmy domagali się zasłużonego awansu w pracy albo wyrwali troszkę „czasu dla siebie”, a nie rabowali słynny dom towarowy jak leci. Tylko że ja, będąc nastolatką, brałam powyższe rady dosłownie.

Zaczynałam od kradzieży tu i tam paru cukierków, nic poważnego. Wiele osób, wspominając swoje złodziejskie przygody (rzecz typowa wśród nastoletnich dziewczyn), przyznaje się na przykład do zwędzenia tanich kolczyków albo jakiegoś czasopisma, co zresztą budzi w nich ogromne poczucie winy. Ja nigdy nie doznałam takich uczuć, gdyż obrałam sobie za cel wielkie sieciówki. Nigdy nie zwinęłam niczego z małego, rodzinnego interesu ani żadnej realnej osobie. (Nawet teraz waham się mówić znajomym o moich sklepowych ekscesach, bo jak coś im zginie, zaraz zaczną podejrzewać mnie. Ale naprawdę, nigdy niczego nie ukradłam konkretnej osobie. Oprócz jedzenia. Z kuchni Kim).

Jeszcze przed liceum osiągnęłyśmy z koleżankami wyższy poziom deprawacji – w galeriach handlowych kradłyśmy stroje kąpielowe, ponieważ nie zabezpieczały ich czujniki, a poza tym łatwo je było schować. Z drogerii wynosiłyśmy kosmetyki do makijażu. Nie dlatego, żebyśmy tych rzeczy potrzebowały; jeszcze się nie malowałyśmy, a na basen chodziłyśmy rzadko. Kradłyśmy, bo to było fajne uczucie, wydawałyśmy się sobie takie mocne. Białe dziewczyny z dobrych dzielnic też mają czasem ochotę narozrabiać. Nawet jeśli oznacza to obrabowanie sklepu firmowego J.Crew z jednoczęściowego kostiumu kąpielowego w kratkę. Trudno się mówi. Można chyba powiedzieć, że jeśli coś ukształtowało mnie jako niepokorną nastolatkę, to właśnie owe lśniące błyszczki do ust o smaku grejpfrutowym, które kradłam na okrągło.

Pierwszy raz złapano mnie na gorącym uczynku, kiedy miałam czternaście lat

i wybrałam się ze swoją drużyną siatkarską na turniej do Sacramento. Udział w rozgrywkach siatkarskich oznaczał, że po zakończeniu normalnego sezonu w liceum nadal trzeba było jeździć i toczyć boje z młodzieżą z innych szkół. Oznacza to, że nigdy nie przestawało się grać w tę siatkę, co z pewnością ukształtowało moje późniejsze podejście do pracy (poza tym dzięki sportowi oszczędziłam dobre kilkanaście kilogramów na wadze), ale traciłam mnóstwo dobrej zabawy w weekendy. Wylewałam siódme poty w słabo oświetlonej sali gimnastycznej, jadałam makaronowe sałatki i wykorzystywałam każdą wolną chwilę między meczami, aby się trochę przekimać. Nawet teraz, będąc w szkolnej sali gimnastycznej, robię się śpiąca i rozglądam się za sałatką z makaronem. Zresztą mam tak w każdej salce sportowej. Albo w bibliotece. Albo w domu. Prawie wszędzie.

A zatem większość moich weekendów w liceum przedstawiała się następująco:

Zbiórka w soboty o piątej rano, a potem podróż na jakieś zawody, trwająca od dwóch do pięciu godzin.

Przyjazd, rozgrzewka i mecz, po którym najczęściej byłyśmy wyeliminowane z dalszych rozgrywek.

Nagła świadomość, że jeśli (Boże, uchowaj) uda nam się dotrzeć do finału, to mecz potrwa jakieś dwanaście godzin, a potem dostanie się nam mały, plastikowy puchar, który człowiek będzie musiał ze sobą targać przy każdej kolejnej przeprowadzce, dopóki go wreszcie nie wyrzuci, pełen odrazy, mając lat dwadzieścia cztery.

Jeśli się zastanowić, wszystko to przypominało jakiś film albo program w telewizji: z tym jednak wyjątkiem, że rodzice byli stale gdzieś w pobliżu, a ponieważ nie należałyśmy do żadnego związku zawodowego, musiałyśmy grać i grać, aż zedrzymy sobie te maleńkie nakolanniki do cna bądź wykrwawimy się na śmierć. Jadałyśmy to, co nam dawano, a nasi rodzice prześcigali się, by zrobić na wszystkich jak najlepsze wrażenie. W tamtym okresie kwestie zdrowego odżywiania nie były na pierwszym planie, dlatego tuż przed wyjściem na boisko wpychano w nas wielkie kanapki z drobiowymi kotletami oraz makaron.

Ale wróćmy do kradzieży w Sacramento. Chodziłyśmy sobie wtedy z koleżankami z drużyny po mieście i zwiedzałyśmy jego zakamarki. Wylądowałyśmy w dzielnicy zwanej Starym Sacramento, pełnej sklepów oferujących gówniane pierdółki dla turystów: kieliszki do wódki, kubki do kawy, T-shirty z nazwą miasta albo z zabawnymi hasłami w rodzaju: „Nie jestem gejem, ale mój chłopak tak”. Kraść zaczęłam kilka miesięcy wcześniej, zdążyłam więc wyrobić już sobie niezłą reputację wśród najbliższych koleżanek. Jednakże laski ze szkolnej drużyny siatkarskiej nie znały mnie od tej strony i nie wiedziały, że jestem taka zajebista. Nie mogłam się już doczekać, aby im to udowodnić.

Bardzo zależało mi na sympatii trzech najfajniejszych dziewczyn z drużyny, dlatego zawołałam je i opowiedziałam, w jaki sposób nauczyłam się kraść. Były pod wrażeniem, że traktuję tę sprawę jako coś zupełnie błahego. Zaczęłyśmy sporządzać ranking najbardziej pożądanych sklepowych artykułów: niesymetrycznie farbowane koszulki z napisem „Wspieram koedukacyjnego lacrosse’a nago”, śnieżne szklane kule oraz, oczywiście, cieszące się popularnością kieliszki do wódki z hasłami w stylu:

„Pierwsza tequila, druga tequila, trzecia tequila, PODŁOGA”. (Kto wymyśla takie rzeczy? Czyżby sam Mark Twain?)

Na obrabowanie Starego Sacramento zasadziło się łącznie sześć dziewczyn z naszej drużyny. Gdy było po wszystkim, poszłam do pokoju w hotelu i wysypałam zdobyte skarby na łóżko. Z dumą spoglądałam na swoje trofea. Pamiętam, że wszystkie te rzeczy nie kosztowały więcej niż dolar dziewięćdziesiąt dziewięć centów za sztukę. Lecz przecież nie dla mnie! Ja miałam je za darmo!

Tak się złożyło, że na te konkretne zawody przyjechała również moja mama, w charakterze opiekunki młodocianych. Do hotelu dotarła wieczorem. Weszła do mojego pokoju, przytuliła mnie i oznajmiła, że ma przykrą wiadomość. Otóż parę zawodniczek z naszej drużyny zostało przyłapanych na sklepowej kradzieży. Zabrano je na komisariat. Mama była tym faktem głęboko zdegustowana. Udawałam niewiniątko, między innymi dlatego, że nie chciałam sprawić jej zawodu. Poza tym zwyczajnie się bałam, że mnie również zwiną i będę zmuszona oddać swoje nowe drogocenne skarby (zwłaszcza ten niesamowity kapelusz z wszytymi sztucznymi dredami).

Rano znalazłam trzy laski, które wpakowałam w bagno; okazało się, że zawody spędzą na ławce rezerwowych. Nie spały całą noc, płakały. Patrzyły na mnie wzrokiem, który mówił: „Jak mogłaś nam to zrobić, Amy?”. Na ich twarzach malowała się złość. Nienawidziły mnie. Cały mój plan pozyskania ich sympatii skończył się znacznie gorzej, niż mogłabym sobie wyobrazić.

Na szczęście dziewczynom nie groziło nawet założenie kartoteki kryminalnej, ponieważ były jeszcze nieletnie. Ale i tak chodziły wściekle. Szczerze mówiąc, ja też byłam na nie trochę zła, że tak strasznie spieprzyły sprawę. *Pierdolone żóltodzioby*, myślałam. *Już nigdy nie wezmę ich pod swoje doświadczone złodziejskie skrzydła*. Potem jednak, przypomniawszy sobie, że wszystkie należymy do Stowarzyszenia Wędrujących Siatkarskich Trykotów, doszłam do wniosku, że dla dobra tych dziewczyn (oraz własnego) powinnam się przyznać do współudziału w kradzieżach. Czy jest coś takiego jak złoczyńca z sumieniem?

Jak się można było spodziewać, i ja wylądowałam na ławce rezerwowych. Stałam za linią boiska z nakolannikami wokół kostek u nóg, z trudem znosząc wrogie spojrzenia dziewczyn, na których aprobacie tak strasznie mi zależało. Przebyłam całą tę drogę z Nowego Jorku do Sacramento po to, aby nawet przez chwilę nie zagrać w siatkówkę i zdobyć parę ohydnych kieliszków, które przez następne siedem lat będę mogła napełniać wyłącznie wodą. Myślę, że dostałam to, na co zasłużyłam. Sympatii, popularności ani czyjegoś uczucia nie da się kupić ani ukraść; trzeba na nie zasłużyć w bardzo staroświecki sposób. Nie taki, jak w Starym Sacramento. Mam wrażenie, że w tamten weekend odebrałam cenną lekcję na temat gry zespołowej, więzi między kobietami oraz przyjaźni. Lecz niestety nie przestałam kraść. Jeszcze. Aby tak się stało, musiałam skończyć jako przestępczyni z kartoteką kryminalną.

Wszystko zdarzyło się w pewnym eleganckim butik. Powiedzmy, że nosił nazwę Schloomingdale's. Sprawy wymknęły mi się wówczas spod kontroli. W tamtym okresie moja rodzina przechodziła ze statusu nowobogackich do bezpieniężnych i nie stać już nas było na kupowanie niepotrzebnych rzeczy, które każda nastolatka uważa za niezbędne.

Dlatego wykorzystywałam swoje nieźle wyćwiczone umiejętności szalbiercze do pozyskiwania tego wszystkiego, czego razem z Kim „potrzebowałyśmy”. Korzyści były obopólne: Kim mogła kanalizować nastoletni bunt, a ja zdobyć jakiś jednoczęściowy, biały kombinezon na własność! Zaczęłyśmy w to wchodzić coraz bardziej. Istotne było również przeświadczenie, że możemy robić, co chcemy, i nikt nam w tym nie przeszkodzi. Nie uważam, aby ten epizod – kradzieże drogich ubrań – był w jakikolwiek sposób zabawny albo zasługujący na poklask, ale nie był również niczym zaskakującym. Kiedy jest się nastolatką, zwłaszcza z rodziny rozbitej i bez pieniędzy, doznaje się nagle nowej, bolesnej, szokującej świadomości, jak mało się znaczy dla świata. Gorzej nawet: zaczynałam rozumieć, że coraz bardziej zbliżam się do tej krawędzi – do miejsca, w które większość kobiet dociera podczas studiów albo w swojej pierwszej pracy – kiedy zdajemy sobie sprawę, iż nie tylko bardzo mało znaczymy teraz, w tej chwili, ale że jest to chyba moment, gdy znaczymy najwięcej w całym swoim życiu i nigdy już nie będziemy ważniejsze. Odtąd jest droga tylko w dół. Masz osiemnaście lat i ostatnią szansę BRĄTO, CO SIĘ DA. Wiem, że to żadne usprawiedliwienie dla sklepowych kradzieży. Naprawdę nie uważam tego procederu za coś fajnego, ale nie powinno również nikogo szokować, że dzięki niemu czułyśmy się potężne i niezwyciężone.

Tak więc po kilku udanych akcjach uznałyśmy się z Kim za poważne przestępczynię, dokonujące wielkich skoków. Nasza metoda działania polegała na tym, że zabierałyśmy dwa identyczne artykuły do przebieralni, potem jeden wkładałyśmy do torby lub pod ubranie, a drugi odwieszałyśmy na miejsce.

„I jak? Pasuje?”, pytały zwykle dziewczyny z obsługi.

„Nie bardzo”, odpowiadałam, udając dezaprobatę dla samej siebie, jaką odczuwa większość kobiet wychodzących z przebieralni. Tak naprawdę jednak rozkoszowałam się realizacją swego genialnego planu, streszczającego się w słowach „weź dwa, zwiń jedno”. Pewnego dnia ten rzekomy geniusz zetknął się jednak z brutalną rzeczywistością: wraz z siostrą znalazłyśmy się na tylnej kanapie policyjnego radiowozu.

Otóż chodziłyśmy sobie po domu towarowym Roosevelt Field na Long Island – typowej galerii handlowej, może troszkę bardziej eleganckiej niż większość innych. Pojawiły się w niej już sklepy marek Gucci i Valentino. Z reguły bywało tam pustawo, dlatego postanowiłyśmy z Kim pokręcić się przy bardziej dziadowskich wystawach, gdzie panował znacznie większy ruch. Na przykład w okolicach Hot Topic albo przy precelkach Auntie Anne’s. Te miejsca bardziej nam odpowiadały.

Przechodziłyśmy właśnie obok butik Schloomingdale’s, kiedy Kim powiedziała nagle: „Musimy tam wejść. Przecież baaaardzo łatwo jest im zabrać wszystko, co się chce. Zwłaszcza bieliznę!”. Powinam była pomyśleć wtedy tak: „To zły pomysł. Zupełnie nie mamy rozeznania w tym sklepie, a chyba nie chcemy skończyć za kratkami”. Ale tylko jęknęłam w duchu: *Oooooch, przecież człowiek potrzebuje bielizny!*

Postanowiłyśmy zatem przeniknąć do środka i zrobić to, co zwykle. Więcej nawet. Poszłyśmy w tango, na cały gaz, zajebicie, bez ograniczeń. Nie poprzestałyśmy na samej bieliznie. Brałyśmy kurtki, szaliki... A to co? Czyżby Dolce & Gabbana wypuścili nowe perfumy? Jednoczęściowe body w lamparcie cętki? Ależ proszę, nie krępuj się. Top z kaszmiru? Dżinsy Seven? No cóż, chyba mam prawo mieć coś takiego! Kim nie mogła

oderwać oczu od bezręknika ozdobionego symbolem dolara; niech sobie dobierze do niego spodnie od pizamy o białych, szerokich końcach nogawek, podobnych do serwetek – czemu nie? A jeśli teraz nie weźmie tego turkusowego stanika bez ramiączek, to już nigdy nie będzie mieć szansy, by go posiadać. Dziś albo nigdy! I jeszcze prawdziwy gwóźdź programu: skórzana fedora! Wszystkie te rzeczy zabrałyśmy ze sobą do przebieralni.

Pamiętam, że z trudem wcisnęłam się w za małe spodnie marki Guess, jednocześnie czule pieszcząc wzrokiem kombinezon od Juicy Couture. *Zostawię go sobie na specjalne okazje*, pomyślałam. W naszych żyłach buzowała adrenalina, kiedy jak dwie maniaczki bardzo starannie usuwałyśmy metki cenowe ze wszystkich artykułów. Wyjęłam z pudełka flakonik perfum i schowałam go do kieszeni płaszcza. *Tak trzymać, genialna dziewczynko*, powtarzałam sobie w myślach i już poklepywałam się po ramieniu. Wszystkie metki po rzeczach, których dumnymi właścicielkami miałyśmy się za chwilę stać, wsadziłyśmy do pustego pudełka po perfumach, a same, obładowane, gotowałyśmy się do wyjścia. Uśmiechnęłyśmy się do siebie, przytuliłyśmy, wzięłyśmy głęboki oddech i otworzyłyśmy drzwi.

Minęłyśmy ładną dziewczynę, szatynkę o włosach do ramion oraz ciemnych oczach, która czaiła się w korytarzu. *Śliczna*, pomyślałam, *ale ma złą energię*. Zmierzałyśmy z Kim w kierunku wyjścia z butiku Bloomingd... – o rany, prawie się wsypałam! – skąd otwierała się droga do pozostałej części galerii. Trzymałyśmy się za ręce, a w naszych żyłach płynęły te same związki chemiczne, których działanie zna każdy hazardzista, każdy kierowca Formuły 1 oraz Tom Cruise. Odważnie kierowałyśmy się w stronę czujników. Nie zareagowały. Udało się. Sukces. Serce waliło mi młotem, ale nie pociłam się ani nie zachowywałam podejrzenie (w końcu byłyśmy już profesjonalistkami). Idealny rajd. A w dodatku posiadałyśmy bilety na występ naszej ulubionej wokalistki, Ani DiFranco, który miał się odbyć jeszcze tego samego wieczoru. Jaki nowy strój zechcę na siebie włożyć? Z pewnością trzeba dać szansę na debiut tej skórzanej fedorze!

I wtedy...

Otoczyło nas pięć ubranych po cywilnemu osób. Wśród nich dziewczyna spod przebieralni oraz facet, do którego się uśmiechnęłam, chodząc wcześniej po sklepie. Niezła zbieranina. Niczym w tej scenie z filmu *Blow*, gdzie nagle się okazuje, że wszyscy kelnerzy to agenci DEA. Ci tutaj odcięli nam drogę, krzycząc: „Stać, ani kroku dalej!”, ale nas nie dotykali. (Jak się później dowiedziałam, pracownikom placówek handlowych nie wolno wejść w kontakt fizyczny z podejrzanym. Dlatego do dziś żałuję, że wtedy nie zwałyśmy. Gdybym miała tę świadomość, zmieniłybyśmy się obie w Forresta Gumpa i spieprzałybyśmy z tej galerii, nie oglądając się za siebie aż do samego oceanu bądź do spotkania z Robin Wright).

Tymczasem oni blokowali nas w ten dziwny, jedynie dozwolony sposób, aż pojawili się funkcjonariusze ochrony i nas przejęli. Zostałyśmy zaprowadzone do pokoiku w części magazynowej. Gdy dziś wspominam ten moment, mam czczą pustkę w żołądku. Przełączyłam się wtedy na tryb starszej opiekuńczej siostry, ponieważ martwiłam się, jak Kim zniesie tę sytuację, ale przede wszystkim było mi okropnie wstyd. Przyłapano nas.

Nie miałyśmy szans, żeby zwać z tego małego pomieszczenia. Nie mogłam uratować siostry. Tym razem moje dowcipy nie gwarantowały uniknięcia tarapatów. Musiałyśmy się poddać.

Do pokoiku, w którym nas trzymano, weszło pięciu sklepowych detektywów i nagle zrobiło się ciasno. Śmiali się, gratulowali sobie sukcesu, trochę nam docinali. To było upokarzające. Kim nie wyglądała najlepiej: ona, moja mała, śliczna partnerka w zbrodni, przeżywała tę sytuację znacznie silniej ode mnie, czego byłam świadoma. Całkiem niedawno udało jej się wypracować sprawdzony (aczkolwiek trochę zatrważający) mechanizm radzenia sobie z problemami w rodzinie, ze stresem i lękiem – za pomocą wewnętrznego wycofania. I stała się w te klocki niebezpiecznie dobra. Dosłownie odcinała się od całego otoczenia, wpadając w pewnego rodzaju katatonię. Widziałam, że zaczyna już odpływać, że mi znika. Musiałam coś zrobić.

I wtedy uruchomiło się we mnie prawdziwe szachrajstwo. Zrobiłam coś, czym prawie zawsze udawało mi się łagodzić fatalne sytuacje: doprowadziłam ich do śmiechu. Rozbawiłam wszystkich. Gdy ochroniarze rozkładali na podłodze sztuki odzieży, którą próbowałyśmy zwędzić, aby oszacować jej wartość, przeszłam do ofensywy. Wskazałam na flanelowe spodnie w kratkę, ukradzione przez Kim. „I na jaką okazję zamierzałaś je włożyć, Kim? Zapisalaś się do country klubu, czy co?” Grałam komedię inwektyw. Nabijałam się z siostry, podkreślając, jak fatalną jest złodziejką. Staralam się ją pocieszyć żarcikami z jej marnego gustu. I w końcu się zaśmiała, więc pozostała obecna w swoim ciele.

– Kradzież mienia o dużej wartości! – oznajmiła ładna brunetka, a ochroniarze zaczęli przybijać sobie piątki. Domyśliłam się, że im poważniejszy zarzut, tym większe premie. Drzwi otworzyły się nagle i do środka wszedł facet w średnim wieku, z twarzą pitbulla i nadmiernie rozbudowanym torsem. Włosy na skroniach miał szpakowate, resztę ciemną. Emanował zadowoleniem z siebie, jak ktoś, kto pracuje w Genius Bar, wsparciu technicznym firmy Apple, i akurat jest dzień, w którym wypuszczono na rynek nowy produkt.

– Więc myślałyście, że możecie tak po prostu wejść do mojego sklepu i go okraść? Oczywiście Kim zaczęły matowieć, widziałam, że za chwilę odpłynie w czarną dziurę. Wtrąciłam się, zanim mężczyzna zdążył rzucić kolejne tego typu megalomańskie zdanie...

– Przede wszystkim, panie Bloomingdale (wyszło szydło z worka), to zaszczyt móc pana poznać. Po drugie, czyżby pan mieszkał w tym sklepie?

Kim wybuchnęła śmiechem, ale zaraz go zdusiła.

Rzecz oczywista, moje dowcipy nie zdołały nas uratować. Nie mam za złe panu Bloomingdale'owi, że nie poznał się na moim poczuciu humoru. Postawiono nam poważne zarzuty, a następnie zaprowadzono na policję (niemała sprawa), czyli na tylną kanapę nieoznakowanego radiowozu. Policjanci, którzy wieźli nas dalej, okazali się całkiem mili; puszczały nam *Comfortably Numb* Pink Floydów. Z ulgą stwierdziłam, że Kim wcale nie jest otepiała, jak głosił ten kawałek, i że daje się rozśmieszać, mimo że zmierzałyśmy prosto do ciupy. Siedziałyśmy w tym radiowozie, spoglądając na siebie i trzymając się za ręce. Był koniec listopada, dlatego na siedzeniu między nami leżał

mrożony indyk, zakupiony przez jednego z gliniarzy na Święto Dziękczynienia. Na komisariacie pobrali od nas odciski palców, zrobili nam policyjne zdjęcia, a potem posadzili na ławce i zaczęli dzwonić do naszej mamy. Nie odbierała. Dzięki Bogu.

– Wie pan co, to głównie tata się nami zajmuje – powiedziałam. Było to WIELKIE KŁAMSTWO. Zatelefonowali więc do taty i zostawili mu wiadomość. Wyjaśniłam, że zapewne na jego reakcję trzeba będzie czekać wiele godzin, natomiast matka jest osobą w naszym życiu właściwie nieobecną. GIGANTYCZNE KŁAMSTWO.

W tamtej chwili poczułam, że pomyślnie rozwiązanie sprawy zależy tylko ode mnie. Rodzice nie mogli nam pomóc. Miałam też absolutną pewność, a wraz z nią postanowienie, iż muszę zatroszczyć się o Kim i wyciągnąć ją z tych tarapatów. Podeszłam do policjantów i oświadczyłam, że sama wszystko zwinęłam. Że to wyłącznie moja wina. Że cały ten łup należał do mnie. Policjant z galerii handlowej odpowiedział, że ponieważ Kim jest małoletnia, nie poniesie poważniejszych konsekwencji. W tej sytuacji odwołałam wszystko, co właśnie zeznałam, i całą odpowiedzialność spróbowałam zwalić na siostrę.

Gdy postępowanie się zakończyło i powiedziano już wszystko, co należało, wymierzono nam karę: prace społeczne. Nic strasznego. Jeszcze tego samego wieczoru udało nam się zobaczyć występ Ani DiFranco w Beacon Theatre; śpiewałyśmy razem z nią, wypruwając sobie płuca i świętując w ten sposób nasze uwolnienie. Czy jest lepszy sposób, aby upamiętnić ostatnie dni młodzieńczego buntu, niż taka noc, gdy człowiek wykrzykuje słowa piosenek razem z wokalistką, która dla każdej osiemnastoletniej białej dziewczyny w tym kraju była niczym Joanna d'Arc? Nie zapomnę, jak w trakcie utworu *Swan Dive* ryczałyśmy z Kim na cały głos: „I mam gdzieś, czy mnie zjedzą żywcem, czy nie. Są ważniejsze sprawy, niż przeżyć na tym świecie!”. Dało nam to więcej radości niż wszystkie skradzione topy bez ramiączek na świecie.

Ostatecznie jednak wpadka w butik *Bloomingdale's* skierowała moje życie na właściwe tory. Bądź co bądź prawdziwe kanciarstwo, które ciągle w sobie doskonałą, nie ma na celu kradzieży sklepowych, kłamstw ani zdobywania przyjaciół nieskutecznymi metodami przestępczymi. Albo przejmowania cudzej własności po to tylko, by poczuć się niezwykłą. Nie. Tu chodziło o to, abym stała się swoim najlepszym obrońcą, adwokatem własnych spraw, który wie, jak brać od życia to, na co zasługuje, bez umniejszania kogokolwiek. Moim zadaniem jest rozśmieszać siostrę, gdy obie tkwimy w głębokim gównie. Teraz jestem już dorosła i nie kręca mnie te wszystkie paskudne bibeloty ze Starego Sacramento. Przeszłam bowiem na wyższy poziom kanciarstwa – rozbawiam ludzi. Umiejętność tę wciąż doskonałą: łamię wszelkie tabu, nabijam się z absurdów życiowych, a wszystko po to, by moja publiczność się uśmiechnęła i poczuła lepiej. To nie kuglarstwo czy tanie, oszukańcze sztuczki, lecz bardzo ciężka praca, bez chodzenia na skróty. Rozbawienie ludzi zgromadzonych na sali jest czymś o wiele trudniejszym niż wymknięcie się ze sklepu *Bloomingdale's* z fedorą pod koszulą, którą tylko Ving Rhames potrafiłby ze mnie zerwać, i wymaga ode mnie tego oszukaństwa, którego po prostu nie mogę się pozbyć.



Fragmety pamiętnika z roku 1999
(pisanego w wieku osiemnastu lat)
wraz z przypisami z 2016

Kochany Pamiętniczku!

Poniedziałek, a ja wciąż jestem w domu. Fajne są te ferie. Nauczyłam się podczas nich więcej niż kiedykolwiek. Czas zatem uporządkować refleksje na temat minionego miesiąca[28].

We wtorek i w środę poszliśmy w parę osób do Gormansa[29]. Świetna zabawa. Dobrze się rozmawiało i tańczyło[30]. W czwartek wybrałyśmy się do Roulettes. Też sporo beki. Wszystkie się nieźle wstawiliśmy[31], a potem tańczyliśmy jak nigdy dotąd[32]. Jak lesbijki. Świetna sprawa[33]. Faceci byli gotowi skoczyć za nami w ogień[34]. Tuż przed końcem imprezy wpadłam na Nicka[35]. Bardzo się ucieszyłam na jego widok, bo akurat w tym momencie potrzebny był mi ktoś taki jak on: facet naprawdę mną zainteresowany, z którym chciałabym kręcić. Zachowywał się megasympatycznie. Powiedziałam mu, żeby do mnie zadzwonił, i rzeczywiście zadzwonił nazajutrz z zaproszeniem do jakiegoś pubu w Long Beach. Odpowiedziałam, że „może”, ale jeszcze się zobaczy[36].

Obejrzałam z koleżankami film Przerwana lekcja muzyki[37]. Naprawdę dobry. W sobotę wieczorem było u mnie mnóstwo dziewczyn; trzy z nich studiują w college'u z Jess Sap. Trochę się napiłyśmy, a potem poszliśmy na spotkanie z Nickiem. Bardzo się ucieszył na mój widok[38]. Cały wieczór stawiał nam drinki[39]. Za nic nie płaciłyśmy[40]. Wyglądałam niesamowicie[41]. Miałam na sobie ten top bez ramiączek wiązany z tyłu, ten od Zary[42]. Nick mówił mi same słodkości[43]. Kiedy zamknęli lokal, wróciliśmy wszyscy do mojego domu. Potem dziewczyny się odmeldowały, a my z Nickiem poszliśmy do mojego pokoju. Bzykaliśmy się przez jakieś trzy godziny[44].

Jego pocałunki sprawiały mi przyjemność, ale był też bardzo agresywny i szorstki. Cały czas próbował mnie „zszokować”, na przykład jeden palec wkładał mi do dupy, a drugi do pochwy[45]. Musiałam mieć się na baczności. Dziwne wrażenie, ale nie aż tak złe. Po prostu nie miałam ochoty, żeby mi to robił[46]. Skoro nawet swoim chłopakom na to nie pozwalałam, dlaczego miałabym pozwolić jemu[47]? Nick nie ustawał też w wysiłkach, abym dotykała się sama[48]. Próbowałam trochę żartować, na przykład: „Wydaje mi się, że nasz związek nie doszedł jeszcze do tego etapu”[49]. Ale najdziwniejsze było to, że kiedy zrobił mi minetkę, a potem ja przeszłam do krótkiego robienia mu laski, próbował wsadzać we mnie palce stóp[50]. Powiedziałam: „Nie, dziękuję”, a on spytał dlaczego[51]. Naprawdę! Poza tym ciągle gryzł mnie w sutki, i to bardzo mocno[52]. Następnego dnia chodziłam wściekła, bo swędziały mnie porządnie, tak były podrażnione. Podobnie zresztą jak moja pochwa, gdyż na siłę wciskał w nią palce[53].

Został u mnie na noc. Spytałam, czy kiedy śpi, lubi mieć miejsce tylko dla siebie. Odpowiedział, że tak. Zerwałam się więc z pokoju, naga, i poszłam do sypialni mamy[54]. Spałam parę godzin, a potem odwiozłam go do domu samochodem. Zmusiłam Kim, aby pojechała razem ze mną[55]. Na pożegnanie pocałował mnie w policzek i powiedział,

żeby zadzwoniła. Rzeczywiście rozmawialiśmy potem przez telefon. On oświadczył, że wydawało mu się, iż chce go wyrzucić z domu. I słusznie, miał sto procent racji[56].

Kolejnego wieczoru nic się nie wydarzyło. W tym tygodniu pracowałam w sklepie Forever 21 w galerii handlowej. Posadzili mnie w końcu na kasie, więc jest ciekawiej[57].

[28] Bardzo to głębokie, Amy. Czy chodziło ci może o refleksje na temat misji dobrej woli, z którą wybrałaś się do Gwatemali? A może o wolontariat w schronisku dla bezdomnych? Nie, ty snułaś refleksje dotyczące wszystkich pubów, do jakich chodziłaś. Naprawdę, wnikliwy umysł. Leć dalej.

[29] To bar, do którego wpuszczano nieletnich i pozwalano im zamawiać drinki.

[30] Wyobrażam sobie, że rozmowy te przebiegały następująco: „Ładna koszulka, gdzie kupiłaś?”. „W Armani Exchange”. „Och, to dlatego jest na niej napisane »Armani Exchange«”. „Fajnie się z tobą gada”.

[31] Raczej upiły się do nieprzytomności, jak sądzę.

[32] Nie potrafię wprost wyrazić, jak bardzo jestem szczęśliwa, że nikt nie zarejestrował tego wydarzenia na filmie.

[33] Chciałabym przeprosić wszystkie lesbijki. Na pewno nie tańczą tak, jak my wtedy: otóż próbowałyśmy stosować prądawne techniki przyciągnięcia uwagi facetów, udając, że za chwilę muzyka weźmie nasze dusze w całkowite władanie (głównie utwór *Come On Eileen*), sprawiając, że zapomnimy o swojej prawdziwej orientacji seksualnej i zaczniemy się ze sobą lizać na parkiecie tego gównianego lokalu.

[34] Czyżby rozdęte ego, Amy? Chciałabym zobaczyć taki montaż filmowy: z jednej strony to, jak postrzegałam siebie tamtego wieczoru, z drugiej – jak było naprawdę. Mam za złe programowi telewizji MTV *The Grind*, że po jego obejrzeniu każdemu się wydawało, iż jest Daisy Fuentes.

[35] To był bardzo seksowny i silny koleś. Pamiętam, że wyglądał jak Superman albo Chris Klein.

[36] Taa, kurwa, jasne. Nie mam wątpliwości, że zaczęłam się przygotowywać od razu i że trwało to całą dobę.

[37] Należałoby właściwie uznać ten obraz za film dokumentalny traktujący o nas samych, tylko że my nie byłyśmy aż tak seksowne.

[38] Wątpliwe.

[39] Jeszcze bardziej wątpliwe.

[40] Najbardziej wątpliwe ze wszystkiego.

[41] Umieram ze śmiechu, bo wiem, jak wtedy wyglądałam. Jediną niewiarygodną rzeczą, jeśli chodzi o moją aparycję, był fakt, że mimo wszystko widziano we mnie istotę płci żeńskiej.

[42] Pamiętam ten top. Wełniany, z cienkimi, brązowymi paskami ze skóry, które wiązało się z tyłu na trzy węzłki. Gryzł jak wszyscy diabli, przez niego dostałam wysypki na całym ciele. Wyglądałam w nim jak jakaś uboga plebejuszka z *Gry o tron*, którą gwałci każdy żołnierz. Top był na mnie za krótki, więc brzuch wystawał mi na zewnątrz, a ponieważ nie miałam wtedy talii, kształtem przypominałam bardzo stary odbiornik radiowy, który to fakt chciałam chyba jeszcze bardziej uwydatnić.

[43] No jasne, że tak. Po prostu miał mnie na celowniku, a właściwie miejsce, w którym moje plecy tracą swą szlachetną nazwę.

[44] Dzisiaj brzmi to dla mnie koszmarnie, jak wyczerpująca wymiana flory bakteryjnej. Dajcie spokój.

[45] Dziękujemy, pani doktor Schumer, jakież to sexy. Widać, że nigdy nie szczędziłam publiczności szczegółów. Ale jak to jest świetnie napisane! Na pewno czujecie się tak, jakbyście byli w tym pokoju razem ze mną. Wszyscy zawiesiliśmy teraz wzrok na tym palcu, który Nick próbuje wsadzić mi w odbyt.

[46] Tak samo jak nigdy nie lubiłam, kiedy mierzono mi temperaturę od tej strony.

[47] Logiczne, nieprawdaż? Nikt, komu ufałam i kogo kochałam, nie miał zaszczytu dotykania wnętrza mojej odbytnicy. Pewnie przyświecała mi myśl: „Jak chcesz wsadzić mi palucha między pośladki, musisz mieć tytuł szlachecki od samej królowej”.

[48] Leniwiec.

[49] Myślę, że takie zachowania są dzisiaj bardziej popularne, zwłaszcza wśród przedstawicieli pokolenia wyrosłego na pornografii, jednak wtedy uważałam je za szurnięte.

[50] Czyli uprawiać stopizm, jak mawiali starożytni Chińczycy.

[51] Temu facetowi doprawdy należał się medal za niezachwianą pewność siebie. Jak to „dlaczego”?! Chcesz wiedzieć, dlaczego nie życzę sobie palców u nóg w swoim wnętrzu?! Może dlatego, że to jest, kurwa, ohydne, a moja cipka nie będzie nikomu służyć za kapeć. Dopóki więc firma Crocs nie wypuści na rynek nowego modelu o nazwie

„pięciopalcowy pantofel dopochwowy”, proszę trzymać stopy jak najdalej od moich miejsc intymnych!

[52] Faceci, którzy tak postępują, powinni być przetrzymywani w Guantanamo jako dożywotni pensjonariusze.

[53] Jeśli chcesz, żeby dziewczyna cię zapamiętała, napisz dla niej jakiś wiersz. To o wiele lepsze.

[54] Ha, ha, ha. Oczywiście mamy nie było wtedy w domu. Powtarzam, NIE było jej w swoim łóżku. Z zadowoleniem stwierdzam, że już jako osiemnastolatka miałam zwyczaj unikania przytuleń i wspólnego wylegiwania się po bzykanku.

[55] Jezu Chryste, Amy, biedna ta twoja siostra! „Hej, nie chciałabyś się przejechać po Long Island z facetem, który całą noc traktował mnie jak żeńskiego manekina?”. Przecież ona miała tylko czternaście lat!

[56] Och, jakże on był wyczulony na to, czego pragnie kobieta.

[57] Tamten awans wciąż budzi moją ekscytację! Nie wiedziałam wtedy, że będę nosiła ciuchy tej firmy jeszcze jako trzydziestoparolatka.

Udawaj pewną siebie,
aż taką się staniesz

Nie ma nic lepszego, niż być swoim własnym szefem, sterem, żeglarzem i okrętem. Choć właściwie jest: wcale nie musieć pracować. Tak byłoby o wiele lepiej. Na przestrzeni lat wykonywałam mnóstwo różnych zajęć i doznałam wielu jedynych w swoim rodzaju upokorzeń, które były z nimi związane. Lecz nawet gdy najmowałam się do zrobienia czegoś, co wymagało ode mnie absolutnego braku godności, zawsze podobała mi się świadomość, że wykonuję coś pożytecznego. Jeszcze w dzieciństwie pragnęłam wszystkim udowodnić, że całym swoim jestestwem przykładam się do realizacji zadań (które to jestestwo nigdy nie ważyło mniej niż sześćdziesiąt osiem kilogramów, nawet w gimnazjum). Odkąd sięgam pamięcią, szukałam jakiegoś zatrudnienia, bo jako dziecko czułam się bezużyteczna i stłamszona. Chciałam coś z siebie dawać. Stoiska z lemoniadą już mi nie wystarczały. Bardzo wkurzał mnie fakt, iż jestem za młoda na normalny etat czy choćby chodzenie na siłkę. Niesamowite, że to, czego tak uporczywie wtedy pożądałam, stało się najgorszym koszmarem mojego dorosłego życia. Ale wracając do przeszłości: po prostu tego chciałam. Chciałam satysfakcji z zarabiania własnych pieniędzy oraz z owoców swoich działań.

Zanim zaczęłam się utrzymywać, będąc artystką estradową, w większości wypadków otrzymywałam forszę za mało chwalebne, zwyczajne, gówniane, niskopłatne prace. Pracowałam w kilkunastu pubach i restauracjach na samym tylko Manhattanie, a jako studentka dorabiałam przez pewien czas, malując ludziom domy. W każdy weekend o szóstej rano stałam już na drabinie z wałkiem i pędzlami, pokrywając farbą wewnętrzne ściany prywatnej rezydencji, chińskiej knajpy czy jakiejś szkoły. Lubiłam te wszystkie prace. A nawet jeśli którejs z nich nienawidziłam, podobało mi się to poczucie zrobienia tego, co do mnie należało. Satysfakcja. Piwko po fajrancie, świadomość, że wskazówki na zegarze już prawie pokazują czas, w którym mogę się odmeldować. Bardzo wyzwalające uczucie. Chwila, kiedy wychodzisz spracowana na zewnątrz, jest doświadczeniem, którego nie da się z niczym porównać. Szczerze żał mi tych, którzy nigdy nie musieli pracować, ponieważ w konsekwencji ani razu nie zaznali tego uczucia. Ludzi z urodzenia bogatych, którzy spędzają dni niczym jakiś Gatsby, leżąc beczynnie i się wachlując, i zastanawiając się, czy aby warto wyskoczyć do miasta. Oni nigdy nie poznają owej czystej radości, kiedy kierownik restauracji serwującej steki mówi do ciebie: „Możesz iść, jak tylko skończysz inne obowiązki poza obsługą klientów!”. Cóż za fantastyczne uczucie – pozawijać sztućce w serwetki, a potem swobodnie wyjść i wciągnąć powietrze do płuc ze świadomością, że wreszcie masz czas dla siebie. Boskie.

Moją pierwszą pracą – jeszcze w wieku niemowlęcym – było występowanie jako modelka, byłam bowiem wyjątkowo pięknym dzieckiem. Żart, żart, żart. Jako berbecę wyglądałam bardzo przeciętnie. „Przeciętnie” znaczy w tym wypadku tyle, że przypominałam raczej mopsa, nie noworodka. Ale moim rodzicom potrzebny był ktoś, kto wystąpi jako model w reklamach sprzedawanych przez nich dziecięcych mebli. Ponieważ mnie spłodzili, uważali, że jestem rozkoszna – poza tym mieli pewność, że będę pracować za friko. Pozowałam do zdjęć w wielu różnych łóżeczkach, znalazłam się

również na okładce katalogu produktowego (prawdopodobnie dlatego firma zbankrutowała). Tak wyglądał początek, a zarazem koniec mojej kariery modelki zdjęciowej, aczkolwiek kiedyś zamierzam do niej powrócić.

Rodzice nie przestawali żerować na mojej uległości, ponieważ wkrótce potem uczynili ze mnie manekina do swojego drugiego sklepu, Calling All Girls, w którym sprzedawali pamiątki, upominki, odzież oraz budzące grozę lalki. Było to całkiem sensowne przedsięwzięcie, ale tylko w porównaniu z ich pierwotnym planem, to znaczy założeniem sklepu obuwniczego. (Miał on nosić nazwę „Buty Schumera”, co zniszczyłoby mi życie już w wieku kilkunastu lat). Jeśli chodzi o Calling All Girls, mama wymyśliła następujący slogan reklamowy: „Chłopcom wstęp wzbroniony!”. Slogan ten powinien być raczej brzmieć „Klientom wstęp wzbroniony!”, gdyż ani jedna osoba nie zrobiła tam zakupów, dosłownie. Słaba to strategia marketingowa, żeby z miejsca wykluczać pięćdziesiąt procent populacji. W każdym razie hasło „Chłopcom wstęp wzbroniony” widniało na plakietkach i na T-shirtach, które nosiliśmy z Kim nieustannie, niczym małe, chodzące billboardy firmy naszych rodziców. Domyślałam się, że wspomniany slogan miał podkreślić zainteresowanie u przedstawicielek „płci pięknej”, lecz jego wymowa – zamiast prodziwczęca – wydawała się raczej antychłopięca. Można go też było błędnie rozumieć, na przykład tak: „Chłopcom wstęp wzbroniony, ALE MEŹCZYŹNI ZAWSZE MILE WIDZIANI!”. Krótko mówiąc, hasło pozostawiało bardzo szerokie pole dla interpretacji fatalnych i niezwykle wąskie dla tych właściwych. Byłam zatem jedenastolatką, która wabiła ku sobie mężczyzn, nie chłopców, i wyglądała jak żywa reklama programu *To Catch a Predator*. Powinnam dostawać pieniądze od Chrisa Hansena, nie od rodziców. Tak czy owak, przypuszczam, że wspomniany slogan stanowił niezbyt subtelną deklarację poglądów mojej mamy, iż mężczyźni są niedobrzy. Nigdy takiego stanowiska nie przejęłam, wolno mi jednak powiedzieć, że to hasło brzmiało jak zły omen, wypisany dużymi literami na mojej koszulce.

Jeśli chodzi o nowy sklep, zamiast grać rolę modelki z katalogu, musiałam spędzać wszystkie weekendy w Javits Center – wielkim ośrodku konferencyjnym, w którym odbywały się targi handlowe. Moi rodzice prezentowali tam swoją ofertę, wykorzystując w tym celu Kim i mnie jako materiał poglądowy. Chodziłyśmy w koszulkach z napisem „Chłopcom wstęp wzbroniony” oraz zdjęciem przedstawiającym kłódkę i klucz. Poza tym miałyśmy na szyjach zawieszane prawdziwe klucze. Patrząc z perspektywy czasu, myślę, że to wszystko było trochę niepokojące. Mama uznała chyba, że fajnie będzie zrobić z nas małe, ugrzecznione wiedźmy, które najpierw symbolicznie „wykluczyły” chłopców, a potem dyndały im przed oczami kluczem, zwisającym na małe cycuszki. Cały ten pomysł niósł za sobą mglistą aluzję, niezamierzone przesłanie do gwałcicieli. No bo przecież są na świecie kraje, gdzie małe dziewczynki sprzedaje się jako niewolnice seksualne, a ich dziewictwo stanowi przedmiot handlu. A tymczasem proszę: ja miałam wtedy jedenaście lat, a stojąca obok mnie siostra siedem i naprawdę dyndały nam z szyi klucze, dając jasno do zrozumienia: „NIE MACIE TUTAJ WSTĘPU”. W każdym razie wystawiałyśmy na naszym stoisku godzinami, aby pomóc rodzicom upłynnić towar, lecz – jestem tego pewna – nie sprzedaliśmy ani jednej koszulki. Nie pamiętam, ile mi płacili, ale podobał mi się sam fakt bycia modelką.

Mama poniosła przykre konsekwencje swego pomysłu, by wykorzystywać mnie jako tablicę reklamową. Kiedy byłam nastolatką, zaczęłam się domagać cotygodniowych wizyt w salonie fryzjerskim, gdzie moje kędzierzawe, kręcone kosmyki co nieco prostowano. Nie była to rzecz typowa dla większości dwunastolatek, ale w naszym mieście nienawidzono Żydów i bardzo chciałam ukryć swoją skłonność do afro. Zaczęłam knuć, jak tu pozwolić sobie na częstsze prostowanie owłosienia. Wizyty u fryzjera nie były tanie, więc wpadłam na pewien pomysł: zaproponowałam w jednym salonie, że zaraz po szkole będę im zamiatać włosy z podłogi, jeśli w zamian za to raz w tygodniu wymodelują moje. Nie pamiętam, jak długo trwał ten układ, wydawał mi się jednak bardzo opłacalny. Sądzę, że w tym zakładzie niespecjalnie dbano o pracownicze prawa nieletnich, podobnie zresztą jak nie dbali o nie moi rodzice. Ale ja uwielbiałam tę pracę. Należałam do zespołu i czułam się pożyteczna, choć w salonie ruch był niewielki. Siedziałam jak na szpilkach i przyglądałam się stylistkom strzygącym włosy, w oczekiwaniu, aż spadną na podłogę. Włosy, nie stylistki. Kiedy tak się działo, ruszałam do akcji, niczym irytująca ludzka odmiana maszyny do czyszczenia lodu albo zawodnik curlingu na igrzyskach olimpijskich. Ludzie zaczęli narzekać, że przesadzam z tym zapalem, dlatego wkrótce ze mnie zrezygnowano.

Było to pierwsze z długiej listy całkowicie uzasadnionych zwolnień z pracy, jakich w życiu doświadczyłam. Tak bardzo paliłam się do roboty, że udawałam kogoś, kim nie byłam, bo przecież nie miałam kwalifikacji do żadnej z tych prac. A gdy mój brak doświadczenia wychodził na jaw, po prostu mnie wywalano. Po raz drugi przeżyłam taką sytuację w innym salonie urody: otóż podczas rozmowy kwalifikacyjnej skłamałam i dzięki temu dostałam pracę jako pomoc fryzjerska. Myślałam, że idzie mi całkiem dobrze, dopóki nie schrzaniłam totalnie sprawy przy pierwszy łysym kliencie. Facet miał tylko kępkę włosów z przodu głowy, centralnie nad czołem, oraz cienki wianuszek z tyłu, niczym cyrkowy klaun. Bez obrazy dla tego konkretnego typu męskiego łysienia, ale nie przesadzę, jeśli powiem, że koleś wyglądał jak podręcznikowy wizerunek klauna Bozo. Zaczęłam myć mu włosy – tylko włosy, nie zaś sporych rozmiarów łysinę na czaszce. Krzyknął na mnie, sepleniąc: „Prose umić mi całom głowę!”. Na co odrzekłam: „Nie! Jak myję tę część bez włosów, to woda pryska mi w twarz!”. Facet pomaszerował prosto do właścicielki i parę chwil potem wyleciałam z pracy.

Bardzo doceniałam tych szefów, którzy świadomie ignorowali mój brak kompetencji, zatrudniając mnie wyłącznie na podstawie pewności siebie i brawurowego podejścia do tematu. Pracowałam kiedyś w słynnej stekowni na dworcu Grand Central Terminal w Nowym Jorku – bardzo drogiej restauracji z białymi obrusami na stołach, gdzie obsługiwano szybko gadających biznesmenów, ludzi dojeżdżających codziennie do pracy oraz turystów. Nie miałam absolutnie żadnych kwalifikacji, by się tam zatrudnić, żadnego doświadczenia w eleganckich lokalach, ale skłamałam, mówiąc, że owszem, mam. Wprawdzie nie udało mi się za pierwszym razem, ale wychodząc z restauracji, podsłuchałam, że ktoś przyszedł tam na swoją drugą rozmowę kwalifikacyjną. Nasunęło mi to pomysł, aby pokazać się u pracodawcy znowu i powtórzyć tę samą śpiewkę. *Trening czyni mistrza*, pomyślałam. Nazajutrz stanęłam więc w progu restauracji i z pewnością siebie oznajmiłam: „Cześć. Jestem umówiona na drugą rozmowę kwalifikacyjną

z Frankiem”.

Omiotli mnie wzrokiem z góry na dół, zaskoczeni, ale usiadłam sobie spokojnie i czekałam na Franka, kimkolwiek by nie był. Pojawił się menedżer i zadał mi parę pytań. Pamiętam jedno: „Jaki jest główny składnik tequili?”. Odpowiedziałam: „Likier pomarańczowy triple sec?”. Mężczyzna stwierdził, że się głęboko myślę, ponieważ jest nim agawa. Ale i tak przyjął mnie do pracy. Wciąż nie wiem dlaczego. Może zhipnotyzowała go ta urojeniowa pewność siebie, którą okazywałam.

Spędziłam tam dziewięć miesięcy i przez większość tego okresu byłam jedyną zatrudnioną kobietą. Na personel składali się wyłącznie mężczyźni – roznoszący steki kelnerzy, którzy pragnęli zrobić karierę. Musiałam zakładać marynarkę i wiązać sobie krawat. Marynarka była biała, lecz tylko rano; ponieważ osiadał na niej pył z dworca Grand Central, pod koniec każdej zmiany stawała się szara. Przez ten kurz ciągle drapałam się po twarzy, wskutek czego wyglądałam tak, jakbym chorowała na trąd. Byłam zbyt młoda, o cerze za delikatnej, aby tam pracować, ale uprawiałam tę grę pozorów tak długo, że w końcu szło mi całkiem nieźle. Należałam do osób, które zarabiały dla restauracji najwięcej. Oferowałam klientom dania niewystępujące w menu, na przykład potrawkę z owoców morza i mięsa, za którą kasowałam ich jak za homara albo polędwicę. Naprawdę byłam paskudna.

Zdarzały się również inne podobne sytuacje, gdy zgłaszałam się do pracy mimo braku wszelkich kwalifikacji, a ostatecznie sprawdzałam się w niej wybornie. Na przykład w college’u prowadziłam aerobik – albo, jak się lubi to nazywać, „zajęcia grupowe” – z laskami takimi jak ja, które na pierwszym roku studiów ostro przybrały na wadze. Miałam autentyczne uprawnienia do nauki kick-boxingu, co wykorzystałam w tej robocie i nie tylko. Uczyłam różnych różności, o których nie miałam zielonego pojęcia: jogi, pilatesu, piruetów, stepowania i tańca. Zanim zaczniecie myśleć, że jednak nie wybralibyście mnie na swoją instruktorkę fitnessu, muszę was poinformować, że na moje zajęcia przychodziło mnóstwo osób, które świetnie się tam bawiły. Kiedy dziewczęta ćwiczyły wymachy, kopy i ciosy, kazałam im wykrzykiwać imiona byłych chłopaków lub kogokolwiek, na kogo były akurat wściekłe. Zdobyłam sobie wierne fanki, które podążały za mną z jednych zajęć na drugie. Brak wiedzy i niedostatki cielesne nadrabiałam życzliwością oraz motywującym wrzaskiem.

W jednej tylko dziedzinie nie byłam w stanie (fizycznie) udawać osoby kompetentnej. Ale i tak próbowałam. Miałam wówczas dwadzieścia jeden lat i mieszkałam na Zachodnim Wybrzeżu z Danem, który, jak się okazało, nie należał do najwspanialszych partnerów na świecie (więcej o tym trochę dalej). To nieudane pożycie sprawiło, że wpadłam na dziwaczny pomysł, aby pracować jako operatorka rykszy. Tym, którzy nie wiedzą, co to jest ryksza, wyjaśniam: to taki powóz, tyle że z przodu zamiast konia ma człowieka na rowerze. Nie wiem, co mi wpadło do głowy, że uznałam to za genialny pomysł. W sensie technicznym wystarczyło mieć rower; firma transportowa wynajmowała ci wózek za dwadzieścia dolców dziennie. Jej pracownicy pomagali go przymocować do roweru, a potem można już było sobie pedałowac po mieście w poszukiwaniu istot ludzkich do przewiezienia. Główna ulica w centrum wspinała się na spore wzgórze; podjeżdżałam na jego szczyt w nadziei, że ktoś zechce mi zapłacić za

transport w dół. Oczywiście nikt nie chciał. Spędzałam u góry godzinę, po czym turlałam się do podstawy wzgórza, gdzie – naturalnie – wszyscy zatrzymywali mnie machnięciem ręki. Nie miałam zbyt dobrej kondycji, dlatego wspiąwszy się mniej więcej do połowy wzniesienia, czułam, że za chwilę stoczę się z powrotem na dół – razem z wózkiem, pasażerami i tak dalej. Zatrzymywałam się więc i krzyczałam: „Wysiadka!”. Pasażerowie musieli mi pomagać wepchnąć wózek na szczyt. W mieście obowiązywało niedorzeczne zarządzenie zakazujące ustalania stałej taryfy za przewóz osób – ludzie płacili tyle, ile uznawali za stosowne. Wyobrażacie sobie, aby takie przepisy narzucać na przykład prostytutkom? „Całkiem fajnie było, masz tu pięć centów, zobacz, jak się ładnie błyszczy”. Pierdolić to! Ja i tak podawałam pasażerom cenę, niczym jakaś mała, ładniutka cichodajka.

Pracowałam w ten sposób kilka miesięcy. Schudłam co najwyżej półtora kilograma; więcej niż ucząc aerobiku, ale sądziłam, że wynik będzie lepszy. Pod koniec każdego dnia byłam tak głodna, że objadałam się napadowo, a potem upijałam do nieprzytomności, aby zapomnieć, że następnego dnia też muszę iść do roboty. Lubiłam tylko jeden aspekt tej pracy: poczucie koleżeństwa i wspólnoty z innymi rykszarzami. Spotykaliśmy się w umówionym miejscu, parkowaliśmy tam nasze pojazdy i paląc sobie papierosy, narzekaliśmy na tę ciężką harówkę.

Ostatnim w moim CV miejscem zatrudnienia, w którym wykazałam się brakiem kwalifikacji, był pewien lokal dla lesbijek. Pracowały tam wyłącznie kobiety, jako barmanki. Przed rozpoczęciem każdej zmiany musiałam się solidnie napić, ponieważ – w przeciwieństwie do tego, co sobie wyobrażałam – obsługiwanie TYLKO kobiet to jakiś pierdolony koszmar. Jedyną rzeczą gorszą od alkoholowych scen i braku zdecydowania w składaniu zamówień był fakt, że nikt na mnie nie leciał. Wszystkie pozostałe barmanki podawały się za hetero, ale wystarczyła godzina pracy, a już zdradzały swoich chłopaków, umawiając się z klientkami. Późnym wieczorem były jeszcze bardziej pijane niż przed rozpoczęciem zmiany, dlatego nie potrafiły dobrze policzyć pieniędzy z rachunków i napiwków. Co gorsza, musiałyśmy tańczyć na barze. Upokarzająca sprawa. Nie jestem dobra w tańcu na barze. Nosiałam wtedy różowe majtki z napisem „KOCHAM SAMĄ SIEBIE”; podkasywałam wysoko spódnicę, żeby przekazać wszystkim tę wiadomość, co wzbudzało salwy niepewnego śmiechu. W końcu wyrzucono mnie z roboty – nie za brak talentu tanecznego czy rozszalały heteroseksualizm, lecz za to, że raz zamknęłam lokal za wcześnie, nie mając na to pozwolenia. Po prostu któregoś wieczoru wygoniłam wszystkich o dziewiętnastej, bo tak mi się zachciało.

W pracy zawsze robiłam to, na co mi przyszła ochota. Niekiedy trudno jest ukrywać swoje uczucia tylko dlatego, że ktoś ci płaci. Na przykład w jednej restauracji postanowiłam przestać się odzywać do klientów, gdyż byli bardzo niemili i w ogóle japiszony. Miałam ich dość. Ponieważ jednak praca kelnerki wymaga komunikowania się z klientką, zdegradowano mnie do pozycji barmanki. Stałam w jednym miejscu i robiłam drinki, a obsługa zanosila je na salę. Teraz, kiedy sama jestem szefową i mogę otwarcie mówić o swoich uczuciach w pracy, staram się dawać personelowi dobry przykład – niech wiedzą, że powinni robić to samo. Na planie mojego programu telewizyjnego każdy ma prawo do własnych odczuć. Czasem, gdy staję się nadmiernie emocjonalna w związku

z pewnym szczególnym okresem w miesiącu, włączam głośnik i oznajmiam załodze i aktorom, że właśnie mam okres. Zawsze trzeba być sobą, także w miejscu pracy, choćby nie wiem co.

Kiedyś, gdy jako piętnastolatka zatrudniłam się w taniej knajpce niedaleko stacji kolejowej, moje ciało poleciło mi objeść się hot dogami, które tam serwowałam. Tak też zrobiłam. Nie byłoby w tym chyba nic dziwnego, gdyby nie fakt, że pracę zaczynałam o piątej rano, a dopiero potem szłam do szkoły. Naprawdę nie nadawałam się do tej roboty. Do moich obowiązków należało rejestrowanie na kasie fiskalnej sprzedanych hot dogów, kawy, przekąsek i gazet, ale nie miałam zielonego pojęcia, jak wydawać ludziom resztę. Kawa kosztowała dolara osiemdziesiąt pięć, a klient wręczał mi na przykład banknot pięciodolarowy. Moja reakcja polegała na pustym gapieniu się na papierek w nadziei, że mocą czarnej magii odpowiednia kwota reszty przeskoczy z moich rąk w dłoń tamtej osoby. Jestem znakomitym handlowcem, ale liczby mnie zniechęcają. Pocięchy poszukiwałam, zjadając jeszcze więcej hot dogów. Mieli je tam bardzo dobre. Wypłata okazała się dużo mniejsza, niż sądziłam, ponieważ odliczono mi koszt tego wszystkiego, co pochłonęłam.

Moimi szefami byli dwaj Hindusi pod pięćdziesiątkę, którzy wiedzieli, że jestem skończoną kretynką. Poprawiali sobie nastrój, czepiając się mnie. Stawali jeden obok drugiego za ladą i zaczynali mnie krytykować. Nie mam im tego za złe, bo rzeczywiście jako pracownik byłam okropna. Rzuciłam tę robotę tuż przed wakacjami, a niedługo potem lokal został zamknięty na dobre. Wykonywałam tam prostą, uczciwą pracę; sądzę, że gdyby nie ścieżka kariery, którą dziś podążam, chętnie powróciłabym do jedzenia hot dogów. Jestem wdzięczna tym dwóm facetom, bo choć nabijali się ze mnie bez przerwy, nigdy mnie nie wywalili.

Jako szefowa nauczyłam się (między innymi) mieć względem ludzi wysokie, lecz realistyczne oczekiwania. Nie należy wymagać od kogoś, żeby pracował ponad swoje możliwości. Jeśli zatrudniłeś człowieka o uzdolnieniach matematycznych typowych dla głazu narzutowego, a potem ów człowiek wyżera ci wszystkie hot dogi i w dodatku nie wie, jak wydawać resztę, spróbuj się chwilę zastanowić, gdzie mógłby zabłysnąć, i pozwól mu się w tej dziedzinie wyróżnić. Staram się okazywać swoim pracownikom cierpliwość i wyrozumiałość, podobnie jak oni mnie. To wzajemny szacunek. Lecz kiedy zdam sobie sprawę, że komuś brakuje czegoś niezbędnego, wyświadczam mu przysługę i go zwalniam. Często przychodzi mi wtedy na myśl maksyma o złotej rybie, przypisywana Einsteinowi: „Każdy jest geniuszem. Ale jeśli zaczniesz oceniać rybę, biorąc pod uwagę tylko jej umiejętności wspinania się na drzewa, to ta ryba spędzi całe swoje życie w przekonaniu, że jest głupia”. Niech ryba lepiej uda się do jakiejś szkoły – a potem zatrudni prawdziwego wspinacza, który wlezie na drzewo za nią.

Wciąż lubię hot dogi i lesbijki, jak chyba wszyscy, ale odczułam wielką ulgę, mogąc rzucić robotę u innych ludzi i skupić się na pracy dla siebie. Kontrolowanie sytuacji, tak ja robię to teraz, jest wspaniałym uczuciem. Domyślam się, że każdy, kto czyta te słowa, wie, ile osobistej godności trzeba się zrzec, pracując u kogoś, kogo się nie lubi, bądź też w firmie, którą ma się gdzieś. Muszę jednak oddać sprawiedliwość moim dawnym i okropnym szefom, zwłaszcza z branży gastronomicznej, ponieważ to głównie

od nich nauczyłam się, jak być szefową dla innych. To znaczy: aby NIGDY nie być taką jak oni. Jak ci wszyscy wredni kucharze, którzy wyżywali się na kelnerach, jak socjopatyczni menedżerowie restauracji, którzy zarządzali personelem, zastraszając go i budząc w nim lęk, a odrobinę danej im władzy wykorzystywali do upokarzania dowolnego pracownika, jeśli poprosił o dzień wolny, nawet z bardzo istotnego powodu... Ci wszyscy palanci pokazali mi na wiele sposobów, jaka nie będę, jeśli kiedykolwiek zostanę szefową. Przypuszczam, że nieźle się teraz podlizyłam dziewięciu milionom kelnerów i barmanów. Warto jednak dodać, iż miło jest się także uczyć na pozytywnych przykładach, przynajmniej od czasu do czasu. Z jednego dnia spędzonego na planie u Tyny Fey oraz dwóch z Leną Dunham wyniosłam więcej niż z jakiegokolwiek pracy w całym swoim życiu.

Teraz, kiedy większość czasu spędzam na estradzie albo w studiu filmowym, mogę wreszcie powiedzieć, że kocham to, co robię. Choć i tak głównie czekam, żeby mieć już to wszystko z głowy i urwać się do domu, który to moment prawie nigdy nie następuje. Mimo moich marnych osiągnięć zawodowych w różnych restauracjach, barach, salonach fryzjerskich czy urzędach (tak, kiedyś wylali mnie nawet z urzędu, bo wywaliłam im pocztę do kosza) mogę z dumą stwierdzić, że z show-biznesu jeszcze nikt mnie nie wyprosił. Kiedyś, gdy grałam małą rolę w jednym odcinku serialu telewizyjnego, usłyszałam nawet, że mogłabym otrzeć się o Cannes, gdybym tylko przestała improwizować niestosowne dowcipy na planie; ale to było wszystko, jeśli chodzi o ten festiwal. Teraz, jako szefowa, do której należy zatrudnianie i zwalnianie, czuję, że dzierzę w dłoniach ludzkie losy. Nie jest to szczególnie miłe doznanie. Okazuje się bowiem, że po tej drugiej stronie także bywają bardzo upokarzające sytuacje i trudne momenty. Ale i tak jest tu o niebo lepiej, niż gdy się pracuje dla kogoś innego. I jak już człowiek się do tego przyzwyczai, nie ma powrotu do przeszłości.

Pierwszy raz posmakowałam, jak to jest mieć nad kimś władzę, gdy jako dziesięcioletka sędziowałam mecze koszykówki w lidze dziecięcej. W każdą sobotę zrywałam się wcześniej rano, wkładałam obowiązkową koszulkę w paski, a potem zawieszałam sobie na szyi gwizdek, jak mała królowa balu. Dosłownie. Byłam przecież jeszcze drobną dziewczynką, także w sensie fizycznym, na długo przed pierwszą miesiączką. A jednak świetnie się do tej roboty nadawałam. Roboty trudnej, dodajmy, ponieważ rodzice malców łaknęli krwi i zachowywali się jak czubki. Ich dzieciaki liczyły po sześć lat, nie umiały jeszcze zawiązać sobie sznurówek, a tymczasem ich starzy domagali się surowych kar za faule techniczne. Tych, którym się to należało, usuwałam z widowni. Pewnego razu zareagowałam na błąd kroków, które popełniło jedno z dzieci; jego ojciec dosłownie wydarł mi się prosto w twarz – w moją dziesięcioletnią twarz osoby mierzącej metr dwadzieścia wzrostu – słowami: „Pomyliłaś się strasznie!”. Użyłam gwizdka i wskazałam na drzwi, a rozzłoszczony dorosły facet wyszedł z sali obrażony. Było to najtrudniejsze zadanie, z jakim musiałam sobie kiedykolwiek radzić, trudniejsze nawet od holowania trzech grubasów z Green Bay na szczyt wzgórza moją rykszą. Wydaje mi się jednak, że w pewien sposób to doświadczenie przygotowało mnie na

wszystko, czym zajmuję się teraz. Na bycie szefową w branży, którą nadal zawiadują głównie mężczyźni. Na to, że w Internecie nazywa się mnie grubą, brzydką i pozbawioną talentu (zapewniam was, te trolle w sieci są o wiele bardziej zjadliwe i paskudne niż rodzice, którzy wrzeszczeli mi prosto w twarz na boisku do koszykówki). Dzięki tamtemu doświadczeniu nauczyłam się również wcześniej wstawać, zapierdalać z całych sił i nie żałować swoich decyzji.

Dziś, budząc się rano, wiem, że czeka mnie całe mnóstwo roboty i że doba jest na nią za krótka. Boję się, że jeśli nie wykonam dobrze swojego zadania, konsekwencje poniosą osoby na mojej liście płac. Wszystkich staram się traktować równo (czyli tak samo źle). Żartuję, po prostu równo. Bardzo zależy mi na tym, aby podejmować właściwe decyzje, dobre zarówno dla mnie, jak i dla innych. Niezwykle często jestem zmęczona i wypruta emocjonalnie. Ale i tak to kurewsko wspaniałe uczucie wiedzieć, że ktokolwiek do mnie podejdzie, w jakiegokolwiek sprawie, znajdzie się na moim boisku i to ja będę dzierżyła gwizdek.



Fragmety pamiętnika z roku 2001
(pisanego w wieku dwudziestu lat)
wraz z przypisami z 2016

Dotarłam do domu około 2.50[58]. Pojechałyśmy z mamą i Kim na lotnisko LaGuardia po Jaya. Poznaliśmy też Eileen, jego serdeczną przyjaciółkę ze szkoły.

Jak zwykle Jay przez cały weekend stroił sobie ze mnie żarty. Że niby jestem gruba[59], a Kim wygląda tak ślicznie i jest taka szczuplutka[60]. Zrobiło mi się strasznie głupio i źle. Dlatego postanowiłam stracić apetyt na dobre[61]. Mam nadzieję, że uda mi się to w sposób bezpieczny[62]. Mam już serdecznie dość tej huśtawki emocjonalnej: raz czuję się bardzo pewna siebie, a potem nagle skrępowana i onieśmielona[63]. To naprawdę zbyt trudne. Zmieniłam się, jestem taka, jaką nigdy nie sądziłam, że się stanę. Przecież nigdy nie miałam poważniejszych problemów ze swoją wagą, tylko że za trzy tygodnie spotykam się z Danem i absolutnie nie chcę, żeby widział we mnie grubaskę. Muszę się czuć jak naprawdę seksowna laska. Ciekawe, jak to jest, swoją drogą. I wścieka mnie fakt, że myślę głównie o tym. Niestety w tej chwili o niczym innym nie potrafię[64].

Przypuszczam, że jak się już wyleczę z tych zaburzeń łaknienia, znów przybiorę na wadze. Mimo to muszę spróbować[65]. Wszystko już przecież robiłam[66]. Jeśli nie zacznę naprawdę lepiej wyglądać, zerwę z Danem. Tak bardzo chciałabym się z nim widywać, ale tylko jako szczupła i piękna. Inaczej nic z tego[67].

To przygnębiające pisać takie rzeczy. Chyba mam depresję. Tak się starałam, a jednak nie mogę zwalczyć tego uczucia. Trudno. Zobaczymy, co będzie.

Pozdrowionka

Amy

PS Wydaje mi się, że Dan posiada nade mną zbyt wielką władzę. A ja potrzebuję w życiu czegoś innego. Bardzo poważnie zastanawiałam się nad wstąpieniem do AmeriCorps. O tak[68]! Szkoda, że jeszcze trzeba poczekać. Na studiach powinno być fajnie, nie będę się codziennie modlić o to, aby nastął już koniec roku[69]. Kurwa mać, tak strasznie chcę pojechać na Uniwersytet Nowojorski[70]. Uczelnia Towson jest do dupy, Baltimore to jakaś dziura[71]. Niech ktoś mnie stąd, kurwa, zabierze[72].

Kilka dni później:

Kochany Pamiętniczku!

Od ostatniego wpisu minęły dwa tygodnie. Ha, ha[73]. Właśnie przeczytałam sobie ostatnie wyznanie, jakie ci złożyłam, i zrobiło mi się niedobrze[74]. Obecnie mam już zupełnie inny pogląd na własne ciało. Lubię je[75]. Przed bzykankiem z Danem nigdy nie miałam większych problemów z samooceną[76]. Jeśli on dalej będzie ją obniżał, nie mam zamiaru utrzymywać z nim kontaktów[77]. Czuję się dobrze ze sobą, a moja aktualna waga mi nie przeszkadza. Teraz siedzę w samolocie i lecę odwiedzić Dana, ha, ha. I znowu wystarczyło, żeby tylko wspomniał o wizycie, a ja natychmiast wsiadłam do samolotu i mknę do tego gnojka[78]. Mam nadzieję, że będziemy się przynajmniej świetnie bawić, bo nie chcę traktować tej sytuacji zbyt poważnie[79]. To tylko kolega, którego lubię

trochę bardziej niż pozostałych. Seks jest z pewnością dopełnieniem tej relacji, ale jako jeden z jej przejawów[80]. *Bardzo jestem ciekawa tego weekendu. Mamy czwartek, a ja zostaję do niedzieli*[81].

[58] O rany, cóż za dokładność. Co to było, fragment serialu *Prawo i porządek*?

[59] Prawdę mówiąc, nie pamiętam, by brat kiedykolwiek natrząsał się z mojej tuszy. Wiem tylko, że stale uważał na to, aby moje ego nie urosło zbyt wielkie i żeby nie popadła w nadmierną zarozumiałość.

[60] Nie miałam pojęcia, że w tamtym okresie Kim cierpiała na jakieś zaburzenia pokarmowe.

[61] Świetny pomysł, Aim! Naprawdę mądry i wcale nie niebezpieczny. Jakież to inspirujące. Nawiasem mówiąc, moje szczere, acz nieudane próby wywołania zaburzeń łaknienia trwały niecały jeden dzień. Chyba opuściłam jeden posiłek, a potem uznałam: „No nie... pieprzyć to gadanie”.

[62] Jak zawsze.

[63] No cóż, lepiej się do tego przyzwyczaj, koleżanko. Tak już będzie do końca życia.

[64] Dobrze rozumiem, o czym tutaj pisałam. Chyba każda dziewczyna zna to uczucie. Nastolatkom wydaje się, że zamieszkuje w nich inna wersja ich osoby, która tylko czeka, aby się pojawić i zrobić na wszystkich piorunujące wrażenie. Bardzo się cieszę, że od tamtego czasu minęło już prawie piętnaście lat i że teraz znam zarówno samą siebie, jak i swoje ciało. Dziewczyny nastoletnie, sorry, ale jeśli możecie, darujcie sobie tę nienawiść do samych siebie tudzież usilne próby stania się kimś innym. Niech ten etap w waszym życiu po prostu przeminie. Kochajcie siebie takimi, jakimi jesteście. Nie traćcie energii na martwienie się o bzdury. Jeśli pragniecie trochę schudnąć – to świetnie. Zadbajcie o swoje zdrowie, ale resztę, kurwa, olejcie. Jesteście seksowne i osoba, która was pokocha, nie zwróci uwagi na te parę dodatkowych kilogramów. Daję wam słowo.

[65] Nie tylko byłam pewna, że skutecznie zdołam stracić apetyt, lecz także – że go odzyskam. Czyżbym przewidziała własną przyszłość?

[66] Z wyjątkiem tak ostrego picia jak Nic Cage w filmie *Zostawić Las Vegas*.

[67] Akurat to przez tego faceta czułam się fatalnie. Nie podobałam się sobie, nie lubiłam zwłaszcza swojego ciała. Miałam niską samoocenę, ale i tak się go trzymałam. Więcej na ten temat później.

[68] Organizacja ta przypomina trochę Peace Corps, tyle że działa w Ameryce. Mój

brat był w niej aktywny. Ja nigdy nawet nie spróbowałam. Mam słomiany zapał. Zresztą... „O tak!”? Ludzie, ratujcie.

[69] Nieprawda, właśnie tak należy postępować. Moim skromnym zdaniem ci, którzy za bardzo lubią liceum albo college, są trochę porąbani.

[70] Zupełnie nie pamiętam, żebym o tym myślała.

[71] W tym miejscu nie mogę się ze sobą zgodzić. Baltimore to nie jest żadna dziura; z czasem bardzo pokochałam to miasto.

[72] Wiele osób sądzi, że posiadam niezachwiane przekonanie o własnej wartości, niech więc ta możliwość wglądu w moje najintymniejsze myśli pozwoli im zrozumieć, że miłość do samego siebie rodzi się z czasem. Jak każde zdrowe uczucie, nie jest dziełem jednej nocy. A czasem pojawia się dopiero po kilku nieudanych próbach wywołania u siebie zaburzeń pokarmowych.

[73] Ale suchar. Naprawdę myślałam, że jestem dowcipna jak Woody Allen.

[74] Po dwadzieście moje huśtawki emocjonalne przypominały te u osoby cierpiącej na zespół osobowości mnogiej.

[75] No braaaaaawo, a kuku!

[76] Zaczynałam chyba rozumieć, że ten facet traktuje mnie jak śmiecia.

[77] Taaak, foczko! Mam ochotę zeskoczyć z kanapy i opiewać tę dziewczynę – idźcie w jej ślady, drogie panie!

[78] Okazało się, że miałam rację. Był gnojkiem. Zobacz rozdział pod tytułem „Najgorsza noc w moim życiu”.

[79] Dacie wiarę?! Taktyka „dobrze się bawić i nie angażować uczuciowo” nigdy się nie sprawdza i nie będzie sprawdzać, drogie siostry. Nie znam ani jednej dziewczyny, która chciałaby tylko tego, żeby codziennie kosztować innego fiuta. Nie w ten sposób jesteśmy zaprogramowane, kochanieńkie.

[80] Cholera, właśnie przeczytaliście, jak okłamuję samą siebie.

[81] Okej, wygooglowałam i się zgadza. To był czwartek. A także urodziny mojego brata. Spóźnione najlepsze życzenia, Jay!

Piękna i silna

Zanim opuściłam rodzinne pielesze i wyjechałam na studia, rządziłam w liceum. Sama decydowałam, w którym miejscu najlepiej zaparkować wóz, orientowałam się, gdzie zdobyć najlepszą kanapkę z kurczakiem i który z woźnych sprzedaje trawkę. Wszyscy mnie znali. I lubili. Uprawiałam sporty, umiałam być fajną kumpelą, czułam się ładna. Rozpoznawana. Zrealizowałam w pełni swój licealny potencjał. Posiadałam tożsamość. Uważano mnie za osobę silną, zabawną i fair. Trwał ów słodziutki okres w życiu, gdy jeszcze nie marnowałam czasu na kwestionowanie własnej wartości. Brałam, co dawano, i nie przejmowałam się resztą.

A potem zaczęłam studia na Towson University w stanie Maryland. Tak się złożyło, że grupa dziewcząt z pierwszego roku mojej uczelni została uznana za najseksowniejsze studentki w ogólnokrajowym plebiscycie magazynu „Playboy”. Ja do nich nie należałam, niestety.

Okazało się nagle, że błyskotliwość i charyzma znaczą tu tyle, co nic. Z każdym dniem czułam, że pewność i wiara w siebie uykają mi bezpowrotnie. Nie podobałam się tamtejszym facetom. Woleli chudsze, bardziej jasnowłose, głupsze. Moje pieprzne odżywki działały tylko na pracowników stołówki, którą dość często odwiedzałam, wskutek czego przytyłam nie zwyczajowe siedem, ale piętnaście kilo, i to w rekordowo krótkim czasie. Mężczyźni nie zwracali na mnie żadnej uwagi, który to fakt – wyznaję ze wstydem – niemalże mnie zabił.

Jakie takie zainteresowanie okazał mi dopiero pewien gościu imieniem Brett. Był ode mnie starszy o pięć lat i wyglądał jak członek Hitlerjugend. Korzystał z dziekanki na ostatnim roku, co czyniło go osobą, która powinna już była ukończyć studia, ale musiała dostać jeszcze trochę dodatkowego czasu, nim wejdzie w świat realny. Facet się prawie nie odzywał, co idealnie pasowało do moich planów wobec niego.

Zainteresowanie ze strony starszego, ładniutkiego chłopaka uważałam teraz za swój sukces. Kiedy spotykałam go na kampusie, od razu się z lekka denerwowałam – serce zaczynało mi walić, a mijając go, rzucałam mu znaczący uśmiech i spoglądałam głęboko w oczy. Czułam, jak cała krew gwałtownie napływa mi do twarzy. Czas spędzałam na analizowaniu tych sytuacji oraz planowaniu, w co się ubiorę następnym razem. *Powinam włożyć zwykłe saboty czy sandałki od Reefa? Ciekawe, czy dziś wieczorem on będzie w pubie. Bo jeśli tak, to konieczne muszę założyć mini w zebkę i top bez ramiączek!*

Bardzo chciałam, żeby do mnie zadzwonił, lecz nigdy tego nie robił. Aż nagle pewnego dnia – telefon. Była ósma rano, kiedy w moim pokoju w akademiku zabrzączał stary aparat.

– Siema, Amy. Mówi Brett. Wpadnij.

Jasny gwint. To jest właśnie to, pomyślałam. Obudził się i od razu o mnie pomyślał. Zrozumiał w końcu, że jesteśmy sobie przeznaczeni i że czeka nas wspólne życie. Dość udawania, przecież zostaliśmy dla siebie stworzeni. Ciekawe, gdzie będziemy wychowywać nasze dzieci. Czy on zdecyduje się na Baltimore, jak już założymy rodzinę? Ja pójdę wszędzie tam, gdzie jemu będzie najlepiej. Nie muszę wychowywać naszych dzieci na Żydów, choć na pewno nie pozwolę ich ochrzcić.

Ogoliłam sobie nogi w zlewku, skropiłam się lekko wodą pod pachami. Współlokatorka przyglądała mi się spod kołdry, a ja biegałam jak opętana po naszym nędznym pokoju w akademiku, który – gdy myślę o tym z perspektywy czasu – niewiele się różnił od celi więziennej: jarzeniówka pod sufitem, odgórnie przyznany współspacz oraz niedające się otworzyć okna. Żadnych szans, aby wyskoczyć i skończyć studia wcześniej.

Pobiegłam na miejsce spotkania, gotowa spędzić z Brettem cały dzień. Co będziemy robić? Było jeszcze na tyle wcześnie, żeby pójść na ryby. A może przyjechała jego mama i chcieli mnie zaprosić na wspólne śniadanie? Puk, puk – zastukałam radośnie do jego drzwi. Puk, puk. *Czy on przeniesie mnie przez próg? Na pewno układa teraz fryz przed lustrem i mówi do swojej mamy: „Bądź sympatyczna, bo to chyba jest ta jedna jedyna”.* Zamierzałam być dla jego matki przemiła, a jednocześnie asertywna, aby nie uznała, że może przejąć całkowitą kontrolę nad wszystkim: na przykład kolacjami, które będziemy wspólnie jadać w każde święta. Bardzo szybko zaczęłam jej mówić na ty, dając tym samym do zrozumienia, że lepiej ze mną nie zadzierać. „Rito, w tym roku to ja zrobię zapiekankę z fasolki szparagowej”.

Puk, puk. Puk. Puk. PUK! Wreszcie drzwi się otworzyły. Stał w nich Brett, lecz trochę jakby nieobecny. Twarz miał zniekształconą od wypitego alkoholu i pewnie czegoś jeszcze. Oczy zionęły pustką, jakby dusza opuściła jego ciało. Nie mógł skupić na mnie wzroku. Stał, usiłując przyjrzeć mi się z obu stron jednocześnie, jak jakiś rekin.

– Hejka! – wrzasnął nagle o kilka oktaw za głośno i uściśnął mnie, aż zabolalo. Ja byłam jednak zbyt zajęta unoszeniem wysoko głowy, wystawianiem do przodu cycków i wciąganiem brzucha, by zwrócić uwagę na te wszystkie, bardzo wyraźne, sygnały ostrzegawcze.

Gościu był nawalony w trzy dupy. Szybko zdałam sobie sprawę, że wcale nie jestem pierwszą osobą, o której tego ranka pomyślał. Raczej ostatnią, jaka przyszła mu na myśl poprzedniego wieczoru, ponieważ dla Brett'a nadal trwał poprzedni wieczór. Zastanawiałam się, ile dziewczyn nie odebrało jego telefonów, zanim dodzwonił się wreszcie do mnie – grubej studentki pierwszego roku, świeżynki. Czy miał mnie zapisaną w kontaktach jako „Schumer”? Musiało minąć trochę czasu, zanim dotarł do literki „s”. No ale cóż, oto stałam w jego pokoju, ja, osiemnastolatka spragniona objęć, dotyku, chcąc być obiektem pożądania. Chciałam z nim chodzić i wyobrażałam sobie, jak wędrujemy po kampusie, trzymając się za ręce. Byłby to dowód na to, że można mnie kochać, że wcale nie stałam się jakimś koszmarnym trollem płci żeńskiej, jak sądziłam, ponieważ ten fajny, starszy ode mnie facet bardzo mnie polubił. Pomyślałam: *Zaczekam, aż wytrzeźwieje, a potem będziemy się z tego wszystkiego śmiać. Oboje zrozumiemy, że naprawdę mamy się ku sobie.*

Brett włączył jakąś muzykę i poszliśmy do łóżka. Właściwie to on mnie do niego wpełchnął w ramach gry wstępnej, którą faceci uprawiają często w celu zakomunikowania: „Przygotuj się, bo biorę teraz sprawy we własne ręce i zaraz odleczysz, mała”. Tylko że potem prawie nigdy do niczego nie dochodzi. Brett śmierdział jak skunks spity heinekenem – a dokładniej to leciało od niego heinekenem, skunksem oraz mrożonymi cheeseburgerami Micro-Magic, które planowałam namierzyć i zjeść

w łazience, jak tylko zaśnie. Kiedy rzucił się na mnie, poczułam jego drapiący poranny zarost (wiedziałam, że potem przez parę dni będę miała czerwone usta, jakbym piła poncz) i przesycone alkoholem pocałunki. Generalnie odnosiłam wrażenie, że liże mnie ktoś, komu właśnie podano nowokainę.

Muzyka grała za głośno. Czułam się anonimowa, nieważna, pozbawiona twarzy i imienia. Byłam jedynie ciepłym ciałem, w które wdzierały się jego zimne palce, gmerające w mojej pochwie, jakby zgubił tam klucze. Potem nastąpił seks. Używam tego wyrazu raczej na wyrzut. Jego członek wykazywał twardość skórki od banana bez banana. Już kilka minut po wejściu do tego pokoju wiedziałam, że na stosunek płciowy nie ma najmniejszych szans. Czyli bardzo dobrze, bo tak naprawdę nie byłam gotowa się z nim przespać. Prędzej niemowlę weszłoby na Mount Everest, niż ten facet wykazał się zdolnością do penetracji.

W trakcie tego całego zawracania głowy rozglądałam się trochę po pokoju, aby zająć czymś myśli, a najlepiej, dałby Bóg, w ogóle odplłynąć w niebyt. Pokój wyglądał tak, jakby urządził go jakiś nadgorliwy dekorator wnętrz, który maksymę „tylko minimalizm, tymczasowość i prostota” wziął sobie zanadto do serca. Zauważyłam plakat filmu *Człowiek z blizną*, rzecz jasna obowiązkowy w tym okresie. Czy coś jeszcze? Nie. To było wszystko. Ów typowy biały koleś, syn księgowego, który spędził więcej czasu na grach wideo czy głupiej zoście, niż mogłabym kiedykolwiek zdzierżyć, czuł istotną więź z jakimś kubańskim baronem narkotykowym, zbiegłym ze swojej wyspy.

Nagle Brett zaczął mi robić minetkę. *Ambitnie*, pomyślałam. Tylko pytanie: jeśli facet zasypia po trzech sekundach poruszania językiem, niczym starzec jedzący swoją ostatnią owsiankę, to czy można to jeszcze uznać za seks oralny? Jedyna wilgoć, jaka wydobywała się spomiędzy moich nóg, pochodziła od jego śliny, ponieważ gościu poszedł w kimę i chrapał smacznie *do mojego wnętrza*. Miałam ochotę zakrzyknąć ze wszystkich sił: „Zabieraj się stąd, Amy! Jesteś piękna, jesteś bystra, zasługujesz na coś więcej!”. Lecz tylko westchnęłam i wtedy usłyszałam, jak pęka mi serce; z trudem stłumiłam łzy. Czułam, że roztapiam się i niknę w tej dziewczynie leżącej na łóżku, niemal bez reszty. Nagle muzyka się zmieniła, zabrzmiała solówka na dudach.

– Brett, co to jest? – Potrząsnęłam nim, próbując obudzić.

– Ścieżka dźwiękowa z *Walecznego serca*.

No jasne. Sama powinnam się była domyślić. Mogę się założyć, że plakat z Melem Gibsonem już zmierzał do niego pocztą, aby wkrótce zawisnąć dumnie tuż obok Ala Pacino.

– Mógłbyś włączyć coś innego? Proszę.

Podniósł się, pojękując, po czym padł na podłogę i zaczął się czołgać. Patrzyłam na odsłoniętą szczelinę między jego pośladkami, ciemną, zapuszczoną otchłań, w którą wpadałam. Zabrakło mi powietrza w płucach, prawie mnie sparaliżowało. Jego dupa była niczym kanion. Właśnie przeżywałam swoje najgorsze sto dwadzieścia siedem godzin w życiu, tak jak bohater głośnego filmu pod tym samym tytułem. Musiałam tylko odgryźć sobie, co trzeba, i zwiewać.

Brett wstał i włączył inną płytę CD. „Kochanie, podniecasz mnieeee...”. Włożył z powrotem do łóżka i spróbował wsadzić mi do pochwy to, co powinno się uznać za jego

trzecie luźne jądro. Po czwartym szturmie zrezygnował i znów zasnął mi na piersi. Miał ciężką głowę, a oddech tak kwaśny, że musiałam odwrócić swoją. W przeciwnym razie popłynęłyby mi z oczu łzy. Choć właściwie już płynęły, z powodu tej płyty. Tych piosenek.

– Kto to jest? – spytałam. Muzyka była naprawdę cudowna, wkraczała do mojego wnętrza. „Kupidynie, opuść swój łuuuuuk” – śpiewał wokalista. Całe to poranne spotkanie nie mogło się skończyć większą katastrofą, niż się skończyło. Jego nędzne próby „uprawiania miłości” były bardziej *à la* Mel Gibson niż William Wallace. A teraz, gdy ów niedojrzały mężczyzna, dla którego byłam tylko ostatnią na liście do telefonicznego zaproszenia na seks, leżał w moich ramionach, wokół nas rozlegały się najpiękniejsze piosenki o miłości na świecie. Słuchałam ich i płakałam.

Spojrzałam na samą siebie z góry, jakbym była swoją dobrą wróżką zawisłą nad sufitem. Odczekałam, aż wybrzmi absolutnie ostatnia, doskonała nutka, potem wysunęłam się spod jego ręki i wyszłam cicho z pokoju. Zamknęłam za sobą drzwi. Byłam uratowana.

Nigdy więcej nie miałam żadnej wiadomości od Bretta, dlatego też nie podziękowałam mu za to, że przedstawił mi moje nowe ja oraz moją nową miłość, Sama Cooke’a.

Minęło trzynaście lat, a ja wciąż uwielbiam tego artystę; od czasu do czasu potrzebuję również tej samej dobrej wróżki, co wtedy. Jedną z części mojego programu telewizyjnego nosi nazwę „Amy Goes Deep” (Amy zadaje drażące pytania), podczas której rozmawiam z ludźmi różnych ciekawych zawodów albo prowadzącymi interesujące życie. Pewnego razu przeprowadziłam wywiad, który ostatecznie nie poszedł do emisji, z profesjonalną swatką. Kobieta ta odpowiedziała na wiele moich pytań, ale jednocześnie zagięła na mnie parol. Zaraz po zakończeniu wywiadu zaproponowała spotkanie z mężczyzną, którego mi wcześniej wybrała.

Był to najbardziej poruszający epizod spośród wszystkich zarejestrowanych w „Amy Goes Deep”. A nie zapominajmy, że wcześniej rozmawiałam z człowiekiem, który kwestionuje zmiany klimatu, z zawodowym podrywaczem oraz ze zdiagnozowanym socjopatą. Jednak tylko ta kobieta zatrula mi duszę; wciąż czuję się z tego powodu zła i zniechęcona. Jeszcze przed naszym spotkaniem wyrobiła sobie na mój temat zdanie na podstawie zdjęć w Internecie, a także zapisów niektórych moich występów scenicznych. O facecie, z którym chciała mnie umówić, powiedziała bardzo niewiele. Podkreślała tylko, że świetna z niego partia. Według jej opisu miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, był sympatyczny i wysportowany. Zapewniała również, że to człowiek dowcipny i że ciągle rozbawia ludzi, zwłaszcza swoimi wnikliwymi postami na Facebooku. Następnie przeszła do informowania mnie o korzyściach płynących z tej cechy charakteru, jakby rozmawiała z kosmitką, która nigdy nie doświadczyła żadnych ludzkich emocji. „Gdy ktoś umie się śmiać i przekomarzać, wszystko jest łatwiejsze i zabawniejsze – no i zaczynamy czuć chemię, także seksualną”.

Słyszac te jej „nauki”, kierowane do mnie, zawodowej satyryczki w wieku

trzydziestu czterech lat, a dotyczące seksualności i poczucia humoru, których swatka udzielała w sposób opanowany, jakby przepisując mi lekarstwo, poczułam, że w gardle wzbiera mi żółć. Wtedy spytała, czy umiem przełamywać pierwsze lody podczas spotkania z facetem i jak to robię. Odpowiedziałam również pytaniem: czy według niej powinnam wcisnąć sobie jego głowę między uda z siłą dynamitu?

– Nie – odrzekła, nie wykazując najmniejszego poczucia humoru. – To prędzej mężczyzna powinien coś takiego robić. Pani jest kobietą – poinformowała mnie. – I musi się pani zachowywać jak dama. Starać się mu spodobać. Dawać do zrozumienia, że coś się może między wami wydarzyć. Myślę, że pani rolą jest siedzieć spokojnie i pozwolić mężczyźnie przejąć kontrolę.

Następnie oświadczyła, że jestem singielką chyba dlatego, że wygłaszam z estrady tak wiele dowcipów na temat seksu. A niby jak miałabym o tym mówić niczym dama? Wal się, głupia babo!

Ten, kto ogląda moje występy i programy, wie, że obnażam się na ekranie całkowicie, w każdym szczególe. Zakładam bardzo nieciekawe kostiumy, ukazuję swoje ciało z różnych punktów widzenia. Piszę i mówię o sprawach, które naprawdę dotyczą mojej wrażliwości, i często sama staję się obiektem żartów. Lecz bez dwóch zdań tamta rozmowa z zawodową swatką sprawiła, że poczułam się naga i bezbronna jak nigdy dotąd. Najpierw wysłuchałam, jak „ekspertka” od randkowania wyjaśnia, dlaczego nie jestem atrakcyjna dla mężczyzn, a potem jak przymusza mnie do spotkania z człowiekiem, którego mi wybrała, a który przecież mógł mnie nie zainteresować – wszystko to razem wzbudziło we mnie autentyczny strach.

Po skończonym wywiadzie istotnie poszłam do pubu na spotkanie z rzeczoną facetem, którego będę nazywać Rex. Nawet pisząc te słowa, czuję, jak kręci mi się w głowie. Czekałam przy barze, a cała moja pewność siebie i poczucie własnej wartości wyciekały wraz z potem, szczególnie przez dłonie. Obejmowałam nimi kieliszek wina tak, jakby był jedyną rzeczą łączącą mnie z resztą świata. Miałam złe przecucia, nic jednak nie przygotowało mnie na osobę, która chwilę potem stanęła w drzwiach.

Na widok Reksa poczułam się tak, jakbym była Titanikiem, zmierzającym prosto ku górze lodowej. Facet wszedł do środka. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt trzy lata, nosił dzinsową koszulę, a na niej skórzaną kamizelkę. Mierzył około metra siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu (solidne dziesięć centymetrów mniej, niż mówiła swatka), miał przeszczepione włosy i wydatny brzuch. Bez większego wstydu odsłaniał siwą sierść, która wystawała spod czterech rozpiętych górnych guzików koszuli. Na szyi pysznił się – nie żartuję – naszyjnik z zębów rekina. Natomiast jego własne zęby musiały być świeżo wybielone, bo gościu aż się palił, żeby błyskać nimi możliwie najczęściej. Wykazywał przy tym taką radość z własnej opalenizny, że nie przestawał się uśmiechać.

Uściskaliśmy się na powitanie, a potem postawiłam mu drinka. Serce zleciało mi ze swojego miejsca w pobliże wagi, tak się zdenerwowałam. Od pierwszej chwili, gdy tylko spojrzeliśmy sobie w oczy, zaczęłam liczyć czas. *Daję mu dokładnie pół godziny*, pomyślałam. Całą energię skoncentrowałam na tym, aby wydać się maksymalnie uprzejmą. Nie zadawał mi żadnych pytań, co przyjął z uznaniem, ponieważ nie miałam ochoty dzielić się informacjami o sobie. Zresztą nie miał na to czasu; musiał opowiedzieć

mi wszystko o swoim zespole muzycznym, który wykonywał covery piosenek Bruce'a, a może innego Billy'ego. Wiele rozprawiał też o tym, jakiego typu jest facetem, i gapił się na moje cycki. Zauważyłam ów moment, w którym podjął decyzję, że będzie uprawiał ze mną seks. Starłam się koncentrować na własnym oddechu oraz na barowym zegarze. Uśmiechając się mile, próbowałam rozsiewać wokół siebie czystą radość. Co nie należało do łatwych zadań, ponieważ facet naprawdę był zarozumiałym palantem. Po dwudziestu dwóch minutach zaczęłam się zbierać. Oznajmiłam, że mam jeszcze mnóstwo roboty i że wspaniale było go poznać. Wtedy powiedział dokładnie tak: „Jesteś naprawdę śliczna. Swatka gadała, że, cytuję, »nie wyglądasz na modelkę«, ale chyba się pomyliła”. Na te słowa moje serce, które już i tak znajdowało się na poziomie cipki, poleciało jeszcze niżej, wybiło wielką dziurę najpierw w skorupie, potem w płaszczu ziemskim, aż wreszcie przebiło jądro planety. Czyżby to miał być ów wspaniały żarcik, których mnogość wieszczęła mi wcześniej swatka? Czyżby chemia wzajemnego pociągu seksualnego już czaiła się gdzieś za rogiem? Musiałam się upewnić, że go dobrze zrozumiałam.

– Co dokładnie powiedziała? – spytałam.

– No cóż – zaczął Rex – nie bardzo chciałem iść na tę randkę, denerwowałem się, a wtedy ona stwierdziła: „Spokojnie, żadna z niej modelka”.

Wypomniałam mu, że to bardzo niegrzecznie z jego strony przekazywać mi takie informacje. Mógł sobie darować cytowanie opinii tej kobiety na temat mojego wyglądu. On próbował się bronić, twierdząc, że przecież się ze swatką nie zgadza. Zaczęłam mu dokładniej wyluszczać, że to i tak chamstwo, lecz nagle pomyślałam sobie: *Pierdolić to, po co w ogóle zawracam sobie głowę jakimś gościem, który urodził się za czasów prezydentury Eisenhowera i który lubi nosić na sercu fragmenty martwego rekina?* Podziękowałam mu więc za poświęcony czas, objęłam na pożegnanie i wyszłam roztrzęsiona i wściekła. Nie ze względu na samą siebie, ale wszystkie singielki, które umawiają się na takie randki. Miałam ochotę wbiec na sam szczyt Empire State Building i obwieścić wszem wobec, że każda z nich jest warta czegoś znacznie, znacznie lepszego. Że wcale nie muszą zabiegać o drugiego człowieka tylko po to, żeby uniknąć samotnych świąt czy wakacji. Że nigdy nie powinny pozwolić, by czasopismo, portal randkowy bądź jakaś swatka monstrem wmawiała im, iż plasują się w dolnych rejestrach atrakcyjności ze względu na wiek, wagę, wygląd lub rodzaj poczucia humoru. Że nie zasługują na to, aby nimi manipulowano, zmuszając je do usilnych starań o cokolwiek – o takich starzejących się kretynów, których zachęca się z kolei (jak wielu innych mężczyzn) do uwierzenia, że dla kobiet takich jak ja stanowią łakomy kąsek. Po co się w ogóle starałam zainteresować go sobą, tak jak sugerowała ta zawodowa swatka? Facet nie był ani zabawny, ani szczególnie sympatyczny; wolałabym już gadać z jakimś domowym zwierzątkiem.

Jeśli zaś chodzi o wspomnianą babę zajmującą się kojarzeniem par: ona zarabia na życie, redefiniując kobiece marzenia, każąc kobietom redukować własne oczekiwania. Tworzy i podaje za pewnik coś, na co jej zdaniem zasługujemy. Uważa, że jeśli któraś z nas „nie jest modelką”, to najlepszym dla niej wyjściem, jedyną nadzieją, będzie facet, który ma spore konto bankowe i jeszcze nie wykitował. Powinniśmy być wdzięczne, gdy na nasz widok uda mu się osiągnąć erekcję. Wyszłam z tamtego lokalu, jakby się paliło.

Myślałam: *PIERDOLIĆ TO WSZYSTKO!*

Nigdy już nie będę leżała w łóżku w jakimś akademiku jak tamta ja, studentka pierwszego roku, ani nie usiądę przy barze obok jakiegoś Reksa i jego kamizelki. I wszystkim tym, którzy kiedyś szukali miłości, a znaleźli jedynie kolesia w dżinsowej koszuli i w skórzanym wdzianku, członka Klubu Męskiego Owłosienia na Klacie, pragnę powiedzieć: „Kochajcie siebie!”. Aby mieć poczucie własnej wartości, nie potrzebujecie pomocy mężczyzny, chłopaka czy samozwańczego eksperta od tych spraw. Wasza siła spoczywa w was samych, płynie z tego, kim jesteście i co robicie! Darujcie sobie cały ten zgiełk, nieustanny szum gdzieś w tle, który mówi wam, czy jesteście odpowiednio dobre, czy nie. Potrebujecie tylko siebie, swoich przyjaciół i rodziny. A wówczas, o ile tego zapragniecie, znajdzie się odpowiednia osoba – taka, która dostrzeże w was siłę i piękno, która je uszanuje.

Dzisiaj przeważnie czuję się silna i piękna. Kroczę dumnie ulicami Manhattanu, jak tamta dziewczyna, którą byłam w ostatniej klasie liceum. Osoby, które kocham, odwzajemniają moją miłość. Jestem dobrą siostrą i dobrą przyjaciółką. Potrafię rozśmieszyć najzabawniejszych ludzi w tym kraju. Moja vagina może się poszczycić imponującą listą gości – prawdziwie inspirującym inwentarzem mężczyzn. Dałam sobie radę, przebiwszy się przez najokrutniejszą krytykę i groźby śmierci – i wciąż żyję. Jestem nieustraszona. Przeważnie. Wciąż jednak można we mnie znaleźć tamtą samotną, podatną na zranienie studentkę pierwszego roku, która czasem wychodzi na powierzchnię. Tak jak owego dnia po spotkaniu ze swatką i z Reksiem. Zresztą wiem, że coś takiego znów kiedyś nastąpi, nie jestem bowiem kuloodporna – nie tylko ja, oczywiście. My, kobiety, stale przeżywamy swoje lęki na nowo, mimo wszelkich starań i wysiłków, aby odbudować się wewnątrz i kochać siebie prawdziwą miłością. To się czasem zdarza. A wtedy Sam Cooke może nie wystarczyć, dobra wróżka nie wyprowadzi nas ku światłu. Bywa, że mam tego wszystkiego dosyć – nie występów przed publicznością, ale w ogóle bycia kobietą. Po przeczytaniu jakiegoś paskudnego komentarza na Twitterze rozkładałam ręce i mówię głośno: „No dobra, przejrzałeś mnie. Rozgryzłeś. Nie jestem ładna. Nie jestem szczupła. Nie zasługuję na miłość. Nie mam prawa głosu. Zacznę nosić burkę, przeprowadzę się do jakiegoś miasteczka w głębi kraju i zatrudnię się jako kelnerka w naleśnikarni”.

Dzisiaj bardzo wiele różni mnie od tamtej szczęśliwej, pewnej siebie licealistki. W minionych latach doświadczyłam rozpaczy i zwątpienia we własną wartość, lecz jakimś cudem zatoczyłam pełny krąg. Znam swoją wartość. Korzystam z tkwiącej we mnie mocy. Mówię sobie, że jestem piękna i silna. I nikt nie będzie mi dyktował, jak mam żyć. Tylko ja. Występuję, dzielę się z innymi, pieprzę się i kocham, i nigdy za to nie przepraszam. Budzę zdumienie, ale w was, nie dzięki wam. Nie sypiam samotnie. Nie przejmuję się wagą. Nie jestem swoją matką. Jestem sobą. Oraz wami wszystkimi.

Fragmety pamiętnika z roku 2003
(pisanego w wieku dwudziestu dwóch lat)
wraz z przypisami z 2016

Kochany Pamiętniczku!

Zły to znak, jeśli przez pewien czas nic w tobie nie piszę. Bo to znaczy, że albo mam coś do ukrycia, albo nie żyję w realnym świecie i nie chcę o nim myśleć[82]. Te dwa ostatnie miesiące właśnie takie były[83]. Teraz siedzę w pociągu do Nowego Jorku, gdzie zamierzam poszukać sobie wymarzonej, bajecznej pracy kelnerki[84].

Jak dotąd żyłam w świecie, który był lustrzanym odbiciem rzeczywistości, ale niebędącym jej częścią[85]. Ukończyłam studia, bla, bla, bla, tylko co to właściwie znaczy? Myślę, że wiem, ale nauczyłam się już, że to, co obecnie wydaje się prawdą, w przyszłości zmieni się w nonsens[86].

Dwa ostatnie miesiące studiów były bardzo intensywne i wspaniałe zarazem. Nasze przedstawienie wypadło całkiem dobrze. Mogłoby być tysiąc razy lepsze, ale reżyser okazał się fatalny, obsada też była do niczego[87].

Rozpocynam dorosłe życie[88]. Chciałabym zdobyć wszystko od razu[89]. Zamierzam mieszkać w Nowym Jorku[90], kosić niezłą kasę[91], występować i czasem dorabiać jako barmanka[92]. W domu przebywałam tylko tydzień i nie mogę się już doczekać, aż będę chodzić na przesłuchania[93]. Czas zacząć nowy rozdział[94].

[82] Podoba mi się, że uważałam swój pamiętnik za kapłana spowiednika, przed którym powinnam wyznawać grzechy. A tę niepisaną umowę zawarłam po to, aby pamiętnik zawierał tylko prawdziwe treści, żadnych gówien.

[83] Fatalnie, gdy „pisarka” używa czasownika „było” zamiast „były”, gdy chodzi o liczbę mnogą. Wymiatasz, Amy!

[84] Naprawdę nie mam pojęcia, czy wtedy żartowałam, czy też użyłam słowa „bajeczny” na poważnie. Szybko jednak zrozumiałam, że nie istnieje nic takiego jak bajeczna praca kelnerki albo barmanki ani w ogóle żadna inna w krainie świadczenia usług, chyba że usług oralnych. Jest w ogóle taka praca? Leży się i świadczy usługi oralne? To byłoby bajeczne.

[85] Bardzo chciałabym wiedzieć, o co mi wtedy, kurwa, chodziło. Musiałam chyba czytać najsoczystsze wyjątki z dzieł propagowanych przez klub książki Oprah Winfrey.

[86] No, no, ależ był ze mnie Nietzsche. Powiedzmy. Bo to przecież jakieś kompletne bzdury. Zwykły bełkot. Wstyd mi za samą siebie, ale to także fragment mojego pamiętnika.

[87] Brutalna byłam, ja, Amy Ford Coppola. Ale czego się niby spodziewałam?

Uczęszczałam przecież na stanowy uniwersytet w Maryland. I co, chciałam mieć w obsadzie naszej sztuki Marka Rylance'a i Meryl Streep? Byliśmy tylko bandą nastolatków, które udawały dorosłych. Weź się uspokój.

[88] Świetnie pamiętam tamto uczucie. Odkąd ukończyłam dziesięć lat, bardzo chciałam, aby życie się naprawdę zaczęło, a nie tylko trwało w swojej fazie przygotowawczej.

[89] To prawda, chciałam.

[90] I mieszkam.

[91] I koszę.

[92] Podoba mi się, że myślałam wystarczająco realistycznie, by wiedzieć, że będę zmuszona pracować jako barmanka, i konstatację tę włączyłam do swoich marzeń. W tym konkretnym zapisie awansowałam z kelnerki na barmankę.

[93] Nie miałam wtedy pojęcia, że przesłuchania to prawdziwy koszmar. Ocenia cię tłumek ludzi, którzy nie wykazują dla ciebie ani krzty szacunku. A ty przygotowałaś się do roli, której nie masz szans zdobyć.

[94] Fajnie by było, gdybyście dostrzegli w tym zdaniu poetyczność i metaforę, tylko że mnie dosłownie chodziło o rozpoczęcie nowego rozdziału pamiętnika. Wprawdzie została jeszcze cała wolna linijka, ale narysowałam już strzałkę do kolejnej strony, bo na tę nie mogłam patrzeć, niedobrze mi się robiło.

Jak zostać artystą stand-upowym

Stand-up to moje ulubione zajęcie. No cóż, właściwie to nie do końca. Uwielbiam mieć orgazm, obejrzeć dobry film albo poczytać fajną książkę. Kocham spaghetti i wino. To moje ulubione rzeczy. A zaraz po nich? Och, no tak: spanie. Uwielbiam spać – a także pływać statkiem. Przepadam za grą w siatkówkę z moją siostrą, lubię też wybrać się na koncert jakiegoś zespołu czy muzyka, zwłaszcza wtedy, gdy moja sympatia do nich sięga zenitu. Oto moje ulubione życiowe zajęcia. Ale żarty na bok: stand-up naprawdę sprawia mi ogromną radość. Szczególnie teraz, bo mimo że człowiek staje się w tym coraz lepszy, doznania pozostają te same. Przynajmniej ja tak to widzę.

Nie umiem opisać, co czuję, kiedy stoję na scenie, w blasku reflektorów, mówiąc o czymś, co uważam za śmieszne bądź ważne (albo jedno i drugie zarazem), a ludzie reagują śmiechem, aplauzem, uznaniem i aprobatą. Jestem tylko człowiekiem i pragnę być kochana; w niektóre wieczory wolałabym usiąść sobie z rodziną albo z chłopakiem i obejrzeć jakiś film. Jednak w większości przypadków w okresie ostatnich trzynastu lat najbardziej ze wszystkiego chciałam znaleźć się na estradzie.

Mój pierwszy oficjalny występ miał miejsce, kiedy skończyłam pięć lat. Zagrałam wówczas postać Gretl w *Dźwiękach muzyki*. Ale udzielałam się już dużo wcześniej – odkąd tylko zaczęłam mówić. Łóżeczko w moim dziecięcym pokoju stało na specjalnej platformie, usytuowane w głębokiej wnęce pomieszczenia. Nad nią rodzice zawiesili zasłony, aby stworzyć mi przytulne miejsce do spania, lecz ja wynosiłam materac na zewnątrz, tak by platforma służyła za małą scenę. Zwoływałam wszystkich członków rodziny, wyłaniałam się zza kurtyny i odgrywałam swoje skromne przedstawienie. Składało się ono zazwyczaj z nudnych, skomplikowanych historii o króliczkach, kotkach i robaczkach. Publiczność udawała zainteresowanie, choć musiała marzyć, aby jakiś meteoryt niespodziewanie walnął w dom.

Występować chciałam zawsze. Tata wszystko filmował, co mnie bardzo irytowało – nawet kiedy byłam dzieckiem. Potrafiłam przerwać wtedy występ, prosząc, żeby odłożył kamerę. Mamy nagranie wideo, na którym robię straszną awanturę, ponieważ tata nie dostosował się do moich żądań i nie przestał filmować. Pewnie myślicie sobie, że powinnam się rajcować okiem kamery, ale dla mnie najważniejsze było (i jest) występowanie przed publicznością na żywo. Nawet gdy miałam trzy latka.

Mój debiut sceniczny jako artystki stand-upowej można opisać jako „rzut na taśmę”. Miałam dwadzieścia trzy lata, od dwóch już nie studiowałam. Należałam wówczas do grupy teatru improwizacyjnego, podobnie jak pewna czterdziestopięcioletnia satyryczka, która od dawna parała się stand-upem. Była niczym żeńska wersja Woody’ego Allena, tyle że nie poślubiła własnej córki. Pewnego wieczoru wybrałam się na jej występ i jak każdy palant, który łązi do klubów kabaretowych, pomyślałam sobie: *Ja też tak potrafię*.

Niedługo po tym pamiętnym wieczorze odkryłam Gotham Comedy Club. Znajdował się wtedy na Dwudziestej Drugiej Ulicy i mieścił około stu pięćdziesięciu osób. Weszłam do środka i dowiedziałam się, że jeśli sprowadzę czworo ludzi jako publiczność (którzy opłacą wejściówki i zakupią parę drinków), będę mogła od razu

wystąpić. Nie pamiętam już dokładnie, kim byli owi szczęśliwcy. Jeden to z pewnością moja mama, drugi – moja przyjaciółka Eileen, perkusistka jazzowa, ale pozostałych nie pomnę. Przed wejściem na estradę miałam jeszcze kilka godzin dla siebie, które poświęciłam na gorączkowe przygotowanie sześciominutowego występu. Był wtorek, show miał się zacząć o siedemnastej. Na zewnątrz nadal świeciło słońce. Wprost doskonała pora na uprawianie kabaretu. Publiczność składała się z około dwudziestu pięciu dusz. Niestety całe to zdarzenie zostało zarejestrowane na taśmie VHS. Widać tam moje bardzo kręcone włosy, a jedyną rzeczą gorszą od mojego stroju były moje dowcipy. Miałam na sobie białą, zapinaną bluzkę w stylu mormońskim, z krótkimi rękawami, a do tego spodnie, które pasowałyby do pierwotnej, otyłej wersji Jareda Fogle’a, rzecznika firmy Subway. Wygłaszałam tyradę na temat napisów na niebie, które wykonuje się małymi samolotami: „Jakież to irytujące. I tak przecież znika, a w ogóle nie da się tego przeczytać. Gdyby jakiś facet oświadczył mi się w ten sposób, powiedziałabym »Nieeeeeee«”.

I dodałam:

„Więc mam prośbę, żebyście tego lata byli bardziej przyziemni!”.

Tak brzmiał przemądry finał mojego występu. „Bardziej przyziemni”. Ble.

Kiedy wspominam, jak okropne to było, chce mi się wymiotować. Ale nie czułam wówczas zdenerwowania. Przecież teatr był ze mną od piątego roku życia, więc nie znałam tremy scenicznej. Jak na początkującą w tej materii, w dodatku z zerowym potencjałem oryginalnych pomysłów i jeszcze mniejszym wyczuciem czasu, wykazywałam całkiem sporą pewność siebie. Ludzie się śmiali w sposób wystarczający. Śmiali się, ponieważ byłam młoda i pełna nadziei, a oni wyczuwali mój entuzjazm i energię. Chcieli być dla mnie mili. Liczyło się tylko to, że się śmiali. Weszłam do tego świata na dobre. Paru obecnych na widowni prawdziwych kabareciarzy mi pogratulowało. Powiadali, że powinnam nad tym jeszcze popracować i że stanę się lepsza. Niektórzy zapewne chcieli pójść ze mną do łóżka. Chwila, właśnie przypominałam sobie, jak wyglądałam w tym moim stroju. Nie, na pewno nie chcieli.

Odtąd występowałam regularnie, dwa razy w miesiącu. Zawsze jako „dostawca” – to znaczy musiałam przyprowadzić od ośmiorga do dwanaściorga osób na widownię, żeby kupowały drinki, w zamian za sześć minut mojego występu na estradzie. Normalnie proceder ten nazwałabym wymuszeniem rozbójniczym, ale wszyscy byli zadowoleni, ponieważ każda ze stron otrzymywała to, czego chciała. Każda z wyjątkiem widowni. Mogłam zwykle liczyć na członków swojej rodziny i przyjaciół z Long Island, a także na parę osób, które obsługiwałam w knajpie jako kelnerka: oni byli moimi zapełniaczami wśród publiczności. To straszne musieć tak ciągle potrzebować czegoś od ludzi. Brutalne wręcz. Później, już po zakończeniu kariery dostawcy własnych słuchaczy, natychmiast wykasowałam z telefonu około stu różnych numerów. Czułam radość, że nie będę już zmuszona do wysyłania esemesów o treści: „HEJ! WPADNIESZ DZIŚ NA MÓJ WYSTĘP?”. Jako się rzekło, jestem introwertyczką i po każdym przedstawieniu chciałabym iść od razu do domu, aby pomyśleć jeszcze nad scenariuszem, a tymczasem każą mi łączyć do pubów z każdym, kto poda się za mojego fana. Już sam występ jest bardzo wyczerpujący psychicznie, a potem trzeba jeszcze iść i się socjalizować – to jak

dla mnie zbyt wiele. Łatwiej chyba wykonać taniec brzucha przed wściekłą kobłą, niż stać i słuchać, jak współpracownicy z restauracji komentują wszystkie twoje dowcipy.

Podczas pierwszego roku moich przedstawień stand-upowych miałam zwyczaj przechadzać się nerwowo po parkingu przed klubem Gotham, czekając, aż wybije właściwa godzina. Łaziłam tam i z powrotem, mijałam pracowników parkingu i przerzucałam w głowie scenariusze, tak jak aktor teatralny ćwiczy swój monolog: w kółko to samo, bez przerwy. Na pięć minut przed wezwaniem na scenę dostawałam biegunki. Za każdym razem. Był to niemalże rytuał. Wpadałam w panikę na myśl, że zaraz mnie zawołają, a ja siedzę w tej zimnej toalecie i podcieram się tak mocno, że grozi to śmiercią – mimo wszystko zawsze zdążałam. Jakoś tak wychodziło, że potrafiłam się sprawnie wypróżnić, podetrzeć i splukać wodę, zanim padło moje nazwisko. Zostawało mi nawet kilka dodatkowych sekund, aby porozciągać się niczym biegacz długodystansowy przed startem. Robiłam tak dopóty, dopóki nie zobaczyłam kogoś, kto przed wejściem na scenę walczył z niewidzialnym przeciwnikiem, zadając mu miarkowane ciosy; doszłam do wniosku, że to straszna siara, i natychmiast zrezygnowałam z własnego rytuału rozciągania.

Dzisiaj jestem gotowa stanąć na scenie tuż po głębokim śnie albo w samym środku prowadzonej rozmowy. Lecz w tamtych czasach wszystko to przypominało ofiarę z jagnięcia składaną bogom moich upiornych przesądów. Do najdziwniejszych należał ten, który zmuszał mnie do oglądania samej siebie na taśmie filmowej. Za piętnaście dolarów można było w klubie Gotham kupić kasetę VHS z nagraniem własnego występu. Ponieważ nie miałam w domu odtwarzacza wideo, chodziłam z kasetą do pewnego sklepu, którego nazwa rymuje się z West Buy, wsadzałam ją do któregoś z dostępnych magnetowidów, a następnie analizowałam swój występ i robiłam notatki. Ludzie robiący zakupy wyglądali na zbitych z tropu zachowaniem dziewczyny, która przychodzi do sklepu z kasetą, ogląda ją i jednocześnie coś sobie pisze. Pewnego razu wzięto mnie za aktorkę występującą w programie telewizyjnym o bardzo ograniczonym budżecie, która przypadkiem natrafiła na jego emisję. A tymczasem po prostu nie było mnie stać na magnetowid, bo wszystkie pieniądze wydawałam na czynsz i przygotowanie się do występów.

Nie weszłam wtedy jeszcze na poziom *open mike*'a. Te występy są trudniejsze i stanowią poważny krok do przodu, ponieważ nie sprowadza się na nie znajomych, a publiczność składa się głównie (lub wyłącznie) z innych satyryków. Uznałam, że dobrym miejscem na mój debiut, a raczej skok na głęboką wodę, będzie klub o nazwie Underground w Harlemie przy Sto Szóstej Ulicy. Poszłam tam z dużą pewnością siebie. Już od kilku miesięcy występowałam przed prawdziwą widownią, liczącą do dwustu osób, więc pomyślałam, że dam sobie też radę z trzydziestoma kabareciarzami. A teraz zaśpiewam trzy słowa: Neeee dałam raaaaady! To był niewypał. Totalny. Nikt się nie roześmiał.

Nieporównywalne z niczym wrażenie, taka pierwsza sceniczna klęska. Porusza do szpiku kości. Najpierw myślisz, że coś jest nie tak z nagłośnieniem. Ale nie. To raczej z tobą jest coś nie tak. To ty stanowisz problem. Ty i te twoje straszne żarty, które wcale nie są zabawne. Zaczynasz rozumieć, że dotąd wszyscy cię okłamywali. Na widowni nie

ma twoich przyjaciół, gotowych się roześmiać, aby tylko nie sprawić ci przykrości. Widzisz morze niezycziwych twarzy, ludzi, którzy zajmują się tym samym co ty, więc wcale nie uważają cię za fajną, lecz za nudną, i emanują przekonaniem, że tracą na ciebie swój cenny czas. Skupieni są wyłącznie na własnych tekstach oraz na tym, jak torować sobie drogę w świecie komedii. Kiedy schodziłam z estrady, kręciło mi się w głowie. Usiadłam przy stoliku z kilkoma satyrykami, którzy uśmiechali się do mnie grymasem w rodzaju „jakże nam przykro, szczerze kondolencje”. Do końca wieczoru tkwiłam tam ze zwieszoną głową; zdałam sobie sprawę, że czeka mnie jeszcze mnóstwo pracy. Nie wybuchnęłam płaczem, lecz moja pewność siebie zmieniła się w chmurę drobinek porzrzucanych po brudnej podłodze tego klubu w Harlemie. No dobra, w porządku – płakałam. I wypiałam kilka ciepłych piw.

Od tego dnia zaczęłam występować parę razy w tygodniu – *open mike* tu, przedstawienie z własną publiką tam. Po skończonym numerze jechałam na chatę zjeść kolację ze swoim chłopakiem, Rickiem, z którym wiodłam bardzo szczęśliwe życie na Brooklynie. Oboje byliśmy aktorami, ale poznaliśmy się jako kelnerzy. Oboje staraliśmy się wtedy o jakieś gówniane role w gównianych sztukach i ról tych nie dostaliśmy. Zresztą żadnej innej też nie. Pamiętam, że wydawało mi się dziwne, iż wielu znanych mi satyryków występuje częściej niż raz dziennie. Czułam u nich ten nienasycony głód estrady i było mi ich żal. Za czym oni tak gonili? Jak gdyby jeden pięciominutowy występ w salonie fryzjerskim więcej (tak, wciskali się wszędzie) w obecności dziesięciu innych pijanych kabareciarzy mógł cokolwiek zmienić.

A potem to samo stało się ze mną. Przyszedł mi do głowy mój pierwszy dobry żart. Taki, który sprawił, że nabrałam ochoty, aby wejść na scenę i go opowiedzieć. Było to około pierwszej w nocy, w wagonie metra linii L, gdy wracałam do domu, do Williamsburga. Siedziałam obok starszej czarnej kobiety i prowadziłam z nią sympatyczną rozmowę. Takie pogaduszki. Była w wieku tego strażnika z *Opowieści z krypty*, przypominała rodzynekę kalifornijską. I to wcale nie jest rasistowskie. Gdyby była biała, wyglądałaby jak żółta rodzynekka kalifornijska. W każdym razie ni stąd, ni zowąd ta kobieta zapytała mnie: „Słyszała pani dobrą nowinę?”. W tym momencie zauważyłam, że trzyma przy sobie jedną z tych religijnych broszurek z obrazkami. Zrozumiałam, iż zamierza zbawiać moją duszę. Wyprowadziłam ją z błędu, ale delikatnie, tłumacząc, że jestem Żydówką i że nie dołączę do niej w królestwie niebieskim. I to wszystko. Myślałam, głupia, że mam do czynienia z uroczą kobietą, z którą się fajnie rozmawia, a tymczasem ona wykorzystywała mnie, aby nabić sobie punkty do zbawienia. Nie wiedziała jednak, że jestem bezbożną, przebiegłą Żydówką. Po wyjściu z metra, idąc do domu, wymyśliłam dowcip. Dobry dowcip.

Z samego rana zadzwoniłam do siostry i ją obudziłam. Kim nie cierpi, kiedy zrywa się ją z łóżka w ten sposób. Ale ponieważ sypia z telefonem, a ja o tym wiem, wystarczyły tylko trzy sygnały: dzyń, dzyń, dzyń. „Słuchaj, Kim, mam nowy żart!”. Odpowiedziała mi pełnym ciepłego zainteresowania zwrotem: „Do widzenia”. Mimo to zmusiłam ją do pozostania na linii i wysłuchania dowcipu, który brzmiał następująco:

Pewna stara kobieta pyta mnie w metrze: „Słyszała pani dobrą nowinę?”. Pyta oczywiście dlatego, że chce porozmawiać o moim zbawieniu.

Odpowiadam: „Bardzo mi przykro, proszę pani, ale jestem Żydówką”.

Na co ona: „Nie szkodzi. Żydzi wciąż szukają Pana Jezusa”.

Ja: „Ależ nie, znaleźliśmy go. Tylko że to jest ta zła nowina, o której pani nie słyszała”.

Przyciskałam ucho do komórki, niecierpliwie czekając na reakcję Kim. Jak wiele razy wcześniej. Mniej więcej po czasie, w którym wody Missisipi trzykrotnie spłyną od źródeł do ujścia, siostra powiedziała: „Zabawne. Do widzenia”. I się rozłączyła. Ale mnie nie trzeba było już nic więcej. Mój nowy żarcik ogromnie mi się podobał. Wypróbowałam go jeszcze tego samego wieczoru, podczas występów na *open mike*’u, i został przyjęty dobrze. Zaczęłam go więc udoskonalać: może gdyby dodać trochę zmyłek, co biorę za dobrą nowinę, a co nie, byłoby jeszcze śmieszniej. Poszłam na kolejny *open mike*, a potem jeszcze jeden.

Parę tygodni później wymyśliłam nowy dowcip:

Kiedy uprawiamy seks z moim chłopakiem, on zawsze włącza światło, a ja je gaszę. Ale on i tak włącza je z powrotem.

Ostatnio spytał: „Czego się tak wstydzisz? Przecież masz piękne ciało, chętnie na nie popatrzę”.

A ja na to: „Ooo, słodziak z ciebie! Czyli naprawdę myślisz, że nie chcę, abyś to ty oglądał mnie”.

Uwielbiałam też żart. Miałam ochotę powtórzyć go z milion razy. I tak zrobiłam. Odkryłam, że istnieją kluby, w których można „naganiać” – to znaczy stojąc sobie gdzieś na rogu ulicy, rozdawać ludziom ulotki, opowiadać im o swoim występie. Zagajałam na przykład tak: „Hej, lubicie kabaret na żywo?”. Jeśli ktoś odwiedził Nowy Jork, na pewno ma doświadczenia z takimi irytującymi osobami. No cóż, również do nich należałam. Na dworze dwanaście stopni mrozu, a ja tkwię na skrzyżowaniu i próbuję zwabić do środka wystarczającą liczbę chętnych, aby wpuszczono mnie na scenę. Potrzebowałam tam ludzkich ciał, niezależnie od tego, czy znały angielski, czy nie.

Bardzo szybko się wciągnęłam. Byłam totalnie i całkowicie uzależniona od stand-upu, chciałam być w tym coraz lepsza i wreszcie mi to wychodziło. Okazuje się, że jeśli wsiąkniecie bez reszty w występy typu *open mike*, jeśli przyprowadzacie znajomych, naganiacie ludzi z ulicy, mając jednocześnie pomysł na własny show, jeśli biorą w nim udział inni satyrycy, a wy uczestniczycie w ich numerach, jeżeli robicie to co wieczór po kilka razy i jeśli macie na tym punkcie absolutną obsesję – wtedy zaczyna być trochę lepiej. „Trochę” jest tu słowem kluczem.

Ostatecznie bowiem każdy, kto zajmuje się stand-upem, jest marzycielem z urojeniami oraz masochistą. Aby być w tym dobrym, trzeba poświęcić ogromną ilość energii i czasu. Wzbudzenie autentycznego śmiechu na widowni wymaga wielu lat

wysiłek. Powoli, krok po kroku, stawałam się w te klocki coraz lepsza. Pete Dominick, satyryk, którego poznałam podczas jednego z moich występów w klubie Gotham, wywierał na mnie nieustanną presję, chcąc, bym się doskonaliła. Mówił: „Musisz wiedzieć o wszystkich klubach w Nowym Jorku, znać ich nazwy, być gotowa wystąpić w dowolnej chwili. To ma się stać twoją obsesją”. Miał rację. Natomiast najzabawniejszą osobą, jaką w życiu widziałam, była Jessica Kirson. Miałam okazję obserwować ją z bliska w klubie Gotham. Miażdżyła widownię tak, jak nikt inny nie potrafił ani wtedy, ani dzisiaj. Ludzie byli wręcz fizycznie wyczerpani śmiechem. Gdy Jessica schodziła ze sceny, człowieka bolały wszystkie mięśnie twarzy. Była pierwszą osobą, która pozwalała mi rozgrzewać publiczność przed swoim występem, kiedy byliśmy w trasie. Pojechałabym za nią wszędzie, i to za friko. Dawała mi pięćdziesiąt dolców, bo chciała być miła, lecz mnie zależało tylko na tym, żeby przebywać razem z nią.

Pewnego dnia – jakieś dwa i pół roku później – wybrałam się na bezpłatne seminarium dla początkujących kabareciarzy w Gotham Comedy Club, czyli tam, gdzie wykonałam swój pierwszy krok w stand-upie. Jego właściciel, Chris Mazzilli, sprowadził profesjonalnego agenta oraz satyryka znanego w całym kraju, człowieka z pierwszych stron gazet; mieli oni odpowiadać na pytania mniej więcej setki pretendentów do zawodu zgromadzonych na sali. Notowałam wszystko jak szalona, podczas gdy Chris mówił, że najważniejsza jest ciężka praca. Nigdy nie zapomnę słów, którymi zwrócił się do grupy głodnych sukcesu kabareciarzy: „Dobrym przykładem ciężko harującej satyryczki jest Amy Schumer. Ona jeszcze o tym nie wie, ale właśnie zgłosiłam jej kandydaturę do debiutu na montrealским festiwalu satyry”. Ależ to była dla mnie nowina. Już sam fakt, że facet w ogóle kojarzył moją osobę, wzbudził we mnie szaloną radość. Prawie się wtedy rozplakałam, ponieważ Chris był pierwszą osobą mającą w tej branży coś do powiedzenia, która oznajmiła, że czymkolwiek się wyróżniam.

Zaraz potem miałam występ w innym pubie. Wyszłam z klubu wprost na padający deszcz, czując się jak Anastasia, która właśnie poznała Christiana w *Pięćdziesięciu twarzach Greya*. Tak, oglądałam ten film, wy na pewno też. Tylko że ja nie czułam się wtedy tak wspaniale ze względu na seksownego faceta, który mnie zdominuje i będzie mi wsadzać w każdą dziurkę. Czułam się tak z powodu tego, co usłyszałam, i rysującej się przede mną kariery kabaretowej. Nie pamiętam, jak poszedł mi tamten numer ani czy moje żarty miały wtedy branie. Pamiętam tylko, że unosiłam się w powietrzu, a to, czy występ pójdzie mi dobrze czy źle, nie miało dla mnie większego znaczenia. Te dwadzieścia osób na widowni mogłoby siedzieć w kamiennym milczeniu, a i tak by mnie to nie obeszło. W moich żyłach płynęła czysta adrenalina; uwierzyłam, że oto stoję przed szansą odniesienia sukcesu. Nie wiedziałam, co to właściwie znaczy, ale czułam, że coś się zbliża.

Niedługo potem, w 2006, zostałam oficjalnym supportem uczelnianym. Płacono mi po sto dolarów za rozgrzewanie publiczności na uniwersytetach przed wejściem na scenę głównego satyryka, gwiazdy wieczoru. Czasem musiałam dojeżdżać na miejsce nawet osiem godzin. Mój pierwszy tego typu występ odbył się na Bryn Mawr w Pensylwanii, gdzie byłam supportem niejakiego Kyle’a Dunnigana. Jedna połowa publiki ulotniła się w trakcie mojego numeru, druga – podczas występu Kyle’a. Dziś, czyli dziesięć lat

później, Kyle należy do moich najlepszych przyjaciół, od czterech lat współtworzymy scenariusze do prowadzonego przeze mnie programu telewizyjnego. To jeden z najzabawniejszych ludzi, jakich znam.

Pod koniec tamtego roku powoli zaczynałam się stawać gwiazdą college'ów. W dniu, w którym odkryłam, że za jedną godzinę pracy mogę dostać aż osiemset dolarów, biegałam w kółko po swoim mieszkaniu na Brooklynie, myśląc: *Czy byłabym równie szczęśliwa, gdybym się dowiedziała, że będę mieć dziecko?* Wydaje mi się, że odpowiedź brzmiała „nie”. Niedługo potem zaproszono mnie do wykonania siedmiominutowego specjalnego numeru w programie *Live at Gotham*, który emitowała stacja Comedy Central. Nieomal umarłam z ekscytacji, prawie straciłam przytomność. Nie mogłam uwierzyć, że będę miała swój stand-upowy występ w telewizji, i to zaledwie dwa i pół roku od rozpoczęcia kariery.

Wtedy stało się coś jeszcze bardziej nieprawdopodobnego. Poszłam na przesłuchanie do programu NBC pod tytułem *Last Comic Standing* – był to reality show z udziałem komików różnej maści, skrojony na modłę *Idola*. Zaczynała się jego piąta edycja. Nie sądziłam, że mam jakiegokolwiek szansę. Moje przewidywania ograniczały się raczej do nadziei, że jeśli mi się poszczęści, to może domontują fragment tego przesłuchania do pierwszego odcinka programu. Albo przynajmniej położę podwaliny pod jakiś własny numer, który opracuję w szczegółach za parę lat. Naprawdę tak zakładałam. Przesłuchanie kandydatów polegało na zaprezentowaniu numeru stand-upowego przed trójką jurorów. Po pierwszym etapie podziękowano około dwustu osobom, a do następnego zaproszono zaledwie trzydziestkę. Druga runda miała się odbyć jeszcze tego samego wieczoru. Zadzwoiłam do mamy i do ówczesnego chłopaka z zaproszeniem na mój występ. Kiedy wszyscy zrobiliśmy swoje, ustawiono nas w równych rzędach (bardzo upokarzające) na podwyższeniu, aby oznajmić, kto otrzymuje „czerwoną kopertę” – bilet do Los Angeles na występy w półfinale. Stałam tam, pewna, że nie dostanę żadnej koperty i będę musiała tkwić nieruchomo dopóty, dopóki nie wywołają już wszystkich zwycięzców po kolei. Moja twarz przybrała barwę wspomnianych kopert. I wtedy odczytali moje nazwisko! Gały wyskoczyły mi z orbit; rzuciłam się do przodu, niczym uczestniczka teleturnieju *Dobra cena*. Wręczono mi nagrodę, a ja nie mogłam w to uwierzyć. Ani oderwać od niej oczu. Czułam się jak Charlie ze swoim złotym talonem do fabryki czekolady. Zerknęłam na mamę, na partnera, po czym wszyscy zaczęliśmy się drzeć z ekscytacji i zaskoczenia.

Przez dwa miesiące, które dzieliły mnie od półfinału w Los Angeles, pracowałam bardzo ciężko, codziennie chodząc na siłownię, każdego wieczoru wykonywałam też przedstawienia stand-upowe. Do Miasta Aniołów wybrałam się sama. Mieszkałam w jednym hotelu z satyrykami i kabareciarzami z całego kraju, a nawet z zagranicy. Byłam zwarta i gotowa, żwawa i ochocza. „W tym hotelu jest basen!” – oznajmiłam przy stole podczas wspólnego lunchu, przy którym siedzieli satyrycy z doświadczeniem zawodowym równym długości całego mojego życia. Wszyscy byli dla mnie niezwykle mili, choć musiałam im się wydawać cholernie irytująca. Właściwie byłam wśród nich żółtodziobem.

Gdy nadszedł czas wielkiego półfinału, nagrywanego na żywo, z którego miano

wyłączyć dziesięciu kandydatów do walki o nagrodę główną, czułam się gotowa. Założyłam koszulkę od firmy Express z dekoltem w szpic i prawie zrezygnowałam z makijażu. Ktoś mi szepnął, że na widowni będzie dziewięćset osób. Największa liczba, przed którą dotąd występowałam, nie przekraczała dwustu. Producent programu powiedział: „Amy, w telewizji zobaczy cię osiem milionów ludzi”, jednak nie wiedzieć czemu miało to dla mnie o wiele mniejsze znaczenie niż fakt, że naprzeciwko siebie ujrzę dziewięćset żywych osób.

Zakładałam, że zostanę wyeliminowana, dlatego obiecałam sobie po prostu, że dam z siebie wszystko, jednocześnie ciesząc się każdą chwilą – i tak zrobiłam. Na zakończenie programu, gdy nadszedł czas ogłoszenia szczęśliwej dziesiątki, moje nazwisko odczytano jako dziewiąte. „Amy Schumer!”. Nie mogłam w to, kurwa, uwierzyć! Wybiegłam na scenę i machałam ludziom tak, jakbym została właśnie królową piękności. Płakałam. A przecież udało mi się zaledwie dostać do jakiegoś reality show, to był po prostu zwykły casting! Nie dlatego mnie wybrano, że byłam dowcipniejsza od pozostałych satyryków. Po prostu uznano mnie za odpowiednią „postać” do tego programu. Jednakże wtedy o niczym takim nie myślałam, nie zdawałam sobie z tego sprawy – i bardzo dobrze, cieszę się z tego.

Udział w tym show przyniósł mi wiele intensywnych i ekscytujących doznań. W każdym odcinku stawiano nas przed innym wyzwaniem; o dziwo, to chyba ja byłam najlepiej przygotowana, aby stawiać im czoło, a przynajmniej większości z nich. Pozostali satyrycy okazali się zaprawionymi w bojach chałturnikami, którzy żyli z cyzelowanych żartów i długasnnych historyjek, jakie opowiadali podczas godzinnego lub półtoragodzinnego występu na trasach objazdowych. Natomiast ja dysponowałam zaledwie piętnastominutowym materiałem, opartym na krótkich, chwytliwych hasłach – co świetnie pasowało do natury reality show. Mnie zależało, aby wymyślać coś szybko i na teraz, im nie.

Ostatnia konkurencja wyłoniła pięcioro finalistów, którzy mieli się wybrać na wspólne tournée po całym kraju – wspaniała trampolina do dalszej kariery, zwłaszcza dla mnie. Wcześniej poinformowano nas, że zadanie polega na rozśmieszaniu modelek. Mieliśmy pojedynczo wchodzić do różnych pomieszczeń i opowiadać dowcip lub dwa. Pamiętam, że spytałam je: „Dziewczyny, nie macie już dość sytuacji, że ocenia się was tylko na podstawie waszej inteligencji, a nie wyglądu?”. Wybuchnęły śmiechem. Nagle rozległ się dzwonek na znak, że mam wejść do następnego pokoju. A tam siedział klaun. Żadnych kolejnych modelek, które należało rozbawić. Oczywiście producenci programu zrobili nas w konia, bo w kolejnych pomieszczeniach znajdowali się: instruktor musztry wojskowej w stopniu sierżanta, transwestyta oraz siostra zakonna. Tej ostatniej opowiedziałam kawał o Jezusie i złej nowinie, a ona się zaśmiała! Starłam się, jak mogłam, ale i tak przypuszczałam, że odeślą mnie do domu.

Osoby siedzące w pokojach głosowały na najlepszego ich zdaniem komika, a kiedy podliczono punkty, usłyszałam ze zdumieniem, że jestem zwyciężczynią. Dzięki klaunowi, siostrze zakonnej, modelkom oraz transwestycie miałam pojechać na tournée po całym kraju! Nie posiadałam się z radości przez jakieś dziesięć sekund, do chwili, gdy jeden z satyryków, który również załapał się do finałowej piątki, pochylił się ku mnie

i rzekł: „Nie zasługujesz na to”. Pobiegłam do toalety i rozplakałam się, ponieważ wtedy jeszcze wierzyłam w takie słowa. Ogarniał mnie paranoiczny lęk, że wcale nie byłam najzabawniejsza, że może producenci podkreśliли wyniki, aby zatrzymać mnie w programie, ponieważ jestem młoda i jestem kobietą, a to podnosiło im oglądalność. Próbowali mnie sfilmować, jak płacząc w kiblu, ale nie zamierzałam wychodzić z kabiny w łazience. Nikt nie będzie mnie wykorzystywał w żadnym telewizyjnym reality show jako ofiary. Ja chciałam być silna. Gdy później oglądałam emisję tego odcinka, nie miałam już najmniejszych wątpliwości, że okazałam się najlepsza ze wszystkich. Jedną z producentek programu, Page Hurwitz, oświadczyła mi: „Amy, oni nie mieli szans. Wygrałaś w cuglach”. Nie chciałabym mówić niczego złego o tym facecie, który stwierdził, że nie zasługuję na zwycięstwo, ale PIERDOL SIĘ, GOŚCIU, OKEJ?!

Skończyło się na tym, że w następnym odcinku zostałam wyeliminowana z programu, ale zdobyłam w nim czwarte miejsce, zyskałam również szansę wybrania się w trasę objazdową po całym kraju. Podróżowałam gigantycznym autobusem, niczym gwiazda rocka, razem z czterema mężczyznami po czterdziestce. Wystąpiliśmy w czterdziestu dwóch salach, publika liczyła od dwóch do czterech tysięcy osób – nigdy w życiu nie grałam w takich miejscach. Niemal każdego wieczoru odwalalam kichę, niewypał gonił niewypał. Na czterdzieści dwa miasta sypnęłam się chyba w czterdziestu. Nie byłam jeszcze gotowa, brakowało mi doświadczenia, jeśli chodzi o występy w trasie. Można udawać, że jest się dobrym, przez maksymalnie siedem minut – a nawet kwadrans, jeśli ktoś ma dość charyzmy – ale gdy numer trwa blisko pół godziny, ludzie z łatwością zauważą, kim naprawdę jesteś. W tamtym okresie moje kompetencje ograniczały się do niecałych trzech lat na estradzie. Nie tylko brakowało mi materiału scenicznego; nie byłam też pewna jakości swoich żartów, bo niby skąd. Nie miałam odpowiedniego doświadczenia, aby je umiejętnie sprzedawać.

Często popłakiwałam na swojej koi w autobusie. Jeden z satyryków powiedział, że jego zdaniem mam talent, ale nie poradzę sobie jako artystka stand-upowa. Zabolało. Patrząc dziś z perspektywy czasu, widzę wyraźnie, że im większa wysługa lat u kabareciarza, tym większe jego zgorzknienie. To niełatwe zajęcie, często nic się nie układa tak, jak by człowiek tego chciał. Albo jak sobie zaplanował. Mimo to zazdrość i gniew z powodu czyichś sukcesów w tej branży uważam za wysoce toksyczną stratę czasu. Szkoda, że nie mogę wrócić do tamtego okresu bogatsza o wiedzę, jaką mam w tej chwili. Bo teraz odpowiedziałabym temu facetowi tak: „Skup się na własnych celach i na tym, jak je osiągnąć. Nikt nie chce cię wysiudzić, w tej branży jest dość miejsca dla nas wszystkich”.

W każdym razie ciągle podróże autobusem oraz sypianie w hotelach mocno dały mi się we znaki. Pewnej nocy, po występie, wsiadłam do windy razem z jakąś starszą kobietą. Spytała: „Na które piętro pani jedzie?”. Nie wiedziałam. Rozplakałam się, bo nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie się obecnie znajduję. Myślę, że większość podróżujących kabareciarzy (a przypuszczam, że także muzyków) doskonale zna te chwile. Sama już nie pamiętam, ile razy zdarzyło mi się coś takiego. Bo właściwie zdarza się ciągle.

Jednakże nawet jeśli było trudne, tamto turnée zapamiętałam jako swój komediowy

chrzest bojowy. Tyle razy zrobiłam klapę, tyle potu wylałam na deskach estrady, że wszystkie molekuły mojego ciała zostały nieodwracalnie przeobrażone. Stand-up potrafi reprogramować ludzką zdolność do odczuwania strachu. Sprawia, że bardzo grubiej ci skóra, który to fakt bywa cholernie przydatny. Zaliczyłam całe mnóstwo godzin spędzonych w świetle jupiterów, przed publicznością, która zauważa najmniejszy niuans, każdą zmianę wyrazu twarzy, która słyszy każde zawahanie, zastyga na każdym twoim słowie, w oczekiwaniu, żebyś zwała ją z nóg (albo by mogła cię wybuczyć)... Ciągła powtarzalność takich doznań potrafi tylko wzmacniać. Myślę, że aby człowiek stał się w jakiejś dziedzinie naprawdę dobry, musi najpierw wiele razy upaść. I absolutnie nie wolno mu bać się tego upadku, bo w przeciwnym razie nigdy nie wejdzie na wyższy poziom. Podczas tamtej pamiętnej trasy ponosiłam mnóstwo porażek, właściwie nieustannie, na oczach tłumów ludzi – było to tak dołujące, że wreszcie przestało mnie obchodzić. Zbojętniałam na obecność i reakcje tłumów, którym nie podobały się moje dowcipy. Pozbyłam się skorupy ochronnej, która tak wielu z nas nie pozwala rzucić się na głęboką wodę, i po prostu zaczęłam walczyć. Próbować. Właśnie dzięki temu zdobyłam odbiorców. Jeśli masz własny zasób żartów i trzymasz się ich, możesz się odprężyć. Publika wyczuwa niepewność siebie i natychmiast kwaśno reaguje. Widzi twój strach i dlatego nie potrafi się śmiać. Ludzie pragną rozrywki, a nie zamartwiania się o twój następny ruch. Zmuszeni do współczucia albo litości nad tobą, przestaną się dobrze bawić. Wszystko im zepsujesz, dana chwila będzie stracona na zawsze. To jak z pierdnięciem w trakcie seksu: owszem, dokończysz niezbędne ruchy i zrobisz swoje, ale niesmak pozostanie. Kiedy już to wszystko zrozumiałam i przestało mi zależeć na aprobacie widowni, ona sama poczuła się wolna: mogła się odtąd bawić, odprężyć i cieszyć.

Po zakończeniu tournée przez blisko rok występowałam samodzielnie pod własnym nazwiskiem. Jeśli ktoś odniesie choćby umiarkowany sukces w telewizyjnym reality show, to właściwie sprawę ma załatwioną. Potem wróciłam do gościnnych występów, czyli czegoś pośredniego między konferansjerką a byciem gwiazdą wieczoru. Wiele lat jeździłam w różne trasy z Jimem Nortonem i Dave'em Attellem, dwoma moimi ulubionymi satyrykami wszech czasów. I od razu odpowiem, że nie – żaden z nich nigdy, przenigdy niczego ze mną nie próbował. Powinam czuć się tym faktem urażona, ale tak nie jest. Jeżeli ktoś zabiera cię ze sobą w trasę, to jest to naprawdę wielki, ostateczny komplement. Mówi ci tak: „Myślę, że jesteś dowcipna, poza tym chyba zniosę twoje towarzystwo w podróży”. Świetnie się bawiłam na tym tournée z Jimmym i jego ochroniarzem o ksywce Club Soda Kenny. Obaj uwielbiali stawiać mnie w żenujących sytuacjach – wykrzykiwali na cały głos moje nazwisko w jakimś sklepie albo w hotelowym lobby, wskutek czego wszyscy wokół zaczynali się na mnie gapić. A obaj świetnie wiedzieli, że poza sceną tego nie cierpię. Nic ich bardziej nie rajcowało, niż kiedy się rumieniłam, co zresztą zdarzało mi się wtedy znacznie częściej niż dzisiaj. Na estradzie jestem małą, zadziorną pyską, natomiast w realu zdecydowanie nie lubię rzucać się w oczy; tymczasem ci faceci korzystali z każdej sposobności, żeby mi w tym przeszkodzić.

W 2012 roku wróciłam do samodzielnych występów pod własnym nazwiskiem

w małych klubach, w których mieściło się do dwustu osób. Płacono mi około dwóch tysięcy dolarów za siedem przedstawień. Moje weekendy wyglądały następująco:

Przychodzę do klubu w czwartek, występ zaczyna się o dwudziestej.

W piątek o piątej trzydzieści ktoś mnie zawozi do radia, na poranną audycję promocyjną. Osoba współpracująca z klubem (z reguły niezły kretyn) wozi mnie od jednej rozgłośni radiowej do drugiej. Czasem trzeba wystąpić przy włączonej kamerze w ramach lokalnego programu informacyjnego. Jeśli mam szczęście, wystarczą im dwa razy. Niektóre kluby lecą jednak w ciula i człowiek musi robić to wielokrotnie. Że niby dzięki temu, powiadają, wzrasta sprzedaż biletów, chociaż wątpię, żeby to była stała prawidłowość. Tak naprawdę chodzi o promocję jakiegoś gównianego klubiku.

Powrót do hotelu około jedenastej (to wariant optymistyczny, możliwy tylko wtedy, gdy miałam w sobie dość siły, żeby odmówić kierowcy-kretynowi pójścia na wspólne śniadanie lub lunch. Zdarzali się również żądni sławy właściciele klubów, którzy koniecznie chcieli się wcisnąć przed radiowy mikrofon, obok mnie).

Z przygnębiającego całodziennego bufetu w hotelowym lobby biorę jabłko i masło orzechowe, ponieważ nie zdążyłam zjeść śniadania.

Podjęmuję rozpaczliwą próbę ponownego zapadnięcia w sen, co okazuje się niemożliwe, gdyż mój hotel leży w nędznej i hałaśliwej okolicy. W ten sposób właściciel klubu może zaoszczędzić na mnie siedemdziesiąt pięć dolarów.

Korzystam z hotelowej siłowni z porzewiałymi urządzeniami do ćwiczeń, gdzie chlor z sąsiednich basenów wyżera mi oczy.

Idę do restauracji Red Robin i staram się zjeść coś zdrowego, mimo że nigdy nie słyszano tam o warzywach, a przynajmniej w większości lokali tej sieci w kraju. Biorę więc grillowanego kurczaka z czymś, co przypomina pieczywo czosnkowe, plus lody, i wtedy już rozumiem, dlaczego Amerykanie przedwcześnie umierają.

Wracam do pokoju, czując się absolutnie osamotniona.

Piszę esemesa do swojego byłego.

Oglądam jakiś film telewizyjny o kobiecie, która zamordowała męża.

Biorę prysznic i przygotowuję się do dwóch piątkowych wieczornych występów. No tak, wiem, prawdopodobnie zauważyliście, że nie wzięłam prysznic zaraz po siłowni, wołałam z tym poczekać do wieczora. No ale wy to wy, a ja to ja.

Wykonuję dwa, czasami trzy numery na scenie.

Budzę się w sobotni poranek i powtarzam większość czynności z piątku, w tym ćwiczenia na porzewiałej siłce. Żywię nadzieję, że ta swędząca czerwona wysypka na kolanie, która pojawiła się niedawno, jest z powodu rdzy, a nie pluskiew.

Niekiedy w soboty, dla zabicia czasu, zwiedzam jakąś lokalną atrakcję – muzeum, miejsce, w którym zastrzelono kogoś sławnego, czasem fortyfikacje.

Zjadam to, co jest typowe dla miasta, w którym akurat przebywam, ponieważ uważam to za swój obowiązek. Będąc w Filadelfii, trzeba zjeść stek z serem. Na Brooklynie – spróbować sernika. Jeśli jesteś w Cincinnati, Skyline Chili to konieczność. Natomiast w Tulsie nie mają niczego charakterystycznego, ale niektórzy z tamtejszych głoszą, że „trzeba spróbować naszych hamburgerów ze smażoną wieprzowiną” czy innego pokręconego dziadostwa. W takim razie trzeba. Okażcie im trochę cholernego

szacunku, a potem puśćcie na Twitterze swoje zdjęcia z toalety, w ramach podziękowania!

Przygotowuję się do sobotnich wieczornych występów.

Wykonuję dwa, czasami trzy numery na scenie.

Ponieważ jestem dziewczyną, po występie nie socjalizuję się z kim popadnie. Niekiedy wypijam drinka z personelem klubu albo wracam do hotelu i proszę o coś do picia obsługę, o ile jest jeszcze na nogach. Zwykle jednak hotele, w których się zatrzymuję, nie dysponują room service'em.

Leżę na łóżku, nie mogąc zasnąć, i żałuję, że przed chwilą paliłam trawkę, ponieważ wtedy rozmyślałam o tym, jak zarabiam na życie. *Czy jestem klaunem? Co ja właściwie robię? Opowiadam dowcipy zupełnie obcym ludziom, podczas gdy oni wpięprzają nachosy.* W takiej sytuacji nie posiadam się ze zdumienia i obiecuję sobie, że już nigdy więcej nie zapalę marychy, przynajmniej w trasie.

Właściciel klubu płaci mi po ostatnim występie. Odnoszę wrażenie, że tacy faceci potrzebują tysiąca lat, aby podliczyć należne mi pieniądze (bo to prawda), a jeszcze zachowują się tak, jakby wyświadczali mi przysługę. Oznajmniają, że nie zarobiłam na studolarową premię, chociaż widziałam wyraźnie, że wszystkie miejsca na sali były zajęte. Niekiedy dostaję jeszcze rachunek do zapłacenia i wtedy uświadamiam sobie z całą jasnością, że wcale nie jadłam i nie piłam tu za darmo, lecz z zaledwie dwudziestopięcioprocentowym rabatem.

W poniedziałek wczesnym rankiem odlatuję do domu, czując zadowolenie z siebie, ponieważ w miniony weekend opracowałam piętnaście sekund nowego materiału.

Choć taki tryb życia bywa brutalny, nie ma innego sposobu, aby zostać artystą stand-upowym. Jeśli chce się być w te klocki dobrym, trzeba występować na estradzie tyle, ile tylko człowiek zdzierży. Oczywiście jednorazowo da się rzucić publikę na kolana w krótkim numerze, może nawet zapewnić sobie triumfalne piętnaście minut. Są tacy, którzy cieszą się w swoim mieście dobrą opinią i tam sobie świetnie radzą. Należy jednak spróbować czegoś więcej – wybrać się w trasę i wykazać w każdej możliwej sytuacji scenicznej: przed trzydziestką pijanych harleyowców na jakimś zjeździe weteranów wojennych, na lunchu dla pań w hotelu Carlyle, na strażackiej wigilii, na promie, który okrąża Manhattan, albo na festiwalu satyry na Staten Island. To wszystko jest konieczne, jeśli ktoś nie chce się zatrzymać w rozwoju i ostatecznie zostać z niczym – chyba że taki właśnie jest cel, no to nie ma sprawy.

—

Robiłam dosłownie wszystko, aby móc występować na estradzie. Wróc. Zmieniam to zdanie na następujące: Nigdy się nie bzykałam, żeby utorować sobie drogę kariery w tej branży. Jeśli już, to ci, z którymi się spotykałam, tylko mi ją utrudniali. Pewnego razu moja siostra podsłuchiwała, jak jeden z bramkarzy w klubie (znałam go, odkąd zaczęłam występować) mówi: „Amy ma całe multum zleceń. Ciekawe, jak je sobie załatwiła...”. Potem wykonał gest, jakby wkładał fiuta do ust. Powinnam się chyba obrazić za coś takiego, tyle że nie ma nic bardziej odległego od prawdy. Ci, z którymi sypiałam, nigdy mi niczego nie załatwili, nawet karty podarunkowej od Starbucksa – co byłoby

rzeczywiście miłe.

Kiedyś między jedną trasą a drugą miałam wolny tydzień, który spędzałam w domu, w Nowym Jorku. Wtedy właśnie zaczęłam występować w Comedy Cellar. To klub, którego wnętrza można oglądać w serialu *Louie*, a także w wielu filmach dokumentalnych dotyczących dziejów komedii. „Przekazano” mnie tam w 2007 roku, to znaczy dopuszczono do przesłuchań przed konkretnym impresariem. Nie znam powodów, dla których użyto akurat tego słowa, ale tylko w świecie komedii stosuje się tak nieadekwatną terminologię na określenie sytuacji, dzięki której czyjaś kariera dostanie prawdziwego kopa. W każdym razie jeśli przypadniesz do gustu impresariowi, poproszą cię o grafik wolnych terminów, w których możesz poprowadzić własne występy. A jeśli się nie spodobasz, powiedzą ci „nie, dzięki”. Przesłuchanie w klubie Cellar odbyło się akurat w dniu moich urodzin. Estee, tamtejsza impresario związana z tym miejscem od wieków, podała mi swój numer telefonu, żebym „zadzwoiła powiedzieć, kiedy jestem dyspozycyjna”. Prawie straciłam z radości głowę. Pamiętam, że tamtego wieczoru świętowałam na maksa: upiłam się tak, że ochroniarz woził mnie po całym lokalu na barana tam i z powrotem. Śmiałam się i śpiewałam.

Na parterze budynku, w którym mieści się klub Comedy Cellar, jest restauracja o nazwie Olive Tree Cafe; na jej tyłach satyrycy mają osobny boks, zarezerwowany tylko dla nich. Wiele lat wahałam się, czy mogę tam usiąść. A kiedy się w końcu zdecydowałam, milczałam jak zaklęta. W końcu, z czasem, zaczęłam nabierać pewności siebie. Obecnie jest to miejsce, w którym na całym świecie czuję się najswobodniej, jak w domu – siedząc przy stole z najlepszymi przyjaciółmi. Największe szczęście ogarnia mnie, kiedy przychodzą Jimmy Norton, Keith Robinson, Colin Quinn, Rachel Feinstein i Bobby Kelly. Czasem uda nam się również przekonać Bridget Everett, żeby wpadła na chwilę. Wszyscy strasznie sobie dogryzamy, konsumujemy kurze skrzydełka i dużo się śmiejemy. Gdy ktoś umiera bądź doznaje jakiejś krzywdy, płaczemy, a potem znów się śmiejemy. Występy stand-upowe oraz towarzystwo innych kabareciarzy – oto mój prawdziwy dom. Oczywiście to, że mam własny program w telewizji, że napisałam scenariusz do filmu i w nim zagrałam, wzbudziło we mnie absolutną radość i ekscytację. Jednak występy komediowe na żywo, na estradzie, zawsze pozostaną tym, na czym zależeć mi będzie najbardziej.

Okazało się, że moje liczne ekscesy w różnych trasach wyjazdowych przyniosły w końcu efekt w postaci własnego programu telewizyjnego. W 2010 roku dostałam półgodzinny show na antenie Comedy Central, a w 2012 godzinną audycję specjalną (*Mostly Sex Stuff*). Przez cały ów czas jeździłam w ramach własnego tournée i ciągle wymyślałam nowe dowcipy. To jedyny sposób, by się doskonalić. Sprzedaż biletów na moje spektakle rosła: najpierw w klubach, potem w małych kinach, aż wreszcie w wielkich teatrach i salach, w których mieściło się nawet dziewięćset osób, jak w półfinale programu *Last Comic Standing*.

Dzięki tak licznym występom stand-upowym wyrobiłam w sobie te same umiejętności, które wykorzystuję przy pisaniu scenariuszy filmowych; są mi one również niezbędne do odgrywania roli głównej bohaterki, która jest wzorowana na mnie. Fakt, że tyle lat występuję na scenie, że co wieczór upadlam się na oczach wielu osób, sprawia, że

moje tętno nie rośnie ani trochę, kiedy internetowi trolle próbują zniszczyć mi humor, czyli niemal codziennie. Wciąż jestem ogromnie dumna ze swojego godzinnego show na kanale HBO (*Amy Schumer: Live at the Apollo*) oraz z faktu, że reżyserował go sam Chris Rock. Do tej współpracy nigdy by nie doszło, gdybym nie zebrała się na odwagę i o nią nie poprosiła. Od lat byliśmy w dobrych stosunkach, spotykaliśmy się w klubie Comedy Cellar, ale nie chciałam mu zawracać głowy – to przecież Chris Rock. I nagle któregoś wieczoru, po wspólnym występie na koncercie charytatywnym dla osób autystycznych pod nazwą *Night of Too Many Stars*, udało nam się zamienić parę słów. Mój numer wypadł dobrze i mocno, a Chris, przechodząc obok garderoby, zatrzymał się i powiedział, że gdybym potrzebowała kiedyś pomocy, mogę na niego liczyć. Dziwnie to zabrzmiało, ale dziwne nie było. Chris mówił całkiem serio. Jeżeli cierpisz na chorobę zwaną „satyrozą” i widzisz kogoś, kto posiada pewien talent oraz szacunek dla kabaretu, to chcesz mu pomóc. Chris ma to we krwi. Ja mam to we krwi. Jakiś czas później rzuciłam mu „sprawdzam”, niepewna, czy aby nie blefował – oczywiście, że nie. Chris zaczął podróżować razem ze mną i bywać w różnych klubach, w których występowałam. Oglądał, słuchał, notował i pomagał mi stawać się lepszą w tym, co robię.

Pewnego dnia wzięłam byka za rogi i napisałam mu esemesa: „Wyreżyserujesz mój program w HBO?”. Powtarzam, tego rodzaju odwaga pojawiła się we mnie z czasem, po latach robienia z siebie pajaca na scenie i wsłuchiwania się w panującą na sali ciszę. Kiedy Chris odpisał „tak”, nie mogłam w to uwierzyć. Ruszył ze mną w trasę i przerobił mój numer estradowy w taki sposób, że stał się on tysiąc razy lepszy. Współtworzenie z Chrisem dowcipów i skeczy kojarzy mi się ze złowieniem złotej rybki. Wiem, że to niezbyt porywająca metafora, ale innej nie mam. Nie potrafię lepiej oddać tego, jak ważny i cenny był to dla mnie czas.

Jednym z najwspanialszych momentów w mojej karierze okazał się program *Saturday Night Live*, który prowadziłam jako gospodyni. Nie wątpię, że wielu stand-uperów marzy, by móc wygłosić w nim otwierający monolog. Wiem, bo sama chciałam to zrobić już od wczesnego dzieciństwa. Człowiek ma tylko tydzień na napisanie numeru, na jego próby i jedyną premierę na żywo. To wszystko. Jeden surrealistyczny, przeładowany robotą tydzień, żeby spełnić marzenia. Tydzień, kiedy lata się po zatłoczonych korytarzach w zabytkowym budynku stacji. Nic w mojej karierze nie przyniosło mi większych emocji. Nie chcę was jednak okłamywać: to było siedem bardzo wyczerpujących dni, które spokojnie można opisać jako udział w zawodach lekkoatletycznych. Człowiek prawie nie śpi, ciągle coś podjada (no cóż, przynajmniej ja) i tylko pisze, przepisuje, poprawia, organizuje próby, przymierza peruki, robi przymiarki kostiumów, bierze udział w zajawkach filmowych, pozuje do zdjęć, przepisuje scenariusz, zastanawia się, czy wziąć prysznic, ale wybiera sen, razem z aktorami czyta przy stole skrypt, znów organizuje próby i tak w kółko. A gdy przychodzi ten wieczór, krytyczny moment rozpoczęcia programu, trzeba się uwijać jak w ukropie przez całe półtorej godziny. Oczywiście każdy stand-up to występ na żywo, ale SNL to występ na żywo i na metamfetaminie.

Krótko mówiąc, gdy nadszedł ów sobotni wieczór, byłam niczym zombie i ledwo się ruszałam, nigdy jednak nie czułam się szczęśliwsza. Moją ulubioną sceną z tego

programu jest ta napisana przez Vanessę Bayer i Mikeya Daya, w której nadmiernie swiergotliwe i radosne stewardesy (w tych rolach ja i Vanessa) wyśpiewują instrukcje bezpieczeństwa dla pasażerów, a potem nagle zostają wyssane z samolotu, jedna po drugiej. W telewizyjnych programach na żywo nie da się korzystać z dublerów i kaskaderów, więc naprawdę musiałyśmy z Vanessą wyskoczyć przez drzwi maszyny, żeby cała ta scena wyglądała sensownie. Ja mam pająkowienie we krwi, pomogła mi również dawna kariera siatkarki, udział w licznych turniejach, dlatego nie stanowiło to dla mnie żadnego problemu. W przeciwieństwie do Vanessy. A ponieważ bardzo mi zależało, aby program otworzyć właśnie tym skeczem, chwyciłam ją zwyczajnie za ramiona i powiedziałam: „Vaness! Teraz musimy po prostu skoczyć. Nie ma, że boli, okej?!”.

Po kilku próbach czułyśmy się trochę pewniej, jeśli chodzi o ten numer. I nagle w piątek technicy planu zdjęciowego przenieśli samolot na jakąś platformę, przez co otwór drzwiowy zmniejszył się o pełne dwadzieścia centymetrów. *Żaden problem*, pomyślałam, głupio pewna siebie. Przez te węższe drzwi jako pierwsza skoczyła Vanessa i poszło jej doskonale. Lecz kiedy przyszła kolej na mnie, walnęłam głową o futrynę i spadłam na matę. Rozległo się ogólne westchnienie, a ja spoczęłam bez ruchu na podłodze. Pomyślałam zrazu: *Ten cały show skończy się dla mnie strupami na twarzy i wielką śliwką na czole*. Druga myśl była następująca: *No to co, kurwa, trzeba powtórzyć. Musi być zrobione, jak należy!* Osiągnęłam w swojej karierze punkt, w którym stałam się ekspertką od padania na ryj i wychodzenia z tego jeszcze silniejszą. Ludzie z obsługi przyłożyli mi do gęby lód, dali jakiś advil, po czym powróciliśmy do prób, których było w sumie kilkanaście. Za każdym razem przepychałam się przez drzwi bardziej zdecydowanie i jeszcze boleśniej lądowałam na macie. Ale było warto. Ręka bolała mnie przez cztery miesiące, jednak ta scena należy do moich ulubionych spośród wszystkich, jakie kiedykolwiek nagrałam.

Wystąpiłam zatem na jednej z najważniejszych scen w kraju, przeżyłam chwilę, o których marzy każdy satyryk, na żywo oglądały mnie miliony widzów. Nazajutrz rano obudziłam się gotowa do dalszej drogi. Emisje mojego numeru w *Saturday Night Live* oraz programu w HBO dzielił zaledwie tydzień, dlatego szybki powrót na trasę był teraz ważniejszy niż kiedykolwiek. Na te dwa występy zużyłam wszystkie swoje dowcipy – ponieważ dzięki telewizji usłyszała je masowa widownia, nie mogłam ich już wykorzystać w obawie przed tym, że będą powszechnie znane. W odróżnieniu od muzyków komicy zawsze powinni mieć w zanadrzu coś nowego, tego się od nich oczekuje. Nikt nie ma ochoty ponownie słuchać ich największych hitów, dlatego znalazłam się wtedy w punkcie wyjścia. Ów wymóg obowiązujący w świecie satyry i kabaretu jest niezwykle trudny i wyczerpujący, ale nie ma innej drogi. To ekscytujące i uczące pokory zaczynać tak od początku – a niekiedy także bardziej opłacalne finansowo. Jeśli ktoś zdołał zgromadzić wystarczającą ilość materiału na cały program telewizyjny (po troszkę, jeden żarcik za drugim), naprawdę może czuć się spełniony. A potem znów rozpoczyna od zera i już zupełnie nie liczy się to, czego wcześniej dokonał. To jest, kurwa, nowy początek, kolego. Najbardziej niesamowite, przerażające uczucie na świecie, kompletna pustka. Wówczas nawet ci najwybitniejsi, zaprawieni w bojach

artyści komediowi żywią obawy, że nie wymyślą już niczego dobrego. Ale robotę i tak trzeba wykonać.

A to znaczy: ruszaj w drogę i włącz na scenę. Wiem, że się powtarzam, lecz chciałabym udzielić teraz moim zdaniem najważniejszej rady początkującym kabareciarzom, którzy pytają mnie, jak odnieść sukces. Dawajcie na estradę! Jeżeli w waszym mieście nie ma klubu z kabaretem, to go stwórzcie! Znajdźcie jakiś lokal ze sceną i mikrofonem, a potem występujcie przed ludźmi tak często, jak to tylko możliwe. Rezerwujcie sobie jak najwięcej godzin. Ja tak ciągle robię. Serio, nie wciskam wam kitu – zarabiam teraz całkiem dobre pieniądze, ale nawet kiedy mam oficjalnie wolne, wychodzę na scenę w jakichś gównianych spelunkach, w klubach jazzowych, wszędzie. Nieustannie dokładam starań, żeby być coraz lepsza. To obsesja, która trwa już od bardzo dawna, lecz nigdy mi się nie znudziła.

Czekają was wzloty i upadki, choćbyście nie wiem jak ciężko pracowali i starali się trzymać formę. Mogę się wam jednak pochwalić, że gdy piszę te słowa, czyli w roku 2016, występuję w całym kraju na wielkich arenach, a mój stand-up oglądają tłumy liczące od dziesięciu do piętnastu tysięcy osób. Opowiadam swoje dowcipy w obiektach, na których rozgrywają się mecze NBA i NHL. Na koncert w Madison Square Garden wyprzedalam wszystkie bilety! (Nie wierzę, że właśnie to napisałam). Jeśli chodzi o moje występy na dużych arenach, to jako support otwiera je satyryk Mark Normand, z którym działam już od siedmiu lat. Współpracuję również ze swoim bratem, Jasonem, i jego triem jazzowym, a to znaczy, że w trasie muszę spędzać czas z jego żoną, Cayce, która jest jedną z moich najlepszych przyjaciółek i która pomogła mi wydać niniejszą książkę. Za kulisami (jak to dziś mówią: na backstage'u) płacze się ich córka, a moja bratanica. Czasami bywają tam również Kim i jej mąż, Vinny. Stać mnie na fajne hotele, mam własny autobus na tournée. Niekiedy latam samolotami (w klasie biznes), a nawet prywatnym odrzutowcem. Uważam się za absolutną szczęściarę, choć wiem, że nie potrwa to wiecznie. Dlatego nie pozwalam sobie na zbyt ni relaks. Uwielbiam jednak każdą minutę upływającego czasu. Jakież to wspaniałe uczucie wychodzić na scenę po tym, jak Mark wywoła mnie po imieniu, objąć go, popatrzeć na tłumy, a potem dać im wszystko, co mam. Każdego wieczoru przed występem ślubuję sobie, że będzie on najlepszy w mojej dotychczasowej karierze. Nadal odwalam kichy, wciąż daję ciała, a niekiedy rzucam publikę na kolana. Ludzie zawsze dadzą ci odczuć, jak odbierają dany numer. Jest w tym coś masochistycznego i niebywałego zarazem. Chciałabym, aby to trwało wiecznie.



Kiedy mężczyzna ma prawo
nie doprowadzić kobiety
do orgazmu w trakcie seksu

Jeśli ona jest dziwką, a następny klient już czeka. Ale nawet wtedy lepiej to z nią uzgodnić.

Jeśli jej się spieszy i podkreśla, że nie ma czasu.

Jeżeli jesteście w samolocie albo w innym miejscu publicznym. Nawet gdy możecie sobie pozwolić na stosunek płciowy w takich okolicznościach, po prostu wejdź w nią, a potem wyjdź. Za to po powrocie do domu zadbaj o swoją kobietę, jak należy.

Kiedy podejrzewasz, że do pokoju mogą wejść dzieci albo rodzice. Ale powtarzam: także wtedy zadbaj o swoją kobietę, tylko później, w dogodniejszej sytuacji.

Jeśli złapie ją skurcz albo dopadnie głód.

Uwaga: Nie ma nic złego w braku orgazmu u kobiety podczas stosunku, jeśli doprowadziłeś ją do orgazmu wcześniej. Ja na przykład rzadko dochodzę wskutek samej penetracji. Dlatego przed złożeniem mi wizyty głównej zawsze zapraszam do obcowania z moją lechtaczką!

Najgorsza noc w moim życiu

Nadeszła wreszcie pora, aby opowiedzieć wam o Danie, który pojawiał się już na stronach tej książki. Długo uważałam go za miłość swojego życia, a jednocześnie pozwalałam mu ranić się tak, że nadal sama nie mogę tego zrozumieć. Kiedy go poznałam, miałam osiemnaście lat. Od razu mi się spodobał. Lubił rozbierać się do naga, ot tak sobie, i ganiać na golasa bez żadnego wstydu. Mieliśmy ze sobą wiele wspólnego, zwłaszcza ten aspekt bezwstydnego-nudystycznego. Myślę, że nagość kryje w sobie potencjał zarówno piękna, jak i śmieszności, więc gdy tylko mam szansę, w swoim programie telewizyjnym odstawiam Prosiaka Porky'ego; oznacza to mniej więcej tyle, że – gdy umożliwi to specyfika danej sceny – daję czadu w długiej koszuli, niby „po starszym bracie”, bez gaci i bielizny. Ale wracając, początkowo Dan nie był zainteresowany związkiem ze mną, a ja udawałam, że nie jestem zainteresowana związkiem z nim.

Tylko że Dan mnie fascynował. Wychowywał się na Manhattanie w jakimś niesamowitym lofcie, a kiedy skończył trzynaście lat, wywieziono go z domu do szkoły z internatem. Był niegrzecznym młodzieńcem – częste problemy z prawem, dużo seksu. Dzieciaki z Nowego Jorku nie popijają alkoholu tak namiętnie i wcześnie jak te z Long Island; aby poczuć się jak dorośli, wolą dragi i pieprzenie po kątach. Dan przeleciał każdą dziewczynę, która wytrzymała na tyle długo, aby on osiągnął orgazm. A przynajmniej tak mi to wszystko przedstawiał. Być może faktycznie był niegrzecznym małopolem, choć mnie się raczej wydawało, że nikt go nie rozumiał i że to ja jestem tą jedyną osobą na świecie, która umiała go kochać naprawdę. Jak wiecie, czułam się specjalistką w tej dziedzinie, odkąd ukończyłam dwadzieścia lat.

Pierwszy raz przespałam się z nim w mieszkaniu jego mamy w Nowym Jorku. Było niesamowite – ogromne, z wysokim sklepieniem, cudownie urządzone. Dan i jego dom byli w moich oczach po prostu „fajni”. Jako „fajne” odebrałam na przykład to, że gdy przyszedłam do niego wieczorem, zszedł na parter otworzyć mi drzwi, będąc na bosaka i w samej bieliźnie. Stał bosko na chodniku Manhattanu. W swoim pokoju miał też „fajny” plakat z Dexterem Gordonem. I „fajnie” się znał na sztuce. Do przyjaciół jego rodziny należeli sławni ludzie z elity kulturalnej kraju. To mi po prostu imponowało. Miałam gdzieś całe to swoje podmiejskie wychowanie, byłam oczarowana Danem i życiem, jakie przede mną otwierał. Uważałam, że jesteśmy sobie przeznaczeni, natomiast on miał wątpliwości, czy aby jestem dla niego odpowiednią dziewczyną. Być może dlatego, że jedyny plakat w moim pokoju przedstawiał Ani DiFranco, a gdyby spytać, z kim przyjaźnili się członkowie mojej rodziny, odpowiedziałabym, że głównie z Muppetami. A może chodziło raczej o to, że Dan należał do facetów z gatunku nie-chcę-nigdzie-przynależeć-bo-się-mnie-wtedy-zaszufladkuje. Ja jednak miałam cele dalekosiężne i bez pośpiechu robiłam wszystko, by go zdobyć. Gdy na przykład wyprowadzał się na Zachodnie Wybrzeże, to ja przewiozłam go z manelami przez cały kraj. Mieliśmy wtedy po dwadzieścia lat, przemierzaliśmy Amerykę z przyczepą za autem. Kiedy wstąpiliśmy do Vegas, był już mój. Czułam zmianę, jaka w nim zaszła, gdy wreszcie przełamalam jego opór. Patrząc mi w oczy, widział w nich komunikat: Jesteś. Mój. Kolego.

Zostaliśmy więc parą, ale biedną, bo skończyły się nam pieniądze. Mimo to Dan

postanowił, że kupi sobie okulary przeciwsłoneczne marki Gucci w jakimś przydrożnym sklepie. Pierwszy sygnał ostrzegawczy? Uznałam, że nie będę zwracać uwagi na te drobne, troszkę śmieszne kaprysy. Przecież miał bogatych rodziców, więc sam też był bogaty. Tak wtedy myślałam. Zdumiewające i dziwne, że zorientowałam się w sytuacji dopiero rok później, gdy mieszkaliśmy już razem. Ja musiałam pedałowac po mieście rykszą, aby zarobić forszę na jedzenie, którą on wołał przepuszczać na alkohol.

No a kiedy byliśmy jeszcze w Vegas, nawrzeszczał na mnie strasznie, aż o mało nie wypluł płuc. Potrząsał mną tak, że musiałam uciec i się schować, dopóki nie ochłonał. Wtedy pierwszy raz widziałam go w takim stanie. Wcześniej nie przejawiał nawet odrobiny zdenerwowania, nigdy. I jak mu wynagrodziłam to niecne zachowanie?

Po roku wprowadziłam się do niego. Mieszkaliśmy razem na Zachodnim Wybrzeżu przez całe lato. Miałam zaledwie dwadzieścia jeden lat. Dysponowaliśmy mieszkaniem na wzgórzu, bardzo blisko plaży. Codziennie wstawałam wcześnie rano i prowadziłam zajęcia z kick-boxingu w YMCA, następnie grałam w siatkówkę plażową kobiet (deble), po czym wracałam do domu, do Dana: piliśmy, kłóciliśmy się i pieprzyliśmy. Pełen wachlarz, że tak powiem, o ile chcielibyście żyć w takim związku jak Penélope Cruz i Javier Bardem z *Vicky Cristina Barcelona*. A jeżeli nie oglądaliście tego filmu, to powiem wam, że byłam jak Whitney Houston dla swojego Bobby'ego. (Szybki przerywnik: Naprawdę uwielbiałam Whitney i ciągle nie mogę uwierzyć, że już jej nie ma).

W każdym razie łąziliśmy z Danem i naszymi znajomymi do lokali, kiedy trwały w nich *happy hours*, i się tam upijaliśmy. Potem on się na mnie wściekał i zaczynał popychać. Bywało, że po takim pchnięciu potykałam się o coś i upadałam na ziemię, lekko się kalecząc. Ale oczywiście należało to uznać za wypadek. Tamtego roku miałam sporo wypadków. Jeśli Dan poczuł się zazdrosny o coś, co akurat zrobiłam, bardzo mocno ścisnął mnie za ramię, co kończyło się okropnym sińcem. Niechcąc, rzecz jasna, zwykły incydent. Potem zawsze czuł się strasznie winny. Pocieszałam go i wszystko wracało do normy – aż do kolejnego razu. No ale przecież wcale nie byłam w toksycznym, przemocowym związku, nieprawdaż? Nigdy dotąd, w całym swoim dotychczasowym życiu, nie przejawiałam takiej bierności. Umiałam zaprotestować, odkąd tylko nauczyłam się mówić. Jestem dziewczyną, która w gimnazjum nękała szkolnych tyranów – broniłam dzieciaków, z których się naśmiewano. Zawsze szczyłałam się siłą, asertywnością i niezależnością. To przecież niemożliwe, aby coś takiego przytrafiło się mnie, prawda?

Dan regularnie mówił mi takie rzeczy, na które nikomu innemu bym nie pozwoliła – przejawy biernej agresji, słowa sprawiające ból. Abym wiedziała, że jestem o wiele brzydsza od innych kobiet, z którymi się umawiał. Wskazywał te części moich nóg, ramion i brzucha, nad którymi jego zdaniem powinnam popracować. Kiedy brałam prysznic, odsuwał zasłonę i śmiał się z mojego nagiego ciała. Raz nawet nasikał mi na nogi, tak się zaśmiewał. Płakałam, wychodziłam z domu, a potem zaczynaliśmy wszystko od nowa. No ale dajcie spokój, przecież byłam inteligentną i dowcipną osobą, pyskara, która potrafiła się bronić i mówić, co myśli. To na pewno nie była toksyczna relacja, prawda? Te są udziałem wyłącznie dziewczyn, które w sobie nie wierzą, które mają kompleksy. Prawda?

Z czasem robiło się coraz gorzej, uciekałam z tego mieszkania, kiedy tylko mogłam. Szłam do Starbucksa, zamykałam się w toalecie, siadałam na podłodze i płakałam. Wiedziałam, że powinnam wrócić na Wschodnie Wybrzeże, wydawało mi się jednak, że już nikt nigdy nie będzie mnie kochać tak jak on. Wierzyłam, że jego namiętność wobec mnie jest równa tej, jaką ja odczuwam do niego, że jeśli postaram się go nie wkurzać, to jakoś to będzie. Naprawdę myślałam, że Dan mnie kocha. Bo ja naprawdę kochałam jego. Sądzę, że w którymś momencie naszego związku zaczęłam mylić jego gniew i agresję z namiętnością i uczuciem do mnie. Uważałam wówczas, że prawdziwa miłość po prostu taka jest, że tak powinna wyglądać. Im więcej ludzie na siebie wrzeszczą, tym bardziej się kochają. Im więcej przemocy fizycznej i poniżenia, tym większa wzajemna bliskość. I im bardziej pragnęłam przy nim trwać, tym głębiej powinien być rozumieć, że go naprawdę kocham i że powinniśmy być ze sobą na wieki. Poza tym za każdym razem, kiedy na mnie nakrzyczał albo mnie posiniaczył, tak bardzo potem żałował. Przecież nie winiłby się za to aż tak, gdyby nie darzył mnie prawdziwym uczuciem. Jeśli facet ma autentyczne wyrzuty sumienia i obiecuje kochać cię do końca życia, to chyba nie jest toksyczny związek, prawda? Prawda?

Nieprawda. Dziś wiem, że absolutnie nie, to dla mnie jasne jak słońce. Oczywiście. Strach, przemoc, ból i wykorzystywanie nie są zarezerwowane dla kobiet słabych i bez poczucia własnej wartości, które dają się łatwo zdominować, ani dla kobiet, które wywodzą się ze środowisk patologicznych, ani tych, które nigdy nie poznały pozytywnego wzorca mężczyzny. Od Leslie Morgan Steiner z programu TED nauczyłam się (poniższe dane zaczerpnęłam w większości od niej), że kobiety z każdej sfery społecznej i o każdym poziomie wykształcenia mogą zostać ofiarami. Że są ofiarami. Zrozumiałam również, że należałam do typowych ofiar przemocy domowej ze względu na wiek. W Stanach Zjednoczonych dziewczyny od szesnastu do dwudziestu czterech lat są trzykrotnie częściej narażone na przejawy agresji w domu niż kobiety starsze i młodsze. Każdego roku pięćset kobiet z tejże kategorii wiekowej ginie z rąk swoich katów. Domowy oprawca to niekoniecznie ktoś, z kim się mieszka, lecz raczej osoba, z którą pozostaje się w intymnym związku. Należałam więc do grupy znanej statystykom.

Czynnikiem dezorientującym, jeśli chodzi o Dana, był fakt, że zwykle oboje świetnie się bawiliśmy. Przeżywaliśmy wspólnie fazy manii. On miał na moim punkcie obsesję, i to taką, że po prostu odlatywałam. Uprawialiśmy seks po kilka razy dziennie. Wtedy myślałam, że ogromnie go podniecam, ale dziś sądzą, że chodziło mu o to, aby w ten sposób mieć moją uwagę na wyłączność. Często zaśmiewaliśmy się do łez, pierdoliliśmy, ślubowali sobie miłość po grób, a zaraz potem urządzaliśmy karczemne awantury; on na mnie wrzeszczał i ścisnął mnie tak, że bardzo bolało.

Pewnej parnej, letniej nocy wybraliśmy się z przyjaciółmi do nowo otwartego pubu. Wszyscy byliśmy wystrojeni, ciekawi nowego lokalu. Uwielbiam tańczyć – zawsze to kochałam i zawsze będę. Czy jestem w tym dobra? Ależ nie! Co jednak wcale mnie nie powstrzymuje. Złapałam koleżankę za rękę i poszliśmy razem na parkiet. Dan czasami tańczył, ale tym razem – ponieważ przez cały dzień gadałam, jak bardzo mnie ta imprezka cieszy – postanowił mi ją trochę zepsuć. Tańczy jak każda biała dziewczyna, czyli przesyłając rzekomy seksualny komunikat: „Spróbuj mnie osiąść”. Ale to absolutnie

falszywa reklama. Poza tym nie jestem w tym dobra i na przestrzeni ostatnich lat kilka czarnych osób mi to wypomniało – prosto w oczy. W każdym razie wirowaliśmy i gibałyśmy się z koleżanką na tym parkiecie, gdy nagle Dan podszedł i złapał mnie za ramię. Nie podobało mu się, że faceci przy barze się na mnie gapią, i uznał, że z nimi flirtuję. Zeszłam z parkietu. Piliśmy i piliśmy, i całowaliśmy się w naszym boksie. Potem nagle zagrali kawałek Mary J. Blige *Real Love* – i rozumiecie sami, że musiałam do niego zatańczyć. To swoisty nakaz, który odczuwają wszystkie kobiety, jakby wyprano im mózgi i kazano pisać w takt tego utworu.

Kiedy znalazłam się na parkiecie, podszedł do mnie facet, który – dałabym sobie rękę uciąć – był gejem. Razem śpiewaliśmy tekst piosenki i tańczyliśmy. Chichotaliśmy, czasem ocierając się o siebie, choć nie nazwałabym tego prawdziwym kontaktem cielesnym. Wszystko było absolutnie niewinne. Dan ruszył do toalety, a mijając mnie na parkiecie, szepnął mi do ucha: „Jesteś obrzydliwa”. Wpadłam w furję. Pomyślałam: *Już ja ci pokażę obrzydliwość*, i zaczęłam tańczyć bardzo zmysłowo z jakimś innym gościem. Gdy Dan wyszedł z łazienki, złapał mnie za ramię i ponownie zaciągnął do naszego boks. I wtedy posunęłam się do czegoś, czego nigdy wcześniej nie zrobiłam i nigdy, przenigdy już nie zrobię: naplułam mu w twarz. Nie wiem, czy uznałam się za jedną z bohaterek *West Side Story*, czy może alkohol dodał mi odwagi – ale się stało. A potem w jednej chwili w Danie obudziła się bestia, a mnie zdjął okropny strach. Wyraz jego oczu przeraził mnie bez reszty. Uciekłam. Wyskoczyłam z pubu na ulicę i pobiegłam.

Biegłam do domu naszej znajomej, który był przy tej samej alei, lecz Dan zdołał mnie dogonić. Usiłowałam go uspokoić, przekonywałam, że byłoby lepiej, gdybyśmy spędzili tę noc osobno i trochę ochłonęli. Pomysł był dobry, jako człowiek inteligentny on musiał to zrozumieć. Miałam więc niemal pewność, że się zgodzi; może wyzwie mnie od dziwek, ale ostatecznie burza ucichnie. Prawda? Nie, inteligencja nie zadziałała. Kiedy wyciągnęłam telefon, żeby zadzwonić do koleżanki, wyrwał mi go z ręki i walnął nim o drzewo. Aparat rozpadł się na kawałki. Potem przyłożył mi ręce do policzków i mocno ścisnął. Zatętniło mi w głowie i nagle poczułam, że ten wieczór jest inny niż wszystkie. Nie byłam bezpieczna, zrozumiałam to w pełni.

Oświadczyłam Danowi, że idę do domu koleżanki, i poprosiłam, aby dał mi spokój. Nie dał. Poszedł za mną. Serce mi waliło, kiedy na cichych bocznych uliczkach nasłuchiwałam jego kroków za plecami. Nie przerywałam marszu, aż w pewnym momencie wydało mi się, że go zgubiłam. Gdy odkryłam, że znajduje się tuż za mną, było za późno. Spróbowałam przyspieszyć i to go wkurzyło – popchnął mnie prosto na maskę jakiegoś samochodu. Walnęłam w nią głową i łokciem, bardzo mocno. Tym razem Dan przeszedł samego siebie, wcześniej nie postępował aż tak gwałtownie. To była prawdziwa erupcja przemocy. Żaden wypadek. Z całą premedytacją pchnął mnie na to zaparkowane auto. Wybuchnęłam płaczem, zrzuciłam z nóg buty i zaczęłam biec ulicą jak najszybciej, wsłuchując się we własny oddech, próbując spowolnić bicie serca, jak uczyła mnie moja trenerka siatkówki. Myślę, że Dan sam był wtedy zaskoczony swoim postępowaniem.

Nagle z okolicznej posesji dobiegły mnie jakieś głosy. Wpadłam przez frontowe drzwi przypadkowego domu, łkająca, bosa, z makijażem spływającym po twarzy i obrzękiem na buzi, który już zmieniał się w siniec. Chwiejnym krokiem wniknęłam do

salonu, a tam siedziało z ośmiu wielkich latynoskich gangsterów, jakby żywcem wyjętych z serialu *Breaking Bad*. Z bandanami i tatuażami. Byli czymś bardzo zajęci, z pewnością się nie opieprzali i na pewno mnie tam nie chcieli. Ubłagałam ich, aby pozwolili mi tylko zadzwonić do koleżanki, i zapewniłam, że zaraz sobie pójdę. Oczywiście wymogli też na mnie obietnicę, iż nie skontaktuję się z glinami.

Przez cienkie drzwi z moskitierą słyszałam, jak Dan wykrzykuje moje imię, i nagle uświadomiłam sobie, że jestem nieskończenie bezpieczniejsza w towarzystwie tych ulicznych gangsterów niż przy nim. Niestety moja obecność narażała ich na ryzyko złapania na gorącym uczynku, cokolwiek właśnie robili. Paru wyszło na zewnątrz, aby przepędzić Dana, on jednak narobił strasznego rabanu i nie odpuszczał. Ja również wybiegłam, chcąc go uciszyć. Nie zdążyłam; już się wdał w bójkę z jednym z członków gangu. Znad oka i z rozbitej wargi leciała mu krew. Facet okładał Dana pięściami, a na ten widok ja, w jednej chwili, zmieniałam sojusze i zaczęłam swojego chłopaka bronić. Ofiary przemocy charakteryzują się taką właśnie spaczoną logiką i chorymi instynktami. Cała sytuacja przypominała tę z czasów liceum, kiedy Jeff poczęstował się moim dziewictwem, a ja musiałam go jeszcze pocieszać. A przecież to on mnie skrzywdził i powinno być dokładnie odwrotnie. Tym razem stanęłam w obronie innego faceta, który potraktował mnie jak śmiecia. „Zostaw go!”, wrzasnęłam, biegnąc w kierunku Dana, który zbierał solidne cięgi. W końcu gangsterzy wykopali nas ze swojego terenu w obawie, że ściągniemy na nich policję.

Szliśmy do samochodu w milczeniu. Na pozór Dan całkiem się już uspokoił. A nawet trochę się śmiał, mówił, że to była szalona noc. Robiłam więc to samo. Chciałam dodać mu otuchy, pragnęłam, by łączyło nas poczucie jedności mimo tego, co się właśnie stało. Wsiadliśmy do wozu. Prowadziłam ja; droga do domu zajęła nam kwadrans. Ostatnie wydarzenia sprawiły, że z miejsca wytrzeźwiałam. Dokładałam też starań, by on nadal zachowywał się spokojnie. To był mój jedyny cel. Kiedy dotarliśmy na miejsce, Dan wspomniiał coś o zamówieniu jedzenia, na co poinformowałam go w sposób bardzo opanowany i uprzejmy, że nie zamierzam zostać w naszym mieszkaniu na noc.

No i znów się zaczęło. Na moich oczach bestia obudziła się z letargu, ta sama, którą widziałam wcześniej tegoż wieczoru, tyle że jeszcze wścieklejsza. Dan zaczął tłuc głową o szybę i wrzeszczeć. Złapał mnie za rękę i bił się nią po twarzy. Następnie, już własnoręcznie, rozwalił boczne lustro w samochodzie. Krzyczałam, płakałam, zebrałam, błagałam, aby przestał. Zgodziłam się spać razem z nim w domu, byle tylko skończył z zadawaniem sobie bólu. Negocjacje te okazały się złym pomysłem, gdyż potem zrobiło się jeszcze gorzej. Dużo gorzej.

Weszliśmy do mieszkania i natychmiast położyłam się do łóżka. Byłam wykończona, chciałam tylko, aby ta noc jak najszybciej się skończyła. Nie pozostało mi już nic. Błagałam, aby dał mi spokój i pozwolił zasnąć. Ale on cały czas mnie nękał, siedział obok i się gapił. Trząsł łóżkiem, straszył, powtarzał: „Nie śpij, nie chcę, żebyś spała”. Powiedziałam, że pogadamy rano, bo naprawdę musiałam odpocząć. Ostrzegłam, że jeśli nie da mi zasnąć, odejdę. Przez kilka minut był cicho. Zamknęłam oczy, a kiedy znowu je otworzyłam, zobaczyłam, że stoi nade mną i się we mnie wpatruje. Poinformowałam go, że koniec z tym, po czym wstałam i zaczęłam się zbierać do wyjścia.

Pobiegł do kuchni i rozbił sobie na głowie kubek – nie szklankę, tylko ceramiczny kubek – a następnie zaczął walić głową o świetlówkę zwisającą z sufitu. Nie pękła. Darłam się, żeby przestał, i wtedy Dan wyjął nagle z szuflady wielki nóż rzeźnicki. W tamtej chwili ogarnęła mnie absolutna pewność, że chce mnie zabić. Zabrzmi to może jak banał, ale naprawdę całe życie mignęło mi przed oczyma. Pomyślałam: *Więc w ten sposób umrę? Nie do wiary.* Wyobraziłam sobie siostrę i mamę, jak się dowiadują, że odwaliłam kite i za czyją sprawą. I właśnie ta myśl obudziła bestię we mnie. Ujrzałam wszystko w całej jaskrawości. Musiałam od niego odejść. I to jak najszybciej.

W ramach dywersji, aby odwrócić jego uwagę, rzuciłam szklanką o ścianę, po czym wyleciałam z domu. Biegając przez nasze osiedle, waliłam do wszystkich drzwi, błagałam, by ktoś pozwolił mi wejść do środka. On ścigał mnie jak ten facet z filmu *American Psycho*, z każdym krokiem był coraz bliżej. Otworzyły się dopiero szóste drzwi, do których zapukałam; natychmiast wpadłam do mieszkania i przekręciłam klucz w zamku. Dan zaczął walić w futrynę. Spojrzałam na starszego mężczyznę, który mnie wpuścił, i powiedziałam: „Bardzo panu dziękuję. Muszę zadzwonić na policję”. Od paru miesięcy widywałam tego gościa na naszym osiedlu, jak drepcze do kontenera na śmieci i z powrotem. Czasem machaliśmy sobie na powitanie. Miał krzaczaste wąsy i brwi, tak samo szpakowate jak włosy. Wyglądał jak postać z kreskówki. No i proszę: już drugi raz tej samej nocy znalazłam się w mieszkaniu obcego człowieka. Pamiętam, że pomyślałam sobie: *Tu chyba nie będzie gorzej niż w melinie tych latynoskich gangsterów.*

Ale było gorzej. Wciągnęłam w płuca trochę powietrza, stęchłego i chyba zalatującego odchodami. W szpitalnym łóżku obok okna leżała żona tego faceta, której nigdy dotąd nie widziałam. Miała amputowane wszystkie kończyny, usta szeroko otwarte, jak do oralu, i głowę przechyloną w bok. Do dzisiaj nie wiem, czy żyła, czy nie, ale wydaje mi się, że tak. Widok był przerażający i niespodziewany. Udałam się do łazienki, zagraconej i brudnej, gdzie zamknęłam się z ich telefonem w ręku. Stamtąd zadzwoniłam po taksówkę, a następnie czekałam w środku, dopóki nie przyjechała.

Wtedy wyszłam, cała odrętwiała. Dan wciąż tkwił pod drzwiami, ale zdążył się już uspokoić. Powinnam była nasłać na niego gliniarzy. Miałam prawo złożyć skargę. Nie uczyniłam tego, nie chciałam. Gdy zobaczyłam, że stoi tam taki samotny, zrobiło mi się go żal. Zdjęła mnie również obawa, jak on się będzie czuł nazajutrz. Nawet po tym wszystkim, na co mnie naraził, nie dopuszczałam myśli o jego aresztowaniu. Jednak to wtedy właśnie ujrzałam swoje położenie z całą ostrością – byłam ofiarą przemocy i wykorzystywania. Mogłam teraz poczuć to, co czują miliony innych kobiet, które przeżyły to samo. Byłam nimi, a one były mną.

Pojechałam tą taksówką do domu swoich znajomych. Pozwolili mi się przespać na piętrze. Gospodarz spędził noc na parterze domu, przy drzwiach, z kijem bejsbolowym na podporędku, za co nadal jestem mu bardzo wdzięczna. Następnego dnia poleciałam do Nowego Jorku, wciąż pełna niepokoju o Dana, o jego stan ducha. Wiedziałam, że czuje się okropnie, że jest samotny i pogrążony w bólu, ale ja wybrałam życie. Często myślałam wtedy o siostrze; chciałam, aby była ze mnie dumna. Nie mogłabym spojrzeć jej w oczy, gdybym choć jeden dzień dłużej pozostała z mężczyzną, który w końcu by mnie zabił.

Kolejny smutny rozdział tej historii, coś, o czym opowiadanie sprawia mi

przykrość, jest taki, że po pewnym czasie wróciliśmy z Danem do siebie. Stało się to podczas sławnej awarii zasilania w Nowym Jorku w roku 2003. (Panowała wtedy taka gorączka, że kompletnie mi odbiło; przeleciałabym nawet salamandrę). Nie trwało to długo, po prostu samotność w tym mieście i moje uczucie do tego faceta sprawiły, że zmiękłam. Myślę, że spiknęliśmy się z powrotem, bo tęskniłam za jego bliskością. Poza tym chciałam go ukarać za to, że w przeszłości tak mocno mnie zranił, i uznałam, że w ten sposób bardziej mu zaszkodzię. Byłam jego dziewczyną, a to pozwalało mi swobodnie go krytykować i wytykać mu wszystko, co najgorsze. Nie jestem z tego dumna, lecz gdzieś w głębi ducha bardzo pragnęłam zemsty na nim.

Po kilku miesiącach zerwaliśmy ze sobą ostatecznie. Pożegnaliśmy się pewnego ranka, kiedy w pełni zrozumiałam, kim Dan naprawdę jest. Pojęłam, że prezentował światu jedynie fasadę, za którą krył się całkowicie inny człowiek. Miał plakat z Dexterem Gordonem, ale nie znał nazwy ani jednej jego płyty. Twierdził, że mnie kocha, ale nieustannie zadawał mi ból i sabotował wszystko, co robiłam. Dopiero po latach zdałam sobie sprawę, dlaczego Dan tak okropnie mnie tłamsił – potwornie się bał, że odkryję jego beznadziejność odejść. I tak się właśnie stało.

Opowiadam tę historię, bo nadal jestem twardą dziewczyną, a nie kimś, kogo ludzie przywołują, gdy myślą o „kobiecie molestowanej”. Coś takiego może się jednak zdarzyć każdemu. Kochając mężczyznę, który nas rani, wkraczamy do szczególnego rodzaju piekła. Doświadczyło go wiele z nas. Jeśli tak się dzieje właśnie z tobą, wiedz, że nie jesteś sama. A jeżeli jeszcze tego nie doświadczyłaś, to kto wie, czy nie czeka cię to kiedyś. Ja znalazłam drogę wyjścia z tej sytuacji i nigdy już do niej nie wrócę. Wyzwoliłam się. Ty zrób to samo.

Co mnie doprowadza
do wściekłości

Ludzie, którzy jeżdżą po górach rowerami. Wędrowaliście kiedyś po halach i nagle ktoś minął was, pędząc w dół jak szalony? Jeśli o mnie chodzi, potajemnie życzę im śmierci w odpowiednim momencie.

Dziewczyny z rozpuszczonymi włosami na siłowni lub w sali gimnastycznej. Jeśli nie masz na szyi potwornych blizn po oparzeniach jak laska z filmu *Szkoła czarownic*, to zwiąż włosy w kucyk, do jasnej cholery.

Pary, które razem ćwiczą na siłce. Nie możecie spędzić tej jednej godziny osobno? Poza tym zbiera mi się na wymioty, kiedy widzę, jak facet pokazuje swojej uległej dziewczynie, co ma robić.

Osoby na siłowni, które zachowują się tak, jakby były jej właścicielami. Kiedy tam ćwiczę, do nikogo się nawet nie uśmiecham, bo cały czas pragnę jak najszybciej wyjść. Jeśli nawiążę z kimś kontakt wzrokowy, nawet ze znaną mi osobą, a ten ktoś natychmiast odwróci głowę, wiem, że to wspałały i bardzo bliski mi człowiek.

Jak widać, siłownia i wszelkie ćwiczenia fizyczne, czego dowód stanowią cztery pierwsze punkty na tej liście.

Faceci o imieniu Jim. Ponieważ brzmi ono jak „gym” – siłownia.

Osoby, które nie mają pojęcia o ortografii i piszą o mnie, że jestem „gróba” albo „tłósta”.

Ludzie, którzy w kolejce ustawiają się zbyt blisko mnie. Miałabym ochotę zaśpiewać wtedy wers z kawałka grupy Onyx: „Weź się, kurwa, cofnij nieco”. Życzyłabym sobie, aby odstęp pomiędzy mną i innym człowiekiem wynosił tyle, ile długość boiska futbolowego, ale rozumiem, że nie jest to możliwe. Dlatego proszę, zostawcie mi choć piętnaście centymetrów przestrzeni. A najlepiej trzydzieści. (Tylko żadnych dowcipów o penisach).

Sytuacje, w których facet jest brzydki jak noc, ale wybrał sobie piękną dziewczynę z katalogu i zamknął ją w potrzasku. Modłę się wtedy, aby ona wykradła mu wszystkie pieniądze i uciekła w siną dal.

Reklamy radiowe. Wszystkie bez wyjątku.

Osoby, które mówią: „Jem, aby żyć. Nie żyję, aby jeść”. Oby plagi egipskie spadły na ich domy.

Faceci, którzy mają gdzieś orgazm swojej partnerki.

Nawaleni w trzy dupy. Pewnie myślicie sobie: *Amy, ty pieprzona hipokrytka*. Wcale nią nie jestem. Uwielbiam się napić, ale już prawie nie bywam narąbana do nieprzytomności. Na pewno nie aż tak jak w czasach studiów. A nawet wtedy, kiedy totalnie odlatywałam, nikt o tym nie wiedział. Bełkotałam tylko troszkę.

No dobra, macie rację, trzynastka jest do dupy. Chyba mnie popieprzyło, że to napisałam. Tak, upijam się na ostro. Aczkolwiek nadal uważam, że wy nie powinniście.

Rzeżucha.

Osoby, które rozmawiając, gapią się w sufit. Co, na żyrandolu usiadł sobie jakiś gołąb? Bo jeśli nie, to patrz przed siebie.

Ptaki we wnętrzach budynków. Każdy ptak na lotnisku, w galerii handlowej czy gdziekolwiek indziej doprowadza mnie do szału, normalnie tracę głowę.

Wybiórcze oburzenie.

Kierowcy, którzy na zielonym świetle wciskają gaz do dechy, a potem, na czerwonym, równie mocno hamują. Wszystkich gości od Ubera okłamuję, że jestem w ciąży, więc jeżdżą trochę bezpieczniej. Nie wiedzą, że wcale nie jestem w ciąży, zresztą ja sama tego nie wiem. Bo chyba mogłabym być.

Teoria wielkiego podrywu. (Nie mylić z teorią Wielkiego Wybuchu. Ta jest w porządku!).

Ludzie, którzy widzą we mnie grzesznicę. Pierdolić was.

Odświeżacze powietrza w hotelowych pokojach. Są dziwnie wielkie, wtyka się je w gniazdko, a potem wszędzie pachnie tak samo, czyli albo pudrem dla niemowląt, albo pogrzebem. Człowiekowi łzawią od tego oczy i zaczyna go swędzieć skóra.

Osoby, które w miejscach publicznych rozmawiają za głośno. Zdarza mi się nawrzeszczać na zupełnie obcych ludzi. Uciszam wszystkich, bez żadnych wyjątków. Kiedyś nawet Vina Diesela.

Ludzie o ego tak wielkim, że nie chcą dostrzec prawdy.

Czarne żelki w kształcie fasoli. Lukrecja też mnie wkurza, ale nie wywołuje we mnie furii.

Muzyka house. Jest najgorsza. Lubię chodzić do klubów potańczyć przy hip-hopie, ale dziś już prawie nie można znaleźć takich, w których nadal go puszczają, bo wszędzie rozpanoszyła się ta ohydna atrapa muzyki.

Kucharze celebryci, zwłaszcza ci niegrzeczni, oraz didżeje celebryci. Nie licząc Questlove'a. On jest perkusistą i niesamowitym didżejem.

Dorośle kobiety, które noszą dzinsowe szorty tak krótkie, że bardziej przypominają pieluchę, bo kiedy stoję blisko nich, niczym się nie wyróżniam. Do tego potrzebowałabym chyba denimowej burki.

Rozmowy z obcymi ludźmi w windzie. (To się chyba zalicza do niezobowiązujących pogaduszek towarzyskich, o których kilkakrotnie wspominałam, że ich nie cierpię. Jednak w windzie to już zupełnie nieznośna sytuacja, bo człowiek jest w pułapce i nie może uciec!).

Osoby, które chodzą do Starbucksa, żeby coś pisać. Syf, ohyda.

Ludzie, którzy przynoszą do pubu książkę. Tych powinno się kamienować. Przestańcie pozować na kogoś tajemniczego i interesującego. Przecież czytacie książkę w knajpie!

Osoby, które odżywiają się wyłącznie zdrowo. Zawsze. Pierdolić was!!!

Większość dzieci, które nie są moją bratanicą. Niektóre maluchy są fajne, ale całej reszcie przydałoby się trochę dyscypliny.

Faceci, którzy próbują ze mną flirtować, chociaż wysłałam im kurewsko jasny sygnał, że nie jestem zainteresowana. PO PROSTU PRZESTAŃCIE!!!

Dziewczyny, które zachowują się jak cnotki. Przecież wszystkie musiałyśmy zmywać ze skóry spernę, spoglądając sobie przed lustrem w oczy.

Faceci, którzy nie lubią nadmiaru seksu. Przynajmniej dwa razy w tygodniu albo

spadaj, gościu. (Wiem, że powinnam im okazać współczucie, ale nie mam dość cierpliwości).

Sportowcy i muzycy

Miałam niedawno kontakt z największym chujem, jakiego tylko można sobie wyobrazić. „Największego chuja” rozumiem dosłownie, czyli ogromnego penisa. Nie że facet był chujowy. Ale wyprzedzam wątek. Pozwólcie zatem, iż zapoczątkuję niniejszy rozdział, jak należy, i zapowiem pełną szczegółów opowieść o swoich relacjach z kilkoma sportowcami oraz z jednym muzykiem. Piszę o tym dlatego, że moim zdaniem powinno was to zaciekawić. Bo chociaż każdy wie, że nie istnieje żaden Święty Graal w postaci osoby dzierżącej klucz do naszego wiecznego szczęścia i poczucia własnej wartości, albowiem wszyscy jesteśmy tylko małymi, poranionymi dziećmi, to jednak wciąż mamy nadzieję, że jakaś dobra wróżka albo jakiś młodzieniec z gitarą rozpali w nas tę miłość za pomocą czarodziejskiej różdżki. Nie? To tylko ja tak mam? No cóż, mimo wszystko czytajcie dalej.

Nie podam tu żadnych imion ani nazwisk. Pewnie myślicie sobie teraz tak: *Kurwa mać, Amy!!! Przecież kupiłam tę głupią książkę właśnie po to, żeby się dowiedzieć, kim byli ci goście!* Tak, tak, słyszę. Bardzo chciałabym wam to powiedzieć. Znacznie zabawniej byłoby powiązać te historie, które przyniosły mi tyle okropnych rozczarowań, z konkretną osobą. Niestety nie mogę tego zrobić. I nie chodzi wcale o kwestie prawne, tylko o to, że chciałabym jeszcze pokosztować w życiu trochę seksu, a który facet przy zdrowych zmysłach nie bałby się mnie przelecieć, gdyby wiedział, że jego charakterystyka (tudzież opis jego członka) znajdzie się w mojej następnej książce?

No dobrze: jeśli poznamy się kiedyś osobiście, to podam wam prawdziwe imiona i nazwiska rzeczonych sportowców i muzyków. Na razie jednak zacznijmy od pierwszego zawodnika, z którym się spiknęłam, czyli od pewnego gracza lacrosse’a. Przechodziłam wtedy trudny okres, czułam się bardzo samotna. Teraz, kiedy to piszę, uświadamiam sobie, że wszystkie wymienione w tym rozdziale przygody musiały stanowić swego rodzaju odreagowanie po zerwaniu z chłopakiem. Dziś już wiem, bo odrobiłam tę lekcję, że nie da się w trybie przyspieszonym pozbyć żalu po facecie, sypiając z kimś innym. Swoim przyjaciółkom radzę zwykle tak: „Daj czasowi czas. Oglądaj filmy, chodź na długie spacer, zachowaj spokój”. Sama jednak nie słucham owej rady, choć jest przecież moja. Zdarza się też, że którejś z dobrych koleżanek mówię: „Potrzeba ci trochę seksu, z kimkolwiek”. Zauważyliście już chyba tę moją stałą cechę, że jestem hipokrytką i mam słomiany zapach?

W każdym razie wracając do tego zawodnika lacrosse’a... Oboje zostaliśmy właśnie singlami. On był znacznie ładniejszy ode mnie, poza tym pochodził z zamożnej rodziny i potrafił mnie wypieprzyć dogłębnie: czułam go prawie w brzuchu, kiedy uprawialiśmy seks. Byłam od niego zabawniejsza i bystrzejsza, choć wtedy nie miało to dla mnie znaczenia. Liczyło się tylko to, że jest fajny i posiada działającego penisa. Byliśmy w sumie na paru randkach, które okazały się równie ekscytujące jak oglądanie lakieru do paznokci na stopach trupa.

Podczas pierwszej kolacji czułam się z nim tak, jak podobno czują się mężczyźni, kiedy kobieta nie przestaje gadać. Ale znosiłam to dzielnie, udając, że śmieję się z jego dowcipów, i pozwalając mu zadawać mnóstwo głupawych pytań, jakby to była jakaś

rozmowa kwalifikacyjna, na przykład: „Gdzie widzisz siebie za pięć lat?”. Koniecznie pragnął się dowiedzieć, z kim ze sławnych ludzi chciałabym zjeść lunch, zarówno spośród żywych, jak i umarłych. No z kim? Odpowiedziałam, że z Markiem Twainem. Na co rzucił: „Nie, to musi być realna postać”. I mimo to, nawet się nie zastanawiając, poszłam z nim do domu. Kiedy się całowaliśmy, nie czułam absolutnie żadnej chemii, co tylko potwierdziło brak zainteresowania z obu stron. Pamięć mięśniowa naszych ciał jednak zadziałała, przynajmniej na tyle, że odbyliśmy stosunek płciowy. Bzykaliśmy się potem jeszcze kilka razy, zanim w pełni dostrzeżliśmy dzielące nas różnice, zarówno jeśli chodzi o atrakcyjność fizyczną, jak i poczucie humoru. Zadzwoił do mnie z informacją, że spotyka się już z kimś innym. Doznałam szoku: więc jego zdaniem te nasze pozbawione przyjemności schadzki obligowały go do zawiadomienia mnie, że on wycofuje kapitał z rynku. Powiedziałam „rozumiem” tonem tak poważnym, na jaki tylko mogłam się zdobyć. Naprawdę zrobiliśmy wiele, by zmarnować sobie nawzajem mnóstwo czasu.

Kolejny mój sportowiec grał w NFL, zawodowej lidze futbolu amerykańskiego. Wybrałam się do miasta, w którym mieszkał, a on przyszedł do mojego hotelu. Wcześniej trzy albo cztery razy wyskoczyliśmy gdzieś, ale jeszcze się nie bzykaliśmy, dlatego tym razem miała nastąpić właśnie TA NOC. Zapukał do drzwi, wypiliśmy po drinku, ale ja już czułam, że nie mam ochoty. Stwierdziłam, że jestem wykończona i muszę iść spać. Pocałował mnie. Kompletnie nic. Żadnej, ale to żadnej chemii. Coś takiego zdarzyło mi się parę razy w życiu – pocałunek nie smakował tak, jak powinien. Nic osobistego, po prostu biologia. Facet złapał mnie za tyłek i znowu pocałował. Powstrzymałam go, mówiąc dobranoc. Na poczekaniu wymyśliłam też jakąś historyjkę, dlaczego niby nie możemy się bzykać. Zrezygnował.

Następny sportowiec, z którym się spotykałam, był sławnym zawodowym zapaśnikiem. Poznaliśmy się na Twitterze. Myślicie zapewne, że to dogodny moment, aby zjechać wrestling jako taki, tylko że ja nie mam na to najmniejszej ochoty. Facet był prawdziwym wyczynowcem: zdrowszym, silniejszym i bardziej zdyscyplinowanym niż większość ludzi, którzy uprawiają sport drużynowy, w tym futbol i bejsbol. Kiedy się poznaliśmy, zapasy w ogóle mnie nie interesowały, chociaż w przeszłości często udawałam, że owszem, lecz wyłącznie ze względu na swojego ówczesnego chłopaka (por. rozdział „Jak utraciłam dziewictwo”). Miałam jednak okazję oglądać zawodowy wrestling od kulis; sportowa sprawność tych ludzi oraz teatr, który tworzą, zrobiły na mnie wielkie wrażenie. W każdym razie poznaliśmy się podczas mojego występu w Phoenix w stanie Arizona. Siedziałam sobie sama w fajnym hotelu i postanowiłam zamówić ciasteczka krabowe. Wiem, o czym myślicie: no tak, w Arizonie, która nie ma dostępu do większych akwenów, surfing i owoce morza na pewno są przednie. Ale przekonałam samą siebie, że to danie niskokaloryczne, bez węglowodanów, chociaż wiadomo, że poza miastem Baltimore w stanie Maryland ciasteczka krabowe zawierają w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach chleb. Okazało się, że w tamtych konkretnych produktach naprawdę znajdowało się mięso kraba, co w moim przypadku poskutkowało najpotworniejszym zatruciem pokarmowym, jakie można sobie wyobrazić. Zaczęłam jeść jako osoba całkowicie zdrowa i o świetnym samopoczuciu, a skończyłam – jako targany konwulsjami worek na ohydne płyny ustrojowe, które wypływały

strumieniem ze wszystkich otworów mojego ciała. Parę razy byłam zmuszona podejmować dramatyczną decyzję, czy siedzieć na sedesie, czy zgiąć się nad nim i rzygać. Prawdziwy *Wybór Zofii* na płaszczyźnie ludzkich wydzielin cielesnych. (Uwaga na spoiler: happy endu nie było).

Mimo tego tragicznego położenia wciąż zamierzałam wystąpić na scenie, i to jeszcze tego samego wieczoru. Byłam szczególnie podniecona, ponieważ na widowni miał zasiąść ów przystojny zapaśnik. Swoją obecność zapowiedział również satyryk David Spade. A tymczasem leżałam na podłodze hotelowej łazienki we własnych rzygowinach, zwinięta w kłębek, a nade mną stali właściciel klubu i jego miła matka. Z powodu odwodnienia dostałam halucynacji, wezwano więc karetkę pogotowia. Na szczęście David Spade, prawdziwy bohater, poprowadził za mnie cały występ. Jest to jedyna sytuacja w mojej karierze, gdy musiałam zrezygnować ze stand-upu ze względów zdrowotnych. Kiedyś w klubie Governor's Comedy na Long Island zupełnie straciłam głos w samym środku numeru, lecz mimo to ze sceny nie zesłam. Ponieważ moja mama i ja znamy język migowy, mogłam jej przekazywać fragmenty monologu i w ten sposób wykonać cały numer do końca, przed publicznością.

Wylądowałam więc w szpitalu w Phoenix. Moja bardzo miła przyjaciółka Jackie, która pracowała ze mną w tamten weekend, spędziła całą noc na krześle obok łóżka. Kiedy się ocknęłam, stwierdziłam, że konto na Twitterze zalała mi prawdziwa powódź wiadomości, przy czym w każdej z nich nawiązywano do wspomnianego wyżej zapaśnika. Jak się bowiem okazało, facet zorganizował wśród swoich followersów kampanię, aby ci kierowali do mnie prośby, żebym również zaczęła go obserwować. Miał około miliona fanów, z których chyba każdy wysłał mi tweeta. Kiedy zapaśnik przyszedł na przedstawienie, z którego musiałam zrezygnować, dowiedział się, że wylądowałam w szpitalu. Czekając, aż mnie wreszcie wypiszą, kliknęłam w ikonkę „Dodaj do znajomych” na jego stronie i wysłałam mu bezpośrednią wiadomość: „No dobra, obserwuję cię. Co za to chcesz?”. Odpisał: „Hejka, jak się czujesz?”. Był naprawdę uroczy. Zaproponował, że odbierze mnie ze szpitala.

Miły gest, a przy tym gościu serio sprawiał przyjemne dla oka wrażenie – i domyślałam się, że nie tylko dla oka – więc zaczęliśmy rozmawiać i planować spotkanie. Doszło do niego w Denver, gdzie spędziliśmy razem sympatyczny weekend. Kilka tygodni później widywaliśmy się już regularnie. Trzeba się było o to mocno starać, ponieważ oboje dużo jeździliśmy w trasy, a poza tym ja wciąż byłam zakochana w moim eks. Raz nawet spytałam zapaśnika, czy mogłabym zrobić sobie krótką przerwę i wyskoczyć do Meksyku ze swoim byłym, a potem wrócilibyśmy do normalnego randkowania. Odmówił, i słusznie. Wiem, że to idiotyczna prośba, ale czasami zapominam, że mężczyzna może coś do mnie naprawdę czuć.

Mój zapaśnik miał idealne ciało, był inteligentny, zabawny i miły. Pamiętam jednak, że gdy pewnego razu w pokoju hotelowym zobaczyłam jego nakolanniki, które suszyły się na kaloryferze, pomyślałam sobie, że to nie moja bajka. I oczywiście znów się spiknęłam ze swoim eks. (Tak, tak, to zawsze świetny pomysł). Jeśli chodzi o zapaśnika, nadal jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Kobieta, którą poślubi, będzie prawdziwą szczęściarą. Ja również będę się z tego cieszyć, mimo że to mój były kochanek,

a dziewczynom swoich eks życzę zazwyczaj rzadkich amazońskich odmian chorób skóry. Która to konstatacja prowadzi nas od razu do wspomnianego wyżej muzyka.

Otóż muzyk dostarczył mi chyba najsmutniejszych doznań. Jest sławny, pozostaje jego fanką. Absolutnie nigdy, przenigdy, przeprzenigdy nie przyszłoby mi do głowy, że mógłby się mną zainteresować. Właściwie podobnie jak w przypadku każdego z wymienionych mężczyzn – oni wszyscy mają przecież dostęp do drobnych, chudziutkich modelek. Zrozumiałam jednak, że facet to po prostu facet, nieważne, jak bardzo sławny czy seksowny – wszyscy chcą przelecieć każdą babkę, która podoba im się choćby umiarkowanie, a która nie ucieka na drzewo. Zabrzmiało to obraźliwie? Tylko że ja naprawdę uwielbiam u mężczyzn tę cechę. Kocham prostotę popędu, który każe im pierdolić wszystko, co popadnie. Ten mechanizm biologiczny jest dla mnie po prostu piękny. A tymczasem my, kobiety, zupełnie niepotrzebnie dokładamy tytuł starań, aby być atrakcyjne dla facetów. Nimi rządzi bowiem czysty popęd, chęć wsadzenia penisa we wszystkie otwory naszego ciała. A ja się, głupia, martwię, żeby on nie zauważył u mnie odrostów. Miewam na przykład takie myśli: *Chyba powinnam sobie zrobić porządny francuski manicure.* ALE ON MA TO GDZIEŚ. JEDYNE, CZEGO CHCE, TO WETKNAĆ MI SWOJĄ PARÓWĘ W ZADEK!

Ale mniejsza. Z muzykiem spotkałam się na lunchu. Sądziłam, że jesteśmy tylko znajomymi, lecz on mnie objął i przytulił w sposób tak wprawny i władczy, że nigdy tego nie zapomnę. Przesunął dłonią po moich łędźwiach, zaczynając od biodra pod skórzaną kurtką. Wtedy zrozumiałam: *O rany, to jest chyba randka.* Oboje byliśmy świeżo po zerwaniu, skarżyliśmy się więc na naszych eks i wpieprzaliśmy zupę ramen. Rozmawiało się tak dobrze, że umówiliśmy się na spotkanie wieczorem jeszcze tego samego dnia. Wciąż nie wyszłam na prostą, jeśli chodzi o uczucia do mojego byłego chłopaka, ale randka z gwiazdą rocka wydawała się całkiem niezłym planem zemsty.

Spotkaliśmy się w hotelu Bowery i wypiliśmy po parę drinków. To była druga randka tego samego dnia z tym samym facetem, co zupełnie zbiło mnie z tropu. Będzie mnie teraz oceniał, czy jestem kobietą wartą zachodu. Czy nadaję się na jedno bzykanko, czy na stałe chodzenie. Oczywiście natychmiast wpadłam w panikę. Ubierając się dla niego, prawie straciłam wiarę w siebie. Byłam zdenerwowana, zbyt mocno się przejmowałam. Lunch jadłam jeszcze ze zwykłym znajomym, ale teraz to była pierdolona randka z pierdoloną gwiazdką rocka! Odezwał się: „Wyglądasz inaczej niż wcześniej”, ponieważ z miejsca wyczuł, że moja pewność siebie spikowała w dół. Przespacerowaliśmy się trochę, a potem poszliśmy obejrzeć występ stand-upowy w pobliskim klubie. W pewnej chwili oświadczyłam mu, że świetnie się bawiłam, i chciałam się pożegnać, ale namówił mnie na jeszcze jednego drinka w hotelu. Tamtejszy bar był już zamknięty, zaproponował więc, abyśmy zamówili coś do jego pokoju, po czym skierował się właśnie tam.

Już wcześniej doszłam do wniosku (i zaakceptowałam go), że z całą pewnością się facetowi nie podobam i że po prostu miło spędza mu się ze mną czas. Miałam tak przez całe swoje życie. Zawsze zakładałam, że mężczyźni widzą we mnie istotę swojego gatunku, kiedy więc któryś okazywał mi zainteresowanie jako dziewczynie, byłam tym ogromnie zaskoczona. Wraz z upływem czasu kompleks ten trochę przygasł, ale nie minął

całkowicie. W każdym razie wypiliśmy drinka w jego pokoju, a kiedy wstałam, żeby go uściskać na pożegnanie, pocałował mnie. Nie czułam między nami właściwej chemii, uznałam to jednak za miłe. Poza tym był pierwszą od czterech lat osobą, z którą się całowałam, a która nie była moim chłopakiem. Uległam. Wskoczyliśmy do łóżka, rozebraliśmy się do naga i wtedy to się stało: zobojętniałam, byłam absolutnie nieobecna duchem. Wyobrażam sobie, że tak się musiał często czuć Pat Sajak, gospodarz programu *Koło Fortuny*. Gdyby zajrzeć mu głęboko w oczy, człowiek by się przekonał, że ma do czynienia z pełnoetatowym zombie.

Obserwowałam nas z góry, jakbym wyszła ze swojego ciała. Cóż za smutny widok: rockman i takie coś jak ja, czymkolwiek wtedy byłam. Nieważne, kim się jest, każdy w takich sytuacjach czuje, że raczej wdepnął w gówno. Oboje tęskniliśmy za naszymi eks. Żadne z nas się nie starało. W sumie nie doszło też do niczego wielkiego. Dotykaliśmy się, a mnie zaczęły kapać łzy. Nie płakałam, po prostu łzy spływały mi po policzkach. Zauważył to i mnie przytulił. Leżeliśmy w ciemnościach z otwartymi oczyma, wsłuchani w swoje oddechy. Cierpiałam wtedy bardzo, czułam też jego ból. Nie osądzaliśmy się nawzajem, niczego od siebie nie chcieliśmy. Potem on zasnął, a ja wymknęłam się z pokoju. Jestem mu wdzięczna za tę słodycz i za smutek, który był równy mojemu. Przez kilka chwil czułam się mniej samotna. Jestem też pewna, że stanowiłam największe rozczarowanie w jego życiu, jeśli chodzi o bzykanko. Przyznam, iż odczuwam z tego powodu jakąś dumę. Fajnie jest się czymś wyróżniać, choćby w ten sposób. Wiem, że on mnie nie zapomniał! I nigdy nie zapomni.

Dostrzegam teraz w tym wszystkich historiach pewien schemat: jako partnerka seksualna sprawiałam ogromny zawód. Zawsze sądziłam, że jeśli chodzi o przelotne związki, to mnie źle traktowano, jednak po dłuższej refleksji stwierdzam, iż to raczej ja wykorzystywałam mężczyzn. Ciekawe. No dobra, teraz nie czas się w to zagłębiać. Wróćmy do wielkiego chuja.

Zanim przejdę do meritum, małe wprowadzenie: gra zwana hokejem zupełnie mnie nie interesuje. Byłam wprawdzie na paru meczach i dobrze się tam bawiłam – ale to głównie dlatego, że chodziłyśmy razem z siostrą i udawałyśmy ranne. Na przykład podczas rozgrywek z udziałem Rangersów w Madison Square Garden założyłam kołnierz ortopedyczny i poczerńiłam sobie oczy, aby wyglądały na podbite, natomiast Kim całą zalepiłam plastrami z opatrunkiem. Sama nie wiem, dlaczego to robiłyśmy; chyba podobało nam się, że wyglądamy, jakby spuszczone nam manto. Większość ludzi nas ignorowała, szybko odwracano wzrok, ale niektórzy pytali, co się stało, a my odpowiadałyśmy, że poprzytykałyśmy się jedna z drugą.

Kim i jej mąż uwielbiają hokej, ciągle rozmawiają o jednym ze swoich ulubionych zawodników. Podziwiają jego grę, podkreślają nieustannie, że poza lodowiskiem jest taki fajny i dowcipny. Wystarczy, że się pojawię, i już wyciągają tego gościa z zanadrza. Facet został moim followerem na Twitterze, więc się mu odwzajemniłam, a kiedy opowiedziałam o tym siostrze, ta kompletnie oszalała. „Musisz do niego napisać! Na pewno się sobie spodobać!”. Więc napisałam. Że jest moim ulubionym zawodnikiem, a także – chyba – że gdyby chciał się kiedyś wybrać na stand-up, niech da znać. On okazał mi przynajmniej tyle szacunku, by nie udawać zainteresowania komedią, i od razu

zaprosił mnie na drinka. Zgodziłam się, choć byłam zmartwiona opinią Kim. Niepotrzebnie.

W wyznaczonym dniu poszłam na miejsce randki i czekałam tam na niego prawie czterdzieści minut. On co chwila wysyłał mi esemesy z informacją: „Sorry, zaraz będę!”. Wysłałam stamtąd bardzo zła. Wkrótce potem dostałam kolejną wiadomość, że bardzo przeprasza i jest gotów umówić się ze mną, gdziekolwiek zechcę. Wybrałam Fat Cat, bar ulokowany w podziemiach, w dzielnicy Greenwich Village, gdzie grają jazz i są stoły do ping-ponga. Gdy tam przyszedłam, zobaczyłam go po drugiej stronie sali w towarzystwie całego tabunu znajomych. Aha, czyli to randka grupowa, z bandą niegrzecznych facetów. Próbowałam przekrzykiwać muzykę i jakoś się z nim komunikować, ale dogadywaliśmy się jak Rick Ross z papieżem.

Nie wiedzieliśmy, o czym ze sobą gadać, nie słyszeliśmy się nawzajem i nie rozumieliśmy sarkastycznych dowcipów rzucanych przez obie strony. Wreszcie się poddałam i zaczęłam rozmawiać z jego kolegami. Traktowali mnie jak dziwkę, którą ich słynny przyjaciel sportowiec za chwilę przeleci – muszę przyznać, na ich obronę, że właśnie nią byłam. Tylko że zabrakło mi cierpliwości, aby to spokojnie znosić. Kiedy więc hokeista poinformował mnie, że idą do innego lokalu, wymówiłam się i zaczęłam ostatecznie żegnać się z ulubionym sportowcem mojej siostry. Powiedział: „No cóż, w takim razie pójdę z tobą”. Byłam w szoku. Nawet nie rzucił swoim kumplom „cześć”. Udaliśmy się do innego pubu, który był po drodze do domu. Tam patrzyłam, jak gra w jakiegoś głupiego golfa na automacie, i słuchałam, jak opisuje mi swoje marzenia oraz swoją rodzinę. I nie mogłam uwierzyć, że będę się bzykać z tym pięknym, wysokim, utalentowanym facetem, którego prawie nie rozumiałam ani z którym nie potrafiłam nawiązać bliższego kontaktu. Używał wielu terminów dotyczących hokeja, uważając mnie za gorącego kibica, podczas gdy ja byłam tylko na paru meczach w życiu i nie miałam o tej grze zielonego pojęcia. Na mój temat nie zadał dosłownie ani jednego pytania – i bardzo dobrze. Nie interesowała mnie wspólna przyszłość z tym człowiekiem, siedziałam tam ciekawa tylko jednego: czy zechce się ze mną przespać. Nawet jeśli moim zdaniem nasze walory fizyczne dzieliła taka przepaść, jaka zionęła między Miss Piggy a Charlesem Grodinem w filmie *Muppety na tropie*. Albo między Kate Hudson a kimkolwiek, kogo wybrano jej do pary. Często myślę w ten sposób o mężczyznach, którzy wykazują chęć nawiązania ze mną kontaktu cielesnego. Na szczęście większość z nich czuje popęd skierowany bardziej do wilgotnej dziurki niż pięknej twarzy – zwłaszcza późną nocą.

Poszliśmy do jego mieszkania. Włączył telewizor (nadawali właśnie program *Workaholics*), po czym od razu zaczął się do mnie dobierać. Uznałam to za bardzo urocze, pomyślałam nawet, że oto znalazłam się w domu księcia z bajki. I wtedy zobaczyłam praprzyczynę jego rycerskości. Wyjął swojego fiuta, a ja zmieniałam się w postać z kreskówki. Szczęka opadła mi do samej podłogi. Paradoksalnie tylko w tym stanie mogłabym zmieścić to monstrum w ustach, ponieważ są one z natury małe. Nigdy w życiu nie widziałam takiego kutasa. Nie było mowy, aby zbliżył się do mojej pochwy, nawet na centymetr. Czuję się jak członek orkiestry grającej na Titaniku, który wie, że za chwilę utonie, i nic nie może z tym zrobić. To jakby próbować owinać całego indyka

na Święto Dziękczynienia w rolkę papieru toaletowego – no nie da się. Facet udawał, że wcale nie ma takiego wielkiego wacka, że właściwie jest on normalnych rozmiarów i że ja jestem ta płochliwa i dziwna. Staralam się stymulować go oralnie, ale po kilku podejściach uznałam, że nie dam rady. Czułam się z tym fatalnie, bo przecież zależało mi na grze zespołowej. Dlatego oznajmiłam mu, że powinniśmy przejść do zwykłego seksu. Położyłam się na plecach, usiłując myśleć o czymś bardziej odprężającym, na przykład o zatoce Guantánamo albo wystawie butów z muzeum Holocaustu. Niestety bez skutku. On zaproponował, żebym sama go sobie wsadziła, na co odpowiedziałam: „Nie zamierzam tego robić na siłę i zdeformować sobie cipki dla jednorazowego seksu z tobą. Sorry, brachu. Nie chciałabym zbierać swojej wkładki NuvaRing, dajmy na to, z peronu metra, bo pewnie ciągle by wypadła z tej nowej, ziejącej we mnie dziury po twoim granatniku RPG”. Rozbawiło go to. Sądzę, że nie pierwszy raz miał rodeo z dziewczyną, która krzyczała mu do ucha: „Nie, potworze, ja tego nie włożę!”.

Zrobiliśmy więc to, co w tej sytuacji można było zrobić, czyli odwaliliśmy klasykę. Całowaliśmy się i obściskiwaliśmy, a jednocześnie zwałiłam mu konia. Wystrzelił na mnie, prosto na mój brzuch. Wstałam, żeby pójść się umyć, a wtedy powiedział: „Dokąd idziesz? Przecież jesteś cała ubrudzona!”. Po czym poszedł po wilgotną ściereczkę i coś suchego do wytarcia. Patrzyłam, jak ten zawodnik ligi NHL pucuje mnie starannie. Może się bał, że spróbuję ukraść jego DNA, jak niektóre żony hip-hopowców, ale widok był naprawdę uroczy. Facet wyglądał niczym chłopczyk, który pracuje nad swoim projektem na lekcję fizyki. Ubrałam się. Sprawiał wrażenie autentycznie zawstydzonego i smutnego, że już wychodzę. Zaproponował, bym została i obejrzała z nim jakiś film. Spytał również, kiedy znów się zobaczymy. Ogarnęło mnie przemożne wrażenie, że występujemy w dwóch zupełnie innych przedstawieniach. „Wspaniale się z tobą bawiłam”, powiedziałam, „ale to był ostatni raz. Nie spotkamy się więcej”. Wyszłam stamtąd pełna wstydu o wpół do piątej nad ranem. Być może pamiętacie, jak pisałam wyżej, że miałam w życiu tylko jedną przelotną przygodę miłosną. Pewnie uważacie teraz, że dwie. Jednak moim zdaniem ten przypadek się nie liczy, ponieważ nie doszło do seksu. A seks jest wtedy, kiedy członek wchodzi do pochwy albo do odbytu. (Powinnam chyba pisywać romanse. Moja proza jest tak pobudzająca!)

Rano zadzwoniłam z najbliższego Starbucksa do siostry i opowiedziałam jej o tym, co się wydarzyło. Śmiałyśmy się do rozpuku, aż się popłakałyśmy. Umówiłam się z tym gościem tylko dlatego, żeby Kim uznała mnie za pełną luzu równiacę, ale niestety tak się nie stało. Jej zdaniem była to najsmutniejsza historia, jaką słyszała w życiu. Do dzisiaj, ilekroć facet pojawia się na lodowisku, zaśmiewamy się do łez. Źle to zabrzmiało? A może czytając moją relację, zrobiło się wam go żal? Darujcie sobie. Nie litujcie się, proszę, nad tym bogatym, sławnym i doskonale wyglądającym sportowcem z ogromnym chujem. Nic mu nie jest. Jeśli nie ze mną, to z kimś innym bez wątpienia doświadczył wielu seksualnych przyjemności. Obecnie ma przepiękną, małą żonę; kiedy widzę ich wspólne zdjęcia, myślę sobie w duchu: *Powodzenia, skarbie! Będzie ci bardzo potrzebne.*



List do redaktora

Od zawsze jestem zagorzałą fanką różnych czasopism i kolorowych magazynów – nawet tych, które wmawiają mi, że jako kobieta jestem do kitu i wszystko robię źle. Będąc nastolatką, ozdabiałam ściany swojego pokoju wyciętymi z gazet zdjęciami, które przedstawiały Jasona Priestleya i Luke’a Perry’ego. Mamie wykradałam „Redbook”, tacie – „Mademoiselle”. Ha, ha, ha, żartuję; tata nie czytywał żadnego „Mademoiselle”, ale uznałam, że jeśli tak napiszę, to stworzę fajny rytm zdaniowy. *Amy, przestań tłumaczyć własne żarciki i leć dalej z tym koksem.* No więc kupuję tabloidy, a potem je przeglądam, co – jak sądzę – jest kancerogenne. Gdy chcę uchodzić za osobę genialną, nabywam jeszcze magazyn „Time” i kładę go na kupce pozostałych, żeby wszyscy pomyśleli: *Hmmm, jaka to bystra, poważna dziewczyna. Ciekawe, co jest pod spodem – „Newsweek”? „The Economist”?* Innych mądrych czasopism nie znam, dzięki czemu macie dowód, że jestem zwykłą prostaczką z Long Island, która z trudem ukończyła szkołę średnią.

W każdym razie... naprawdę lubię poczytać sobie jakieś pisemko podczas lotu albo kiedy leżę beczynn timer na plaży. Nigdy nie myślałam o tych periodykach za bardzo krytycznie i nigdy, absolutnie nigdy nie sądziłam, że się w nich znajdę, a tym bardziej że zobaczę swoją twarz na okładce. Początkowo jeśli pojawiałam się w czasopismach, to jako autorka. Po kilku latach w branży komediowej zaczęłam otrzymywać propozycje pisania zabawnych artykułów do prasy kobiecej. Parę razy wymodziłam coś dla gazety „Cosmopolitan” – naprawdę fajne doświadczenie. Opisywałam historie podobne do tych, które znalazły się w niniejszej książce. Gdy więc poproszono mnie o przygotowanie artykułu dla magazynu „Men’s Health”, poczułam podniecenie. Szczęść się, że jestem satyryczką, która przemawia zarówno do mężczyzn, jak i do kobiet, dlatego szansę zwrócenia na siebie uwagi w periodyku dla panów uznałam za ekscytującą.

Spotkałam się z Ryanem, redaktorem tego czasopisma. Na naszą schadzke spóźnił się czterdzieści pięć minut – zły to znak – ale tak serdecznie przeproszał i tak komplementował moje przedstawienia stand-upowe, że oczywiście wszystko mu wybaczyłam. Przeszliśmy do rzeczy i po burzy mózgów ustaliliśmy, o czym będę pisać: o seksie! Moja specjalność. Szafa gra.

Potem zaczęliśmy dyskutować o moim zdjęciu, które zostanie dołączone do artykułu. Miałam parę pomysłów, które uważałam za całkiem zabawne: na przykład trzymam na nim egzemplarz magazynu z napisem na okładce „Preferuję starszych panów” albo przebrana za smutną striptizerkę, stoję obok tabliczki z informacją „W prywatnym pokoju zabaw dla panów obowiązuje zakaz opowiadania dowcipów”, w nawiązaniu do niepisanej reguły, żeby nie uprawiać tam seksu. Ryan śmiał się z moich chorych koncepcji i powiedział, że przekaże je do działu grafiki i oprawy.

Przez półtora miesiąca uzgadnialiśmy ostateczną wersję artykułu. Kilka tygodni później, kiedy siedziałam za kulisami, przygotowując się do nagrania pilota swojego programu dla Comedy Central, dostałam od Ryana mejl z fragmentem tekstu do zweryfikowania. Sprawa dotyczyła ostatniego, krótkiego akapitu. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam swój artykuł na rozkładówce, a obok niego trzy ogromne zdjęcia – przy czym

nie dało się nie zauważyć, że ani jedno z nich nie przedstawiało mojej osoby. Na każdym widniała bardzo szczuplutka, piersiasta modelka, w wieku zbyt młodym, by gdziekolwiek wypożyczono jej samochód. Aczkolwiek jako poborowe do wojska przedstawiały się całkiem znośnie.

Za chwilę powinnam wejść na scenę, stanąć przed kamerami w jaskrawym świetle reflektorów i zacząć opowiadać dowcipy, rzekomo zabawne i inspirujące, lecz miałam jedynie ochotę walnąć to wszystko w diabły i pójść ścieżką kariery, którą „Men’s Health” najwyraźniej dla mnie przewidział. Czyli do końca życia pisać dla nich artykułiki, zamknięta w schowku na miotły, albo stać w jakiejś wielkiej dziurze w ziemi i nakładać sobie na skórę balsam, który oni będą mi zrzucać w wiadrze. A przynajmniej tak się przez nich poczułam. Nieomal słyszałam, jak mówią: „Schumer to taka zabawna dziewczyna. Inteligentna, ale z tą jej buzią nadaje się tylko do podcastów”.

Napisałam mejla do Ryana z pytaniem o rzeźbione zdjęcia, na co odpowiedział mniej więcej tak: „Sorry, nie ja o tym decydowałem! Już czas, żebyś zaakceptowała całość przed drukiem”.

Zostałam więc splawiona. Mogłam sobie z łatwością wyobrazić, jak wszyscy faceci z „Men’s Health” kręcą głowami i mówią: „E tam, jeszcze jedna stuknięta prowincjuszka, która się obraża, bo wyszło, że wcale nie jest taka seksowna”. Napisałam Ryanowi, że nie zaakceptuję niczego, dopóki nie otrzymam odpowiedzi na kilka pytań. Wtedy on – naprawdę miły facet, który po prostu wykonywał swoją robotę, chyba – skontaktował mnie z redaktorem naczelnym, człowiekiem o imieniu, powiedzmy, Jake. Oto odpowiedź, którą od niego otrzymałam.

Cześć, Amy...

Przeczytałem właśnie Twoją notkę skierowaną do Ryana. Przepraszam, jeśli doszło do jakichś nieporozumień w kwestii oprawy graficznej Twojego artykułu. Rzadko zamieszczamy zdjęcia naszych autorów na łamach, która to zasada dotyczy zarówno Amy Schumer, jak i Jonathana Safrana Foera, Jesse’ego Eisenberga, Augustena Burroughsa czy Garrisona Keillora. To znane osoby, do których zwracamy się o inteligentne i zabawne teksty, nietuzinkowe sformułowania, ale nie o ich fotografie. Jak widać, znalazłaś się w doborowym towarzystwie ludzi, których fotek nie publikujemy.

Jednakże dowiedziawszy o Twoich pretensjach, co nieco się zmartwiłem. Nie lubię, gdy któryś z naszych współpracowników jest niezadowolony, choćby sprawa dotyczyła jakiegoś detalu. Dlatego dołożyliśmy starań i znaleźliśmy dobre zdjęcie Twojej osoby – miałaś rację, jest ich multum – które dołączyliśmy do rozkładówki, aby każdy, kto to będzie czytać, wiedział, jak wyglądasz, i mógł Ci pogratulować, kiedy zobaczy Cię na ulicy (lub na afiszu).

Przyjmij, proszę, moje przeprosiny.

Pewnie zechcesz teraz napisać zabawny tekst o podwójnych standardach w podejściu do kobiet i mężczyzn? Proszę bardzo.

W każdym razie wielkie dzięki za uroczy tekst. Nasi czytelnicy będą nim zachwyceni.

Pozdrawiam

Jake

•••

Jake'u,

dziękuję za reakcję. Imponująca lista autorów. Czuję się jednak w obowiązku zwrócenia Ci uwagi, że ani jedna osoba na tej liście nie jest kobietą. Wiem, że masz świadomość różnicy. Czy tamci panowie również pisywali artykuły o wydźwięku seksualnym, a Wy ich teksty ilustrowaliście zdjęciami młodszych i szczuplejszych facecików? W tej chwili mam niejaką trudność, aby dostrzec zabawną stronę tych istotnie podwójnych standardów.

Dziękuję za obietnicę zamieszczenia mojej fotografii. [*Jak się okazało, była ona rozmiarów mniejszych od paznokcia; same sutki wspomnianych wyżej modelek wydawały się większe*]. Chciałabym jednak poznać szczegóły. Czy obok gigantycznych ujęć modelek moja fotka nie okaże się za mała? Bo gdyby tak, świetnie ilustrowałoby to całą sytuację. I które to zdjęcie? Chętnie bym je zobaczyła. Wiem, że jest już za późno na wycofanie tekstu, ale wolałabym to niż poczucie, że zostałam zamieciona pod dywan.

Nie przyjmuję Twojej propozycji napisania kolejnego artykułu. Wybacz, ale moje zaufanie do Waszego pisma zostało nadwątlone. Na pewno jesteś wspaniałym facetem, z którym super byłoby wyskoczyć na piwko i który ma świetne relacje ze swoimi byłymi, dlatego zrozumiesz, że nie ma tu nic osobistego – ani względem Ciebie, ani względem Twojego zespołu. Po prostu nigdy nie przyjmuję pozycji na kolanach. (Każ swoim redakcyjnym prześmiewcom wymyślić jakiś dowcip w reakcji na to ostatnie zdanie).

Amy

•••

Amy,

cholera. Po Twoim pierwszym mejlu czułem się znacznie lepiej.

Naprawdę jest mi przykro, że się pogniewałaś. Po prostu szukaliśmy najlepszego kandydata do pisania tych artykułów. I to Ty się nim okazałaś, czego dowód na naszych szpaltach.

Dizajn/fotografie/oprawa plastyczna – to zupełnie obce dla mnie rewiry, dlatego nawet nie przyszło mi do głowy, że zależy Ci na własnej fotce obok tekstu. Bo swoje zadanie już wypełniłaś, czyli go napisałaś.

Wyobraź sobie taką sytuację, bliższą świata finansów: jakaś dziennikarka pisze fachowy artykuł o pieniądzach, a jego szata graficzna zawiera kilka zdjęć przedstawiających gotówkę. Autorka zrobiła swoje i fotograf zrobił swoje, bo działają we wspólnym celu. Potem redaktorzy czasopisma mieszają to wszystko w jednym garnku, zarówno słowa, jak i obrazy, i ładują na tę samą stronę.

Właśnie tym się cały czas zajmujemy, włączając Twój przypadek.

Wątpię, bym zdołał zmienić Twoją optykę, dlatego sobie daruję. Lecz właśnie taka sytuacja miała miejsce z Twoim artykułem.

Jake

•••

Jake'u,

dzięki za porównanie godne doradcy finansowego. Teraz wszystko jest absolutnie jasne, płyniemy na jednej fali. Chciałbyś kiedyś wyskoczyć na drinka? Jestem wprawdzie na diecie, ale dam Ci znać, kiedy zejdem poniżej pięćdziesięciu kilo.

Amy

•••

Amy,

ha. No, no! Tak, wyskoczmy się czegoś napić. Ja wezmę piwo, Ty wodę i będzie dobrze. Z przyjemnością wysyłam Ci egzemplarz magazynu „Women's Health Diet”, abyś szybciej zeszła poniżej pięćdziesięciu kilo.

Pozdro,

Jake

•••

Jake'u,

mam nadzieję, że los pobłogosławił Cię córkami. Ale żarty na bok. Czy już za późno, aby wycofać ten artykuł? Bo naprawdę nie chcę, żeby się ukazał.

Myślę, że zdjęcie jest ni z gruszki, ni z pietruszki i w ogóle nie łączy się z tekstem. Dla ciebie dizajn, oprawa i fotografia to trzy osobne sprawy, ale moim zdaniem czytelnicy postrzegają je wszystkie razem.

Amy

•••

Amy,

maszyny drukarskie już pracują. Liczę, że dostaniesz za ten artykuł jakąś nagrodę. Mam dwóch synów. Może kiedyś ożenią się z czyimiś córkami.

Jake

Taki był koniec naszej korespondencji. Nie wiem, być może Jake uznał mnie wtedy za najbardziej zarozumiałą mądrałą na ziemi, ale – co ciekawe – jakiś czas później, już po wydaniu pisma, w jego wersji internetowej ozdobił mój artykuł wielkim zdjęciem Amy Schumer. Kajał się za to, że w pierwszym odruchu wołał zamieścić fotki modelek zamiast mojej. Nie muszę chyba dodawać, iż po tych doświadczeniach moja opinia o tym magazynie się zmieniła. Coś, co po prostu miałam za błyszczącą formę bezmyślnej

rozrywki, teraz stało się troszkę mroczniejsze.

Wiem, że nie wyglądam jak te modelki, których wizerunki wykorzystuje „Men’s Health”. Estetykę redakcji charakteryzuje pewna stała: dominują tam laski zimne jak wódka marki Svedka, o wyglądzie humanoidalnego robota, które świeżo wyszły spod prysznic, o wielkich piersiach, lecz poza tym ciele młodego chłopaka, i z miną mówiącą: „Jestem sexy, jestem silna i ponętna, chyba że zapragniesz czegoś innego, mój panie i władco”. Ukłon w stronę tych lasek, bo bardzo ciężko pracują. Podobnie jak goście od Photoshopa, choć nie będę się tutaj zagłębiać w pragnienia redaktorów i ich reklamodawców. Ale nie zamierzam też akceptować tego, że jest tak, jak jest, dlatego, że jest jak jest. Ludziom podobają się także te kobiety, które mają trochę więcej ciała. Niektórzy wolą solidniejszy tyłek, za który mogą chwycić, albo plecy, których da się dotykać bez wyczuwania głębokich dolin pomiędzy żebrami. Oczywiście jeśli lubicie żeberka, to proszę bardzo, nic w tym złego. Tak tylko mi się napisało. Ja również jestem piękna. Zasluguję na to, aby stać przed kamerą. Już ich słyszę, tych facetów, jak siedzą za konferencyjnym stołem w tej redakcji, w jakimś pozbawionym duszy pokoju, i mówią: „Wścieka się, bo jest brzydka, po prostu. Lepiej by dała sobie spokój!”. Tylko że to nie jest takie proste.

Wściekam się, ponieważ już ośmioletnie dziewczynki uczą się wstydić swojego ciała. Uczennice piątych klas przechodzą na dietę, tak podziwiają instagramowe fotki celebrytek w gorsetach wyszczuplających. Nawet niektóre z najbliższych mi osób mają nienormalne nawyki żywieniowe, które przysparzają im problemów zdrowotnych. Wściekam się na całą tę branżę, która sugeruje, że tylko ktoś boleśnie chudy jest godny zaakceptowania. Nie wściekajcie się na mnie, wcale nie uprawiam hejtu skierowanego przeciwko chudym. Jeżeli masz właśnie takie ciało, to chwała Bogu, ale tu będziemy się spierać, ponieważ kobiety o innej posturze czują się z tym źle, czyjaś chudość wpływa na nie deprymująco. Kiedy stoję na scenie, występując przed dziesięcioma tysiącami ludzi, często przyglądam się zgromadzonym tłumom i widzę, że mniej więcej połowa kobiet na widowni siedzi ze skrzyżowanymi rękami; w ten sposób zasłaniają sobie brzuchy. Bez końca wpaja się nam, że tylko ktoś niebezpiecznie chudy jest wartościowy i zasługuje na akceptację.

Dlaczego dziewczyny o rozmiarach ponad 36 nie chcą chodzić po wybiegu? Czego się boją? Że się zawali? A może modelki większych rozmiarów czują lęk, iż w trakcie pokazu będą musiały się zatrzymać pośrodku wybiegu na małe burrito? Bo taki dopadnie je głód? Dość, naprawdę już dość tych wychudzonych, zabiedzonych elfic, przechadzających się w bezsensownych strojach po jakichś paskudnych deskach, w nieprzyjemnym świetle i przy hałaśliwej muzyce. Prawdziwe życie tak nie wygląda. Niechże w końcu pokaże się na wybiegu kawał porządnego tyłka, ale nie tylko w ramach specjalnych programów typu „plus size”. My, dziewczyny o gabarytach 38, 40, 42, 44, 46, 48 i tak dalej, nie chcemy dla siebie jednego szczególnego dnia, tylko wszystkich szczególnych dni, i lepiej, kurwa, schodzić nam z drogi, bo już jesteśmy szczególne! Żyjecie historią, wy wszystkie zdezaktualizowane, dziwaczne czasopisma, które prezentujecie niedorzeczny świat mody z jego stukniętymi projektami ubrań. Przecież nikt ich nie nosi. A na pewno nie ci, których ja znam.

Ponieważ bywam teraz na okładkach kolorowych magazynów, mogę wam powiedzieć, że nawet laski, które tam trafiają, wcale nie są tym faktem zachwycone. Wiele redakcji nie bierze pod uwagę tego, jak chcemy wyglądać na owej pierwszej stronie ani w co chcemy być ubrane; trzeba pozować do zdjęć zgodnie z ich instrukcjami, a potem i tak na ogół wrzuca cię do Photoshopa, żebyś wyglądała dokładnie tak, jak wszystkie pozostałe. Wygooglujcie sobie hasło „kobiety z okładek czasopism”, potem kliknijcie w „Grafikę”. Zobaczycie dziesiątki różnych okładek, które wypełnią cały ekran. I teraz zmruźcie oczy. Co się okazuje? Że wszystkie dziewczyny wyglądają tak, jakby to była jedna i ta sama osoba. Chore. Dlaczego wmawia się nam, że musimy wszystkie wyglądać podobnie? Niektóre z nas chcą przecież być sobą. Chcą być takie, jakimi przyszły na świat, czasem troszkę niezdarne, w jednym miejscu niedoskonałe, w innym kształtne i piękne. Miałam szczęście uczestniczyć w sesjach fotograficznych, podczas których pozwalano mi wyglądać jak ja i czuć się sobą. Dziękuję za to fotografikom Annie Leibovitz oraz Markowi Seligerowi. Nie docenia się tych ludzi: są to często artyści lubiący zamieszać w kotle i stworzyć zdjęcia zróżnicowane, które zadziwiają i zachwycają odbiorcę. Wyobrażacie sobie, żeby fotografować kobiety ciągle w tej samej pozie, tak zwanej okładkowej? Nie ma nic złego w celebrowaniu piękna, tylko że piękno przybiera rozmaite formy!

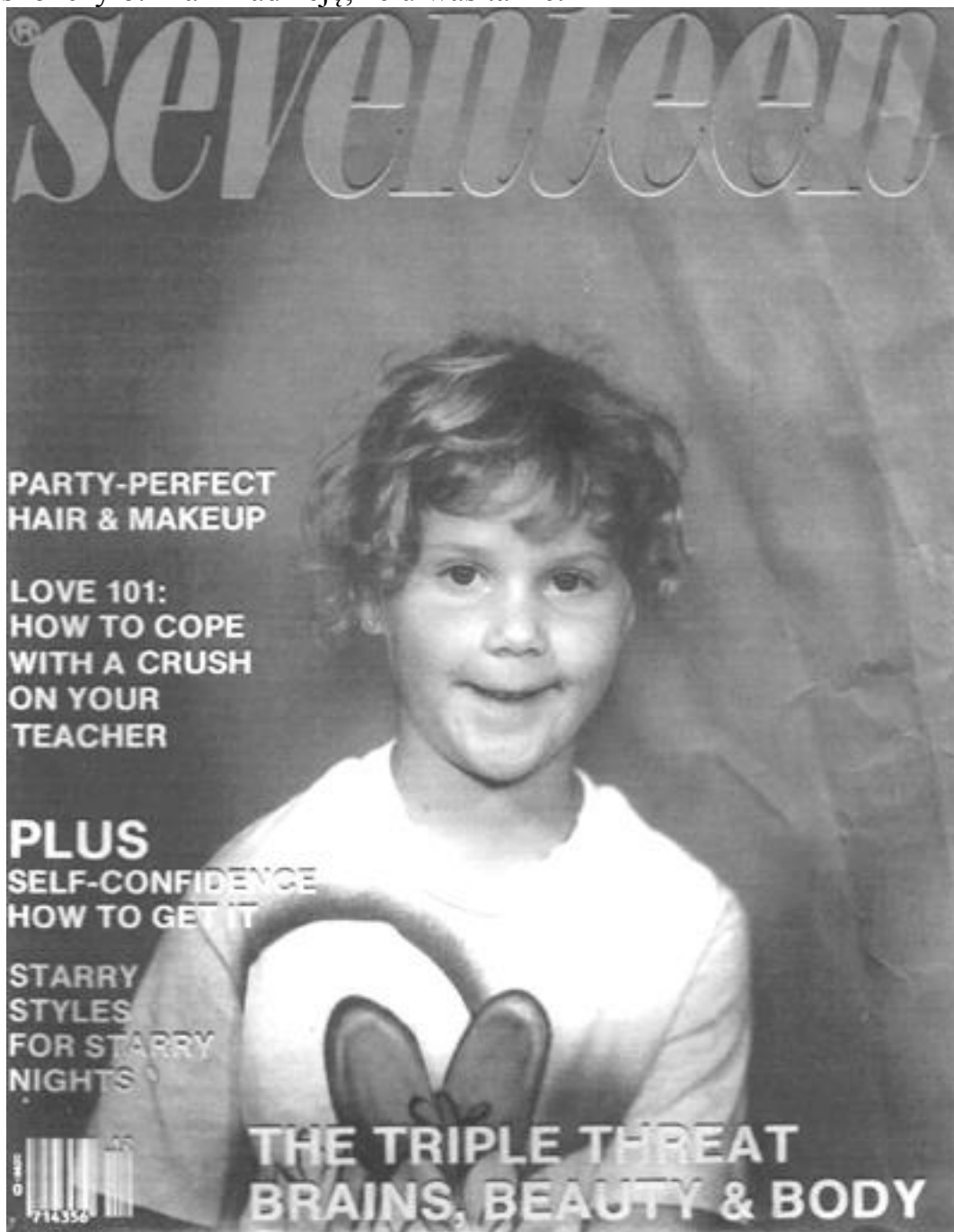
A zgodzimy się chyba wszyscy, że prezentując „alternatywną” postać piękna, nie musimy za każdym razem ostrzegać przed tym czytelnika. Łatka „plus size” zawiera niestety komunikat typu my kontra one: „Oto niezwykle, magiczne damy w rozmiarze plus, piękne i warte miłości – pomimo swoich gabarytów”. Po co w ogóle wymyślać kategorie dla kobiecych ciał? Termin „plus size” jest kompletnie bez sensu, ponieważ sugeruje, że wszystko powyżej pewnych wartości jest obce i niesłuszne. Kiedy pismo „Glamour” zamieściło moje nazwisko na pierwszej stronie swojej wkładki „Szyk w każdym rozmiarze” – o czym mnie wcześniej nie poinformowano – bardzo się zdenerwowałam, ponieważ nie chcę przykładać ręki do tego typu przesłania.

Kilka dni po otrzymaniu ostatniego mejla od Jake’a w ramach tej zabawnej korespondencji, wychodząc spod prysznicą, zatrzymałam się przed lustrem i popatrzyłam na siebie. Z tą skórą pokrytą przebarwieniami wyglądałam jak siedem nieszczęść, zupełnie nie przypominałam dziewczyn z okładek czasopism. Ale i tak, kurwa, byłam piękna. Jestem prawdziwą kobietą, z krwi i kości, która je, trawi, ma pryszcze, a także słodkie dziurki cellulitu w górnej części ud, za które nie zamierza przeproszać. Bo wiecie co? Wszystkie to mamy. Wszystkie jesteśmy tylko istotami ludzkimi.

Zła jestem na siebie, że w ogóle tracę czas na jakieś czasopismo, które publikuje artykuły zatytułowane *Jak stwierdzić, czy ona jest dobra w łóżku* albo *Dziewięć sposobów na mocniejszą erekcję*. Co mnie to, kurwa, obchodzi? Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie tego mi trzeba. Magazyny dla kobiet, mówię do was! Może zamieszczajcie jakieś ciekawsze zdjęcia, narozrabiajcie trochę, wrzućcie do kolejnych numerów więcej niż jeden artykuł, ale o paniach mądrych, twórczych i interesujących. Wiem, że są ważniejsze sprawy na tym świecie. Lecz właśnie coś takiego obchodziłoby mnie bardziej. To mnie ciekawi. Mam ochotę wykrzyknąć z najwyższych, kurwa, budynków: Nie możecie nas ciągle zawstydząć ani przyczepiać nam łatek! Przyłączcie się do nas – EWOLUJJCIE

SZYBCIEJ we właściwym kierunku, żebyśmy mogły współpracować!

Nie uważam kolorowej prasy za swojego wroga. Po prostu myślę, że stać ją na więcej. Bardzo chciałabym jej pomóc. Jeśli kolejne redakcje zwrócą się do mnie o udział w sesji zdjęciowej, to nadal będę na ich okładkach marszczyć nos i śmiać się od ucha do ucha, nadal będę pozować bez majtek z ogniem na kroczu, dorysowanym w Photoshopie, nadal będę biegać po Chinatown jakby nigdy nic, w bezkształtnej jedwabnej piżamie i w burzy confetti. Piękno nie musi być sztywne, rygorystyczne i poważne. Niektóre z czasopism mają o nas zbyt niskie mniemanie. Każą nam wierzyć w swoją wybitną markę, a w sumie wszystkie są jednakowe. Przez jakiś czas je prenumerowałam. Ale to się już skończyło. Mam nadzieję, że u was także.



Skrywane złe nawyki

Któregoś lata Kim i ja bardzo przytyłyśmy. Wcale nie ujmuję niczego grubasom. Warto było przytyć. Obie lubimy rozszerzać się i kurczyć jak akordeon, w zależności od pory roku. Kiedy jest gorąco, pijemy białe wino i tequilę; gdy robi się zimno, pijemy czerwone wino, whisky i tequilę. Dlatego, w zasadzie, ważymy mniej więcej tyle samo. Moja waga waha się od sześćdziesięciu pięciu do trzech milionów kilogramów. Tamtego lata niczego sobie nie odmawiałyśmy.

Gdzieś, kiedyś ktoś mi powiedział, że powinnam słuchać swojego ciała. Jeśli ciało życzy sobie lodów, to ma dostać lody. Ochota na lody z sieci Cinnabon? Okej! Proszę bardzo, kup je sobie i pokrusz na nie trochę precelków – o rany, chyba zapomnieli dołożyć masła orzechowego! Nie ma problemu. Ja się tym zajmę. Amy, dziś wieczorem sama wyłopałaś półtorej butelki wina, ponieważ uznałaś, że „twoje ciało potrzebuje relaksu”. Znasz jakąś fajną rozrywkę przed snem? Dobre pytanie, Amy. A może zamówimy sobie pizzę bezglutenową plus spaghetti (z dowozem), a potem rozłożymy makaron na cieście i tak to zjemy? Słuszny wybór. Mała rada: pastizzę zamawiajcie wtedy, kiedy ogarnia was senność (oczywiście poza moją głową nic takiego nie istnieje) – gdy wreszcie pojawi się dostarczyciel, obudzi was dzwonkiem. Superpomysł!

Miałam szczęście posiadać matkę, która broniła śmieciowemu jedzeniu dostępu do naszego domu, ponieważ traktowała je jako kontrabandę. Już tłumaczę: kontrabanda to coś złego, a nie inny termin oznaczający kondom, jak zresztą sama sądziłam, zanim moja redaktorka wyprowadziła mnie z błędu. Jeśli sądzicie, że w sumie mama oddała mi przysługę, to skucha. Ustanowione przez nią restrykcje nie przyniosły pożądanego efektu. Zamiast zdrowego, umiarkowanego zainteresowania gównianym żarciem ja wykazywałam raczej postawę młodej amiszki w trakcie swojej rumspringi, żywiąc nieokiełznany pociąg do rzeczonych paskudztw. Na przykład na czyichś urodzinach, gdzie podawano pizzę i napoje gazowane, dostawałam normalnego świra. Odwalało mi totalnie, pożerałam wszystko. Zwłaszcza jako mała dziewczynka.

Pewnego razu, mając dziewięć lat, wybrałam się z moją koleżanką Lauren do cyrku. Jej mama, zupełnie niewinnie, zaproponowała, że przyniesie mi coś ze sklepiku ze słodyczami, na co odpowiedziałam pytaniem: „Czyli że mogę dostać to, co chcę?”. A ona – uwaga, uwaga! – rzuciła: „Tak”. W tym momencie cały świat się dla mnie zatrzymał. Pociemniało mi w oczach i mrugałam szaleńczo powiekami, niezdolna nic z siebie wydusić. Kobieta pewnie uznała, że czekam, aby odczytała mi z ulotki wszystko, co oferuje ów sklepik – i tak w końcu zrobiła.

„No cóż, kochanie, są orzeszki ziemne, popcorn, wata cukrowa, precelki, wielkie i kruche ciasteczka z czekoladą, lizaki, napoje gazowane i gorąca czekolada”.

Odrzekłam: „Tak”. A potem zżarłam tyle wszelkich różności, że to cud, iż mój mały żołądek – zmieniony w gigantyczną piniatę zawierającą wszystko, co wyprodukowała fabryka Willy’ego Wonki – nie eksplodował, zalewając tańczącego na arenie słonia.

Ilekcóż szłam na jakieś urodziny, gdzie udostępniano mi śmieciowe jedzenie, wracałam do domu, do mamy, bardzo, ale to bardzo chora – z brodą klejącą się od

napojów gazowanych i z pyłem po cheetosach pod paznokciami. Koleżanki, którym wolno było to wszystko spożywać w umiarkowanych ilościach, nie mogły się nadziwić, dlaczego obżeram się aż do przejedzenia. Podobnie jak włoskie dzieci, którym pozwala się upić kilka łyków wina do kolacji, a które jako nastolatki nie stają się alkoholikami, większość maluchów daje sobie spokojnie radę z tego typu produktami, w ograniczonej liczbie, i nie wychodzi na tym wcale źle. Ja jednak musiałam wszystko trzymać w sekrecie, żeby mama się nie dowiedziała. Przyjaźniłam się głównie z dziewczynkami, które mieszkały w pobliżu cukierni lub tanich sklepików spożywczych. Była na przykład taka jedna, która mnie absolutnie nie interesowała jako koleżanka, ale wiedziałam, że kiedy pójde do jej domu, dostanę tyle żelków Sour Patch Kids, że taką dawką zabiłabym dorosłą żyrafę. Co też zrobiłam. Wieczne odpoczywanie, Smokey.

Kiedy studiowałam, moja współlokatorka Denise nie mogła zostawiać żadnego jedzenia luzem, ponieważ – wróciwszy z zajęć albo z jakiegoś pubu i znalazłszy w domu pudełko Twinkies – wszystko jej wyżerałam. Raz przygotowała wielką lazanię, a ja powoli, kawałek po kawałku, zjadłam ją całą. Niczym Garfielda, często budził mnie krzyk Denise. Musiałam ją nauczyć, aby chowała przede mną jedzenie. Nie powinnam była nawet wiedzieć, że cokolwiek mamy na chacie. Jednakże wkrótce skończyły się jej miejsca kryjówek – zawsze wszystko znajdowałam. Potrafiłam przewrócić do góry nogami własny pokój, jak jakieś gestapo. Któregoś wieczoru Denise sprowadziła do nas faceta, który pod jej poduszką znalazł pudełko ciasteczek o nazwie Devil Dogs. Przeżył szok. Koleżanka zawstydziała się głęboko i zwała całą winę na mnie, lecz ja oczywiście udawałam, że nie mam pojęcia, o czym ona mówi.

Nawet jako w pełni dorosła kobieta nie wyzwoliłam się z tego nawyku, aczkolwiek zamknęłam go w granicach rozsądku. Niemniej aby opisać tamte wakacje, muszę to powiedzieć raz jeszcze: Kim i ja bardzo przytyliśmy. A ponieważ wkrótce miał się rozpocząć okres zdjęciowy do drugiego sezonu mojego programu telewizyjnego, wpadłam w panikę i poprosiłam siostrę, byśmy razem trochę schudły. Kim nie miała właściwie powodu się zgadzać. Jest bardzo mężata i nie staje zbyt często przed kamerą. Należy do dziewczyn o typie ciała odpowiadającym urodzie modelek „Playboya” – gdybym sama takie miała, używałabym go chętnie i do woli. Przenosiłabym wszystkie choroby znane człowiekowi i małpom. Niestety odznaczam się kształtami kaktusa, a gdy jeszcze nie depiluję się przez cztery godziny, to również tak się czuję.

Jednakże Kim zgodziła się ćwiczyć i przejść na dietę razem ze mną, ponieważ jest dobra i miła i wie, że najbardziej na świecie lubię jadać i popijać w jej towarzystwie. A ponadto świetnie zdawała sobie sprawę, że jeśli nie wyrazi zgody, ja natychmiast zarzucę swój plan prozdrowotny na rzecz alkoholu albo ciastek, więc musiała się do mnie przyłączyć, jeśli chciała mieć pewność, że trzymam się wyznaczonej diety. Na ogół to właśnie Kim pilnuje, bym się nie utuczyła i nie zapiła na śmierć, ja jednak też świetnie wyczuwam jej chwile słabości, a wtedy atakuję niczym zawodnik MMA mszczący się za swój ukryty homoseksualizm.

Zapisałyśmy się zatem na program treningu siłowego i kondycyjnego w stylu CrossFit (szaleństwo) i nawet uczęszczałyśmy na większość zajęć. Ludzi traktuje się tam jak kadetów jednostki specjalnej Navy SEALs, którzy mają wziąć udział w wojnie

partyzanckiej; trening całkowicie zbędny i przesadny, chyba że ktoś chce zostać modelką na wybiegu albo wziąć udział w Igrzyskach Śmierci. Ale chodziłyśmy. Każdego dnia ocierałyśmy się o zgon. Pociłyśmy się, dyszałyśmy jak lokomotywy. Po zajęciach wytaczałyśmy się stamtąd na drżących nogach, oszołomione. To było coś okropnego, te wszystkie ćwiczenia opracowane dla kogoś, kogo zadaniem jest PRZETRWAĆ. Pilates został wymyślony przez Josepha Pilatesa, który szkolił żołnierzy podczas II wojny światowej. Jego metody miały pomagać ciężko rannym ludziom w powrocie do formy. Dzisiaj korzystają z nich głównie kury domowe, które chciałyby mieć kaloryfery na brzuchu oraz powstrzymać grawitację, ciągnącą im dupy w dół. Nie pasują mi te wszystkie diety i obozy treningowe, gdzie uczy się ludzi, jak przeżyć na minimalnych racjach żywnościowych. Nie jestem przecież jeńcem wojennym. Ale ponieważ zobowiązałyśmy się z Kim do schudnięcia, trzeba było ciągnąć ten wózek.

Instruktorzy były śliczne – same dziewczyny w obcisłych spandeksach i sportowych stanikach, o doskonale układających się włosach i cerze tak idealnej, że nie wymagała makijażu. Podobno świeża plotka głosi, iż bez makijażu wyglądam jak Charlize Theron w filmie *Monster*. Również tamtejsi faceci przedstawiali się niesamowicie, byli superseksowni. A jeden z nich okazał się tak piękny i tak charyzmatyczny, że wręcz wprawiał nas w zakłopotanie. Nie wiem, czy dlatego, że byłyśmy oszołomione wysiłkiem fizycznym, czy może ze względu na jego autentyczne poczucie humoru, jednakowoż ciągle się z nim śmiałyśmy i świetnie bawiłyśmy, pocąc się i zasysając łąpczywie powietrze niczym George Burns na orbitreku.

Ten konkretny instruktor, którego będę nazywać Neal, wyglądał jak grecki posąg; był tak przystojny, że nie można było na niego długo patrzeć. Perfekcyjna muskulatura, idealnie opalony – prezentował się znacznie lepiej, niż sobie teraz wyobrażacie. Wszystkie osoby na zajęciach traktował z taką samą uwagą. Chodził po sali, mrugał okiem i kuczał obok, kiedy robiłyśmy brzuszki albo siady przy ścianie. Klękał na przykład na jedno kolano, a dłoń kładł nam na lędźwiach, dla zachęty. Wszystkie dziewczyny wychodziły potem z treningu z głupawym uśmiechem na buzi, chichocząc do gościa: „No to pa, Neal!”. Ale Kim i ja jesteśmy od nich trochę inteligentniejsze, zgadza się? Irytują nas ludzie o idealnych ciałach. Pieprzyć was! Zresztą nie ma szans, żeby te same osoby były też zabawne. NIE WOLNO WAM! NIE MOŻECIE MIEĆ WSZYSTKIEGO! Lecz nawet my nie mogłyśmy oprzeć się czarowi Neala. Przewracałyśmy oczami i spoglądałyśmy na siebie z wyrazem niedowierzania w rodzaju „Co jest, kurwa, grane?!”. Przecież to niemożliwe, aby facet był aż tak seksowny i tak świetnie umiał redukować nas do roli głupich nastoletnich podśmiewajek! Często powtarzał podczas zajęć, że osoby zainteresowane dodatkowym treningiem osobistym powinny się z nim kontaktować przez Internet. Gadał o tym nieustannie w trakcie ćwiczeń. Któregoś dnia odezwałam się do siostry (choć już to mówiąc, czułam się głupio): „Mam takie wrażenie, że on zwraca się konkretnie do mnie... Nie dlatego, że jego zdaniem wymagam dodatkowej pomocy. Po prostu chyba mu się podobam”.

Byłam przygotowana, że Kim uzna mnie za kompletną idiotkę, że każe mi zluzować i przypomnieć sobie, iż obecnie wyglądam jak Pani Bulwa z *Toy Story*, który to wygląd sprawił, że w ogóle wpakowałyśmy się w ten cały bajzel. Kim często się ze mną

droczy, kiedy zadurzę się w jakimś facecie, a ten nie żywi wobec mnie najmniejszych uczuć. Jeden taki pracował przy pierwszym sezonie mojego programu w telewizji – wtedy po prostu oszalałam na jego punkcie. Śliczny, mały rowerowy hipster, który normalnie nie zwróciłby na mnie najmniejszej uwagi, nawet gdybym mu za to płaciła. Któregoś popołudnia, podczas kręcenia zdjęć, Kim powiedziała: „O Boże, Aim, nie odwracaj się, on na ciebie patrzy!”. „Naprawdę?!!!” – wrzasnęłam i powoli się odwróciłam; facet spał sobie smacznie na stercie jakiegoś sprzętu. Chcę po prostu podkreślić, że Kim nie tyle okłamuje mnie w kwestii mężczyzn, którzy się mną absolutnie nie interesują, ile uwielbia robić mnie w konia. Jednak wtedy, po mojej wypowiedzi na temat Neala, powiedziała: „Stara, ja też. Ja też mam wrażenie, że mówi to do mnie!”. No i pięknie.

Zarówno ze sceny, jak i w tej książce wspominam, że mieszałam niekiedy bardzo niską samoocenę. Ale zawsze wykazuję pełną gotowość, aby uznać i uwierzyć, iż jestem ładniejsza, niż mi się wydaje. Na ewolucyjnym wykresie rozwoju gatunków ten facet i ja znaleźlibyśmy się na dwóch końcach. Ja chodziłabym wsparta na knykciach, węszyła za bananami i rzucała własną kupą w turystów, on byłby księciem z bajki Disneya, tyle że z większym seksapilem. Wołałabym do niego: „Pomożesz mi schudnąć?”, na co on by odpowiadał: „Pewnie, spotkajmy się w lokalu, gdzie serwują zdrową, dietetyczną kuchnię”. Wtedy ja śpiewnie: „Juuuż mi niosą suknię z welonem...”. No więc się spotkaliśmy. Parę razy ćwiczyliśmy wspólnie. Dopiero potem, będąc nieco pod wpływem, napisałam mu esemesa, że chciałabym się z nim miziać.

Podczas kilku kolejnych randek dał jasno do zrozumienia, że jest mną zainteresowany, ale jednocześnie nastąpił mi boleśnie na ego, mówiąc na przykład: „Dla mnie wygląd nie jest najważniejszy”. *O rany, dzięki, pomyślałam. Naprawdę mi się przyfarcilo, brzyduli. Jednak mimo wszystko mam w sobie coś, co pozwala ci osiągnąć erekcję.* Spotkaliśmy się jeszcze parę razy i przespaliśmy ze sobą, ale czułam, że on chciałby tylko, abym robiła mu laskę. Nie miał niestety pojęcia, że jestem bardzo leniwą pannicą. Przez całe życie robiłam to może z osiem razy. Muszę naprawdę kogoś kochać i czuć, że dana osoba na to zasługuje, albo być w nastroju do świntuszenia. Ale i tak facet powinien sobie zasłużyć. Tak że, serio, w sumie osiem razy. Nie żartuję. Z instruktorem uprawialiśmy normalny seks, zawsze w moim mieszkaniu.

Szczerze mówiąc, nigdy mi się to pieprzenie z nim nie podobało, ponieważ cały czas myślałam: *Dlaczego on to ze mną robi? Bez sensu. Co chce tym osiągnąć?* Nie żebym miała o sobie złą opinię, ale po prostu coś mi się tu nie zgadzało. Pamiętałam te wszystkie niesamowite, młode i chętne supermodelki z naszych zajęć, które się nim zachwycaly po same uszy. A on tymczasem wołał być ze mną i lizać mi dupę. To znaczy cipkę. Krótko mówiąc, facet był bardzo sexy, a ja byłam tylko mną. Poza tym nigdy nie poszliśmy do niego do domu. Zawsze do mnie. Aż do pewnego wieczoru, kiedy to wreszcie poznałam jego sekretny, zły nawyk.

Wszyscy mamy jakieś zwyczaje, które chcemy zachować tylko dla siebie. Większość z nich jest nieszkodliwa, ale i tak wolimy trzymać je w sekrecie, bo czujemy, że tak będzie lepiej. Jedni potajemnie obżerają się fast foodami, drudzy, jak na przykład moja bratowa, oglądają telewizyjne reality show, tak tandetne, że powinny być prawnie zakazane. Skąd o tym wiem? Bo oglądam je razem z nią, a nawet zmuszam bratową do

wgapiania się w jeszcze gorsze rzeczy. Są i tacy, którzy lubią zjadać to, czym wypchana jest ich sofa. Tylko Bóg może was za to sądzić, ludziska!

W każdym razie zanim poznałam sekret Neala, wzięłam go ze sobą na pewną imprezę. Czyniliśmy postępy – on był tak napalony i tak pewny swego, iż nawet skłonił mnie do błędnego mniemania, że jest naprawdę fajny i że, kto wie, stworzymy związek na serio. (Samo pisanie o tym zapiera mi dech w piersiach). Wybraliśmy się więc na imprezę, podczas której pozyskiwano fundusze na walkę z jakąś chorobą, boreliozą, alkoholizmem czy czymś takim. Czułam się odrobinę zażenowana, przychodząc w towarzystwie tego gościa, bo wszyscy gapili się na mnie z komunikatem w oczach: „No dajże spokój, laska, to jakaś tragiczna pomyłka”. I mieli rację. Nie żebym nie zasługiwała na kogoś tak seksownego jak on – czy na inne rzeczy, które sobie wmawiam – ale po prostu jest pewna granica. Możesz być z kimś trochę ładniejszym albo trochę mniej ładnym od ciebie, ale gdy równowaga zostaje zbyt mocno naruszona, ludziom się to nie podoba. Wpadają w furję, co jest smutne i chore. Ta sytuacja mnie nie zaskoczyła. Facet był tak seksowny i piękny, że aż wydawało się to śmieszne. Miałam wrażenie, jakbyśmy razem występowali w tej słynnej scenie z *Malej Syrenki*, w której Urszula śpiewa piosenkę o wykradzeniu głosu Ariel. Przy czym Neal grał rolę Ariel, a ja byłam wodorostami na morskim dnie. (Hmm? Nie, nie przejmujcie się. Wszystkie moje porównania są do kitu).

Aby poradzić sobie z tą upokarzającą sytuacją, ululałam się na cacy – mam wtedy gdzieś, co ludzie o mnie mówią, więc to naprawdę świetna metoda. Chodziliśmy razem pod rękę, ciesząc się tym, co nastąpi po wspólnym wieczorze. W drodze do samochodu myślałam: *Może będzie z tego coś więcej? Czyżby to miał być mój następny chłopak?* W aucie poczułam się z tą perspektywą jeszcze lepiej i zaproponowałam: „Pojedźmy do ciebie”. „Okej”, zgodził się, „ale u mnie jest straszny bałagan”. Poinformowałam go, że nie należę do dziewczyn, którym to jakoś szczególnie przeszkadza, i wyruszyliśmy.

Minęliśmy sympatycznego portiera, ładnym korytarzem doszliśmy do ładnej windy, a stamtąd do równie ładnych drzwi jego mieszkania – Neal je otworzył i wtedy wszystko zrozumiałam. Kiedyś musiała to być przestronna, urocza kawalerka, ale z czasem zmieniła się w potwornie zagraconą, ciasną klitkę. Widok był taki, jakby otwarto przede mną bramę garażu w *Wojnach magazynowych*. Straszny bajzel – w kuchni i łazience czarno od pleśni, wszystkie ceramiczne powierzchnie ufajdane włosami i brudem, w każdym rogu i na wszystkich kontuarach stopy niepozmywanych naczyń, dosłownie jedno na drugim. Widywałam już bałagan w męskich mieszkaniach. To nie takie rzadkie, że facet mieszka, pławiąc się w ohydzie, zwłaszcza będąc singlem. Myślę nawet, że jest w tym coś pociągającego. Uwielbiam, jak gość zajmuje gówniane lokum z pustymi ścianami. Lubię też, kiedy mężczyzna ubiera się skromnie, a jego styl trudno określić lub nie ma go wcale. Nie ufam facetom z dobrym gustem, bo wydaje mi się to jakieś nienaturalne.

Ale mieszkanie Neala znacznie wykraczało poza kategorię atrakcyjnego nieładu. Było więcej niż brudne. Przypominało *Jumanji* po kilku rzutach kośćmi. Przestrzeń zapchana po sufit jakimiś dziwnymi rzeczami, które kompletnie tam nie pasowały. Sterty, wielkie sterty czegoś nieokreślonego, jedno na drugim. Wszędzie. Stopy książek i ubrań,

i butów sportowych, meble ustawione na innych meblach. Czasopisma i gazety uformowane w wysokie, symetryczne wieże, a do tego całe niechlujne góry innych przedmiotów. Na przykład wielkie, chybotliwe piramidy utworzone z pudełek po różnych towarach, urządzeń treningowych i nieotwartych opakowań. Jakieś butelki, odżywki proteinowe oraz zdrowa żywność. Przedawnione foldery reklamowe, dziwne papierzyska, płyty CD, zwinięte w rulon plakaty, skakanki, puste foliowe siatki na zakupy, nakolanniki. (Nakolanniki? Znowu? Ja cię pier...) Strach było na to wszystko patrzeć. Jeden wielki paskudny koszmar od podłogi do sufitu. W mieszkaniu nie zostało prawie miejsca, aby się po nim poruszać. Należało posuwać się bokiem wąską ścieżynką, którą Neal odgruzował. Chłopak nie był kolekcjonerem, bo to za mało powiedziane – on był rupieciarzem.

Od razu wytrzeźwiałam, ale musiałam grać swoją rolę. *Jesteś aktorką*, powiedziałam sobie w duchu. *Dasz radę*.

– Mówiłem ci, że mam bałagan – odezwał się Neal. – Aż tak źle?

– Nie! – wrzasnęłam nazbyt głośno i za szybko. – To bardzo ładne mieszkanie.

Potem zamknęłam się w łazience, gdzie na drzwiach wisiały części kobiecej garderoby, wśród nich stanik. Już wcześniej podejrzewałam, że facet może mieć dziewczynę – na przykład jakąś małą modelkę, która akurat wyjechała na paryski Tydzień Mody. Tak zgadywałam, choć nigdy nie byłam w Paryżu i nie mam pojęcia, kiedy się ta impreza odbywa. (Wydaje mi się jednak, że to jeden długi tydzień ogólnego chędożenia. Też macie takie odczucie?) W każdym razie nie sądzę, żeby wspomniany stanik mógł należeć do jego aktualnej wybranki. Wnioskując na podstawie ogólnego stanu mieszkania, gdzie czas odcisnął swoje piętno na wszystkim, biustonosz musiał tam wisieć od lat. Niewykluczone nawet, że należał do Amelii Earhart. Siedziałam w tej toalecie, grając na zwłokę, i nie mogłam się nadziwić, że tak idealny, zabójczy facet ze swoją misterną fryzurą i o nienagannej sylwetce wyłania się każdego ranka z tej klatki dla orangutana, dla niepoznaki zwanej łazienką.

Gdy wykonałam już odpowiednią liczbę głębokich wdechów i pozbierałam się trochę, wyszłam z toalety, a Neal kontynuował oprowadzenie mnie po mieszkaniu wąską ścieżką, którą wcześniej utorował. Miałam wrażenie, że wędruję po labiryncie. Zalaatywało kurzem i psem Neala, uroczym pitbullem, który szedł za nami gęsiego wspomnianą alejką. Gospodarz zaproponował mi coś do picia, ale odmówiłam. Czyli było naprawdę źle. Nigdy nie rezygnuję z drinka, kiedy jestem z nowym chłopakiem. Zwykle traktuję takie randki jako pretekst, aby pozwolić sobie na popijawy w stylu Keitha Richardsa. Tym razem jednak nie mogłam sobie wyobrazić, że dotykam ustami kieliszka, który się tu znajdował. Neal zaprowadził mnie do jedyne go obszerniejszego fragmentu lokum – małej, dwuosobowej kanapy przed telewizorem, na której musiał często przesiadywać, bo nie była zavalona żadnymi przedmiotami. Klapnął sobie i wskazał mi miejsce obok. Oglądaliśmy telewizję. Choć ja raczej udawałam, że oglądam, nie bardzo wiedząc, jak się stamtąd ulotnić. *Czy on nie zdaje sobie sprawy, że to wygląda fatalnie? Bo jeśli tak, to może planuje mnie tu zamordować*. Zerknęłam na Neala, chcąc sprawdzić, czy mu przypadkiem nie odbija. Nie, nie odbijało – śmiał się do rozpuku z jakiegoś koszmaru, który nadawała właśnie MTV.

I co zrobiłam? „No cóż, Amy, na pewno wyszłaś, podziękowawszy mu za uroczy wieczór”. Nie, nie, kolego i koleżanko, tak zrobiłaby osoba normalna. Ja natomiast pozwoliłam, żeby zaprowadził mnie na materac, na którym nie było żadnej pościeli. Tam zaczął się do mnie przystawiać. Znów doznałam uczucia, że opuszczam własne ciało. Rozglądałam się po całym pokoju, widziałam stosy przedmiotów, które on zgromadził przez lata. Podarunki od Nike i Adidasa. Zabawkowe pieski i potłuczone lampy, ułożone na połamanym biurku, zawalonym kolejnymi czasopismami oraz płytami CD. Nagle nawiązałam kontakt wzrokowy z psem. Odniosłam wrażenie, że przesyłamy sobie tę samą wiadomość: „RATUNKU!”. Ubrałam się. Dokładnie pamiętam, że wkładając buty, na chwilę znieruchomiałam, oddawszy się refleksji, że jestem już kobietą po trzydziestce, a i tak moje miłosne schadzki wyglądają w ten sposób. *Nigdy więcej*, pomyślałam. Rzuciłam Nealowi dobranoc i wyszłam na ulicę miasta pełną dymiących górien, gdzie wszystko wydawało mi się piękne.

Była trzecia nad ranem, śmieciarze zaczęli swoją pracę, a ja oddychałam czystym nocnym powietrzem. Widać było wyraźnie, że kroczę drogą klęski i wstydu (czyli jestem po nocnym bzykanku), i oni zdawali sobie z tego sprawę. Krzyczeli w moim kierunku, a ja śmiałam się z samej siebie. Nie sposób było ukryć, co właśnie robiłam. Po powrocie do domu poszłam pod prysznic i brałam go osiem lat. Nazajutrz Neal powiedział:

– Natchnęłaś mnie, żebym coś w końcu zrobił z tym moim mieszkaniem.

Nie miałam pojęcia, w jaki sposób podsunęłam mu tę myśl, ale uznałam jego słowa za dobry prognostyk.

– No to super. Czyli pozbędziesz się tego chłamu? – spytałam.

– Nie, dokupię parę nowych mebli.

Na to nie potrafiłam odpowiedzieć. Nie wiem również, jaka była przyczyna jego zaburzenia. Mogę się jedynie domyślać, że Neal dorastał w biedzie i musiał o wszystko walczyć – a posiadanie rzeczy, czegoś materialnego, czegoś markowego czy w ogóle czegokolwiek pozwalało mu czuć się człowiekiem sukcesu. Swoją pozycję na tym świecie oceniał na podstawie zgromadzonych przedmiotów. Opieram tę analizę na wiedzy z trzech odcinków programu *Mania chomikowania* i doszłam do niej sama. Nie posiadam innych podstaw, by twierdzić to z całą pewnością. Lecz jak wszystkie dziewczyny, z którymi się przyjaźnię, lubię diagnozować innych bez żadnego rekonesansu.

Kilka dni później Neal do mnie zadzwonił. Umówiłam się z nim ostatni raz, tak po przyjacielsku, w mieszkaniu siostry. Nie chciałam nagle zniknąć z życia Neala z powodu mieszkania, czym wzbudziłabym jego podejrzenia, ale nie zamierzałam już tam wracać. Nie mogłam. A ponieważ ogłosiliśmy z Kim zwycięstwo w naszej walce z nadwagą (łącznie straciłyśmy imponujące dwa i pół kilograma), nie miałam już powodu, aby chodzić na zajęcia wyszczuplające u Neala.

To wcale nie był zły facet – wręcz przeciwnie. Od tamtego czasu widujemy się przelotnie, on bardzo dobrze sobie radzi. Zastanawiam się tylko, czy zdaje sobie sprawę ze swojej przypadłości. Bo przecież jest oczywiste, że dba o siebie tak, jakby to była kwestia życia i śmierci. Jego ciało to nieskalana świątynia, natomiast ta właściwa budowla, czyli jego dom, jest – rzekłabym – absolutnie skalana. Sama nie wiem, co to

właściwie znaczy. Ale tak jest.

Jeśli chodzi o mnie, to wydaje mi się, że mam odwrotny problem. Najczęściej wyrzucam to, co jest mi potrzebne. Nigdy nie mogę niczego znaleźć. Parę razy do roku gubię nawet swój NuvaRing, który przecież powinien siedzieć wewnątrz mnie. Wszystkie istoty ludzkie mają swoje sekretne kompulsje i nawyki. Włącznie ze mną. Lecz dziś, ilekroć widzę kogoś tak fizycznie pięknego, że to przekracza wszelkie pojęcie, przypominam sobie, że na pewno kryje się w nim coś totalnie popierdolonego, co natychmiast sprowadziłoby ten wizerunek na ziemię. Jestem trochę wdzięczna temu facetowi, ponieważ tylko dzięki niemu moja zakręcona słabość o nazwie pastizza-przedzaśnięciem stała się czymś wybaczalnym.



Mama

Mam kłopot z ludźmi twierdzącymi, że posiadają idealną matkę. Umawiasz się może z gościem, który nie podejmie żadnej decyzji, dopóki najpierw nie pobiegnie do mamusi? Jeśli tak, to z nim zerwij. (Chyba że jego matką jest Caroline Manzo z *Bogatego życia w New Jersey*, ale to jedyny wyjątek). Daj sobie spokój z facetem, który sprawia wrażenie, że to raczej on i jego rodzicielka powinni tworzyć parę. Zaufaj mi i odejdz od niego. Jeśli natomiast sądzisz, że twoja matka zawsze wie najlepiej, że ma słuszną opinię na temat wszystkiego, włącznie ze wspaniałymi sugestiami dotyczącymi twojej fryzury, ciuchów i związków, zachęcam, abyś zrewidowała swój pogląd na tę osobę. Będę cierpliwa i zaczekam, aż sama odkryjesz prawdę. To kłamstwo! Tak naprawdę miałabym ochotę stuknąć cię w głowę i zmusić, abyś natychmiast przejrzała na oczy.

Każdy ma lub miał rodziców, którzy mu coś w duszy popierdolili, w ten czy inny sposób. Taki jest naturalny porządek rzeczy. Cykl życia. Matki to ludzie, a nie anioły z niebios czy bezawaryjne roboty z filmu *Ex Machina* przeznaczone do naszej obsługi. To, że wypchnęły nas przez swój kanał rodny, nie znaczy, iż wiedzą absolutnie wszystko o wszystkim (a choćby nawet trochę). Że wiedzą najlepiej. Zanim nas urodziły, biegały po tym świecie, kręcąc się wokół własnego ogona, jak zwykle idiotki, czyli tak jak teraz wy. Chodzi mi o to, że matki to tylko ludzie. Najczęściej zwykli, pełni wad ludzie.

I tu właśnie przechodzimy do mojej rodzicielki. Tak, tak, starała się na tyle, na ile mogła, podobnie jak wasze mamy. Tylko że ja należałam do dzieci, które dorastając, uważają swoją matkę za świętą. Za boginię stąpającą po ziemskim padole. Oddawałam jej cześć. Aż któregoś dnia zrozumiałam, że mama wcale nie jest doskonała. Tak się złożyło, że również tego dnia poróżniłam się na zawsze ze swoją najlepszą przyjaciółką z dzieciństwa, Mią. I to absolutnie nieprzypadkowo: moja matka miała bowiem romans z ojcem Mii.

Poznałam ją na rozpoczęciu roku szkolnego w czwartej klasie, mając dziewięć lat. Byłam nowym dzieckiem w szkole i nikt ze mną nie rozmawiał, oprócz Mii. Tylko jej nie przeszkadzała moja apodyktyczność i moje niewinne kłamstewka. Wcześniej naopowiadałam wszystkim w nowej klasie, że jestem modelką strojów bikini i pochodzę z Kalifornii; dodałam też kilka innych konfabulacji, które mi jednak nikogo nie zjednały. Pamiętam, że kiedy podczas lunchu Mia podeszła do mojego stolika się przywitać, skojarzyła mi się z Dzwoneczkiem z bajki Disneya, uroczym i pełnym werwy. Miała nieuczesane brudne blond włosy, była piękna, maleńka i krucha. Od razu stałyśmy się nierozłączne. Istniały wprawdzie inne koleżanki, które pojawiały się w naszym świecie, a potem z niego znikwały, lecz dla mnie stanowiły tylko zawadę. Uważałam Mię za fascynującą, odważną i pewną siebie osobę.

Weszłam do jej rodziny, tak jak ona weszła do mojej. Miała starszego brata w tym samym wieku co mój i młodszą siostrę – równolatkę mojej młodszej siostry, więc nasze rodziny idealnie do siebie pasowały. Spałyśmy u siebie na zmianę tak często, jak pozwalali na to nasi rodzice, i spędzałyśmy czas na rozpisywaniu choreografii urzekających tańców, które prezentowałyśmy każdemu, kto potrafił wytrzymać na miejscu pięć minut. Nasz sekret polegał na tym, aby zgrać ruchy taneczne z tekstem

piosenki. Na przykład przy kawałku Pauli Abdul *Cold Hearted* dostawałyśmy dreszczy i udawałyśmy, że jest nam zimno, kiedy z ust Pauli padało słowo „zimne”. Przy wyrazie „serce” wskazywałyśmy na swoje serca, a gdy przyszła jurorka amerykańskiego *Idola* wyśpiewywała słowo „wąż”, my – no, zgadnijcie! – jedną ręką wykonywałyśmy żmijowe ruchy, ślizgając nią po palcach, nadgarstku i łokciu drugiej ręki. Zwracam się do wszystkich choreografów programu *America's Best Dance Crew* – dajcie znać, jeśli potrzebujecie pomocy!

Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że kiedyś wyjdziemy za mąż za braci bliźniaków i wszyscy zamieszkamy razem w jednym domu. Nic nigdy nie mogło stanąć pomiędzy Mią a mną.

Nasi rodzice poznali się w synagodze i bardzo ze sobą zaprzyjaźnili. Tych z was, którzy nie należą do narodu wybranego, informuję, że regularne bywanie w świątyni to integralna część żydowskiego życia. W piątkowe wieczory chodziliśmy na nabożeństwa szabasowe, a w niedziele rano dzieci uczęszczały do szkoły hebrajskiej. W każde wakacje jeździliśmy do domku letniskowego nad jeziorem, który należał do rodziny Mii, w północnej części stanu Nowy Jork. Podróż samochodem trwała pięć godzin; jej rodzice mieli kombi, w którym zawsze zalatywało kotem i stęchłymi chrupkami, lecz mnie to zupełnie nie przeszkadzało, o ile tylko mogłam siedzieć z tyłu, na fotelu zwróconym tak, że widać było samochody sunące za nami. Machałyśmy do kierowców tych samochodów, a potem pokazywałyśmy im środkowy palec i się chowałyśmy – najlepszy numer na świecie. Warto było widzieć miny tych ludzi, którzy przecież chcieli się tylko dostać z punktu A do punktu B, bez oglądania jakichś głupich dzieciaków pokazujących im paluszkami, żeby się pierdolili. Nawet ciężka choroba lokomocyjna, do której zawsze miałam skłonności, nie mogła mnie powstrzymać przed tą zabawą. Całą drogę miałyśmy więc ubaw po pachy.

Mama Mii miała na imię Ruth. Była kobietą podobnej postury co moja matka – raczej niska, jasnowłosa, o zabójczym ciele. Ja, ślepo wpatrzona we własną rodzicielkę, w której widziałam ucieleśniony ideał człowieka, postrzegałam Ruth jako znacznie mniej zabawną i nie tak inteligentną. Ale była sympatyczna i nie przypieprzała się ani do Mii, ani do mnie. Kiedy miałyśmy po trzynaście lat, Ruth przyłapała nas obie, jak paliłyśmy papierosy marki Virginia Slims i popijałyśmy tanie wino Boone's Farm na dachu jej domu (niczym dwie szefowe gangu), ale nas nie wydała. Była dobrą matką, zawsze troszczyła się o mnie jak o własną córkę, na przykład wtedy, gdy przemyciłam do ich mieszkania czasopismo „Redbook” w celu zapoznania innych dzieciaków z paroma tekstami o seksie. Pamiętam, jak czytałam im na głos, że mężczyznę podnieca sytuacja, gdy kobieta ma na sobie tylko jego krawat i nic ponadto. Nasz ówczesny wiek oceniam na maksimum dziewięć lat. Ruth urządziła mi wtedy taką jazdę, jakby naprawdę była moją matką. Pamiętam, że zrobiło mi się jej żal, litowałam się bowiem nad każdą kobietą z otoczenia mojej rodzicielki, ponieważ nie były NIA. Swoją matkę postrzegałam jako królową.

Niesamowite, prawda? Wiem.

Natomiast tata Mii, Lou, był inteligentnym biznesmenem z nadwagą, który nosił ogromne okulary w grubych oprawkach. Nie miał w sobie nic nadzwyczajnego. Uwielbiał swoją rodzinę, a rodzina uwielbiała jego. Codziennie ciężko pracował, po wiele godzin,

mógł więc zapewnić bliskim wspaniałe, dostatnie życie. Była to standardowa, sympatyczna, często jeżdżąca w góry Catskills żydowska rodzina z Long Island.

Lato, podczas którego skończyłam trzynaście lat, okazało się czasem cudnym zarówno dla Mii, jak i dla mnie. Przeobraziłyśmy się w nastolatki, a w pobliżu domku nad jeziorem rozkwitało nasze życie towarzyskie. Gdy rodzice kładli się spać, my ożywałyśmy. Czmychałyśmy cichaczem, aby spotkać się na plaży z miejscowymi chłopakami. Tam piłyśmy alkohol i pozwalałyśmy się macać. Także jesienią, gdy zaczęła się szkoła, byłyśmy nierozłączne. Mia odznaczała się brakiem kompleksów i siłą. Nie siłą fizyczną – właściwie prezentowała się jak tyczka grochowa – ona po prostu wiedziała, czego chce, i potrafiła o to zabiegać, a ja pragnęłam być taka jak ona, walczyć o to samo u jej boku. Była cholernie bystra, a zarazem totalnie niemądra i pozbawiona egoizmu; zawsze dawała mi też do zrozumienia, że zależy jej na moim towarzystwie. Czułam, że odnalazłam swoją bratnią duszę. Bo przecież odnalazłam.

Ale pewnego dnia wróciłam do domu ze szkoły i zobaczyłam swoją matkę leżącą na kanapie. Nie ulegało wątpliwości, że przed chwilą intensywnie płakała. Powieki miała opuchnięte, nos prawie czerwony. Zwykle była opanowana, spokojna i szczęśliwa; nigdy wcześniej nie widziałam, aby tak strasznie beczała. Ziemia nieomal usunęła mi się spod nóg. Wtedy mama wyciągnęła ku mnie ramiona.

– O co chodzi? Co się stało? – spytałam. Otworzyła usta, żeby podzielić się ze mną swoją tragedią, lecz łzy znów zaczęły jej płynąć. Nie mogła uspokoić oddechu, nie mogła mówić. Niezdolna do komunikacji głosowej, przeszła na system znaków migowych. Mama jest nauczycielką osób głuchych, więc wszyscy w naszej rodzinie znają ten język całkiem niezłe. Powoli wstała i trzęsącymi się rękoma zasygnalizowała: „Odchodzę od twojego ojca. Zakochałam się w Lou ze wzajemnością”. Mignęłam wyraz „powtórz”, bo musiało to do mnie dotrzeć jeszcze raz. Znów nadała ten komunikat: „Odchodzę od twojego ojca. Zakochałam się w Lou ze wzajemnością”.

Nie byłam w szoku, że mama zamierza zostawić tatę. Zawsze odnosiłam wrażenie, że niezbyt go lubi. Nigdy też nie widziałam, aby rodzice trzymali się za ręce i całowali; od matki zawsze emanowała jakaś aura irytacji skierowana przeciwko ojcu. Chociaż tata był dowcipny i przystojny, ja sama nie mogłam uwierzyć, że moja idealna mama tak długo wytrzymuje z moim niedoskonałym ojcem. Z powodu tego trwania przy mężczyźnie, który na nią nie zasługiwał, uważałam ją wręcz za Matkę Teresę. Oczywiście z perspektywy czasu zdaję sobie sprawę, że tak zdecydowane utożsamianie się z jednym z rodziców przeciwko drugiemu było dla nastolatki czymś bardzo niezdrowym. Ojciec nie prowadził się jak aniołek: pił potajemnie i wiem, że za plecami mamy dopuszczał się rzeczy niemoralnych (jestem prawie pewna, że na początku małżeństwa przyłapała go, jak prostytutka robi mu loda), ale nigdy nie udawał kogoś idealnego.

Kiedy mama powiedziała mi o swoim uczuciu do Lou, mój umysł nie skojarzył imienia z osobą – tak bardzo nieprawdopodobnie to brzmiało. Pomyślałam tylko: *Śmieszna sprawa, tata Mii też ma na imię Lou*. A potem dodałam już dwa do dwóch. W głowie rozbłysły im krótkie obrazy wspólnych kolacji i wyjazdów, różnych momentów w synagodze. Zawsze uważałam tego człowieka za przeciętniaka, ale chyba musiał być kimś niezwykłym, skoro zakochała się w nim moja matka. A ja nigdy nie

kwestionowałam niczego, co ona mówiła i robiła.

Siedziała na tej kanapie i wyglądała tak bezradnie i smutno, jak człowiek bezdennie samotny, pozbawiony wszelkiej nadziei. W tamtej chwili postanowiłam, że zostanę jej wybawicielką. Objęłam ją mocno i powiedziałam: „No, w końcu. Zawsze wiedziałam, że jesteś za dobra dla taty. Tak się cieszę, że się zakochałaś”. Na te słowa zalała mnie, niczym tsunami, fala uścisków, pocałunków i podziękowań. Myślę, że nikt nigdy nie odczuwał takiej wdzięczności jak moja mama wtedy. Dziś, kiedy spoglądam wstecz, ogarnia mnie przerażenie, że pozwoliła mi grać tę rolę. Zmieniła swoją trzynastoletnią córkę w prywatny system wsparcia, jednocześnie rozrywając na strzępy jej dotychczasowy świat – tak się chyba nie godzi. Byłam tylko dzieckiem, świeżo upieczoną nastolatką, a zostałam przez nią potraktowana tak, jakby uznała mnie za doświadczonego psychiatrę. Ale ponieważ zawsze ślepo za nią podążałam, wielbiłam ją bezkrytycznie, uznałam to postępowanie za całkowicie stosowne. Czułam się nim wręcz zaszczycona.

Kiedy mama przestała już płakać, ja dalej dzielnie siedziałam obok niej, w milczeniu. Wpadłam w znakomity nastrój, bo tak mnie wychowano: wierzyłam, że wszystko będzie OKEJ. W dzieciństwie zdarzały się nam drobne wypadki, lecz mama nigdy nie pytała, czy nic się nam nie stało. Mówiła tylko: „Jest okej”, tonem dość wesołym, za pomocą tej sztuczki każąc nam wierzyć, że istotnie tak jest. W ten właśnie sposób pracowała nad nami, swoimi dziećmi – wciskała nam na siłę, że wszystko jest OKEJ.

Tej nocy kładłam się do łóżka, czując się OKEJ, aczkolwiek odrobinę niespokojna. Obudziłam się w środku nocy i już nie mogłam zasnąć. Bolała mnie głowa. Leżałam, gapiąc się w sufit i mając nadzieję, że to tylko nocny koszmar. Rozmyślałam właśnie o Mii i jej rodzinie, gdy nagle dobiegł mnie chrobot klucza w zamku tylnych drzwi domu. Odsunęłam zasłony w oknie, aby zerknąć w dół na podjazd, i zobaczyłam, że tata wrócił do domu. Wykonawszy jeden krok w kierunku drzwi pokoju, zamarłam. Co miałabym mu powiedzieć? Czy już wie? Nagły, ostry ból w skroni sprawił, że zrezygnowałam z jakiegokolwiek działania. Skrzywiłam się i wróciłam do łóżka. Nigdy wcześniej nie doznałam tak potwornej migreny jak wtedy. A potem usłyszałam delikatne, prawie niezauważalne pukanie, a po nim szept:

– Aim?

Drzwi się otworzyły, stanął w nich mój ojciec.

– Cześć, tato.

Usiadł obok mnie.

– Hej, maleńka, słyszałem, że chodzisz po pokoju. Czemu nie śpisz?

Odpowiedziałam, że boli mnie głowa. Spojrzałam na niego i zrozumiałam, że już wie o swojej życiowej katastrofie. Sprawiał wrażenie spokojnego – na zewnątrz opanowany, w oczach miał jednak pustkę i ból. Masował kciukiem moją skroń, a ja wciągałam głęboko w płuca jego zapach, gdy miękko wyśpiewywał senną interpretację utworu *It Was a Very Good Year* Sinatry. Tata często intonował tę piosenkę. Do jego nocnych standardów należały również *You've Got to Hide Your Love Away* oraz *They Call the Wind Maria*. Prawdę mówiąc, kawałki te traktują o utraconej młodości, o tłamszeniu własnych uczuć, o burzach życiowych. Nie są muzycznymi promyczkami słońca

przeznaczonymi dla najmłodszych. Uderzyła mnie myśl, że tata prawdopodobnie śpiewał je dla mnie ostatni raz. I poczułam w piersi taki ciężar, że pod jego wpływem opadłam na pościel i głęboko zasnęłam.

Kiedy się obudziłam, na stole w kuchni zastałam naleśniki, jajecznicę i sok pomarańczowy. Mama, radosna i ożywiona, emitowała nastrój typu „To będzie wspaniały dzień”. Rozmawiała ze mną tak, jakby życie toczyło się normalnie. Ani słowem nie wspomniała o wypadkach z wczoraj, zresztą ja również. Potem spytała, czy chciałabym, aby Mia wpadła do nas po szkole.

Pomyślałam: *To jakiś żart?*

Ale odpowiedziałam: „Okej”. Mama wyjaśniła: „Nie chcę, żeby ta sytuacja zaszkodziła waszej przyjaźni”. Słyszając te słowa, prawie uwierzyłam, że nic jeszcze nie jest stracone. Myślałam: *Wszystkiego, co wiem, nauczyłam się od tej kobiety, ufam jej całkowicie. Skoro zachowuje się tak, jakby wszystko było OKEJ, to pewnie tak jest; żaden to wielki problem pozostać najlepszą przyjaciółką Mii, mimo że nasi rodzice mają ze sobą romans. Żaden, ale to żaden problem.*

Patrząc z perspektywy czasu, żałuję, że po matce nie było wówczas niczego widać. Dlaczego wstała tak wcześnie i uśmiechała się tak promiennie? Bo to był jej stały *modus operandi* – kreować taką rzeczywistość, jaką w danym momencie uważała za pożądaną, i zmuszać nas, byśmy żyli w niej razem z nią. Wiem, że wiele przede mną ukrywała, że nie byłam świadoma większości tego, co działo się między nią a Lou. Szkoda jednak, iż mama nie wzięła pod uwagę dalekosiężnych skutków, jakie wywoła jej postępowanie, i nie spróbowała zwalczyć w sobie dążenia do tego romansu. A przynajmniej mogłaby być uczciwa w jednym – że to ona, jako osoba słaba i zagubiona, omotała Lou, gdyż nie czuła się szczęśliwa we własnym domu. Nie mogę się wypowiadać za moją matkę, ale nie wierzę, aby przesadnie przejmowała się tymi, którzy mieli odczuć reperkusje jej postępowania. Po prostu o tym nie myślała. Gorzej nawet: wykorzystwała do tego wszystkiego mnie. Przygotowując mi moje ulubione śniadanie, chciała mnie zwerbować na cheerleaderkę swojego życiowego błędu. Nie padło nic w stylu: „Jak się dziś czujesz, Aim? Na pewno nie jest ci łatwo”. Więc zachowywałam się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Dlatego mój stres i udreka, które kłębiły się tuż pod powierzchnią, nie miały szans wypłynąć i musiały zostać natychmiast stłumione.

Tylko że w ciągu kolejnych lat miałam przeżywać oślepiające bóle głowy, jakby ktoś wsadzał mi ją do szybkaru.

Kiedy mama zmywała naczynia, spytałam, gdzie jest tata. „Przenosi swoje rzeczy do biura”, odpowiedziała z przerażająco idealną dykcją żony ze Stepford. Bum – poczułam ból pośrodku czoła. Mimo wszystko poszłam tego dnia do szkoły, mając poczucie, że muszę być równie mocna i promienna jak moja matka. Nic tragicznego się nie dzieje dopóty, dopóki udajemy, że nic tragicznego się nie dzieje. Na lekcji matematyki, zajmąwszy swoje miejsce, od razu zauważyłam, że ławka Mii jest pusta. Gapiałam się tam, a ból głowy narastał. Przeszywający, piekący ból. A potem, wraz z drugim dzwonkiem, drzwi klasy otworzyły się z impetem i wbiegła przez nie moja przyjaciółka. Nie patrząc na mnie, usiadła na krześle. Nie odrywałam od niej wzroku przez czterdzieści dwie minuty lekcji. Nawet nie zerknęła w moją stronę. Wyglądała na

spokojną i zrelaksowaną jak zawsze. *Na pewno jeszcze nie wie, pomyślałam. I co ja mam jej teraz powiedzieć? „Hej, Mio, twoja rodzina się rozpadła, bo nasi rodzice to dwoje smutnych, samotnych ludzi, którzy woleli przelotne chwile rozkoszy niż trwałe szczęście i bezpieczeństwo swoich dzieci. Pójdziemy po szkole na żelki Sour Patch Kids?”*

Zabrział dzwonek, lekcja się skończyła. Spakowałam swoje książki, oddychając z trudem z powodu bólu głowy, i podeszłam do Mii.

– Cześć – powiedziałam.

– Hej – odrzekła i podała mi złożone kartki, uśmiechnięta tak, jakby wszystko było w porządku. – Proszę, przekaz ten list swojej mamie, ale obiecaj, że go nie przeczytasz.

Skinęłam poważnie głową. Mia odeszła, a ja od razu pobiegłam do toalety i pospiesznie otworzyłam kopertę. Ciekawość była zbyt silna. Też byście tak zrobili, jestem pewna.

Z listu biła czysta nienawiść – nienawiść Mii do mojej matki. Każde słowo raniło, ból narastał w miarę czytania. Gniewne pytania i oskarżenia następowały jedno po drugim, na przykład: „Sądziłam, że jest pani aniołem, ale pani to coś najgorszego, co spotkałam w życiu. Oby poszła pani do piekła... Zniszczyła pani moją rodzinę. Jak można coś takiego zrobić?”

Trzy przesycone urazą i złością strony. Nie mogłam uwierzyć, że ktoś – a zwłaszcza Mia – mógł pisać w ten sposób do mojej mamy. Dla mnie ona wciąż była nieskalana. Tak skutecznie upozowała się na niewinną ofiarę i wyprała mi mózg, że nie kwestionowałam tej historyjki o romantycznej, zakazanej miłości, którą poczuła do ojca mojej najlepszej przyjaciółki. Dla mnie bowiem mama była niczym Hester Prynne ze *Szkarłatnej litery*; nie zamierzałam pozwolić, aby tę Bogu ducha winną kobietę spalono na stosie tylko za to, że posłuchała głosu własnego serca.

Maszerowałam pustym szkolnym korytarzem, aż zatrzymałam się pod drzwiami pracowni biologicznej. Wiedziałam, że Mia tam jest. Niewiele myśląc, weszłam do środka.

– Muszę porozmawiać z Mią – zwróciłam się do nauczyciela.

Na pewno usłyszał w moim głosie ostrzegawczą nutkę typu „nie pogrywaj ze mną”, bo od razu pozwolił Mii wyjść z klasy. Kiedy zamknęła za sobą drzwi i stanęła w korytarzu, wiedziałam już, że wszystko skończone. „Mówiłam ci, żebyś nie czytała!” „Pierdol się!” „Jak mogłaś?” „Nienawidzę cię!” I tak w kółko, na zmianę. Obie krzyczałyśmy i płakałyśmy, dopóki nie przerwało tego dwoje nauczycieli. Kiedy odciągali nas jedną od drugiej, patrzyłyśmy sobie w oczy. Wyglądałyśmy chyba na zaskoczone. Mnie zabrano do gabinetu pielęgniarki, abym się uspokoiła. Leżałam na kozetce, ciężko oddychając. Gdy przyjechała mama, żeby odwieźć mnie do domu, pękała mi głowa, a skronie pulsowały w rytm uderzeń serca.

W ciągu kolejnych tygodni przyzwyczaiałam się do ataków migreny. Bo na własne oczy widziałam matkę Mii, jak siedziała w progu naszego domu i błagała moją mamę, by nie niszczyła ich rodziny. Bezskutecznie. Bo spotykałam Mię na szkolnych korytarzach i tak gorąco pragnęłam porozmawiać z nią, przytulić. Być z nią tak, jak byłam codziennie przez ostatnie pięć lat. Ta sytuacja, już i tak zagmatwana i pełna stresu, okazała się tym bardziej druzgocąca, że musiałam ją przeżywać bez najbliższej przyjaciółki. Nie

chodziliśmy już do synagogi, w której całkiem niedawno odbyła się moja bat micwa. Pokazywanie się członkom zgromadzenia po tym, jak mama zniszczyła jedną z należących do niego rodzin, byłoby mało komfortowe. W ten sposób zakończył się ważny rozdział w moim życiu – związek z judaizmem, religią, w której mnie wychowywano, której się uczyłam i według której żyłam. Przepadła religia, odeszli przyjaciele. Całe miasto wiedziało o wszystkim, lecz ja, zamiast wściec się na swoją matkę, trwałam przy niej z jeszcze większą żarliwością. Spoglądałam wszystkim prosto w oczy pustym wzrokiem, w którym czało się wyzwanie: tylko spróbujcie, kurwa, z nami zadrzeć.

Musiałam też patrzeć, jak ojciec wyprowadza się ze swojego gabinetu do jakiejś smętnej kawalerki na Long Island, którą miał dzielić ze współlokatorem. Mama nagrodziła moją lojalność – a może opłaciła rachunek za własne winy – oddając mi największą sypialnię w domu, tę, którą kiedyś rodzice zajmowali razem. Mia i ja unikałyśmy się aż do końca gimnazjum, a potem także w liceum. Ilekroć mijałam ją na korytarzu lub na ulicy, odczuwałam znajomy, przesywający ból głowy. Ale przez cały ten czas tęskniłam. Nadal tęsknię. Parę lat temu napisała do mnie na Facebooku, gratulując mi sukcesu, na co natychmiast odpowiedziałam potokiem słów: jak bardzo mi jej brakuje, jak jest mi przykro, jak źle postąpiła moja mama. Nigdy nie dostałam odpowiedzi.

Jeśli chodzi o mamę i Lou, ich związek trwał zaledwie dwa miesiące. Wszystko to było dla mnie oraz dla mojego rodzeństwa niezwykle dziwnym doświadczeniem. Zaledwie rok wcześniej spędzaliśmy z Lou i jego rodziną wspólne wakacje, a teraz jeździł z naszą rodziną na wyuczasy do San Diego – jako facet mojej mamy. Wyprowadził się z poprzedniego domu i załatwił sobie mieszkanie. Kiedy widziałam, jak trzymają się za ręce, robiło mi się niedobrze. Pamiętam, że zamawiałam w restauracji małże i wysysałam je ze skorupki tak, jak zawsze robiliśmy to z tatą. Ale Lou nalegał, żeby używać widelców. Któregoś dnia, obserwując ich oboje przy hotelowym basenie, zrozumiałam, że mamie już przeszło. Brat, siostra i ja czuliśmy to napięcie wiszące w słonym powietrzu San Diego i tylko ona jak zwykle udawała, że wszystko jest w porządku. Oczekiwała od nas tego samego, lecz tym razem się zawiodła. Podczas tamtych wakacji zasłona, która zakrywała mi oczy, zaczęła się w końcu podnosić. Dostrzegłam w matce zagubioną, pomieszaną, samotną i niedoskonałą istotę ludzką, którą w istocie była. Nie gorszą niż my wszyscy. Mój dotychczasowy, wyidealizowany obraz jej osoby rozpadł się na kawałki i nigdy już nie powrócił.

Zerwała z Lou w samolocie, kiedy wracaliśmy do domu.

W późniejszych latach mama spotykała się z różnymi mężczyznami, za każdym razem zarzekając się, że to „ten właściwy”. I przez cały ów czas pozostawałam niezwykle blisko niej – dopóki nie skończyłam dwudziestki. Często zabierałam ją do klubów kabaretowych, stanowiłyśmy dla siebie integralną część codzienności. Łączyła nas bardzo spleciona, niezdrowa więź. To ja zawsze broniłam jej wątpliwych wyborów, jeśli chodzi o relacje z mężczyznami. Przebyłyśmy zupełnie odmienną drogę niż większość matek i córek. Niewykluczone, że to, co działo się między nami, pomagało mojej mamie jakoś radzić sobie z życiem; pilnie strzegła naszych relacji. Nie mogła kontrolować

rzeczywistości, ale mogła kontrolować mnie.

Teraz, kiedy moje rodzeństwo i ja jesteśmy już po trzydziestce, coraz częściej rozmawiamy ze sobą o trudach dorastania u boku naszej mamy. Każde z nas doświadczało własnych, specyficznych problemów, wszystkie one jednak miały to samo źródło – emocjonalne stłamszenie przez matkę oraz jej manipulacje. Jak się okazuje, nieustanne twierdzenie, że **WSZYSTKO JEST LUB BĘDZIE OKEJ** bardzo utrudnia dziecku wejście w dorosłość.

Tuż przed trzydziestymi urodzinami zaczęłam rozmyślać o napisaniu książki autobiograficznej (czyli ostatecznie tej, którą właśnie czytacie). Odnalazłam pamiętniki prowadzone przeze mnie, odkąd skończyłam trzynaście lat, i przeczytałam wszystko to, co napisałam wówczas o Mii oraz Lou. I po raz pierwszy – już jako osoba dorosła, która na nowo odkrywa słowa dziecka o tej okropnej historii – mogłam oddzielić zachowanie matki od własnego uwielbienia dla niej. Zrozumiałam, że manipulowała mną w sposób karygodny i że fakt ten ma wpływ na nasze stosunki do dziś.

Lektura pamiętników przywołała stary ból, tkwiący gdzieś w głębinach mojej pamięci. Tak się złożyło, że akurat wtedy matka zadzwoniła do mnie, aby porozmawiać o moich zbliżających się urodzinach. Miała taki wesoły głos – dokładnie jak w tamten poranek przed laty, kiedy smażyła naleśniki, uprzednio wywróciwszy mój świat do góry nogami. „Wiem, co będziemy robić na twoją trzydziestkę”, powiedziała. „Wykupimy lot helikopterem wokół Manhattanu, a potem skoczmy na grill w stylu japońskim i na masaż!” Nagle ogarnęła mnie złość. Odparłam: „Nie wybiorę się z tobą na coś, co przypomina randkę w stylu *Żony dla milionera!*”. *To nie jest OKEJ. ONA ma ochotę robić to wszystko, o czym mówiła, tak jakby to były JEJ urodziny*, pomyślałam. I wtedy wpadłam w prawdziwą furję. Nie tylko z powodu tego krótkiego, niszczącego romansu z ojcem mojej najlepszej przyjaciółki, kiedy miałam trzynaście lat. Nie tylko z powodu łańcuszka innych mężczyzn, którzy pojawiali się w naszym domu po zniknięciu Lou. Wściekłam się za to, że manipulowała mną cały czas tak, abym była dla niej nieustannym wsparciem. I że kazała mi wierzyć w to swoje kłamstwo – kłamstwo o osobie rzekomo nieskazitelnej i niewinnej.

Tak więc w wieku dwudziestu dziewięciu lat zaczęłam wykuwać nową relację z własną matką – taką, która miała zabezpieczenia porównywalne z tymi w Fort Knox. Zreformowanie więzi łączącej dwie dorosłe osoby, które przez prawie trzydzieści lat były sobie nienormalnie bliskie, nie jest rzeczą łatwą. Po okresie, w którym otwarcie wyrażałam wszystkie odczucia dotyczące przeszłości, nastąpił okres obustronnego milczenia. Podejmowałam wciąż nowe próby wyjaśnienia matce swojego bólu i żalu. Czasem nawet starała się słuchać i zrozumieć, skąd się one we mnie wzięły. Przestała się wyłącznie bronić. Myślę jednak, że ostatecznie nie była zdolna zaakceptować ciężaru odpowiedzialności za swoje postępowanie – za to, co zrobiła mnie i mojemu rodzeństwu, za wpływ, jaki na nas miała. Dlatego wylądowałyśmy w miejscu, w którym tkwimy od kilku lat. Jesteśmy dla siebie miłe, ale ja nie pozwalałam jej przekraczać wytyczonych granic. Rozmawiamy regularnie, na bieżąco wymieniamy się informacjami o sobie – choć już nie tak często, jak dawniej.

Teraz, po latach rozmyślań, rozumiem swoją matkę trochę lepiej. Tak jak my

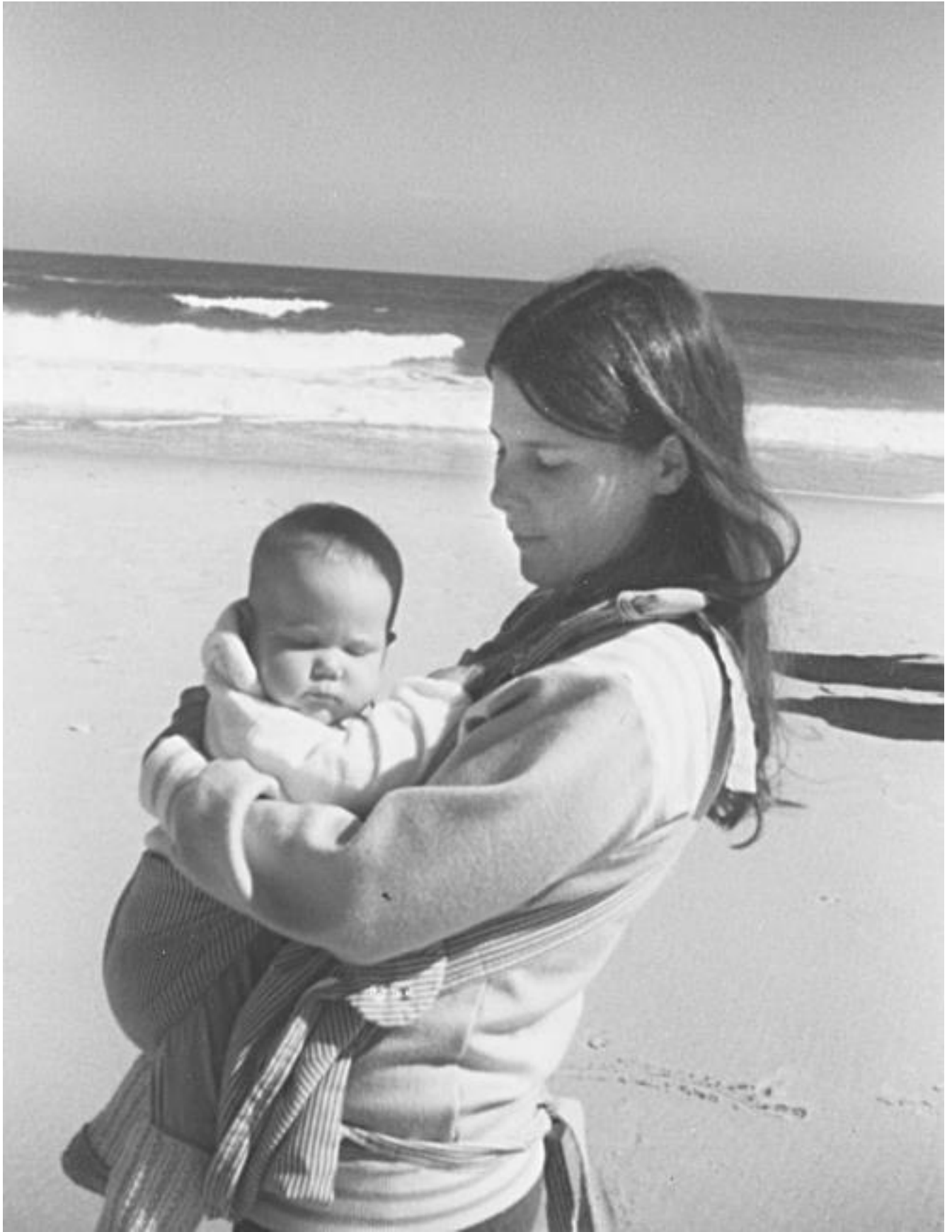
wszyscy, również ona jest produktem własnego popierdolonego dzieciństwa. Doznała krzywdy od swojej matki, osoby narcystycznej i zaniedbującej ją emocjonalnie. Nie mam pojęcia, co musiała przeżywać, wdając się w romans z Lou – mimo trojga dzieci i męża, przy którym nie czuła się kochana. Chociaż nadal uważam, że powinna się była zachować fair względem nas. I samej siebie. Szkoda, że tego nie zrobiła. Wszyscy się staramy, popełniamy błędy, wpadamy w pułapki i ryzykujemy. Żałuję, że matka nie okazała nam czasem prawdziwych emocji, pozwalając, byśmy przyjmowali słabość i bezbronność jak coś w życiu normalnego. Bo jest ono pełne bólu i rozczarowań. Całą swoją karierę zbudowałam na podkreślaniu tej prawdy, na jej przedstawianiu w taki sposób, żeby ludzie się śmiali i płakali razem ze mną. Chciałabym, aby moja matka również to rozumiała.

To czasem odprężające, być tylko człowiekiem.

Nadal muszę ciężko pracować, by nie uwewnętrzniać swoich uczuć. W przeciwnym razie manifestują się one w formie bólów głowy i innych dolegliwości fizycznych. A w swej najgłębszej istocie wciąż jestem małą dziewczynką, która tęskni za mamą. Jak my wszystkie. Kiedy rozmyślam o tych chwilach w życiu, gdy czułam się najbardziej kochana i bezpieczna, zawsze przed oczami staje mi mama. Wspominam, jak obżerałam się w środku nocy albo jak po powrocie do domu z treningu siatkarskiego, umierając z głodu, zawsze znajdowałam kolację na stole. Pamiętam ramiona matki, na których wносиła mnie do basenu. Jak bezpiecznie do niej przylegałam, a ona wolno zanurzała się w wodzie i szła, prowadząc mnie, kochając. Nadal jest osobą, z którą chcę porozmawiać, zbudziwszy się z koszmarne go snu. Gdy po takim właśnie koszmarze dzwonię do niej w środku nocy (co się zdarza ze dwa razy do roku), mama zawsze odbiera telefon. Zawsze. A kiedy mówi: „Wszystko będzie okej”, wierzę jej i znowu zapadam w sen. Kocham ją.

Ale nie miejmy złudzeń i zadajmy pytanie: co bym zrobiła, wiedząc, że w końcu stanę się taka jak ona...? Gdyby podobnie jak w filmie *World War Z* zostało mi tylko pięć sekund do ostatecznej transformacji we własną matkę? Bez namysłu popełniłabym harakiri. Jeśli czytacie te słowa i jesteście rodzicami, prawdopodobnie nie macie w sobie aż tyle podstępności co moja mama. Wiem, że ktoś taki jak ona nie występuje w przyrodzie zbyt często. Ale nie gratulujcie sobie przedwcześnie. Choćbyście się starali ze wszystkich sił, i tak zasiejecie zamęt w duszy swojego dziecka. Przez chwilę (albo dwie lub trzy) będzie was ono nienawidzić, dopóki samo nie pozbiera się do kupy. Ktoś, kto twierdzi, że zdoła tego uniknąć, po prostu mija się z prawdą. A to znacznie większa zniewaga od tych, które znajdzie w tej książce.

Niezależnie od wszystkiego, na co naraziła mnie matka, jestem jej wdzięczna, że wychowała mnie w wierze we własny talent, własną mądrość i urodę. To ona uczyniła mnie tym, kim jestem – kimś, kto za najwyższą wartość uważa (o ironio) bycie wrażliwym, szczerym i autentycznym. Szkoda, że nie możemy mieć z mamą normalnych relacji matka–córka. Jeśli coś takiego w ogóle istnieje. Nie wiem, czy w naszym przypadku jest to jeszcze możliwe, ale uważam, że rodzina to ciągle negocjowanie. Nigdy, przenigdy ze swojej mamy nie zrezygnowałam. Nie mogłabym. Nie zrobię tego.



Moje nowojorskie mieszkania

W zeszłym roku kupiłam swoje pierwsze mieszkanie w Nowym Jorku – absolutne spełnienie marzeń. Mieszkam w tym mieście przez większą część dorosłego życia, ale do tej pory głównie jako najemca. Zawsze chciałam mieć swoje własne miejsce na ziemi. Urodziłam się na Manhattanie i tutaj spędziłam pierwsze kilka lat. Potem los rzucił mnie na odległe przedmieścia Long Island, zsyłając tam na resztę dzieciństwa i cały okres dojrzewania. Wróciłam na wyspę natychmiast po ukończeniu studiów i odtąd tu sobie pomieszkowałam – dodajmy, że chyba w każdym jej zakątku. Nawet gdy moja kariera nabrała tempa, zamiast przeprowadzić się do Los Angeles (co prędzej czy później robi większość ludzi show-biznesu), zostałam w Nowym Jorku. Nigdy stąd nie wyjadę. To mój dom, miejsce, w którym mogę być absolutnie sobą – nawet jeśli bycie sobą oznacza konieczność stykania się z martwymi karaluchami, szczurzymi odchodami i (co najgorsze) byłymi partnerami.

Kocham Nowy Jork tak, że kurwa mać. Tylko tu wszystko ma sens, w odróżnieniu od innych miast. Dorastanie na przedmieściach nie było dla mnie: wielkie domy oddzielone od siebie wielkimi podwórkami i płoty przy szerokich ulicach. Wielkie parkingi przed ogromnymi sklepami. Kiedy się mieszka w metropolii, wszyscy muszą się ze sobą stykać, fizycznie wręcz, nie ma wyjścia – co chwila wpada się na inne osoby. W porównaniu z życiem na Long Island Nowy Jork wyzwala we mnie doznanie pewnej poufałości. Jak u bohaterki filmu *Wariatki*, które wynajmują główniane mieszkanie w Wielkim Jabłku i razem śpiewają kolędy. Tęskniłam za czymś takim jeszcze jako dziecko: wyobrażałam sobie wtedy, że jestem już dorosła i posiadam własne lokum.

Sytuacja ogólnego włożenia sobie na głowę, i to przez cały czas, ma niejedną zaletę. Wszyscy muszą chodzić po tych samych ulicach i wdychać te same ohydne odory z hot dogów, nikt nie jest lepszy ani zanadto odmienny od drugiego. Powszechny egalitaryzm człowieczy aż do bólu. Gdyby na przykład w metrze wpadła na ciebie sama pieprzona królowa Anglii, i tak byś ją zrugął słowami: „UWAŻAJ NO, ZDZIRO”. Ha, ha, ha, ha, ha. Nigdy nie nazwałam nikogo zdziurą, będąc w metrze. Ale ten obraz naprawdę mnie rozbawił. Proszę, niech ktoś to wykorzysta w jakiejś kreskówce.

Mieszkaliśmy w niemal każdej dzielnicy i we wszystkich okręgach miasta Nowy Jork, z wyjątkiem Bronksu i – oczywiście – Staten Island. Bez urazy wobec Wu-Tang Clanu, ale wyznaję politykę zero przemocy. W mieście tym odebrałam wiele ważnych życiowych lekcji – są one ukryte wszędzie, na ulicach, w metrze, w barach, restauracjach, kinach, teatrach, parkach i klubach z kabaretem. Na szczęście wszystkie owe przepisy na życie zaciemnia drobna mgielka uryny i farby w sprayu, posypana confetti z pluskiew i sztuki przetrwania. Oto magia Nowego Jorku: człowiek zawsze zaczyna wszystko od początku i szybko rusza dalej. Prawidłowość ta odnosi się właściwie do wielu różnych spraw: do moich relacji z mamą, mojej kariery i mojego przewodu pokarmowego. W istocie rzeczy nie nauczyłam się w tym mieście niczego poza jednym – by nigdy nie ustawać.

Przywykłam do ciągłego ruchu. Jestem podróżującą humorystką już od ponad dziesięciu lat. Zanim wyjechałam z domu na studia, nasza rodzina zmieniała miejsce

zamieszkania prawie dziesięć razy. Teraz jednak widzę, że fajnie jest przebywać w jednym miejscu. Kocham swoje mieszkanie. Jest pełne tego wszystkiego, co czyni dom domem. W mojej sypialni stoi wspaniałe łóżko z miękką pościelą z dzianiny, są tam też oczywiście wszystkie moje ohydne pacynki. W kuchni – dobra patelnia do smażenia porannej jajecznicy oraz stadko fikuśnych herbat różnych gatunków, których nigdy nie pijam. A także zbiorek win, które owszem – pijam (wystarczy ich, aby przeczekać apokalipsę). Natomiast w salonie obowiązkowy telewizor solidnych rozmiarów. Ekran nie może mieć upokarzająco małej przekątnej, ale za duży też być nie powinien – nie muszę przecież oglądać programu *Kawaler do wzięcia* w wersji IMAX. Wystarczy, że nagram sobie *Saturday Night Live* i zobaczę przynajmniej wyraz oczu tegoż Kawalera. Mam apartament z jedną sypialnią w trzypiętrowym budynku bez windy. Lobby i korytarz prowadzący do mieszkania są tak paskudne, że nikt nie chce mnie odwiedzać. Poza tym aby się tu dostać, trzeba się długo wspinać po schodach. Ale ja mam to gdzieś. Mieszkanie jest MOJE, czekałam na nie trzydzieści cztery lata! Przez ostatnie dziesięć ciągle coś wynajmowałam, za każdym razem z nową współlokatorką, nieustannie się przeprowadzałam, a swój dobytek musiałam magazynować u mamy. Przeraza mnie sama myśl, ile razy zmieniałam lokum i ilu właścicielom mieszkań płaciłam ponad połowę swoich miesięcznych dochodów.

Nigdy nie chciałam pójść z życiem na kompromis i osiedlić się w jakimś innym mieście. W grę wchodził tylko Nowy Jork. Wiem, że na ogół mam słomiany zapał, lecz to był jedyny cel, od którego realizacji nigdy nie odstępiałam. Nawet kiedy musiałam mieszkać w pudełku na buty – mówi się trudno, jeśli tylko było to nowojorskie pudełko na buty. Moje pierwsze lokum w tym mieście znajdowało się na rogu ulic Orchard i Hester w dzielnicy Manhattanu zwanej Lower East Side. Czynnosc za tę naprawdę maleńką kawalerkę wynosił osiemset dolarów miesięcznie. Tylko że w Nowym Jorku maleńkie mieszkanie to coś zupełnie innego niż w pozostałej części kraju. Pewnego razu zatrzymałam się u przyjaciół, asystentów kierownika produkcji, w Portland w stanie Oregon; wcześniej opisywali mi swoje lokum jako małe, lecz kiedy weszłam do ich ogromnego mieszkania z balkonem, pomyślałam sobie: *Niech was szlag. Pojęcia nie macie, co znaczy „małe”*. W Nowym Jorku coś małego to naprawdę coś małego. Stojąc u drzwi frontowych, wystarczy wyciągnąć rękę, żeby spuścić wodę w kiblu, przy czym zwróćmy uwagę, że drzwi te zabezpiecza dziewięć różnych zamków. I człowiek nie posiada nawet zapasowej nieruchomości gdzieś w pobliżu, która mogłaby posłużyć za kuchnię do magazynowania paru kartonów wina, ponieważ taki karton dosłownie nie zmieści się w jego maleńkiej lodówce. Miałam wtedy dwadzieścia dwa lata, nie stać mnie było na tak wysoki czynsz. Dałam więc na stronie Craigslist ogłoszenie, że szukam współlokatorki. Tak, współlokatorki – do kawalerki. Hej, przecież mówiłam, że lubię się spoufalać, prawda? No właśnie. Taka jest rzeczywistość, w której żyje wielu nowojorczyków. Powierzchnia mieszkania wynosiła około dziesięciu na siedem metrów, a kiedy się tam wprowadzałam, zalegał w nim brud. Wyszorowałyśmy je z mamą do czysta i ładnie urządziłyśmy. Łóżko zaopatrzyłam w swoją ulubioną pościel. Czułam się w siódmym niebie, mając takie чудо.

Na ogłoszenie odpowiedziała niejaka Brittney, pochodząca z Południa, która

zamierzała studiować w szkole sztuk plastycznych w Nowym Jorku. Pogadałyśmy chwilę przez telefon i się wprowadziła. Wiem, że to może się kojarzyć ze scenariuszem jakiegoś marnego horroru, ale dziewczyna okazała się uroczą, czystą i w sumie świetnie się dogadywałyśmy. Ani jednej kłótni, nigdy. Na kablówkę nie było nas stać, miałyśmy jednak mały telewizor, na którym oglądałyśmy *Seks w wielkim mieście* oraz sitcom *Will i Grace* z płyt DVD. Teraz, kiedy tak wspominam, wydaje mi się to najlepszym okresem w moim życiu.

Po opłaceniu czynszu prawie nie zostawało mi na jedzenie. Na szczęście mieszkaliśmy w Chinatown, a tam bywa ono bardzo tanie. Tuż za rogiem mieścił się zakład produkujący chińskie pierożki, gdzie za pięć dolarów kupowało się ich ogromny worek – zapas wystarczający na tydzień. Tamtego roku pożarłam rekordową liczbę tych wyrobów. Żadnych wartości odżywczych, ale jaki smak. Pyszne. Twarz zrobiła mi się okrągła, a wargi popękały od soli, ponieważ jadało się je, maczając w sosie sojowym o wysokiej zawartości chlorku sodu.

Ceny nieruchomości w Nowym Jorku – albo sama wysokość czynszów za wynajem – mogą przyprawić o zawrót głowy. Czynsze są tak wysokie, a atrakcyjnych lokali tak mało, że czasami człowiek miewa bardzo złe pomysły. Dla przykładu: kiedy wprowadziłam się z powrotem do Dana po wielkiej awarii zasilania w 2003 roku, wmawiałam sobie, że moja chęć naprawienia relacji z molestującym mnie byłym chłopakiem nie ma nic wspólnego z jego ładnym, trzypokojowym mieszkaniem. Ale oczywiście miała. Nie żebym nie lubiła składać swojego półkotapczanu. To świetny sposób na mordowanie robali, poza tym po złożeniu pozostaje miejsce na podłodze, aby się położyć i zapłakać.

W tamtym okresie Dan mieszkał razem ze swoim kumplem Robem w dzielnicy Murray Hill. Obaj należeli do uprzywilejowanej młodzieży, która zawsze mogła polegać na bogatych krewnych i ich kasie. Żaden nie pracował i nie zarabiał pieniędzy. Murray Hill była to szemrana dzielnia, ojczyzna młodej korporacyjnej Ameryki, gdzie w głównianych pubach słuchano zasranego klasycznego rocka i gdzie posrane białe dzieciaki przepijały forszę rodziców. Ja tymczasem jeździłam metrem do pracy i codziennie roznosiłam steki z antrykotu na dworcu Grand Central, a Dan robił Bóg wie co. Przez pewien czas starał się zachowywać normalnie, ostatecznie jednak znów ześwirował i zaczął mnie lać. Pamiętajcie: to był ten sam facet, który wyciągnął na mnie nóż. Wiedziałam, że dalsze życie z nim jest czymś niebezpiecznym i głupim, lecz zamiast sama się wyprowadzić, przekonałam go, aby to on zamieszkał w domu swojej matki. Co nie okazało się zbyt trudne, gdyż kobieta była całkiem fajna, a poza tym miała zajebiste mieszkanie. Właśnie wtedy jakiś kuzyn zaproponował Robowi wspólną podróż po Europie, on jednak nie chciał jechać bez swojej dziewczyny, Mary. Mary miała go już serdecznie dość, poza tym ostrzyła sobie na to lokum zęby – i ostatecznie namówiła Roba, aby wyjechał sam. Kiedy faceci zniknęli, zamieszkałam wspólnie z Mary. Dobrze pamiętam dzień, w którym Dan i Rob oficjalnie się wyprowadzili. Skakałyśmy na łóżkach jak małe dziewczynki, ciesząc się z mądrych decyzji i gratulując sobie, że pozbyłyśmy się tych gości z naszego życia. Ale wydaje mi się, że przede wszystkim zachwycał nas fakt, iż tak sprytnie wymiksowałyśmy byłych chłopaków z ich własnego mieszkania. Morał

z tej smutnej historii płynie taki, że zrobiłabym wtedy dosłownie wszystko, by móc żyć w swoim ukochanym mieście. Nawet jeśli „wszystko” oznaczało też podjęcie trudnej dla kolesia decyzji. I nadal mnie cieszy, że wykazałam się uporem i konsekwencją, by zmienić jedno nadmiernie drogie i nędzne mieszkanie na inne.

Zawsze zabiegałam o nieskomplikowane układy lokatorskie i walczyłam o jak najniższy czynsz. Kiedyś na Brooklynie mieszkałam razem z parą małżonków, którzy potrzebowali kogoś, kto dorzuci się do opłat. A przynajmniej tak twierdzili. Okazywali mi dużo uwagi, traktowali bardzo uprzejmie, ale szybko odkryłam, że po prostu nie mogli już ze sobą wytrzymać. Nie mogli wytrzymać tej samotności we dwoje. Dziś rozumiem, że moja obecność miała opóźnić nieuchronny rozwód. Niektórzy dla ratowania małżeństwa decydują się na dziecko, natomiast tamta dwójka wolała ponaddwudziestoletnią kelnerkę/aktorę/stand-uperkę, która wyżerała im wszystko z lodówki, za nic nie płacąc. Taktyka okazała się jednak nieskuteczna i w końcu ci ludzie się rozstali, ale dzięki nim przez jakiś czas dobrze mi się powodziło – dlatego kieruję słowa podziękowań dla tej pary, która uchroniła mnie przed koniecznością powrotu do mamy albo katapultowania się na przedmieścia.

Chciałabym również wyrazić wdzięczność pewnej starej pannie, mojej współlokatorce, która schodziła po schodach kompletnie naga od pasa w dół, czasem po to, by zwrócić na siebie uwagę mojego chłopaka. A także jednemu starszemu gościowi, który wciąż siedział w swoim byłym mieszkaniu, gdy się tam wprowadzałam. Musiałyśmy z koleżanką spakować wszystkie jego ciuchy, a do kartonów wrzucić sporą kolekcję bardzo starych czasopism z gołymi babami. Jedno ze zdjęć przedstawiało dziewczynę w stroju sportowym, bardzo podobną do mnie. Magazyn ten nosił tytuł „Babyface”. Pochlebiała mi świadomość, że istnieje rynkowe zapotrzebowanie na dziewczyny takie jak ja, które przypominają lalkę Kid Sister z lat osiemdziesiątych lub którąś z postaci na kartach z serii Garbage Pail Kids. Ach, i jeszcze jedno bardzo szczególne podziękowanie dla współlokatorki, która zaprosiła do naszego mieszkania dokładnie jedną trzecią populacji Manhattanu na imprezę halloweenową. Impreza się raptownie skończyła, gdy w naszej niezamkniętej na klucz łazience przyłapałam agresywnego kolesia, jak pieprzył analnie kobietę w kowbojskim stroju.

Podsumowując: cały ów smutny szereg moich nowojorskich mieszkań charakteryzował się jednym wspólnym mianownikiem – koniecznością znoszenia najrozmaitszych paskudstw, dziwactw oraz „poufałości”, jeśli zamierzałam żyć tam, gdzie chcę. Uważam, że człowiek powinien walczyć o swoje pragnienia. Dlatego jestem dumna z prawie każdej decyzji mieszkaniowej, jaką podjęłam, ponieważ w ten sposób mogłam żyć w mieście, które było mi niezbędne. Nigdy nie zaszłabym tak daleko ani jako aktorka komediowa, ani jako istota ludzka, gdybym nie mieszkała w Nowym Jorku.

Jedynym odstępstwem od tej zasady była sytuacja, kiedy ze względu na faceta musiałam podróżować – ciągle przenoszenie się z miejsca na miejsce stało się bowiem moją taktyką miłosną. Niezbyt wyszukaną, ale zaskakująco skuteczną. Oprócz wzmiankowanego wyżej współżycia z Danem uwiłam sobie naprawdę miłe rodzinne gniazdko z moim ówczesnym chłopakiem Rickiem; miałam wtedy dwadzieścia pięć lat. Rick zdecydowanie nie był jeszcze gotowy na wspólne mieszkanie, co jednak nie

powstrzymało mnie przed wprowadzeniem się doń na siłę. W sumie pomieszkiwałam z czterema partnerami (po kolei, nie jednocześnie) i właściwie każdego z nich skłoniłam do tego podstępem. Takie numery zawsze źle się kończyły. Sądzę, że tak naprawdę wcale nie miałam ochoty mieszkać z Rickiem; bardziej mi zależało, aby to on chciał żyć ze mną. Jak zabawnie jest być kobietą!

W każdym razie mieszkaliśmy sobie na Brooklynie w małym, lecz nie aż tak strasznym lokalu z jedną sypialnią. Całymi dniami harowaliśmy, ja w restauracji, on dorywczo w różnych biurach. Wieczorami dawałam przedstawienia stand-upowe, wtedy jeszcze jako początkująca. Potem, koło dwudziestej drugiej, jedno z nas robiło kolację i oglądaliśmy jakiś film, który przyszedł pocztą od Netfliksa. Piliśmy wino, paliliśmy trawkę, jedliśmy lody. Lodówka była tak duża, że wszystko się w niej mieściło! Normalnie jak w niebie. Czy potrzeba w życiu czegoś więcej, niż się nawalić, nażreć i pouprawiać czasem seks? (O ile człowiek nie jest przejezdony). W każdym razie Rick i ja, mieszkając jakiś czas razem, zakochaliśmy się w sobie i naprawdę cieszyliśmy się swoją obecnością. Śmialiśmy się, patrzyliśmy sobie w oczy – życie było piękne, zdawało się zmierzać w dobrym kierunku. Lecz wtedy ja znalazłam się w punkcie zwrotnym, to znaczy zapadłam na pełnoobjawową chorobę zwaną satyrozą (o której opowiadałam wam w rozdziale „Jak zostać artystą stand-upowym”). Bardzo poważnie zapadłam, a jedynym na nią lekarstwem było udać się w trasę i występować jak najczęściej. Nie wyobrażałam sobie, by coś mogło być w życiu ważniejsze. Nawet ukochany facet. Zaczynałam też rozumieć, że jestem introwertyczką (wspomniałam o tym na początku tej książki), która pracuje najlepiej wtedy, gdy ma dużo czasu dla siebie. *Quasi-małżeńskie* życie było całkiem fajne, uświadomiłam sobie jednak, że to nie dla mnie. Przynajmniej nie w tamtym okresie. I tak po rozstaniu z Rickiem (brałam wtedy udział w programie *Last Comic Standing*) ruszyłam w trasę koncertową.

Mogłoby się wydawać, że ze wspólnego pomieszkiwania z facetami wyciągnęłam jakieś wnioski, a jednak niedługo później zadurzyłam się w seksownym gościu z zajęć aktorskich, Devinie, i przeprowadziłam się do nowojorskiej Astorii, chcąc w ten sposób zmusić go do chodzenia ze mną. Zadziałało. Tylko że sama kiepsko na tym wyszłam. Nie tylko znalazłam się w najgorszej części dzielnicy Queens, lecz także musiałam mieć do czynienia z pluskwami, takimi najgorszymi, które zmieniają życie w logistyczny i egzystencjalny koszmar. Pozbycie się ich jest prawie niemożliwe, dlatego poddałam swoje pacynki przerażającej terapii w suszarce wysokotemperaturowej. Do tego wszyscy ludzie, których wtedy znałam, cichaczem przewartościowywali swoje relacje ze mną. Wcale nie przesadzam. To po prostu klasyczne nowojorskie realia – na wieść, że masz w domu tę egipską plagę, niektórzy natychmiast kasują twoje imię ze swojego telefonu. Zostawmy jednak pluskwę. W Astorii jest wiele pięknych miejsc – aczkolwiek nie to, w którym mieszkałam ja!

W tamtym okresie chodziłam na najohydniejszą siłownię na świecie, której podłoga pokryta była wykładziną. Miejsce reklamowało się jako „idealne dla kobiet” – co niemal zawsze znaczy „o zaniżonych standardach”. Siłownia wznosiła się na pochyłym terenie, dlatego podczas korzystania z bieżni jedna noga musiała przejmować cały ciężar ciała. W okolicy mieszkało dużo muzułmanek, które wchodziły na orbitreki w burkach, podczas

gdy ich mężowie czekali sobie w holu i gapili się na wszystkie pozostałe kobiety. Już chyba lepiej bym się czuła na badaniu pochwy u ginekologa cierpiącego na parkinsona. *Amy, bardzo nieładnie używać takiego porównania. Co sobie pomyślą ludzie dotknięci tą straszną chorobą? Wściekną się i zaczną o tym pisać na tablicach ogłoszeń.* No dobra, macie rację, przepraszam. Ale spokojnie: mój pierwszy w życiu ginekolog naprawdę miał parkinsona, co było okropne. Gościu musiał liczyć z milion lat. Kiedy wybrałam się potem do niego na doroczne badania kontrolne, dowiedziałam się, że zmarł. Nowinę tę przekazał mi jego następca, trzymając palce w moim wnętrzu i ściskając mi jajniki. Poprzednie zdanie stanowić będzie tytuł mojej kolejnej książki.

Myślę, że jeśli chodzi o sytuacje z Rickiem i Devinem, wiele przemawia w mojej obronie, mimo że zbierałam w pośpiechu wszystkie manatki i przeprowadzałam się jak najbliżej faceta, który akurat mi się podobał. Gdy jesteśmy dziećmi, przyjaźnimy się z tymi, których spotykamy w pobliżu – a ja odkryłam, że prawidłowość ta dotyczy również mężczyzn. Tak wielu z nich sypia ze swoimi niańkami, ponieważ ONE SĄ NA MIEJSCU! Zresztą nadal bardzo się przyjaźnię z nimi oboma. To wspaniali aktorzy, a Devin Dane (ha, ha, ha, naprawdę nazywa się Kevin Kane) został moim współpracownikiem i partnerem zawodowym.

Wydaje mi się, że mogłabym napisać całą książkę o tych wszystkich okropnych, dziwnych miejscówkach, w których mieszkałam, a także o moich odlotowych i cudownych współlokatorkach. Każde lokum stanowiło zaledwie chwilowy przystanek na drodze prowadzącej tam, dokąd pragnęłam dotrzeć. Nigdy nie uległam stagnacji, nigdy nie zależało mi zbytnio na komforcie, ponieważ zawsze ciekawiło mnie to, co będzie dalej.

Teraz, gdy wreszcie mam własne mieszkanie, być może pozostanę w nim na jakiś czas. Jest w nim wszystko, czego mi trzeba. W pobliżu znajduje się nawet mały zbiornik wodny, nad którym lubię uprawiać swój ulubiony sport – długie, geriatryczne spacerki, połączone z jednoczesną konsumpcją nadziewaną bułeczki. I słuchajcie, mam w kuchni lodówkę! (Uważacie, że to bez związku? Że przecież już dawno zapomniałam o dniach, w których dołam wino z kartonów przez słomkę? Nie, wcale nie, ponieważ nadal je piję. Między innymi. Chodzi o to, że dopiero niedawno się dowiedziałam, iż chardonnay schładzam zbyt mocno i spożywam je za zimne. Wcześniej nie miałam pojęcia, że tak się w ogóle da. Teraz resztę życia poświęcę na naprawienie tego błędu!) W każdym razie tak długo, jak mieszkam w Nowym Jorku, nieopodal mojego drugiego domu (klubu Comedy Cellar), jestem szczęśliwa.

Aczkolwiek coś mi mówi, że nigdy nie przestanę przenosić się z miejsca na miejsce. W sensie dosłownym. Lecz jeśli nawet zamieszkam w paru(set) kolejnych apartamentach, to wyłącznie na wyspie Manhattan. Nadal będę łązić wokół tego samego stawu, robiąc jedno okrążenie za drugim, aż do późnej starości. Wiem, że spotyka się lepsze i większe akweny, na przykład w Los Angeles, ale jestem prawie pewna, że transportowanie wyrobów piekarniczych między jednym wybrzeżem a drugim jest u nas nielegalne. Wyobraźcie sobie, żeby wejść do klubu fitness SoulCycle w Beverly Hills z kruchym, nadziewanym ciastkiem w ręku? Swoją drogą muszę tak kiedyś zrobić. Ale jeśli nawet ujdzie mi to na sucho, i tak Los Angeles nigdy nie stanie się dla mnie domem.



Zaćmienia umysłu i komórki macierzyste

Płacę podatki. Głosuję – głównie na ulubionych uczestników różnych reality shows, ale uczestniczę także w politycznych wyborach. Pamiętam o urodzinach przyjaciół, zawsze do nich wtedy dzwonię. Z ręcznika kąpielowego korzystam najwyżej tydzień, a potem go piorę. Wypijam zalecaną ilość wody dziennie. No i mam mocną głowę. Wszystko to oznacza, że jestem osobą dorosłą. Gdy pisałam te słowa, moja dwudziestoczteroletnia asystentka przyniosła mi coś na ząb – parę krakersów i trochę humusu – więc wygląda na to, że czeka mnie jeszcze sporo roboty.

Jednak jako studentka college'u z dorosłością nie miałam prawie nic wspólnego. Nie robiłam ani jednej z wymienionych wyżej rzeczy. Na pierwszym roku moje picie wyglądało tak: obalałam dwa piwka w akademiku, potem szłam do pubu, gdzie pochłaniałam ze cztery drinki. Cztery prawdziwe drinki – na przykład z wódką Ketel One. Na ostro. Ciągle miałam pretensje do barmana, że dolewa za dużo alkoholu (niejako za darmo) i że czuję prawie samą wodę. Wszyscy inni zamawiali normalne zestawy studenckie, powiedzmy kolorową nalewkę na żurawinie bądź whisky Jack Daniel's z colą, ja natomiast ciągle tylko piwo i drinki. Czasami na zakończenie wieczoru wypijałam jeszcze trochę wina albo szampana, chociaż nie miałam czego świętować.

Jak się okazało, wygrałam dziwny los na genetycznej loterii i należę do dziewczyn zaliczających odloty. Tym z was, którzy nie chodzili na licealne i studenckie imprezy, wyjaśniam, iż odlot, zwany też urwaniem filmu, objawia się usnięciem rozumu, podczas gdy pijane ciało nadal funkcjonuje i próbuje robić to, co uzna za wyśmienity pomysł. NIE chodzi mi o omdlenie czy utratę przytomności, ani o pijacki stupor. Wręcz przeciwnie. Twój rozum śpi jak niemowlę, natomiast ciało szaleje i podejmuje decyzje. Takie jak: *Zjedzmy to coś, co nazywają „tacos na wynos”, jak w tym lokalu w Chicago, gdzie wszystkie dodatki umieszczają w torebce z fritosami, a potem zjada się to razem, garściami wkładając do ust.* Oto dlaczego odloty są strasznie niebezpieczne. Można wyglądać na zwyczajną ululaną pannę, lecz tak naprawdę człowiek zmienia się w zombie, które potem niczego nie pamięta. A najbardziej przerażające w tym wszystkim jest to, że czasami odzyskujesz przytomność akurat w momencie, gdy robisz coś potwornego, a co postanowiłeś zrobić w trakcie odjazdu. Nagle powracasz do własnego ciała, niczym podróżujący w czasie, nie mając pojęcia, jak długo cię tam nie było.

Mój najbardziej pamiętny (należałoby powiedzieć: najmniej pamiętny) odlot, jakiego doświadczyłam na studiach, wyglądał tak: po dłuższym odłączeniu się umysłu od ciała nagle, ni stąd, ni zowąd, powróciła mi świadomość. Spojrzałam przed siebie i zobaczyłam obcego faceta, który dobierał się do mnie na łóżku. Że co? Ejże? Hello?! Pozwólcie, że powtórzę. Ktoś absolutnie mi nieznany, kogo nigdy w życiu nie widziałam, lizał mi pochwę na całego. Miałam wtedy chłopaka, ale to nie był on. Tego gościa nie znałam, choć z całą pewnością on zaczynał poznawać mnie. Lekko klepnęłam go w ramię, bo nie chciałam typka wystraszyć, zresztą co ja w ogóle wiedziałam o tym facecie? Naturalnie tylko to, że jest prawdziwym dżentelmenem, skoro zamierzał mnie właśnie przelecieć, a był to czyn godny pasowania na rycerza. Nawet w swoje najlepsze dni moja

wagina – kiedy wiedząc, że za chwilę będę mieć gościa, biorę prysznic i pochylam się nad nią troskliwie – nadal pachnie jak małe podwórkowe zwierzę. Świeżo wykąpana koza czy coś w tych rozmiarach i podobnej postury. Taka ładniutka koza, którą mielibyście ochotę dokarmić w zoo. Ale tylko, powiadam, w jej najlepsze dni. A w te gorsze? Po całonocnej popijawie? Śmierdzi jak, nie przymierzając, zaniedbane akwarium z rekinami. Próba seksu ze mną po nocy na mieście może się kojarzyć ze sceną, w której Indiana Jones wchodzi do jakiejś pełnej pajęczyn komnaty, aby wybrać sobie odpowiedni kielich.

Kiedy go poklepałam, ów zacny kawaler podniósł na mnie wzrok. Był całkiem fajny, więc pogratulowałam sobie w duchu i pomyślałam: *Dobra robota, Schumes*. On nadal na mnie patrzył, pozostając w dotychczasowej pozycji; przez chwilę odniosłam wrażenie, że właśnie go urodziłam. Odezwałam się: „Cześć, jestem Amy. Wydaje mi się, że nie miałam przyjemności cię poznać”. Bardzo się zmieszał. Możliwie najdelikatniej wyjaśniłam mu, co się ze mną działo. Zniknął baaardzo szybko. Wpadłam do pokoju mojej współlokatorki, Denise, i zapytałam: „Dlaczego pozwoliłaś mi sprowadzić do domu jakiegoś obcego faceta? Przecież wiesz, że mam chłopaka!”. Była zszokowana i natychmiast zaczęła się bronić. Podobno nie wyglądałam na zbyt napitą. Całą noc spacerowałam koło pubu z tamtym gościem; obejmowaliśmy się, jakbyśmy byli parą. Denise uznała, że dokonałam świadomego wyboru i chcę być właśnie z nim, porzuciwszy dotychczasowego faceta. Ale ja naprawdę nic nie pamiętałam. Kilka lat później spotkałam tego człowieka w jakimś lokalu i serdecznie go przeprosiłam. Zdawał się lekko zbity z tropu, choć próbował udawać, że nic się nie stało. Wiem, z czym się wtedy zetknął między moimi nogami, dlatego przypuszczam, że takie ułaskawienie, zwolnienie z wszelkich zobowiązań, musiało go raczej ucieszyć. Na sam mój widok poczuł zapewne ciarki na plecach, a przed oczami wyświetliły mu się migające obrazki z nurkowania w morskich głębinach tudzież wrak statku pokryty planktonem i wodorostami. A jednak tamtego zdarzenia też się nie wstydzę. Wagina ma wyglądać jak vagina i załatywać waginą. Trzymajcie swoje dziwne pachnidła z dala ode mnie, wy wszystkie pisemka dla kobiet. Dziękuję wam bardzo – ja zamierzam pozwolić swojej cipce, aby zachowała swój naturalny aromat rosołu drobiowego z makaronem.

W czasie studiów zaliczyłam jeszcze parę innych znaczących odlotów. Raz na przykład zjadłam całą pizzę Papa John za jednym zamachem, kiedy indziej, zwiewając z taksówki bez płacenia, upadłam i otarłam sobie dłonie. Zdarzyło mi się również pójść do domu faceta, który miał kilka pitbulli, co samo w sobie jest fatalne. Moja siostra do dziś uwielbia mi też wypominać, jak wsadziłam ją do samochodu z jakimiś obcymi ludźmi, byle móc się jeszcze trochę zabawić. Z reguły w trakcie odlotów przejawiałam spory apetyt i jadłam tak, jakby to był mój ostatni posiłek w życiu. Ale sytuacja, w której rozum się odmeldował, a ja pozwoliłam obcemu facetowi obudzić się lizaniem mojej niemytej cipki, nadal zdecydowanie dzierży palmę pierwszeństwa. Pragnę zniechęcić wszystkie młode damy, które czytają te słowa, do upijania się tak, że jest to wręcz niebezpieczne – zwłaszcza gdy trapi je nieszczęsna genetyczna skłonność do zaćmień umysłu. To szalenie niebezpieczne, powtarzam, aczkolwiek u mnie skończyło się na miłym gostku, który potraktował okolice mojej pochwy jak bufet samoobsługowy.

Lecz wróćmy do tego, że jestem już osobą dorosłą – doświadczoną i mądrą. Wino

i whisky pijam dość regularnie (czasem jest to martini albo tequila, dla odmiany), ale nie w nadmiarze, a już na pewno nie tak, aby ryzykować odjazdu. Nie tylko z powodu doświadczeń z okresu studiów; upijanie się naprawdę już mnie nie bawi. Oczywiście nie zachęcam tu nikogo do życia w totalnej trzeźwości. No bez jaj. Jednakowoż obecnie wystarczy mi lekki szmerek w głowie. Osiągnęłam fajne miejsce w życiu i zasadniczo udaje mi się kontrolować spożywanie alkoholu.

Ludzie, kilka miesięcy temu to dopiero miałam odjazd.

Nie jestem z tego dumna. Nie wydaje mi się to super czy choćby trochę zabawne. Jednak czasami, gdy smutny zbieg skomplikowanych okoliczności wtrąca nas do emocjonalnego ścieku, człowiek może się tylko śmiać. Gdy się już wypłacze. A potem się napić.

Wszystko miało swój początek w chwili, gdy pewna kobieta o imieniu Meg wybrała się z koleżanką na film *Wykolejona*. Meg, która cierpi na stwardnienie rozsiane, nie wiedziała, że film ten podejmuje między innymi temat SM, ostatecznie jednak przyjęła ów fakt z zadowoleniem. A potem napisała do mnie z informacją, że mogłaby skontaktować mojego tatę z pewnym niesamowitym lekarzem z Nowego Jorku, który jej samej bardzo pomógł.

Doktor Sadiq to jedyny specjalista w Stanach Zjednoczonych z certyfikatem Agencji Żywności i Leków (FDA), uprawniającym do leczenia chorych na SM komórkami macierzystymi. Twierdzenie, że stan mojego taty mógłby się poprawić, wydawało mi się całkowicie bezpodstawne. Byłam wdzięczna Meg i cieszyłam się, że ojciec pozna doktora Sadiq, nie chciałam jednak stwarzać sobie niepotrzebnej nadziei. Z biegiem lat, jak zauważyłam, tata nabrał podejrzliwości wobec lekarzy i regularnego przyjmowania leków. Zakład, w którym przebywa, zapewnia mu kilka zabiegów fizjoterapeutycznych tygodniowo, na które ojciec chodzi rzadko, a czasem wcale. Przez parę miesięcy wysyłałam do niego specjalistkę od akupunktury, ale zrezygnował z jej usług, o niczym mnie nie informując. Któregoś dnia, ze dwa lata temu, doszło między nami do kłótni na tym tle. Tata się zdenerwował i krzyczał, że nie chce już próbować niczego więcej.

To mnie załamało. Świadomość, że się poddał i że zamierza biernie patrzeć, jak choroba demoluje jego organizm, była dla mnie nie do zniesienia. Osoby z SM mają mnóstwo problemów: trudności z jedzeniem, chodzeniem, kontrolowaniem jelit (co zostało dobrze w tej książce udokumentowane), nie wspominając już o osłabieniu zdolności poznawczo-intelektualnych oraz stabilności emocjonalnej. Mój tata nigdy nie należał do optymistów. Widział raczej ciemną stronę życia. Nawet w swoich najlepszych latach, gdy był młody, bogaty i przystojny, mógłby zawstydzić samego Tima Burtona – przy nim Burton byłby prawie tak pogodny jak Richard Simmons. Lecz tym razem sytuacja wyglądała inaczej. Ojciec nakazywał mi wycofać się z wszelkich działań i pozwolić mu szczeznąć. Nie mam mu za złe, że chciał się poddać, ale jego słowa złamały mi serce.

Odtąd opłakiwałam swojego tatę, mimo że nadal żył. W przebiegu tej choroby jedno było pewne – że będzie coraz gorzej, że utrata kontroli nad ciałem będzie postępować aż do zupełnej niemocy. Konstatacja ta sprawiła, że zaczęliśmy wspólnie

robić różne „ostatnie rzeczy”. Najbardziej wzruszający był ostatni raz, gdy wybraliśmy się na bodysurfing, czyli pływanie na falach morskich w pozycji leżącej na desce. Zawsze to uwielbiliśmy. Kiedy więc stało się jasne, że tata już długo nie pochodzi na własnych nogach, poprosił, bym pojechała z nim na plażę ostatni raz. Dzień był dość pochmurny, powietrze chłodne. Nad brzegiem oceanu snuli się nieliczni ludzie. Przybrałam dziarską minę, po czym razem weszliśmy w fale. Napierały tak mocno, że należało użyć całej siły nóg, aby między jednym przybojem a drugim wejść głębiej w morze. Tata walczył. Co chwila upadał i widok ten był dla mnie przygnębiający. Pomogłam mu wejść dalej i stanęłam twarzą w stronę widnokręgu, żeby ojciec nie dostrzegł, jak serce mi pęka i wpada w morską toń. Nikomu nie życzę, by oglądał swoich rodziców w takim stanie fizycznej bezradności.

Czekaliśmy na dobrą falę. Ostatnią, na której mieliśmy się wspólnie przejechać. Widząc, że się zbliża, spojrzeliśmy sobie w oczy i skinęliśmy jednocześnie głowami, niczym muzycy umawiający się na konkretny utwór. Zgięliśmy nogi w kolanach, pochyłiliśmy się w kierunku brzegu, z rękoma nad głową, i zanurkowaliśmy. To była długa, twarda fala, ale przejechaliśmy ją całą. Czułam unoszącą nas siłę oceanu. Na koniec wynurzyłam się z wody i zaczęłam rozglądać za ojcem. Pływał tuż obok mnie, mrużył powieki od soli morskiej i odgarniał z nich włosy. Objął mnie spojrzeniem; uśmiechnęliśmy się do siebie szeroko, specjalnie wybałuszając oczy, aby nie wybuchnąć płaczem. Wzięłam go za rękę i pomogłam wrócić na brzeg, tam, gdzie piasek był już suchy. Oddychaliśmy ciężko, usiłując nie poddać się wzruszeniu i powadze chwili.

Nigdy nie chciałam rezygnować z nadziei, że któregoś dnia wybierzemy się tam ponownie. Jednakże wszystkie książki o stwardnieniu rozsianym, jakie przeczytałam, nie pozostawiały złudzeń. Dlatego postanowiłam, że zamiast leczyć tatę, zrobię wszystko, by spędził pozostały mu czas możliwe najprzyjemniej i najwygodniej. Gdyby poprosił, abym przywiozła mu pięćset sztuk twardych cukierków Werther's Original do ciągłego ssania, spełniłabym to życzenie. Gdyby chciał alkoholu (nigdy mnie o to nie poprosił), też bym mu kupiła. Gdyby zażyczył sobie ciasteczek z marihuaną (których istotnie sobie zażyczył), dostarczyłabym mu je. Dla taty zrobiłabym wszystko. Sprowadziłabym tancerkę erotyczną, kupiła pieska pokojowego, wszystko.

Kiedy więc dostałam mejla od Meg w sprawie doktora Sadiqa, przypomniała mi się złożona ojcu obietnica, że rezygnuję z walki. A potem pomyślałam: *PIEPRZYĆ GO! Tata musi się spotkać z tym lekarzem!* Nie obchodziło mnie, czy trzeba go tam będzie zanieść na noszach, wierzgającego i krzyczącego. Szczerze mówiąc, kopać już nie może, więc zostałyby tylko wrzask.

Nawet go nie pytałam. Po prostu poinformowałam, że ma umówioną wizytę u bardzo szczególnego lekarza. Chciałam, żeby zabrzmiało to ekscytująco i magicznie, jak coś, na co fajnie jest czekać. I ojciec dał się złapać.

Nazajutrz tata odbył dwugodzinną podróż z Long Island do gabinetu doktora Sadiqa na Manhattanie, gdzie czekałyśmy na niego z Kim. Nigdy nie wiadomo, jaka wersja ojca aktualnie się pojawi, to ciągła loteria. Leki sprawiają, że często bywa albo otumaniony, albo trochę złośliwy. Tamtego dnia, wyłoniwszy się z windy w siedzibie pana doktora, tata się uśmiechał i nie zachowywał wobec personelu wrogo. A potrafi być

prawdziwym wrzodem na dupie i naskakiwać na ludzi, co czasem jest dość zabawne, głównie jednak niemiłe. Byłam świadkiem, jak wydzierał się na bardzo delikatne i grzeczne pielęgniarki, które zwyczajnie chciały mu pomóc wrócić na wózek inwalidzki. Dla siostr jest paskudny – zimny i lekceważący (i wtedy mają szczęście) albo kokieterijny i agresywny (to już ewidentnie pech). Lecz tamtego dnia nie uczynił względem personelu nic niestosownego, nie próbował nawiązywać kontaktu wzrokowego ani łapać za tyłki. Kiedy jedna z pielęgniarek spytała, która z nas jest starsza, Kim czy ja, tata odrzekł: „Ta potężna”, i wskazał na mnie. Nie licząc tej jednej zabawnej inwektywy, sytuacja wyglądała całkiem dobrze.

Gdy doktor Sadiq wyjaśniał nam, z czym się będzie wiązać terapia komórkami macierzystymi (miała potrwać najbliższe pół roku), trzymaliśmy się z ojcem za ręce. Nie dotarliśmy jeszcze do połowy konwersacji, kiedy tata nagle przerwał doktorowi Sadiqowi w pół zdania.

– Muszę siku.

Pielęgniarz zawiózł go do toalety, gdzie ojciec siedział bardzo długo. Pięć razy dłużej niż normalnie. Pod nieobecność taty doktor kontynuował wyjaśnienia, tłumacząc, że terapia komórkami macierzystymi bardzo poprawi stan ogólny pacjenta, a może nawet da mu nadzieję, że znów zacznie chodzić. Oczywiście były to cudowne wiadomości, ale Kim i ja wyglądałyśmy chyba na nieprzekonane, ponieważ nagle doktor Sadiq zaczął powoływać się na referencje od osób, które mogłyby potwierdzić skuteczność wspomnianej terapii.

– Nie, panie doktorze, tu nie o to chodzi – powiedziałam. I od razu wyznałam mu swoje obawy, że tata albo wykaże totalny opór przeciw tej metodzie, albo będzie pacjentem tak trudnym, iż lekarze sami zrezygnują z prowadzenia terapii. Doktor Sadiq – człowiek pełen determinacji i oddania swojej pracy, który często sypia we własnym gabinecie – odparł żartobliwie:

– Ach tak. W takim razie będę go leczyć, czy to mu się podoba, czy nie. Może mnie walić po pysku i wyzywać, i tak go stąd nie wypuszczę. – A potem, we właściwy mu rzeczowy sposób, powiedział coś, co już dawno powinnam była dostrzec. – Pani ojciec nie chce, by robiono mu złudne nadzieje.

Ścisnęło mi się serce. Oczywiście, że tak. Czemu sama o tym nie pomyślałam? To ważny temat także w moim życiu, a nawet w filmie. Pod wieloma względami *Wykolejona* stanowi list miłosny do mojego ojca. W ten sposób mówię mu: „Wyrządzałeś innym krzywdę i popełniałeś błędy, ale i tak cię kocham. Twoje życie nie poszło na marne”. Chciałam, aby tata ujrzał się takim, jakim ja go widzę: człowiekiem chorym i pełnym wad, który jest jednak piękny i cudowny, przynajmniej dla mnie. Myślę, że w rodzinie tak bardzo chcemy się chronić jedni przed drugimi, że po prostu nam odbija. Ojciec i ja sparzyliśmy się wiele razy, dlatego ponury humor stanowi u nas rodzaj tarczy, która ma nas strzec przed ewentualnym cierpieniem. Nieraz robiłam ojcu piekło za to, że nie chce walczyć ze swoją chorobą, lecz jego opór miał swoje podstawy. Życie wielokrotnie zwałało go z nóg. Dosłownie.

Popłakiwałyśmy z Kim, kiwając głowami, a wtedy pielęgniarz wtoczył naszego tatę z powrotem do gabinetu lekarskiego. Ścisnęłam ojcu rękę. Widać było, że nastrój mu

się nieco pogorszył.

Wstrzymałam oddech, bojąc się na niego spojrzeć. Doktor Sadiq dalej opisywał w szczegółach to, jak życie taty będzie wyglądało przez najbliższe pół roku. Nie ukrywał trudności, skupiał się jednak na efekcie końcowym.

Przez cały ten czas mój ojciec wpatrywał się w podłogę, a lekarz udzielał mu łagodnych napomnień: „Gordonie, patrz na mnie”. Kiedy doktor umilkł, tata nie oderwał wzroku od ziemi. Zapadła długa cisza. Siedzieliśmy bez ruchu.

Wreszcie tata podniósł oczy i powiedział:

– No dobra, masz pan moją wiarę i moje zaufanie.

Ani Kim, ani ja nie wierzyłyśmy własnym uszom. No ja cię pierdolę. Nigdy w życiu nie słyszałam, by ojciec wypowiedział słowa takie jak „wiara” i „nadzieja”. Wydawało mi się, że nawet przy Ścianie Płaczu albo na szczycie tybetańskiej góry, siedząc obok Dalajlamy, tata irytowałby się, iż osoba koło niego mruczy nazbyt głośno, albo by się skarżył, że jest głodny. Krótko mówiąc, nie był człowiekiem szczególnie uduchowionym.

Rzuciłam mu się na szyję, a potem znów usiadłam, zanim łzy popłynęły mi z oczu niekontrolowanym strumieniem. Pochyliłam się nad nim i rzekłam:

– Jestem z ciebie taka dumna! Kocham cię, tato! – Nie chodziło tylko o to, że zgodził się poddać terapii. Najważniejsze było, że wciąż miał w sobie resztki nadziei.

Ustaliliśmy z doktorem Sadiqiem termin kolejnej wizyty, pożegnaliśmy się z nim, po czym poszłam do domu, aby spędzić wieczór ze swoim przemiłym chłopakiem, Benem. Targały mną emocje, ale trzymałam je w ryzach. Umościliśmy się w salonie, a ja wykrzyknęłam nagle: „Miałam ciężki dzień! Chętnie bym się napiła wina!”. Po czym otworzyłam butelkę i przyniosłam sobie kieliszek. Zaczęliśmy oglądać ostatni odcinek serialu *Dziewczyny*. Tak się złożyło, że jego bohaterem był ojciec Hannah, który wiódł niełatwe życie geja i właśnie przyznał się córce do swoich preferencji. Nastąpiło odwrócenie ról rodzic–dziecko, ponieważ teraz to Hannah okazywała swemu smutnemu, zagubionemu ojcu wsparcie. Odcinek kończy się sceną, jak oboje idą przez Times Square, a on mówi z goryczą: „Nie wiem, co robić”, na co Hannah odpowiada: „Nie martw się, tato, jestem przy tobie... Zawsze będę”.

Właśnie wtedy wszystkie łzy, które całe życie w sobie tłumiłam, w jednej chwili ze mnie wypłynęły. Tama runęła, beczałam jak głupia. Dzięki Bogu wyglądałam całkiem dobrze, kiedy płaczę. Ben był dla mnie bardzo wyrozumiały, mimo że z nosa leciało mi na kanapę całe mnóstwo wydzieliny. Gdy zdołałam wreszcie złapać oddech, mocno mnie przytulił. Spokojniejsza, osuszyłam kolejny kieliszek wina i zapaliłam trawkę. Pragnęłam, żeby ten dzień jak najszybciej dobiegł końca, ponieważ już same rewelacje dotyczące taty okazały się wystarczająco ciężkie, a w dodatku nowa była dla mnie obecność mojego chłopaka przy tym, jak zareagowałam tak emocjonalnie. Będąc dzieckiem alkoholika oraz kobiety, której osobowości nie da się sklasyfikować, jest mi bardzo trudno uwierzyć, że ludzie, których kocham, nie opuszczą mnie ani nie zranią w sposób, o jaki nigdy bym ich nie podejrzewała. Aby zaakceptować miłość, muszę stale zwalczać swoje zwichrowane instynkty i impulsy. Ten wieczór nie był wyjątkiem.

Należało ogłosić fajrant i dać sobie spokój na dziś. I to szybko. Zażyłam więc pięć miligramów zolpidemu, czyli tyle, ile mieści się w górnej granicy mojej normalnej dawki

przed zaśnięciem, po czym położyłam się do łóżka. Trochę bolały mnie ręce i nogi po prawie jedenastomilowej jeździe rowerem, którą tego ranka zorganizowaliśmy sobie z Benem. (No cóż, należymy do tych irytujących białasów). Czułam się wyczerpana fizycznie i psychicznie, a także lekko pijana. Dodanie do tego wszystkiego zolpidemu nie było zbyt mądre, gdyż – jak się boleśnie przekonałam – wzmacnia on działanie alkoholu i *vice versa*, kurwa, *versa*. Jeśli zapamiętałam jakieś szczegóły z tego, co działo się później, to tylko ten, że wypiliśmy jeszcze jeden kieliszek wina, a kiedy się ocknęłam, był ranek.

Jednak jak twierdził mój kochający i cierpliwy partner (który, gdy się obudziłam, wpatrywał się ze smutkiem w sufit), po ostatnim kieliszku wina wydarzyło się BARDZO DUŻO.

Według Bena wkrótce po tym, jak zmówiłam modlitwę do mojej świętej trójcy, czyli zolpidemu, wina i trawki, zaczęłam maczać krakersy w maśle, jakby to było guacamole. On obserwował, jak oddaję się szałowi żerowania, a ja nie przestawałam go oskarżać, że ciągle mnie ocenia. Podobno goniłam go po salonie, krzycząc: „Ciągle tylko mnie oceniasz!” i w ogóle do niego pyskując. Na co Ben mi odpowiadał: „Roznosisz masło po całym domu!”.

Potem zasiadłam na kanapie, żeby obejrzeć telewizję, i dalej jadłam swój maślany sos. Włączyłam program *Z kamerą u Kardashianów* (którego Ben bardzo nie lubi) i nieustannie gadałam o wielkiej zmianie, jakiej uległa Khloé. A przynajmniej Benowi tak się wydawało, ponieważ mój bełkot był dlań zrozumiały najwyżej w trzydziestu procentach. Zanim zdołał mnie przekonać, bym poszła spać, podgrzałam sobie jeszcze dwie mrożone pizze, z których jedną kompletnie spaliłam. W łóżku zarekwirowałam wszystkie poduszki, agresywnie przesuwając je na swoją część, choć zwykle dzielimy się nimi po połowie. Następnie wsparłam głowę o całą tę stertę, niczym księżniczka na ziarnku grochu. Ben zwrócił mi uwagę: „Amy, każdemu przysługują po dwie poduszki”, na co zareagowałam elegancko: „Nie dzisiaj, skurwysynu!”. Wypisz, wymaluj dziewczyna z piosenki Steviego Wondera *Isn't She Lovely*.

W każdym razie morał płynie z tego taki, żeby nie łączyć alkoholu, zolpidemu i zioła, zwłaszcza w dniu, w którym człowiek ma za sobą maraton rowerowy, dowiaduje się, że jego ojcu wróciła chęć do życia, a następnie ogląda rozdzierający serce odcinek serialu *Dziewczyny*, poruszający go do głębi, tak jakby był przeznaczony tylko dla niego. Jeśli z lektury tej książki wyniesiecie choć jedną lekcję, niech to będzie właśnie ona.

Ów odlot, który zaliczyłam, mając trzydzieści cztery lata, bardzo się różnił od niebezpiecznych sytuacji, w jakie pakowałam się podczas studiów. Mimo to nadal nikomu nie polecam takiej zabawy – nawet osobom dorosłym, pozostającym w związkach opartych na miłości i pełnych wsparcia, które piją sobie bezpiecznie pod własnym dachem. Ben wykazał się w tej sytuacji wyrozumiałością. Nie krytykował mnie, nie oceniał, a jednak się martwił. Nie podobało mu się, że w jego obecności się „odmeldowałam”. I słusznie. To nie było fair. Więcej już tego nie zrobiłam.

Dwa ostatnie lata były bardzo trudne; tata powiedział mi, że rezygnuje z walki o życie i poprawę swojego stanu. Wiedziałam, że mówił serio. Poniekąd mogę to zrozumieć. Otacza go raczej ponura codzienność. Ja jestem zdrowa i silna, a i tak co najmniej dwa razy dziennie muszę się ze sobą zmagać, by nie rzucić wszystkiego w diabły

i dać sobie spokój. A trzy razy dziennie w sezonie przyznawania nagród branżowych. Kiedy tata był młodszy i zdrowszy, często podróżował, imprezował, uganiał się za spódniczkami i pił. Wiem, że tęskni za tymi czasami. Dlatego uważam się za szczęściarę, iż ciało mam wciąż na tyle krzepkie, że mogę nim ryzykować.

Kiedy podczas odwiedzin u taty widzę, jak spogląda wyjątkowo pustym i smutnym wzrokiem, staram się dodawać mu otuchy. Zabieram go na spacer w wózku inwalidzkim, zmuszam do aktywności, prowokuję. Kiedy tego chce, jest taki jak dawniej – a ja zawsze się wtedy cieszę. Świadomość szansy, że ojciec znów będzie chodził, dodaje nam optymizmu; często odnoszę też wrażenie, iż powoli wraca mu chęć życia. Pcham jego wózek na świeże powietrze i każę mu podnosić wzrok na niebo. Obserwuję, jak promienie słońca ożywiają mu twarz, jak każda komórka jego ciała rozświecła się i nabiera mocy – wtedy, przez chwilę, tata znów gotów jest rozrabiać i szaleć, czyli robić to, do czego został stworzony.



Ekscytujący okres dla kobiet z Hollywoodu

Wyobraźcie sobie, że pierwszy raz w życiu napisaliście scenariusz do własnego filmu, a potem wystąpiliście w nim w roli głównej. Macie za sobą jego premierę, wszystko wyszło pięknie i czujecie, że świat leży wam u stóp. I jesteście potwornie zmęczeni, ponieważ zrobienie filmu to ciężka praca, a poza tym musieliście zrzucić (na stałe) pięć kilogramów, które zwykle lubiliście mieć przy sobie. (Żadnej bowiem kobiety nie da się poważnie kochać, jeśli nadmiernie widać jej obojczyki). Później, jeszcze przed końcem świętowania wspomnianej filmowej premiery, w którą włożyliście całe serce i bebecchy, zaczynacie rozumieć, że aktorom wcale nie płaci się za granie w filmach. Oni dostają kasę za lansowanie się w mediach.

Paskudne odkrycie.

Ale kumam: produkcja filmów jest bardzo droga, dlatego wytwórnice chcą mieć pewność, że ludzie przyjdą do kina. Przepraszam, jeśli latem 2015 roku bez przerwy musieliście oglądać moją buzię w reklamach i na billboardach. Podziękujcie za to gościom od marketingu. I wierzcie mi, mnie też na dźwięk własnego głosu robiło się niedobrze, bardziej niż komukolwiek.

Ponieważ *Wykolejona* była pierwszym filmem, w którym zagrałam, znano mnie właściwie tylko w kraju. Co oznaczało, że musiałam wyruszyć w intensywną, zagraniczną trasę promocyjną. Polega to na podróżowaniu od jednego większego miasta do drugiego i przesiadywaniu w jednym pokoju z dziennikarzami (zwykle przed kamerą), którzy każą ci opowiadać o promowanym filmie. Należy to zrobić tak, aby chwilę później napisali pozytywną relację, która ściągnie ludzi do kina. W trasie miałam do czynienia chyba z każdym typem dziennikarza na świecie – od najbardziej znanych gwiazd z wielkich stacji newsowych po facetów, którzy po raz pierwszy w życiu nagrywali swój podcast. Musiałam się na wszystko zgadzać, ponieważ wytwórnia zaryzykowała i na mnie postawiła. Byłam nowa w tej branży, a ktoś taki powinien udawać ekscytację, cieszyć się daną mu szansą i pracować jak mała pszczołka.

Gdy człowiek pierwszy raz słyszy, że pojedzie do Australii, do Niemiec, Londynu, Amsterdamu, Dublina i tak dalej, myśli sobie: *O KURWA, TAK! Wycieczka za darmola! Nigdy nie byłam w Berlinie!* A potem stwierdza, że każda sekunda każdego dnia podróży wygląda dokładnie tak samo: z ust dziennikarzy, wszystkich bez wyjątku, padają wciąż te same pytania, ty natomiast masz udzielać im odpowiedzi tak, jakbyś ciągle mówiła o czymś nowym i olśniewającym. Dosłownie każdy, ale to każdy pytał mnie: „Czy pani film zawiera elementy autobiograficzne?”. Zaczęłam się czuć jak ten otępiały kucyk, którego prowadzi się bez przerwy w kółko. Całodzienne rozmowy o sobie, takie jak te, pozostawiają w człowieku dziwną pustkę, którą trudno opisać. Jeśli ktoś przejawia nadmierną skłonność do bycia szczerym (na przykład ja), to jest to dla niego spore obciążenie.

Przeszkadzało mi nie tylko poczucie, że to ode mnie zależy, czy ludzie kupią bilety na ten film. Dodatkową trudnością był fakt, że jestem kobietą. Ponieważ ilekroć kobieta zagra jakąś główną rolę, wszyscy wytrzeszczają gały i mówią: „Czy ta kreacja okaże się

punktem zwrotnym dla sytuacji kobiet?” albo „Jakie KONSEKWENCJE pani rola będzie miała dla aktorek komediowych?”.

Krótko mówiąc, czuć presję. Nie wystarczy bowiem, aby film odniósł sukces i człowiek czuł się z niego dumny albo żeby wytwórnia zarobiła kasę – musi też odnieść sukces wśród pięćdziesięciu procent populacji, które najwyraźniej ja reprezentuję. „Jak to się przełoży na sytuację naszej płci w najbliższej przyszłości?!” Bardzo ważne, obciążające odpowiedzialnością pytanie. Zwłaszcza że zrobiłam dopiero pierwszy film i nawet nie udaję, iż zabieram głos w imieniu wszystkich kobiet. Kreślę obraz opowiadający tylko o swoim własnym życiu, o tym, jak widzę i odbieram świat, bez zakładania, że moje wizje są uniwersalne.

W każdym razie pojechałam w długą trasę promocyjną, ale – jak się okazało – nie tylko filmu, lecz także całego rodzaju babskiego. Chyba od zarania dziejów ulubione pytania wszystkich redaktorów brzmią: „Panie w show-biznesie chyba przeżywają teraz ekscytujący okres?” albo „Co to oznacza dla kobiet z Hollywoodu?”.

Czy to ekscytujący okres?! Miałabym ochotę wykrzyknąć w odpowiedzi: „NIE!”.

Po pierwsze, nie uważam się za „kobietę z Hollywoodu”. Nie wiadomo właściwie, co ten termin oznacza. Ale gdyby mi było wolno zabawić się w swobodne skojarzenia, to uznałabym, że chodzi tu raczej o kogoś, kto posługuje się nazwiskiem w formie skrótów, jak J. Law/Lo, albo też kogoś, kto w paru filmach wyszedł bardzo seksownie, a poza tym, sama nie wiem... prowadzi własny blog lifestyle’owy albo produkuje kosmetyki? Na przykład linii Alba czy Paltrow. Ja nie należę do żadnej z tych kategorii. „A. Schu” nigdy nie miało takiego wzięcia, jak wszyscy liczyliśmy.

Poza tym nie jestem „kobietą z Hollywoodu” w sensie dosłownym. Jak wam wiadomo, zawsze mieszkałam w Nowym Jorku i nie wydaje mi się, by trwał dla mnie szczególnie ekscytujący okres. On się zacznie dopiero, gdy nikt nie będzie musiał odpowiadać na głupie pytania. Proszę, wszyscy razem, na trzy: Przestańcie je zadawać. Na zawsze. Po prostu przestańcie. Raz. Dwa. Trzy! A w ogóle to Hollywood wcale nie jest dla kobiet tak ekscytujące. Z pewnością nie zaskoczę nikogo twierdzeniem, że w branży zwanej show-biznesem dominują ludzie, którzy oceniają kobiety prawie wyłącznie na podstawie ich aparycji. Pracujące w niej panie codziennie czują, że staczają się w przepaść śmierci i rozkładu, ponieważ młodsze, szczuplejsze i seksowniejsze aktorki, jak na przykład Selena Gomez, depczą im po piętach albo wyskakują jedna po drugiej, niczym rosyjskie matrioski. W przemyśle filmowym bardzo szybko przechodzi się drogę od obiektu westchnień do ról babć w dzierganym golfie, które, mimo braku męża, wciąż hojnie obdarzają miłością swoje zwierzątka domowe. Natomiast aktor (mężczyzna) zmienia się w filmowego dziadka znacznie, znacznie później.

Jestem zdania, że w większości dziedzin życia kobiety muszą pracować dwa razy więcej, aby zasłużyć sobie na połowę tego, czym cieszą się mężczyźni. Włożyłam bardzo wiele wysiłku, żeby powstał po prostu dobry film, a potem słyszałam, że to „babska komedia”. Z lekka upokarzające. Ta bezsensowna łatka zbiła mnie z pantałyku i zmusiła do mówienia w imieniu wszystkich kobiet, bo przecież jestem prawdziwą KOBIECĄ, która nakręciła BABSZĄ KOMEDIĘ, w której zagrałam główną rolę KOBIECĄ. A na przykład Setha Rogena nie proszą, żeby wypowiadał się za WSZYSTKICH

MEŹCZYZN! Przecież nie ma czegoś takiego jak „męskie komedie”. Nie pytają też Bena Stillera: „Hej, Ben, co chciałeś przekazać wszystkim facetom świata, udając w filmie *Nadchodzi Polly*, że masz biegunkę, a potem ganiając za jakąś fretką?”

Wielu moich rozmówców podczas trasy promocyjnej potwierdziło tę diagnozę. Z miejsca zadawali mi pytanie: „Czy to duża odpowiedzialność wypowiadać się w imieniu kobiet?”. Uznaję, że mieli do tego prawo. Być może jest to nawet zasadne pytanie. Rozumiem, że ogląda mnie i słucha tak dużo osób, że to, co mówię, ma pewne znaczenie. Odpowiedzialność tę traktuję jako zaszczyt – ponieważ teraz mam szansę zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby pomóc kobietom wziąć sprawy w swoje ręce. A mogę tego dokonać tylko w jeden znany mi sposób: pisząc scenariusz o życiu młodej dziewczyny, ale z kobiecego punktu widzenia.

Wykolejona opowiada o równości szans. Równości w odczuwaniu strachu przed związkiem z innym człowiekiem – nawet gdy mówimy o dziewczynach. Jednak niektórym dziennikarzom wydawało się to dziwne i nie do przyjęcia. Pytali, dlaczego uznałam, że kobieta i mężczyzna powinni zamienić się w filmie rolami. To znaczy dlaczego zrobiłam tak, że dziewczyna nie chce się dać usidlić, natomiast facetowi zależy na trwałej relacji? Dlaczego przez mieszkanie bohaterki przewija się wianuszek mężczyźni na jedną noc, natomiast bohater jest człowiekiem na wysokim, szacownym stanowisku i prowadzi żywot abstynenta? Przeżywali szok, kiedy im odpowiadałam, że stało się tak bez szczególnej intencji, że po prostu napisałam historię zaczerpniętą z własnych doświadczeń. To kobiety mają opinię tych nadmiernie wrażliwych, tych nazbyt oszalałych na punkcie kochanego mężczyzny, z którym są w związku, jednak według mnie jest odwrotnie – facetom zależy bardziej. Nie żebym nie była wrażliwym kwiatuszkiem (ja i większość moich przyjaciółek). Po prostu kobiece inwestowanie w relacje męskodamskie przebiega wolniej i oszczędniej, z mniejszym zaangażowaniem naszego „ja”. Aczkolwiek przyznaję, że postać LeBrona Jamesa została przerysowana. Zrobiliśmy z niego człowieka nadmiernie zatroskanego o życie miłosne przyjaciela, co często leży w charakterze dziewcząt, a czego właściwie nigdy nie zauważyłam u swoich kolegów. Tylko że właśnie tak się zaczyna i na tym kończy zamiana ról charakterystycznych dla danej płci w filmie *Wykolejona*. Próbowałam przedstawić sprawę w sposób szczerzy, realistyczny i atrakcyjny, ze swojej perspektywy i na podstawie własnego życia. I chociaż nie śmiem wypowiadać się za wszystkie kobiety, jestem prawie pewna, że nie tylko ja miałam tego typu doświadczenia.

Niemniej w komentarzach przeważało piętnowanie zachowań seksualnych bohaterki. Być może to tylko kwestia różnic kulturowych, ale postawa zagranicznych dziennikarzy wydała mi się nie do przyjęcia. Niektórzy z nich mówili na przykład coś w ten deseń: „No cóż, skoro w swoim filmie opowiada pani o sprawach seksu, mogę chyba rozmawiać z panią o wszystkim, co mi przyjdzie do głowy”. Robiło mi się od tego niedobrze, miałam ochotę wziąć natychmiastowy prysznic. Jeden z moich wywiadów, udzielony w Australii, odbił się w Internecie szerokim echem, gdyż pewien redaktor zadał mi następujące pytanie: „Więc pani bohaterka jest puszczalska, macie w Ameryce słowo »puszczalska«?”. Odpowiedziałam mu, że to bardzo niegrzeczne z jego strony, troszkę się posprzeczałyśmy, no i oczywiście – jeśli człowiek nie tylko się uśmiecha, kiwa grzecznie

głową i dziękuje im za poświęcony czas, ale na niemiłe pytanie odpowie ostro bądź emocjonalnie – wybuchła afera. Ludzie uznają, że niby nie potrafię przyjąć krytyki i się obrażam. Tylko że ja nigdy nie byłam grzeczną dziewczyną, która się uśmiecha i potakuje, choć zwykle też zbyt łatwo się nie obrażam.

Najgorsze doświadczenia wyniosłam z Berlina – a to ci niespodzianka – gdzie dwa razy spotkałam się z tym samym dziennikarzem. Był to mężczyzna około sześćdziesiątki, w dżinsach i w koszuli z kołnierzykiem zapinanym na guziki. Łysiał na czubku głowy, a włosy z tyłu miał trochę dłuższe, opadające na kark: ni to paż, ni to Robert Plant. Nosił okulary i nie pozwalał, by normy społeczne zmusiły go do uśmiechu. Nigdy. Pierwszego wywiadu udzielałam mu razem z Billem Haderem. Zapytał Billa, czy podobała mu się rola lekarza, którą zagrał, a potem zwrócił się do mnie z pytaniem, jakie to uczucie uprawiać seks na ekranie. Billowi się to nie spodobało i stanął w mojej obronie, ale oznajmiłam, że nie ma sprawy, odpowiem. Wyjaśniłam więc, że jest to doznanie podobne temu, co doświadczają uliczni artyści cali pomalowani srebrną farbą, stojąc nieruchomo na podestach. Nie wiadomo, czy to prawdziwy posąg, czy nie, dopóki odrobinę się nie poruszą, co zdarza im się raz na parę minut. Jedyna różnica polega na tym, ciągnęłam, że mnie nikt nie rzucił choćby dolara. (W tym miejscu muszę dodać, że po opublikowaniu tego wywiadu mój partner, bardzo hojnie, wsunął mi dolara pod drzwi, kiedy już skończyliśmy się kochać. Siedziałam na sedesie i czekałam, aż mój organizm zechce się wysikać – co redukuje prawdopodobieństwo zakażenia dróg moczowych – obserwując jednocześnie, jak zielony banknot wnika do łazienki. Czułam się wtedy kochana).

Nie wiedzieć dlaczego temu samemu dziennikarzowi pozwolono zrobić ze mną następny wywiad, tym razem w obecności Vanessy Bayer, która w *Wykolejonej* gra moją przyjaciółkę i współpracownicę. Z miejsca rozpoczął w tonie zgryźliwym i zaczął zadawać mi pytania, które nie tylko świadczyły o jego niechęci do filmu, lecz także do mnie w ogóle. Powiedział na przykład tak, cytując: „Dlaczego pani zdaniem fajnie jest gorszyć ludzi?”. Dokładnie w tym momencie zauważyłam wielką dziurę w jego spodniach, w kroku, a następnie nie jedno, lecz oba wystające jądra. Spojrzałam mu prosto w oczy i rzuciłam: „Nie chciałabym pana zawstydząć, ale proszę zakryć sobie krocze”. Vanessa spojrzała w dół, zobaczyła to, co ja, i pokiwała głową, jednocześnie zalewając się szkarłatem. Zgodziła się ze mną, że widok jaj tego faceta stanowił właściwą odpowiedź na jego pytanie. No, kolego, a tak się ładnie kołysały. Dziennikarz spuścił wzrok, skrzyżował nogi, wyprostował się i rzekł: „Na czym to skończyłem?”. Na co ja: „Pytał mnie pan, dlaczego uważam, że gorszenie ludzi jest w porządku”.

Po trzechsetnym wywiadzie na temat tego, z iloma facetami spałam, i po krępujących pytaniach o chorobę mojego taty pomyślałam sobie: *Pierdolić to, koniec, nie zrobię już żadnego filmu*. Żartowałam! Pewnie, że nakręcę kolejne. Ale daruję już sobie kontakty z mediami, przynajmniej w takiej ilości. I nie zamierzam więcej chudnąć. Na pewno nie aż tak. Wyglądałam jakoś głupio chudo. Moja wielka kapuściana głowa pozostaje ten samej wielkości, natomiast reszta ciała kurczy się, zaburzając wszelkie proporcje. I jaka czeka mnie za to nagroda? Zostać „kobietą z Hollywoodu”? Nie, dziękuję!

Z drugiej strony możliwe, że być „kobietą z Hollywoodu” oznacza być jedną

z wielu tych gniewnych, otumanionych i zachłannych pań, które chciały zostać aktorkami lub artystkami, a które uwierzyły, że będzie to możliwe, jeśli w liceum albo w college'u solidnie się nagimnastykują, pokonawszy pięć tysięcy przeszkód, a w ohydnych biurach agentów oraz menedżerów i w cichych salkach kościelnych dadzą jednoosobowe przedstawienia i musicale, jakby od tego zależało ich życie. A być może „kobieta z Hollywoodu” to po prostu osoba, która dba o swoje interesy i stara się żyć marzeniami – tak jak jej męscy odpowiednicy – lecz gdzieś po drodze pokonały ją, głodną i wyczerpaną, chore podwójne standardy i durnowate pytania dziennikarzy.

Jeśli „kobietę z Hollywoodu” definiuje to drugie, to okej, być może nią jestem. Przyznaję się bez bicia.

Nawet jeśli zagraniczne media nie mogły już błędnie interpretować „ekscytującego okresu”, jaki my, wszystkie kobiety, rzekomo przeżywamy w Hollywoodzie, to jednak znaleźli się dziennikarze, którzy właściwie zrozumieli zarówno mnie, jak i mój film. Jestem ogromnie wdzięczna za nominację do Złotego Globu, przyznawanego przez HFPA, Hollywoodzkie Stowarzyszenie Prasy Zagranicznej. Gala Złotych Globów była niczym sen. Towarzyszyła mi cała rodzina i chociaż nagrody nie zdobyłam, to uradował mnie fakt, że wygrał jeden z moich przyjaciół, osoba, której dokonania głęboko podziwiam. Niesamowici okazali się również niektórzy dziennikarze z HFPA obecni na uroczystości. Z wieloma miałam okazję rozmawiać i zakończyłam wywiady pełną wdzięczności i podniesiona na duchu. Zrozumiana. Może jednak wcale nie jestem tak wykojejoną dziewczyną! Czułam się lepiej. Znalazłam pociechę, próbując spojrzeć na siebie ich oczyma. Przypominałam sobie miłe rzeczy, które mi mówili. Szybko jednak zostałam sprowadzona na ziemię, dowiedziawszy się, jakie tytuły nadano mojemu filmowi *Trainwreck* za granicą:

Włochy: *Katastrofalna dziewczyna*

Bułgaria: *Totalna demolka*

Czechy: *Wykolejenie*

Rosja: *Dziewczyna bez kompleksów*

Niemcy: *Randka z królową*

Finlandia: *Na jedną noc*

Portugalia i Polska: *Wykolejona*

Węgry: *Katastrofa*

Francja: *Szalona Amy*

Kanada (część francuskojęzyczna): *Beznadziejna sprawa*

Argentyna: *Ta dziewczyna to koszmar*

Ponieważ nie zdobyłam Złotego Globu i nie miałam okazji stanąć na podium i wygłosić mowy, chciałabym skorzystać teraz z okazji i podziękować wszystkim dziennikarzom ze wszystkich krajów, które odwiedziłam. Szczególnie tym osobom, które nieustannie kładły nacisk na fakt, iż jestem kobietą. Formułowaliście swoje komplementy bardzo precyzyjnie, na przykład używając nie samego przymiotnika „zabawna”, lecz razem z rzeczownikiem – „zabawna kobieta”. Bardzo pilnowaliście, bym nawet na chwilę nie zapomniała o swoich jajnikach. Dziękuję. Bez was mogłabym zostawić macię w jakimś podmiejskim autobusie, na szczęście wy niezmordowanie dbaliście o moją

świadomość, przypominając, że raz na miesiąc krwawię, a mimo to umiem opowiadać dowcipy! Pragnę również podziękować facetowi, który nazwał mnie puszczałką. Widziałam, że wiesz marne życie, i było mi cię głęboko żal. Jeśli to czytasz, wiedz, że jestem teraz bardzo szczęśliwa i doświadczam samych dobrych chwil. I na koniec szczególne słowa podziękuję kieruję do jąder owego dziennikarza z Berlina. Gdyby nie wy, przespałabym wtedy spokojnie całą noc, a przecież komu jest to potrzebne, do cholery? No to *Auf Wiedersehen*.





Mayci i Jillian

Był 23 lipca 2015 roku, *Wykolejoną* puszczano już od około tygodnia. Wylądowałam właśnie w Los Angeles po bardzo męczącej podróży promocyjnej, tym razem do Australii. Cieszyłam się, że wróciłam do kraju. Tym bardziej że ta wyprawa pozostawiła we mnie nieszczególne wrażenia. Na wieczór byłam umówiona na kolację z Allanem, jednym z moich dobrym przyjaciół, aczkolwiek nie jestem pewna, czy jego imię pisze się Alan czy Allan. Mam też poważne wątpliwości co do zapisu jego nazwiska.

Dotkliwie odczuwałam różnicę czasu, poza tym z powodu tych wszystkich podróży mocno bolały mnie plecy, więc zarezerwowałam sobie masaż. Z hotelowego spa wyszłam w świetnym nastroju – pozytywnie nastawiona do życia, podekscytowana i odmłodzona. Zerknęłam na telefon komórkowy i stwierdziłam, że mam sporo nieodebranych połączeń od swojej agentki reklamowej, Carrie, która wysłała mi także wiele esemesów z prośbą o natychmiastowy kontakt. Zaczęłam się cicho śmiać. Skoro Carrie tak usilnie próbowała mnie złapać, to chyba musiało się gdzieś ukazać jakieś moje nagie zdjęcie albo wyszła na jaw sekstaśma z moim udziałem. Któregoś razu, mając lat dwadzieścia, uprawiałam miłość ze swoim partnerem przed kamerą w kompie, co było absolutnie okropne. Nie mogliśmy się skupić na sobie nawzajem, tylko gapiliśmy się w ten monitor. Wcześniej kupiłam sobie czarną koronkową bieliznę i pas do pończoch. Nie rozumiałam jeszcze, że aby w takim wdzianku nie wyjść na idiotkę, trzeba mieć ciało modelki z Victoria's Secret. Większym seksem emanowałoby zdjęcie Ruperta Murdocha siedzącego nieruchomo w bujanym fotelu niż ja w rzeczonym stroju. Krótko mówiąc, widok był okropny i z góry przepraszam, jeśli to nagranie kiedykolwiek ujrzy światło dzienne. Bardzo, ale to bardzo współczuję każdemu, komu zhakowano komputer bądź komórkę, i mam głęboką nadzieję, że mnie to się nigdy nie zdarzy. Jednakże same nagie fotki nie budzą we mnie strachu. Jestem pewna, że któregoś dnia przeciekną do mediów. Nie wiem, jak będę się wtedy czuła – ale tamtego dnia, w tym konkretnym momencie mojego życia śmiałam się z takiej ewentualności. Gotowa byłam przeprosić wszystkich tych, którzy musieli obejrzeć moje zdjęcia albo filmik.

Tak więc 23 lipca 2015 roku przygotowywałam się na wiadomość, że moja sekstaśma wyciekła do mediów. Musiałam uspokoić swoją agentkę i dać jej jasno do zrozumienia, że się tym nie przejmuję. Wybrałam numer Carrie, już lekko uśmiechnięta. Kiedy odebrała, mój uśmiech przeszedł w pełnowymiarowy chichot.

Wtedy Carrie powiedziała: „Na seansie *Wykolejonej* w jednym z kin w Lafayette w Luizjanie doszło do strzelaniny”.

Na te słowa moje serce rozpadło się na kawałki. Serio. Równie głęboki smutek odczuwałam w życiu po wypadku podczas surfingu, kiedy nieomal straciłam nogę, a także na wieść o śmierci paru bliskich przyjaciół. Ta informacja zbiła mnie z nóg, zdruzgotała. Poszłam do hotelu, włączyłam CNN i prawie wpadłam w katatonię. Nie wiedziałam jeszcze, że tej nocy zginęły dwie piękne, mądre i silne kobiety. Nie miałam pojęcia o Mayci Breaux, która liczyła tylko dwadzieścia jeden lat i była uroczą, miłą, cudowną dziewczyną, osobą religijną. Planowała wyjść wkrótce za mąż za swojego ukochanego z liceum. Nie wiedziałam również o Jillian Johnson, lat trzydzieści trzy,

kobiecie bardzo aktywnej społecznie: prowadziła ona własną firmę, inteligentnie i kreatywnie, spełniała się też jako wspaniała żona i dobra macocha, artystka i wykonawczyni muzyki. Musiałam się o nich obu dowiedzieć każdego szczegółu, miałam ochotę wsiąść w samolot i polecieć prosto do Luizjany, żeby towarzyszyć ich rodzinom, dotkniętym przez tę tragedię.

Mój przyjaciel Allan przyjechał do hotelu, wszedł do pokoju, który zajmowałam, i pozwolił mi się wypłakać na swoim podółku. Zadzwoił do kogo trzeba i zajęto się mną. Przez parę tygodni chodziłam nieprzytomna. Musiałam dokończyć trasę promocyjną *Wykolejonej*, wcześniej planowałam też wakacje z przyjaciółmi, ale zamierzałam to wszystko odwołać.

Czytałam, co pisano o tym zaburzonym człowieku, który zabił Mayci i Jillian oraz ranił dziewięć innych osób. Jestem przeciwna nadawaniu masowym mordercom rozgłosu. Nie chcę nawet wymieniać nazwiska tamtego konkretnego. Nigdy tego nie zrobiłam i nigdy nie zrobię. Chciałabym jednak powiedzieć w tym miejscu o kilku dotyczących go faktach. Był gorącym zwolennikiem Partii Herbacianej. Publicznie głosił nienawiść do kobiet, chwalił Hitlera. Z rozmysłem wybrał kino, w którym wyświetlano mój film, jako miejsce mordu dwóch kobiet i postrzelenia kilku innych osób.

A oto jeszcze inne fakty: w 2006 roku człowiek ten został aresztowany pod zarzutem umyślnego podpalenia (w wyniku czego władze okręgu Russell w stanie Alabama odmówiły wydania mu pozwolenia na noszenie broni poza własnym domem). Zarzuty oddalono. W roku 2008 rodzina mężczyzny wystąpiła do sądu o skierowanie go na przymusowe leczenie psychiatryczne, ponieważ stanowił zagrożenie zarówno dla siebie, jak i dla innych. Niestety sąd dopuścił jedynie interwencję psychiatryczną w nagłych wypadkach, darując sobie całościowe badania kondycji psychicznej faceta. W tym samym roku jego była partnerka wniosła przeciwko niemu pozew o ochronę sądową – nigdy jednak nie doszedł do wokandy i wyrok nie zapadł. Mimo tych wszystkich problemów z prawem w lutym 2014 roku wspomniany mężczyzna legalnie zakupił broń palną w jednym z lombardów w Phenix City, stan Alabama – tę samą, z której dokonał później masakry.

Nie zakazano mu posiadania broni, mimo że wpisywał się idealnie w profil osoby, która zakaz ten powinna była otrzymać – człowieka z kryminalną przeszłością, niebezpiecznego, który groził członkom własnej rodziny, osoby przemocowej. Na dodatek z udokumentowanymi problemami psychicznymi. Kilka amerykańskich stanów wprowadziło przepisy, które często nazywa się „ustawami ograniczającymi przemoc z użyciem broni”. Na ich podstawie członkowie rodzin osób stanowiących potencjalne zagrożenie mogą wystąpić do sądu o tymczasowy zakaz posiadania przez nie broni. Nie tylko skutkuje to niemożnością zakupu śmiertelnych zabawek, lecz także zmusza objętego zakazem do oddania arsenału, który już ma. Gdyby rodzina tamtego człowieka dysponowała owym instrumentem prawnym, być może wszystko skończyłoby się dla Mayci i Jillian inaczej.

Świadomość tego jest nie do zniesienia. I wystarczy, bym chciała coś w tej sprawie zrobić.

Same bowiem przepisy ograniczające prawo do kupowania broni to za mało.

Dotykają one zaledwie wierzchołka góry lodowej. Nawet gdyby każdy z amerykańskich stanów wprowadził zakazy utrudniające osobom niepowołanym dostęp do broni, to i tak mają one jeszcze wiele innych możliwości: każdy może sobie bez problemu kupić spluwę u handlarzy bez licencji, na targach broni, a nawet przez Internet – gdyż tam nikt niczego nie sprawdza i o nic nie pyta. Prowadzone w ciągu ostatnich trzech dekad badania wskazują, że od trzydziestu do czterdziestu procent sztuk broni palnej dostępnej w Stanach Zjednoczonych przechodzi z rąk do rąk bez żadnej kontroli nabywcy. W wielu stanach dostęp do niej jest łatwiejszy niż do antykoncepcji. Czytajcie dalej, bo robi się coraz lepiej (a właściwie coraz gorzej). W paru stanach jest tak, że broń może legalnie kupić człowiek całkowicie niewidomy, a w większości stanów – nawet ci, którzy figurują na listach potencjalnych terrorystów. Powtórzę jeszcze raz: jesteś ślepy jak kret, ale wolno ci kupić sobie spluwę. Ktoś znajduje się nie tylko na liście osób z zakazem wstępu na teren Stanów Zjednoczonych, głównie drogą lotniczą, ale wręcz w spisie tych, których nasz rząd podejrzewa o działalność *stricte* terrorystyczną – ale może sobie LEGALNIE. KUPIĆ. U NAS. BRONĀ.

Nie zrozumcie mnie źle. Przyjaźnię się z wieloma posiadaczami pistoletów i strzelb. Uważam, że praworządni Amerykanie mają wszelki tytuł, by je posiadać. Sądzę jednak, że nadszedł czas na wprowadzenie pewnych zmian. A wy? Nie dość już tych strzelanin? Wiecie, kto się przeciwstawia zmianom? Ludzie, którzy na sprzedaży broni zarabiają najwięcej. Tymczasem dziewięćdziesiąt dwa procent Amerykanów – w tym osiemdziesiąt dwa procent właścicieli broni oraz siedemdziesiąt cztery procent członków Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego Ameryki (NRA) – opowiada się za kontrolą handlu tym towarem, zwłaszcza zaś za sprawdzaniem przeszłości osób, które broń kupują. Czy nie były notowane w rejestrach sądowych. Sługusy tej grupy lobbystycznej w Kongresie – których sobie kupiła i którym płaci – tańczą tak, jak tamci im zagrają. Pewnie już zauważyliście, że w tej książce zamieszczam sporo różnych list. Na samym jej końcu znajdziecie kolejny spis – listę kongresmenów, którzy biorą pieniądze od lobby zbrojeniowego i są przez nie kontrolowani. Delektujcie się!

Szczególony szok przeżyłam na wieść, że przemoc z użyciem broni palnej ma wymiar bardzo kobiecy: otóż Amerykanki są jednaście razy bardziej narażone na śmiertelny postrzał niż panie z innych krajów rozwiniętych. W osiemnastu stanach, w których wymagane jest sprawdzanie przeszłości nabywców pistoletów i karabinów, śmiertelność wśród kobiet jest o czterdzieści sześć procent niższa niż tam, gdzie kontroli takiej nie ma.

Czy ludzie o tym wszystkim wiedzą? Bo ja nie wiedziałam, do czasu strzelaniny w Lafayette. Trzeba się w tej materii kształcić albo na własną rękę, albo z pomocą rodziny, a warto, ponieważ tylko razem możemy uporać się z problemem. Więcej informacji, jak się zaangażować w zwalczanie przemocy z użyciem broni, znajdziecie na stronie 321.

Jak już dowodziłam, nawet w najmroczniejszych chwilach życia staram się znajdować coś zabawnego i podchodzić do nich z humorem. Ale w tej konkretnej sprawie bardzo trudno mi to zrobić. Wiem, że wielu z was, czytelnicy, nie spodziewało się po mnie takiego rozdziału i pewnie myślicie sobie w duchu: *Dobra, wróć do opowiadania*

kawałów o cipce! No, rozśmieszaj nas dalej, pajacu! Tak, tak, słyszę. Kiedy w swoim programie telewizyjnym pokazuję skecze na temat broni palnej, ludzie reagują stwierdzeniem, że woleliby czysty humor. Bez poważnych tematów. Piszą, abym się trzymała komedii, ponieważ w tym celu mnie oglądają. Powiem wam, co im odpowiadam: „Nie!”. Uwielbiam rozśmieszać publiczność i jestem wdzięczna losowi za pewien talent w tym kierunku. Ale kiedy dotyka mnie głęboka niesprawiedliwość, głośno o tym krzyczę – i sugeruję, żebyście robili to samo. Chciałabym wykrzesać z siebie tyle energii, aby mądrze i sarkastycznie spuentować przerażające statystyki o przemocy z użyciem broni palnej w Ameryce, ale muszę się wam przyznać, że po prostu, kurwa, nie mogę. W tym roku udało mi się napisać zabawną scenkę na ten temat do swojego show w telewizji. Jeśli chcecie się pośmiać, obejrzyjcie sobie, proszę. Jednak w przypadku tej książki i bieżącego rozdziału... zupełnie nie jest mi do śmiechu. O Mayci i Jillian myślę codziennie. Wożę ze sobą ich zdjęcia, zabieram je w trasę. A kiedy słyszę, że następny Amerykanin albo kilku poniosło bezsensowną śmierć od kul, śmierć, której można było przecież uniknąć, przychodzi mi do głowy tylko jedno: dość tego. Dość-kurwa-tego. Kropka.

Nawiązałam współpracę z senatorem Chuckiem Schumerem, dalekim kuzynem mojego ojca, której celem jest znalezienie sensownych rozwiązań dla zakończenia zbrojnej przemocy. Zasiadam w komitecie organizacji Everytown – ruchu zrzeszającego Amerykanów, którzy podejmują wspólne wysiłki, aby ukrócić handel bronią i zwiększyć poczucie społecznego bezpieczeństwa. Kiedy pisałam szkic tego rozdziału – przysięgam, że mówię prawdę – otrzymałam zaproszenie z Białego Domu na spotkanie z prezydentem Obamą. Byłam obecna, gdy przedstawiał opinii publicznej informację o pakiecie nowych rozporządzeń, które miały stawić czoło temu ogólnokrajowemu problemowi.

Zaproszenie z Białego Domu umożliwiło zabranie ze sobą kilku osób towarzyszących, więc pojechałam tam z siostrą, bratem oraz z Benem. Niewielu jest ludzi, dla których na jedno skinienie rzuciłabym wszystko i poleciała na drugi koniec Ameryki. Jednym z nich jest prezydent Obama. Dwoje pozostałych to Tatiana Maslany z serialu *Orphan Black* i któryś z jej klonów. Czulałam się po prostu wspaniale, mogąc uczestniczyć w tym spotkaniu w Białym Domu. Podszedł wtedy do nas raper Wale, a także dwaj zawodnicy z drużyny koszykarskiej Washington Wizards, którzy działają przeciwko powszechnemu dostępowi do broni. Podczas wizyty trzymałam się blisko nich.

Tuż przed przyjściem prezydenta ustawiliśmy się wszyscy w kolejce. Poprawiłam paski i krawaty graczom Washington Wizards. Nagle zauważyłam, że mam na nodze trochę błota, więc szybko polizałam palec i starłam je, albowiem wykazuję równe zamiłowanie do elegancji, co do higieny. Zachowywaliśmy się trochę jak małe dzieci, które mają pozować do wspólnego zdjęcia na zakończenie roku szkolnego. Kiedy powoli zbliżaliśmy się do prezydenta, ludzie z obsługi polecili nam zapisać swoje imię, nazwisko i zawód na małej, eleganckiej karteczce, a następnie wręczyć ją wyglądającemu na stoika oficerowi marynarki wojennej. Ten miał nas przedstawić Obamie, zanim uściśniemy mu dłoń. Nadeszła moja kolej; oficer zerknął na to, co napisałam na kartce, i bez mrugnięcia okiem oznajmił z wojskowym zdecydowaniem: „Amy Schumer. Modelka!”

Wystąpiłam do przodu, a prezydent Barack Obama uśmiechnął się do mnie.

Podaliśmy sobie dłonie. On odezwał się pierwszy:

– Amy Schumer. Jest pani bardzo dowcipna. – Jego głos brzmiał dokładnie tak, jak w telewizji.

– Pan również.

– *Wykolejona* bardzo się nam podobała – powiedział.

– Oglądał pan *Wykolejona*?!!!

Skinął głową i odrzekł:

– Oczywiście.

Nie mogłam w to uwierzyć. Był świetny. Nadal ze mną rozmawiał, ale nie chcąc zabierać mu więcej czasu, poprosiłam, by zrobiono nam wspólne zdjęcie. Widać na nim, że normalnie straciłam głowę, taka byłam poruszona i podekscytowana. Prezydent podziękował mi za działalność skierowaną przeciwko przemocy z użyciem broni palnej, ja również mu podziękowałam i przeszłam do sali, w której miała się odbyć konferencja prasowa.

Chwilę potem prezydent stanął przed kamerami i, co ważniejsze, przed ludźmi, którzy w wyniku strzelaniny stracili dzieci. Byli to głównie rodzice ofiar masakry w szkole podstawowej Sandy Hook w Newtown w stanie Connecticut. Obama wygłosił wtedy najbardziej poruszające, najbardziej szczere przemówienie, jakie kiedykolwiek słyszałam i jakie zapewne kiedykolwiek usłyszę. Mówił o uczniach klas pierwszych, którzy wówczas zginęli. Powtórzył te słowa – „pierwszoklasiści” – i uronił kilka łez. Widziałam je. Otarł te pod lewym okiem, ale pod prawym nie. To zrobił chwilę później. I mówił dalej: że zdobycie broni palnej jest o wiele za łatwe, zwłaszcza w Internecie albo na targach, że nikt niczego nie sprawdza. A potem zarysował plan naprawy tej sytuacji i nie tylko.

Po konferencji prasowej, kiedy stałam jeszcze chwilę sama, podeszli do mnie ludzie z plakietkami, na których widniały zdjęcia ich zamordowanych dzieci. Rodzice z wizerunkami swoich martwych pociech w klapach marynarek i żakietów. Chcieli mi po prostu o nich opowiedzieć. Niektóre z tych dzieciaków zginęły podczas masakry w liceum Columbine. Sympatyczni rodzice dziewczynki, którą zastrzelono w kinie w mieście Aurora, wspomnieli, że ich córka była moją fanką. Słuchałam ich, tuliłam, obiecałam, że nie ustane w walce o wspólną sprawę.

Przez cały tamten dzień, spędzony w Białym Domu, myślałam o Mayci i Jillian. Wiele godzin udawało mi się powstrzymać łzy, lecz gdy w trakcie konferencji prasowej prezydent wspomniął o strzelaninie w Lafayette, wybuchnęłam płaczem. Te dwie kobiety już na zawsze pozostaną w moim sercu. Nigdy o nich nie zapomnę. Każdego dnia ciężko pracuję, aby uhonorować ich pamięć, i staram się żyć tak, aby były ze mnie dumne.

Po wizycie w Białym Domu w swoich występach stand-upowych często nawiązywałam do problemu broni palnej. Także w programie telewizyjnym nie omieszkłam o nim wspominać. Krytyczne nastawienie niektórych widzów, wyrażane potem w Internecie, zawsze robi na mnie duże wrażenie – że ujmę to bardzo delikatnie. Wielu wkurza się, iż władze chcą im „odebrać [ich] broń”, a przecież ja wcale o to nie zabiegam. Celem naszego ruchu jest niedopuszczenie do aktów przemocy z użyciem

broni palnej i poprawa bezpieczeństwa obywateli. A ludzie wściekają się na mnie na Twitterze (oto jeden z najmilszych, najłagodniejszych wpisów, jakie dostałam): „Za bardzo się szarogęsisz, Schumer! To nie twoja liga, lepiej trzymaj się tego, co robiłaś do tej pory!”. Oczywiście najczęściej nazywa się mnie grubą cipą, który to epitet zdążyłam z czasem polubić.

Lecz internauci nie mają racji (i nie chodzi mi teraz o grubą cipę, bo to rzecz gustu). Mylą się, twierdząc, że to nie jest moja liga. Ponieważ ja dobrze rozumiem ten problem. Wy zapewne też. Każdy, kto żyje, oddycha i posiada własne zdanie o tym, czy pierwszoklasiści powinni ginąć zastrzeleni w szkole, czy nie, ma odpowiednie kwalifikacje do wypowiedzania się w rzeczonym temacie. Nie jestem politykiem ani cwana Żydówką nienawidzącą NRA, jak mówi się o mnie w pewnych częściach kraju. Większość członków NRA to wspaniali ludzie, jednak ich liderów pęta szaleństwo. Jestem tylko jedną z wielu Amerykanek, które uważają, że powinniśmy wykazywać więcej zdrowego rozsądku i nie dopuszczać, aby nasze dzieci, rodziny i przyjaciele ginęli od pocisków wystrzelonych przez niestabilnie psychicznie osoby, z broni, której osoby te nie mają prawa dotknąć.



Mayci Breaux



Jillian Johnson

Pragnę podziękować Jasonowi Rzepce i Noelle Howey z organizacji Everytown za przybliżenie mi danych statystycznych na temat zbrojnej przemocy oraz wprowadzenie w problematykę przepisów dotyczących broni palnej. Chcę również wyrazić wdzięczność rodzinom Mayci Breaux i Jillian Johnson za to, że ofiarowały mi zamieszczone wyżej zdjęcia i pozwoliły czcić pamięć Mayci i Jillian.

Co mnie uszczęśliwia

Moja kilkuletnia bratanica, kiedy się śmieje. A zresztą zawsze, cokolwiek robi. Uwielbiam, jak wymawia moje imię, krzycząc „Mimi!” na mój widok. A także jej włosy, które przez pewien czas przypominały owłosienie Benjamina Franklina.

Nadziewane bułeczki. Ale nie takie ze sklepu, które sprzedają po sześć w opakowaniu. Mam raczej na myśli te z herbaciarni Alice’s Tea Cup w Nowym Jorku, zarówno wegańskie (nie dlatego, że jestem weganką, ale ponieważ mają zajebiste nadzienie), jak i te z dodatkiem czekolady (tylko nie białej, lecz prawdziwej). No dobra, te ze sklepu też lubię.

Kiedy ci, których kocham, są szczęśliwi.

Jazda konna. Gdy byłam dzieckiem, mieliśmy na prowincji małą farmę. Tam uczyłam się jeździć na najmniejszym koniku w miejscowej stajni, początkowo tylko w kółko. Od tamtej pory dosiadam rumaka, gdy tylko mam okazję. Bez żadnych skojarzeń proszę. Kilka lat temu leżałam sobie na kanapie w domu siostry i oglądałam *Grę o tron*, gdy Kim weszła do pokoju i spytała: „Kotku, nie chciałabyś pojeździć konno?”. Siostra mieszka pośrodku Chicago, nie ma tam żadnych koni, ale ja bez słowa wstałam i wyszłam za nią na dwór. Na ulicy stał wierzchowiec. Nazywał się Norman. Zaprzyjaźniliśmy się.

Nowy, ekscytujący dowcip, który opowiadam na scenie, nawet jeśli nie znajduje większego poklasku. Opowiadanie nowych kawałów nigdy się nie starzeje.

Kiedy słucham, jak mój brat, Jason, gra na rogu. Oboje kochamy Milesa Davisa, Johna Coltrane’a i Theloniousa Monka, co nie przeszkadza Jasonowi wykonywać swobodnych, zwariowanych kawałków zwanych „wolnym jazzem”. Coś takiego można było usłyszeć jako tło muzyczne w serialu *Homeland* na znak, że Claire Danes jest bardzo zestresowana. Trudno, ja po prostu uwielbiam go słuchać. Niekoniecznie na jakiejś scenie. Czasem, gdy jestem w domu, dobiega mnie słodki dźwięk rogu płynący z drugiego pokoju; wtedy natychmiast wypełnia mnie błogi spokój.

Oglądanie brytyjskich albo irlandzkich programów o przestępstwach na tle seksualnym, najlepiej w domu mojej siostry i szwagra. Im bardziej obcy akcent, tym zasadniejszy powód, dla którego pod koniec odcinka muszę zmieniać bieliznę. (Auuuuu). Serio mówię. Powinnam to oglądać z napisami.

Siedzenie z przyjaciółmi w klubie Comedy Cellar, gdzie ciągniemy łacha jedni z drugich. Zwłaszcza z Keitha Robinsona, który nigdy, ale to nigdy nie ma w niczym racji, ale jest tak przywiązany do swoich argumentów, jakby zależało od nich całe jego życie.

Orgazmy.

Jazda motorówką albo skuterem wodnym tak szybko, że łeb urywa i człowiek musi się drzeć.

Tulenie trójnogiego psa mojej siostry, Abbotta, najlepiej wylegując się na kanapie. Nasza relacja to teraz coś fantastycznego, ponieważ nie muszę go już przekupywać smakołykami i wiem, że jego miłość do mnie nie jest motywowana żywieniowo.

Rozbawianie ludzi tak, aby płakali ze śmiechu.

Kiedy budzę się obok faceta, w którym jestem zakochana. Ale potem natychmiast przekręcam się na drugi bok, żeby nie widział mojej wymiętej twarzy i nie poczuł oddechu

śmierdzącego jak pielucha niemowlęcia. Cóż, on i tak przyciąga mnie do siebie i wciska się w mój tyłek jakby nigdy nic.

Moja siostra. Wspólna gra w siatkówkę, wspólne oglądanie serialu *Orphan Black* oraz spożywanie makaronu. A także wspólne picie i palenie zioła. Wspólne podróżowanie po świecie, kręcenie programów dla telewizji i filmów, z których obie jesteśmy dumne. Skłanianie jej do uśmiechu przed kamerą. Czasem zmuszam Kim, żeby wystąpiła w jakimś skeczu w telewizji, i wtedy – to jedna z moich ulubionych rozrywek – robię wszystko, by ją rozbawić. Rozwalam w ten sposób tyle ujęć, ile się tylko da. Wiem, że w takich sytuacjach siostra wpada w panikę i martwi się, że przez ten jej śmiech wszyscy tracą swój cenny czas, ale ja i tak nie mogę się powstrzymać.

Gdy jakieś małe zwierzę jeździ na grzbiecie dużego (jak na przykład Didymus i Ambrosius w *Labiryncie*). Albo filmiki, na których lew i foka zostają kumplami i tym podobne.

Kiedy obok mnie przejeżdża ktoś na elektrycznym wózku inwalidzkim – chętnie podnoszę wtedy rękę tak, aby zasłonić ciało tej osoby, przez co wygląda, jakby śmigąła sama jej głowa.

Ugryzienie przez psa. Użądlenie przez pszczołę. Sorry.

Śmiechy i krzyki z dawnymi koleżankami z liceum, które próbują palić trawkę w toalecie czy gdziekolwiek indziej podczas moich występów, niezależnie od klasy lokalu. Usiłowały jarać zioło na *Saturday Night Live* i w Carnegie Hall.

Kiedy słucham, jak moja siostra dzwoni do restauracji, ponieważ dostarczono nam nie to, co zamawiałyśmy, albo sosu było za mało. Zawsze zaczyna bardzo spokojnie, ale po pół minucie rzuca kurwami.

Długie rozmowy z przyjaciółką, z którą siedzimy na kanapie i patrzymy sobie w oczy. Rozmowy o facetach i dziewczynach obecnych kiedyś w naszym życiu i o tym, co się z nimi stało. Tak, wino też jest. Nie chciałam tego dodawać, ale skoro nalegacie i robicie z tego wielkie halo, to proszę bardzo: tak, popijamy wino, chyba że niezbędna okaże się whisky.

Zawieranie nowych znajomości, zwłaszcza przyjaźni. To trudne dla osób po dwudziestce, jednak od czasu do czasu trafia się ktoś, w kogo naprawdę chce się zainwestować. Bardzo szczególne doświadczenie.

Wędzony łosoś.

Oglądanie występów Dave'a Attella. Nikt nie jest w stanie doprowadzić mnie do takiego śmiechu jak on.

Seks. Wiem, że mówiłam już o orgazmie, ale seks jest wspaniały i też powinno się go wymienić.

Kiedy się zakochuję.

Jutro wyrzy słońce

Gdy poznałam Bena, od trzech lat byłam singielką. No, może nie do końca. Będzie ze trzech kolesi, którzy po przeczytaniu tych słów mogliby wykrzyknąć: „NO CO TY PIERDOLISZ, SCHUMER?!”. Na co ja: „Tylko nie »Schumer«, dobra? Między innymi właśnie dlatego z wami zerwałam!”. Nie no, żartuję. Ale faktycznie w ciągu tych trzech lat miałam trzech partnerów. Ups! To znaczy czterech. Przed chwilą przypominałam sobie o jeszcze jednym. Jednakże zawsze sprawa kończyła się po paru miesiącach i nigdy nie miałam wrażenia, że między którymś z nich a mną dzieje się coś poważniejszego. Po prostu się zabawialiśmy. Przymierzaliśmy się do siebie tak, jak przymierza się spodnie. Niekiedy dzwoniłiśmy, używając słowa „kochanie”, przedstawialiśmy sobie naszych znajomych albo kreśliliśmy ewentualne plany na przyszłość, których nigdy nie zrealizowaliśmy. Zanim poznałam Bena, nie wychodziło mi z facetami.

W tamtym okresie największą satysfakcję czerpałam z pracy. Tak, wiem, że to zdanie brzmi jak zawołany krzyk rozpacz. „Och, z jaką radością rzucam się w wir obowiązków zawodowych” (*polyka fiołkę proszków, popijając litrem jacka daniel'sa*). Mówię jednak serio. Dziwne, lecz taka satysfakcja naprawdę jest możliwa, choć mało prawdopodobna. A ponadto życie singielki wręcz niepokojąco mi się podobało. Byłam wtedy prawie pewna, że aby poczuć się ze sobą absolutnie dobrze, będę potrzebować jakiegoś romantyzmu bądź innego bodźca dla swojej aktywności seksualnej, lecz mimo to taka potrzeba się nie ujawniła. Cały czas towarzyszyło mi znakomite samopoczucie, chociaż harowałam jak bury osioł, robiąc to, z czego jestem dziś naprawdę dumna. (Jak na przykład ze sceny w moim programie telewizyjnym, w której pewna przestraszona dziewczyna puszcza bąki w sposób niekontrolowany, co ostatecznie prowadzi do tego, że ginie, zamordowana). Mój zawód jest fajny i zapewnia sporo zabawy, a to bardzo pomaga.

Ponadto miałam już za sobą ten okres paniki, który ogarnia nas, kiedy wszystkie nasze koleżanki powychodzą za mąż w wieku dwudziestu paru lat i urodzą dzieci. A gdy kończymy trzydziestkę i nadal jesteśmy singielkami, wpadamy w jeszcze większą panikę. Przechodząc tę fazę, byłam tak przerażona, że zaczęłam zawierać umowy z moimi ówczesnymi partnerami: jeśli po przekroczeniu lat czterdziestu nadal będziemy samotni, to weźmiemy ślub, pozwalając sobie jednak na spotkania z innymi osobami i czekając, aż nasz związek w pełni dojrzeje. Obserwując różne małżeństwa w moim otoczeniu, doszłam do wniosku, że tego typu układ z przyjacielem (albo dwoma) zawarty w dojrzałym wieku wcale nie jest aż takim szaleństwem. Kretyńskie było chyba tylko to, że weszłam w bardzo wiele „paktów małżeńskich”. Kombinowałam bowiem tak, aby moja sytuacja po czterdziestce stanowiła odwrotność tej z serialu *Trzy na jednego* – chciałam mieć przy sobie kilku sprawdzonych mężów-współbraci. Dlaczego takie rzeczy nie istnieją?!

Moi rodzice zaliczyli po kilka małżeństw. Mówiąc precyzyjnie: każde z nich brało ślub trzykrotnie, z czego płynie morał, aby nie inwestować w nikogo zbyt dużo miłości, ponieważ za parę miesięcy może tę osobę zastąpić ktoś inny. Miewałam infekcje dróg moczowych trwające dłużej niż niektóre małżeństwa moich rodziców. Aczkolwiek każdy

ich kolejny związek skutkowałam dla mnie tym, że poznawałam swoje nowe „rodzeństwo”. Kiedy mama albo tata byli z kimś dłużej i na poważnie, zawsze chcieli doprowadzić do spotkania z dziećmi drugiej strony. Za pierwszym razem inwestujemy w nich uczucia. Myślimy sobie: *O rany! To przecież moja nowa siostra (mój nowy brat). Pewnie będziemy się wymieniać ciuchami, a we wtorki chodzić na herbatkę do Alice’s Tea Cup!* Okazujemy im zainteresowanie należne istotom ludzkim. Zadajemy pytania w rodzaju: „Kiedy masz urodziny? Lubisz buraki? Używałaś kiedyś wibratora?”. No dobra, to ostatnie raczej nie. Ale przy trzecim małżeństwie, poznając swoje przyrodnie rodzeństwo numer ileś tam, człowiek w końcu zapamiętuje ich imiona, a nawet – jeśli mu zależy – rozpoznaje ogólną aurę.

Gdy mój ojciec stanął na ślubnym kobiercu po raz drugi, tym razem z Melissą, miałam już tę strategię opanowaną. Małżeństwo zawarł głównie po to, by móc korzystać z ubezpieczenia zdrowotnego żony. Czy istnieje coś bardziej romantycznego i bardziej sexy? Jakże rycerskie to były zaloty! Gdybym miała nakręcić trzysekundowy klip obrazujący tę scenę, na początku pokazałabym bardzo pechową kobietę, która upuszcza portmonetkę. Wypada z niej karta ubezpieczeniowa Blue Cross Blue Shield, bardzo dramatycznie wypada, a mój tata z wolna ją podnosi, nie nawiązując z damą kontaktu wzrokowego. Po oficjalnych zaręczynach wybraliśmy się na kolację do stekowni Ruth’s Chris, gdzie Melissa przedstawiła nas swojej córce.

Mój ojciec miał okazję bywać w większości lokali tej sieci w całym kraju, co zresztą napawało go dumą. Chętnie by wam opowiedział – gdybyście zechcieli słuchać – jakie miasta Ameryki musi jeszcze w życiu odwiedzić. Do tej konkretnej restauracji tata zabierał Kim i mnie na tyle często, że stało się to naszą małą tradycją. Posiłek rozpoczynaliśmy zwykle od kalmarów (lubię te z odnóżami, nie brzydzę się; jadam ponadto języki wołowe w kanapkach oraz karpia po żydowsku. Się nie pierdolę!), potem szła zapiekanka ziemniaczana, następnie krem szpinakowy i polędwica, wciąż głośno skwiercząca od gorącego jak lawa masła, w którym ją zamaczano. Gdy więc tata chciał nas gdzieś przedstawić osobie mającej zostać naszą nową (w danym momencie najnowszą) siostrą, oczywiście wybrał w tym celu restaurację Ruth’s Chris. Zdawałyśmy sobie sprawę z faktu, że cała zabawa wkrótce się skończy i nasza chwilowa siostrzyczka zniknie z naszego życia. Dlatego – kiedy ona zaczęła mówić, jak bardzo się cieszy, bo zawsze pragnęła mieć siostrę – Kim i mnie pękły serca. Wypiłyśmy alkohol, który nam podano (choć byliśmy nieletnie), i jak najszybciej zjadłyśmy nasze steki, żeby mieć ten posiłek za sobą.

Małżeństwo z Melissą trwało kilka miesięcy i równie długo cieszyłyśmy się nową siostrzyczką. Wciąż myślę o tej dziewczynie, ilekroć... NIGDY. Nigdy o niej nie myślę.

Ale wracając do rodziców i ich parady matrymonialnej: kiedy mama poznała tatę, była w trakcie rozwodu. Z pierwszym mężem o imieniu David miała syna – czyli mojego brata, Jasona. W chwili ich rozwodu Jason liczył kilka lat, wkrótce potem mama wyszła za mojego ojca. Ja urodziłam się rok później, potem także Kim udało się przemknąć na ten świat. Każde z nas, rodzeństwa, dzieli różnica czterech lat. Gdy Jason skończył jedenaście, jego tata zmarł nagle na zawał serca (jako trzydziestodwuletniak). Po rozwodzie naszych rodziców mama spotykała się z kilkoma kolesiami.

Najpierw, oczywiście, z jakimś Lou, o którym opowiadałam wam w rozdziale pod tytułem „Mama”, ojcem mojej najlepszej przyjaciółki, Mii. Potem z Johnem, który okazał się co najmniej kokainistą, a zdaniem mojego rodzeństwa i moim – także skończonym palantem. Po zaledwie paru miesiącach znajomości mama uznała za stosowne, aby wprowadzić tego faceta do domu, w którym mieszkała razem z nami, swoimi dziećmi. Pewnego razu nasza rodzicielka wybrała się na turniej siatkówki, zabierając ze sobą Kim, a mnie zostawiła z Johnem samą. John zaś poszedł w tygodniowy narkotyczny ciąg, zapominając o mnie zupełnie. Też mnie zostawił. Jako nastolatka byłam na to przygotowana i nic mi się nie stało, ale uważam, że życie z narkomanem i idiotą to żadna atrakcja. Ponieważ jednak wszelkie wątpliwości należy interpretować na korzyść oskarżonego, czyli mojej mamy, dodam tylko, że są chyba gorsze sprawy niż wpuszczenie do domu, w którym są dzieci, kokainisty, na przykład takie jak... Nie, kokainista kretyn jest najgorszy. Po tym zajściu mama na chwilę zerwała z tym facetem, ale potem znów byli razem i kilka miesięcy później sytuacja się powtórzyła.

Następny był Andrew, człowiek bardzo, ale to bardzo powolny. Mówię wam: bohater filmu *Sam* byłby od niego szybszy we wszystkim. Na przykład w grze *Czółko*. Dalej idzie Doug, ukochany z lat dzieciństwa naszej mamy, który przez krótką chwilę wychynął na powierzchnię, oraz Hank, do którego się niemal wprowadziliśmy.

A także kilku innych; żadnego z nich nie lubiłam. Prawdę mówiąc, starałam się odstraszać jej absztyfikantów. Gdy tylko mama przedstawiała mi któregoś, natychmiast zwracałam się doń per „tatusiu” i robiłam wszystko, co w mojej mocy, aby poczuł się nieswojo. Zaglądałam mu w oczy i mówiłam: „Mama rozkochuje w sobie facetów, ale szybko się nimi nudzi. Ciebie też się pozbędzie w ciągu tygodnia, jak chusteczki higienicznej”. Śmiali się, myśląc, że żartuję. Dopóki nie lądowali w koszu.

Trzecim mężem mamy został Moshe, perski Żyd z Izraela, który miał warsztat samochodowy w Queens. Moshe był uparty, hałaśliwy, żenujący, wyrażał też zdecydowane opinie na różne sprawy. Rozumieli się z mamą świetnie, naprawdę się kochali. Że są małżeństwem, dowiedziałam się dzięki zdjęciom, które mama zostawiła na kontuarze w kuchni. Trwał akurat weekend, a ja przyjechałam do domu z college’u. Na jednej fotce stali obok siebie przed sędzią pokoju, z dwojgiem świadków po bokach. Wrzasnęłam na cały głos, żeby usłyszano mnie w drugim pomieszczeniu: „Wysłaś za Moshego?!”. Mama odkrzyknęła: „No!”. Zrobili to, żeby facet mógł pozostać w Stanach, lecz potem przyszedł jedenasty wrzesień i przyznanie obywatelstwa irańskiemu Żydowi okazało się znacznie trudniejsze. Po kilka latach mama i Moshe się rozwiedli; on musiał wrócić do Izraela, aby zająć się swoimi rodzicami. Nigdy już nie wpuszczono go do Ameryki ponownie. Wciąż za nim tęsknię. Był dobrym człowiekiem, bardzo kochał i nas, i mamę.

Mama spotyka się czasem z mężczyznami. Liczę, że znajdzie sobie w końcu kogoś, przy kim będzie się mogła zestarzeć, o ile tego właśnie chce. Niekiedy odnoszę bowiem wrażenie, że ona pragnie być sama, który to instynkt dobrze rozumiem. Będąc kobietą nieustannie podróżującą, świetnie wiem, jak trudno jest dzielić życie z inną osobą, przyzwyczajaiwszy się już do samodzielności i samotności. Trzeba zadawać jej pytania w rodzaju: „Co byś zjadł na kolację?” albo „Nie podzieliłbyś się tym kocem?” lub „Mogę

dokończyć twoje danie?” bądź „Czy na kolację mogą być świnki w kocykach? (czyli zwykle parówki w cieście)”. A to bywa trudniejsze, niż się wydaje. Chociaż jednocześnie bardzo fajne. Sama już nie wiem. Trochę się rozkojarzyłam. Czy jest coś lepszego od świnek w kocykach? Odpowiedź znajdziecie w mojej następnej książce, która będzie nosić tytuł *NIC*.

Pewnego dnia, ni stąd, ni zowąd, mój lęk, iż zestarzeję się samotnie, nagle zgasł. Czułam, że żyję pełnią życia. Liczne małżeńskie porażki moich rodziców nie wyczerpują przecież zagadnienia miłości: słyszałam także opowieści o udanych związkach oraz baśnie o ludziach szczęśliwych, którzy poznali się dopiero po pięćdziesiątce lub sześćdziesiątce – i trochę się uspokoiwszy, łagodnie wkroczyłam w czwartą dekadę życia. Czasem się z kimś umawiałam, ale sprawy męsko-damskie już nie pochłaniały mnie tak, jak dekadę wcześniej. Dni upływające pod hasłem „On do mnie dziś jeszcze nie dzwonił, a już piętnasta – dlaczego? co to znaczy?!” naprawdę minęły. Uświadomiłam sobie, że niczego mi w życiu nie brak. Czułam się silna i ładna we własnej skórze, która to siła brała się z mojego wnętrza. Nie z wizerunku w oczach jakiegoś kolesia, w które się wgapiałam, nie z mojego odbicia w jego źrenicach. Poczułam, że wreszcie dostałam od życia wszystko to, czego pragnęłam.

To był wspaniały rok. Wiecie, bo czytaliście o tym wcześniej w tej książce... Na ekrany wszedł mój film, poprowadziłam *Saturday Night Live*, nagrałam też godzinny program specjalny dla HBO, który wyreżyserował jeden z moich idoli, Chris Rock. Tak więc marzenia spełniały się wszystkie naraz i coraz więcej ludzi zwracało na mnie uwagę, w tym Barbara Walters. To właśnie ona nazwała mnie jedną z „najbardziej fascynujących osobowości” roku. Pewnie, czemu nie? Nie uważałam się za szczególnie fascynującą, ale skoro Babs tak sądzi, to musi być prawda. Nagralyśmy razem wywiad, podczas którego zadała mi typowe pytanie: gdzie widzę siebie za pięć lub za dziesięć lat. Odparłam, że chcę nadal pisać, produkować programy telewizyjne, reżyserować i tworzyć. Barbara Walters była zaskoczona. Powiedziała: „Nic nie wspominasz o mężu i dzieciach”. Ja też byłam zaskoczona, ponieważ ta myśl nawet nie przyszła mi do głowy. Roześmiałam się w duchu i odparłam: „No, chyba rzeczywiście nie wspominam. Chętnie wyszłabym za mąż i miała dzieci, ale nie wiem, czy w moim przypadku jest to w ogóle realne”.

Być może wysnułam ten wniosek dlatego, że mojej pracy nie da się pogodzić z życiem w stadle małżeńskim, a przede wszystkim – bo już zaczynałam podejrzewać, iż moi rodzice to w gruncie rzeczy urodzeni samotnicy. A ja jestem do nich podobna. Ale czy samotność to coś złego, tak w ogóle? Czasami jest to przecież fantastyczne rozwiązanie, tylko że ludzie zawsze chcą nam w tym „problemie” pomagać, nawet jeśli my nie mamy z nim żadnego problemu.

Również aktualna „więź” moich rodziców, którą zdarza mi się obserwować, stanowi kolejny argument za byciem singlem. Czasami mama, żeby mi pomóc, zawozi różne rzeczy do szpitala, w którym mieszka tata. Dziwne uczucie – patrzeć na tę ich interakcję. Byli małżeństwem czternaście lat, mają dwoje wspólnych dzieci, a teraz rozmawiają ze sobą z ciepłem i zainteresowaniem, jakie okazują sobie ludzie, którzy przez rok chodzili do tego samego ogólniaka, tylko że do innych klas. Ta ich wzajemna obcość musiała się zrodzić już w dniu zawarcia ślubu i odtąd dystans tylko się zwiększał.

Nie chcę nic wiedzieć o szczegółach tego procesu, choć z pewnością je kiedyś poznam, bo tata lubi opowiadać. Pewnego razu rozwodził się na przykład nad niejaką Laną, która została jego trzecią żoną. Chodzili ze sobą jeszcze w latach siedemdziesiątych, kiedy tata był całkiem seksownym ciachem. Opalony, wysportowany, zabawny, na dokładkę zamożny. (Nie wiem, czy „na dokładkę” nie jest wyrażeniem gastronomicznym, ale trudno – już kupiliście tę książkę. Przepadło).

Lana oszalała na punkcie mojego ojca. W latach siedemdziesiątych nosiła własne garnki i patelnie do jego kawalerki i mu gotowała. Zupełnie straciła dla niego głowę, a ponieważ z uporem maniaka kręciła się gdzieś w pobliżu, ostatecznie zmusiła tatę, żeby uznał ją za swoją dziewczynę. Powstrzymam się od wydawania sądów w tej kwestii, bo jak wiecie, sama przeprowadziłam się do Astorii w Queens, aby złapać faceta. Smażyłam mu steki z delikatnej polędwicy wołowej, podawałam je z kremem szpinakowym i pieczonym ziemniakiem – to jedyne danie, które potrafię przygotować. (A jeśli kiedyś wpadniecie do mnie i zwróćcie mi głośno uwagę, że piekarnik wygląda na nieużywany, to osobiście potnę was kuchennym, nigdy nieużywanym nożem). W każdym razie któregoś dnia na Manhattan przyjechali z wizytą rodzice Lany. Ona i mój ojciec siedzieli sobie w mieszkanku na najwyższym piętrze budynku i popalali gandzię, jak nazywa ją tata. „Wiesz, Aim”, powiedział mi kiedyś, „to była naprawdę dobra gandzia”. Rodzice Lany przyszli, a po krótkiej chwili cała czwórka uznała, że czas wybrać się na jakąś kolację. Wsiedli do windy. Kiedy dotarli do holu na parterze, nagle do budynku weszła piękna kobieta. Mój tata odłączył się od Lany i jej rodziców, podszedł do nieznajomej i spytał: „Przepraszam, czy miała pani kiedyś okazję widzieć apartament na najwyższym piętrze mieszczący się w tym gmachu?”. Kobieta zaprzeczyła. „A chciałaby pani?”. Odpowiedziała, że owszem. Tata zakończył tę opowieść tak: „I to był jedyny raz, kiedy dałem się związać”.

Zbierzmy więc wszystkie fakty, może staną się jaśniejsze: otóż mój ojciec zostawił swoją dziewczynę i jej rodziców w holu budynku, po czym udał się na górę, aby uprawiać seks z nieznajomą kobietą, która najwyraźniej uwielbiała wiązać partnera podczas stosunku. I jeszcze trzydzieści parę lat po fackie tata odczuwał potrzebę opowiedzenia o tym swojej córce. Ojciec Lany walił w drzwi mieszkania i nieustannie wyzywał mojego rodziciela, który zamknął się z obcą kobietą na wiele godzin. A mimo to, trzy dekady później, Lana zapragnęła znów związać się z tatą i zostać moją macochą numer dwa.

Mniej więcej tydzień po wywiadzie z Barbarą Walters spotkałam się ze swoją przyjaciółką Vanessą Bayer, z którą plotkowałyśmy trochę o facetach. Obie miałyśmy zawsze na podorędziu jakiegoś kolesia lub dwóch, którymi się zabawiałyśmy, ale którzy tak naprawdę nas nie ekscytowali. Sprowadzało się to właściwie do wysyłania sobie esemesów, bez randek. Wiem, że enuncjacje te mogą zabrzmieć tak, jakbyśmy z Vanessą przebierały w różnych fiutkach, ale to nieprawda. Chodziło tylko o esemesy. Nie żeby w przebieraniu w fiutkach było coś złego. Taki będzie tytuł mojej trzeciej książki – *Żonglowanie fiutkami*. No więc Vanessa powiedziała, że słyszała o aplikacji randkowej na komórkę zaprojektowanej specjalnie dla ludzi kreatywnych, którą lubi wielu

celebrytów. Postanowiłyśmy wkroczyć do gry. Wybierasz parę swoich fotek do umieszczenia w portalu, a także piosenkę, która zabrzmie, kiedy ktoś kliknie w twój profil. Ja zdecydowałam się na *Dirty Work* grupy Steely Dan, uznając, że śmiesznie będzie wstawić coś takiego na portalu randkowym. Na profilówce nosiłam okulary przeciwsłoneczne i czapkę bejsbolową. Żadnego makijażu. To było selfie, moja gęba wyglądała na nim ohydnie, normalnie jakbym umierała. Zresztą zdjęcie zostało zrobione podczas długiej pieszej wędrówki, więc naprawdę umierałam. Dołączyłam ponadto fotkę Sophii z sitcomu *Złotka*, wizerunek Claire Danes z serialu *Homeland*, jak robi tę swoją płaczącą minę, a także jedno normalne zdjęcie, na którym się uśmiecham i noszę bluzę z kapturem. Założyłyśmy swoje profile w tym samym momencie, a potem chichotałyśmy z Vanessą jak dwie małe dziewczynki.

Kliknęłyśmy też w parę zdjęć facetów, którzy wyglądali na przystojniaków – jak się okazało, wszyscy byli albo modelami, albo fotografami. Każdy z nich zapodał te same dwie piosenki Rolling Stonesów, jednakowe fotki na motocyklach, na spacerze z buldogiem, ze staroświeckim aparatem gdzieś w Europie albo jak skacze z urwiska do wody na bombę, najpewniej w tropikach. Byli atrakcyjni – zbyt atrakcyjni – i wyglądali na pełnoetatowych łowców cipek. Zniechęcające. Po zaledwie czterech godzinach bytowania na tym portalu miałam szczerą ochotę dać sobie z nim spokój. Cisza, amen.

Ale postanowiłam trochę odczekać. Zmusiłam się do polajkowania profili czterech facetów i po półgodzinie dostałam pierwsze dopasowanie. Miał na imię Ben. Na zdjęciu profilowym tańczył ze swoją babcią, chyba na jakimś weselu. Wybrał sobie utwór pod tytułem *LSD* rapera A\$AP Rocky'ego, mój ulubiony kawałek z tego albumu. Ben nie był aktorem czy fotografem z zawodu jak tamci goście, poza tym nie mieszkał ani w Los Angeles, ani w Nowym Jorku, tylko w Chicago. Przesłaliśmy sobie proste „cześć”, a potem po krótkiej, dość zabawnej wiadomości.

Minęło kilka godzin, a my wciąż do siebie pisaliśmy. Był dowcipny, troszkę dziwny, ale interesujący, wskutek czego wpadłam w paranoję. *To musi być pułapka. Jestem przecież celebrytką. Jutro przeczytam zapis tej rozmowy na jakiejś gównianej stronie internetowej.* Powoli zaczynało mi odbijać, strach rósł. Oznajmiłam więc Benowi, że chcę skorzystać z funkcji wideorozmowy FaceTime, aby mieć pewność, iż nie wkręca mnie jakiś komputerowy świr z upodobaniem do komediowych podcastów. Odparł: „Jasne, nie ma problemu”. Próbowaliśmy się połączyć, jednak Wi-Fi w mojej starożytnej kamienicy nie działało, więc Ben do mnie zadzwonił; kilka minut gadaliśmy przez telefon, jak ludzie z dawnych czasów. Miał głos podobny do Christiana Slatera, w słuchawce również skrzył się dowcipem. Moje nazwisko obilo mu się o uszy, chociaż nie widział ani mojego filmu, ani programu telewizyjnego, ani żadnego z występów stand-upowych. Przyjemnie się z nim rozmawiało. Kiedy skończyliśmy, pomyślałam, że to całkiem spoko facet i że chciałabym go kiedyś poznać osobiście. I to właściwie tyle, więcej się nad tym nie zastanawiałam.

Korzystając z aplikacji, pisałam też z paroma innymi gostkami i miałam nawet luźne plany, żeby z niektórymi z nich się spotkać, co jednak nigdy nie weszło w fazę realizacji. Po niecałych dwóch dobach skasowałam swój profil. Wiązały się z tym wszystkim zbyt intensywne doznania – gdybym zobaczyła kolejne zdjęcie kolejnego

faceta siedzącego na jachcie i zapatrzonego gdzieś w dal, tobym chyba podcięła sobie żyły, a następnie wskoczyła do ciepłej kąpieli. Jednak parę tygodni później sama skontaktowałam się z Benem, ponieważ wybierałam się do Chicago odwiedzić brata. Powiedział, że właśnie jedzie samochodem do Nowego Jorku. Ben projektuje meble, wtedy wiozł jednemu z klientów parę swoich pomysłów. Umówiliśmy się na drinka u mnie w domu, jeszcze tego samego wieczoru. Ów niebezpieczny pomysł spotkał się z natychmiastowym wetem mojej siostry, która zasugerowała, że powinniśmy się spotkać w jakiejś cichej, niewielkiej restauracji. Nie w moim mieszkaniu.

Wiem, że to brawura zapraszać do domu faceta, którego się nigdy nie widziało na oczy, ale to i tak nic w porównaniu z wyczynem taty antycypującym *Pięćdziesiąt twarzy Greya* w apartamencie na ostatnim piętrze. Skoro już o tym mowa: na pewno umieracie z ciekawości, czy Lana przebaczyła mojemu ojcu po tym, jak czmychnął z kompletnie obcą kobietą, by dać się jej związać niczym wieprzek. Odpowiedź brzmi „tak”, ponieważ Lana jest nieźle S-T-U-K-N-I-Ę-T-A. Miała adoptowaną córkę, mniej więcej siedmioletnią Wietnamkę o imieniu May. Kiedy się okazało, że nasi rodzice chcą się pobrać, May była pod wielkim wrażeniem: oto już do końca życia będzie mieć dwie nowe siostry, Kim i mnie. Przylgnęła do nas tak mocno, że się serce krajało. My udawałyśmy, iż wszystko gra, chociaż nie trzeba było wróżki, aby się domyślić, jaki los czeka ów związek. Bardzo chętnie utrzymywałabym kontakt z May, lecz jej mama zrobiła wszystko, żeby to uniemożliwić.

Tata zbliżał się wtedy do sześćdziesiątki i był już bardzo chory, a ślub brał na wózku inwalidzkim. Pojechaliśmy na Long Island do ni to kaplicy, ni to prywatnego domu, generalnie nawiedzonego miejsca. Człowiek, który prowadził ceremonię ślubną, mógłby pracować jako kelner w klubie Doktor Jekyll i Mr Hyde – na widok jego otyłej postaci dostawało się gęziej skórki. W ogóle przypominał faceta z tej sceny z filmu *Sok z żuka*, gdy podczas kolacji wszyscy śpiewają *Day-O*. Lana, nasza nowiuteńka macocha, wystąpiła w białej sukni z welonem i w widowiskowym makijażu, który obejmował nawet sztuczny pieprzyk.

Przyjęcie odbyło się w chińskiej restauracji. Uczestniczyło w nim około czterdziestu osób, z czego dziewięćdziesiąt osiem procent stanowili goście ze strony Lany. Wszyscy jej znajomi wydali mi się bardzo dziwni, a nawet nieco irytujący; większość udzielała się w miejscowym teatrze amatorskim. Gdy wznieśli toast na cześć nowożeńców, Lana wstała i wygłosiła – nie przesadzam – dwudziestopięciominutową mowę, pełną dygresji i kompletnie pozbawioną sensu. Mimo to byłam zdania, że tata powinien przynajmniej patrzeć w kierunku swojej nowej małżonki, kiedy ta czyta przemówienie z kartki, zwracając się do niego, czyli jej męża. Tymczasem on w trakcie tej cholernej tyrady nawet nie rzucił na nią okiem. Ani razu. Jadł sobie wieprzowinę moo shu i smażony ryż z krewetkami, nie zwracając na Lanę najmniejszej uwagi, jakby jej wcale nie było. Dziwne, ale jej to najwyraźniej nie przeszkadzało. Nagle zrozumiałam, że oto byliśmy świadkami występu Lany, przedstawienia, które sprawiło jej przyjemność, ponieważ spoczywało na niej bardzo wiele par oczu. Cóż z tego, że nie oczy mojego ojca.

To był ciężki dzień, lecz noc miała się okazać jeszcze cięższa. A wydawało mi się, że gorzej już nie będzie. Nim wieczór dobiegł końca, Kim nieomal zapadła w stan

katatonii. Zdążyliśmy już wypić tyle białego wina z kartonów, ile wpadło w nasze ręce, gdy nagle wydarzenia całkowicie wymknęły się spod kontroli. Poczułam na ramieniu drobną dłoń i usłyszałam słodki głosik formułujący pytanie: „Amy, zaśpiewasz ze mną piosenkę *Jutro wyjrzy słońce?*” (*The Sun Will Come Out Tomorrow*). Dłonie i głosik należały do mojej nowej siostry, May. Była prawdziwie niewinnym, pięknym aniołkiem. Nie mogłam, kurna, uwierzyć, że za chwilę w jakiejś chińskiej knajpie na Long Island zaśpiewam kawałek, którym się brzydę, i to razem ze swoją tymczasową wietnamską siostrzyczką. Miałam ochotę odwrócić się i powiedzieć jej: „Nie mogę! Ta piosenka kłamie! A ciebie czekają trudne chwile! Masz stukniętą matkę, sama powinnam wziąć cię na wychowanie, żebyś zaznała chociaż odrobiny szczęścia na tym okropnym świecie!”. Ale rzuciłam tylko: „Taa”. May stanęła na krześle, po czym razem z Kim, trzymając się za ręce, zaśpiewałyśmy we trójkę: „Gdy nadchodzi szary i samotny dzień, unoszę wysoko głowę, uśmiecham się szeroko i wołam »OCHHHHHHHHHH!«”.

Ostatecznie słońce wcale nie weszło nad tym małżeństwem. Pół roku po przeprowadzce wraz z moim niepełnosprawnym ojcem aż do Nowego Orleanu Lana doszła do wniosku, że ma go dość, i dała mu kopa. Wylądował na ulicy. Dosłownie. Wzięła i wywiozła tatę na wózku inwalidzkim prosto na jezdnię, po czym go tam zostawiła. Sam się doturlał do krawężnika. Po jakimś czasie trafił do szpitala na Long Island, a po Lanie i May słuch całkiem zaginął.

Kiedy poznałam Bena, też nie sądziłam, że słońce wzejdzie nad nami. Nie żeby nie zapowiadało się znakomicie, tylko po prostu nie chcę już mówić o swoich związkach za pomocą metafor. Po przejściach z rodzicami wolę suchą, przyziemną nomenklaturę – żadnych słonecznych analogii ani różowych okularów, już nigdy. No chyba że na Instagramie zastosuję filtr o nazwie Valencia, bo dzięki niemu wyglądam superdobrze. W dniu, w którym poznałam Bena, słońce schowało się w sensie dosłownym – padał ulewny deszcz. Wróciłam właśnie z zabiegu akupunktury, miałam we włosach jeszcze trochę olejku, a na policzkach czerwone kreski od leżenia na stole twarzą w dół. Zamiast spodni od dresu włożyłam dzinsy i zeszłam po schodach, żeby powitać go przed domem. Padało, a Ben po prostu stał w strumieniach deszczu, bez parasola czy nawet kaptura na głowie, z rozmokłą papierową torbą, w której kryła się butelka wina. Uśmiechnęliśmy się do siebie i nagle poczułam, że wszystko jest tak, jak być powinno.

Nie okłamałam Barbary – po prostu moja opinia na temat miłości i małżeństwa stale ewoluuje. W przeszłości wypowiadałam się nieraz, że małżeństwo to głupota. Ludzie podpisują ze sobą kontrakt, zobowiązując się do czegoś, czego nie są w stanie zrealizować. Pewnie w przyszłości też nieraz powiem, że małżeństwo jest do kitu. A jednocześnie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego bywa w nim cudownie. Bo w prawdziwym dawaniu siebie drugiej osobie jest coś autentycznie pięknego. W filmie *Mila księżycowego światła* Susan Sarandon i Dustin Hoffman grają małżonków, którzy ciągle się kłócą, ale też się kochają. Padają tam słowa o „byciu świadkiem życia” tego drugiego. Uwielbiam ten obraz i sposób, w jaki pokazano w nim wzajemne oddanie dwojga ludzi. Nie wydaje mi się, żeby moi rodzice kiedykolwiek się do tego choćby zbliżyli. Nie pokazali mi, jak wygląda dobry związek małżeński ani jak wytrzymać w nim do końca. Jeśli któreś z rodziców poważnie choruje, nie sposób się nie zastanawiać, jak

będzie wyglądać kres naszego życia. Słowo daję, zakochując się w kimś, natychmiast zaczynam myśleć o swoich ostatnich dniach życia. Na przykład: *Czy ten gościu będzie kiedyś pchał mój wózek inwalidzki?* Albo jeszcze straszniej: *Czy ja zechcę pchać jego wózek?* To nie są błahostki; niełatwo sobie z takimi myślami poradzić, zwłaszcza w początkowych etapach związku z drugim człowiekiem.

Oczywiście nie wiem, co będzie ze mną i z Benem. Być może zestarzejemy się razem, a może rozstaniemy, nim ta książka trafi na półki, obok czekoladek marki Godiva i bonów podarunkowych. Chciałabym myśleć, że jeśli chodzi o relacje z mężczyznami, to mnie także coś dobrego może się przydarzyć, ale chyba za często stają mi przed oczyma te wózki inwalidzkie. Wygląda na to, że jestem po prostu dzieckiem swoich rodziców. Że wiele od nich przejęłam. Mimo wszystko sadzę, iż warto wziąć tę niewiarę w nawias i jak najdłużej wykazywać postawę otwartą na akceptującą miłość – taką miłość, dzięki której mogłabym dawać siebie każdego dnia.



Co chciałabym,
żeby mówiono na moim pogrzebie

Amy nie żyje, więc wszyscy możemy odetchnąć. Była to kobieta szczerza i uczciwa i tego samego wymagała od nas, co bywało męczące. Dzięki niej świat zdawał się wprawdzie zabawniejszy i trochę bardziej ekscytujący, jednak z pewną ulgą przyjmujemy fakt, iż właśnie nas osierociła. Wiedziemy bowiem te swoje marne żywoty, tkwimy w nich po same uszy, zgnuśniali i zniewoleni myślą, że na to sobie zasłużyliśmy. Wszyscy zbyt łatwo akceptujemy pogląd, że życie musi być ciężkie, zamiast bawić się i szaleć na maksa. Tymczasem Amy brała je lekko i nie dawała sobie w kaszę dmuchać. Jeśli się z kimś przyjaźniła, zrobiłaby dla tej osoby wszystko. Broniłaby jej, zginęła za nią, nawet gdyby tego nie chciano. Uczyniłaby więcej, niż należy, co czasem tylko skomplikowałoby sytuację. Kiedyś napisała na Facebooku posta, w którym gratulowała koleżance roli w nowym filmie Woody'ego Allena, chociaż dziewczyna wcale nie miała tam zagrać. Amy postąpiła w ten sposób, by wzbudzić w byłym partnerze koleżanki (która cierpiała po rozstaniu) zazdrość; wiedziała bowiem, że facet to przeczyta. Choć oczywiście takie zachowanie było niestosowne. I między innymi dlatego damy sobie radę bez niej.

Amy oddałaby wam ostatnią koszulę, którą miałaby na grzbiecie, nawet bez prośnienia, i nigdy więcej o tym nie wspomniała. Była osobą hojną. A także natrętną i arogancką, pieprzyła głupoty każdemu, kogo spotkała na swej drodze. Fajnie się z nią popijało i paliło trawę. A także spożywało grzyby. Natomiast oglądanie z nią telewizji przyjemne nie było, gdyż cały czas gadała: „Zaraz, a kto to jest? Co on powiedział?”. Słuchać innych nie umiała. Ciągłe coś ją rozpraszało i człowiek musiał przywoływać ją do porządku: „Amy, proszę, skup się na chwilę, muszę ci coś ważnego powiedzieć”. Lecz nawet wtedy szansa, że cokolwiek do niej dotrze, wynosiła zaledwie czterdzieści procent.

Dzięki niej czuliśmy się jednak trochę lepiej. Żądała tego od nas i potrafiła być w tym męcząca. Ale będziemy za nią tęsknić. Tak, będziemy tęsknić, mimo że Amy pozostanie z nami na zawsze. Nie tak naprawdę, bo jak wspomniałem na samym początku, ona nie żyje. Nawiasem mówiąc, orientujecie się, czy parking przy cmentarzu jest płatny? Ach, to przecież Nowy Jork, tutaj nie ma czegoś takiego. Szczęściarze. Macie sporo oleju w głowie, że mieszkacie w Nowym Jorku, a nie w Los Angeles.

ZESTAW WYMAGAŃ DOTYCZĄCYCH POGRZEBU AMY SCHUMER, OKREŚLONYCH PRZEZ NIĄ SAMĄ

Przede wszystkim sprawa podstawowa: niech nikt nie nazywa tej uroczystości „celebracją życia” ani „wspomnieniem” po mnie. Wolno tylko używać zwrotu POGRZEB AMY SCHUMER. Bez zbędnych bajerów.

Obowiązuje polityka „zero tolerancji dla kwiatów”. Żadnych wieńców, bukietów, wiązanek, pojedynczych goździków czy innej roślinności w dowolnej formie. Niech każdy przyniesie jakieś danie z makaronu i wrzuci je do trumny. Tylko nie sałatkę makaronową. Aż takimi dupkami nie bądźcie.

Martwe ciało AMY SCHUMER należy usadowić w fotelu w północno-zachodnim kącie sali, na oczy wsadzić mu okulary przeciwsłoneczne, a na głowę – wypróbowaną ciepłą czapkę zimową z napisem „Bez kawki nic się nie załatwi”, jako moje motto nie tylko w tym, ale i w następnym życiu.

STROJE

Wszyscy goście niech się ubiorą wygodnie. Na przykład w spodnie od dresu, welurki i ciepłe skarpetki. Absolutny zakaz wysokich obcasów. Jeśli ktoś przyjdzie w gorszej wyszczuplającym, nie ma prawa wstępu, chyba że będzie to AMBER ROSE. Jej wolno włożyć na siebie, co tylko, k..., zechce.

CATERING/ORGANIZACJA

Proszę zapewnić co najmniej po dwie (2) kanapki na każdego żałobnika. Muszą pochodzić z lokalu Defonte's na Greenpointe na Brooklynie i być w jednej z dwóch wersji: z prosciutto bądź z mozzarellą.

Popisowym drinkiem podawanym podczas stypy winien być koktajl Moskiewski Muł.

Należy też zadbać o bogactwo zajefajnych przekąsek. Na przykład tych na bazie ciasta francuskiego, kiedy nie wiadomo, czy właśnie spożywa się chleb, ser czy śmietanę, a może wszystko razem. Nie oszczędzać na niczym, co można zamaczać w crème fraîche bądź jakimś dipie na bazie truflii. Obowiązuje całkowity zakaz podawania francuskich makaroników (takich ciastek), natomiast te żydowskie są okej. Niech żadna z potraw nie wymaga obecności utensyliów (sztućców i talerzy). Proszę o obfitość świnek w kocykach, jak tylko okiem sięgnąć. Powtarzam, obfitość świnek w kocykach, jak tylko ludzkim i świńskim okiem sięgnąć.

Ponadto:

- Dwadzieścia dwie (22) skrzynki wina chardonnay Rombauer. To z dębowych beczek dajcie jako podstawowe dziadostwo!!!

- Piętnaście (15) skrzynek caberneta Opus One, tego samego, z którym zapoznał zmarłą John Cena.

INFRASTRUKTURA

Toalety i łazienki mają być wolne od osób z obsługi. Proszę przygotować dwie (2) boczne salki rekreacyjne dla gości: jedną (1), gdzie organizowane będą różne quizy i turnieje z pytaniami, oraz drugą – ze stanowiskami do zaplatania warkoczy. Muzykę w tle mają zapewnić HARFIŚCI, ale tylko w toaletach, które powinny być małe, aby obecność HARFISTÓW zniechęciła gości do mycia rąk.

POŻĄDANI ARTYŚCI

Mowy pogrzebowe winni wygłosić:

- Keith Robinson
- Rachel Feinstein (ponieważ pojedzie ostro po Keicie)
- Jimmy Norton
- Colin Quinn (ponieważ zjedzie Nortona)
- Vincent Caramele
- Cayce Dumont
- moja bratanica
- Lena Dunham
- Mark Normand
- Allan Haldeman
- i na koniec Kevin Kane

MUZYKA

Niech w trakcie ceremonii BRIDGET EVERETT zaśpiewa kawałek That's All (To już wszystko). Oprawę muzyczną na początek, środek i koniec imprezy zapewni wspaniały zespół bluegrassowy STEVE MARTIN AND THE STEEP CANYON RANGERS, jeśli tylko będzie mu się chciało.

KWESTIE BEZPIECZEŃSTWA

Całkowity zakaz wstępu na uroczystości pogrzebowe oraz wszelkie późniejsze związane z nimi wydarzenia obejmuje następujące osoby (które nic zmarłej nie zrobiły – po prostu ona nie chce ich obecności):

- Donald Trump
- Mario Lopez, chyba że przyprowadzi Elizabeth Berkley
- Wstęp dozwolony tylko tym partnerom i partnerkom przyjaciół AMY SCHUMER, których ona lubiła. Aby zakwalifikować się do tego grona, trzeba być dobrym i kochać rzeczonych przyjaciół AMY nieustannie. Jeśli choć raz było się dla nich niemłym, dopuszczalna odległość od cmentarza wynosi pięć (5) długości boiska piłkarskiego
- Stand-uperzy, którzy choć raz uprawiali seks tylko dlatego, że uczą scenicznej improwizacji. Chyba że się jest Neilem Caseyem

INNE WYMAGANIA

Proszę umieścić w sali (w salach) znaki z informacją: „Banalne rozmowy towarzyskie i żarciki dla wtajemniczonych zabronione”. A przy wejściu dużą szklaną

mię na klucze od mieszkań i kluczyki od samochodów dla osób, które chciałyby wziąć udział w key party, czyli seksimprezie dla swingersów.

STYPA I POGRZEB

Po ceremonii pogrzebowej wszyscy goście mają uczestniczyć w alkozabawie pod nazwą Edward Piwnoreki. Powinni się oni zaopatrzyć w duże, ponadlitrowe butelki browaru Olde English i przykleić je sobie taśmą izolacyjną do ręki – można się ich pozbyć dopiero po całkowitym osuszeniu rzeczonyj flaszki. Imprezę niech prowadzi didżej Questlove, proszę też zapewnić odpowiednią przestrzeń do tańca. Jako pierwszą macie puścić piosenkę Put It In Your Mouth (Włóż sobie do ust).

Zaraz po zakończeniu zabawy w Edwarda Piwnorekiego goście powinni się udać do Long Beach w stanie Nowy Jork, gdzie nad brzegiem oceanu odbędzie się pogrzeb w stylu wikingów. Tam zwłoki AMY SCHUMER, przewiezione na plażę karetą zaprzęgniętą w konia (przecież zmarła sobie na to „zasłużyła”), spoczną na maleńkiej łodzi. Należy ją podpalić za pomocą ognistej strzały, a następnie delikatnie zepchnąć na fale.

Jak wybaczyłam sobie tatuaz na lędźwiach

Kiedy byłam na roaście Charliego Sheena w Comedy Central, powiedziałam obecnemu tam Mike'owi Tysonowi, że ten tatuaz na jego twarzy jest do bani. Odezwał się w te słowa: „Faceci nie wiedzą, czy mają się go bać, czy się na niego spuścić”. Pieklił się na mnie z minutę, piskliwym głosem wykrzykując zniewagi pod moim adresem, których zresztą nie mogłam zrozumieć. Naprędce zdołałam wymyślić sposób na przerwanie tych inwektyw. „Czy ktoś na sali mógłby mi to przetłumaczyć?”, poprosiłam. Niezbyt mądra to rzecz, gdy człowiek siedzi parę metrów od byłego kryminalisty ze skłonnościami do odgryzania uszu, faceta, który rzekomo zalicza swój „powrót” po sześciu latach odsiadki za gwałt. Zrobiłam jednak to, co zrobiłby każdy zdesperowany satyryk. Z pełnym zaangażowaniem naraziłam się na bezpośrednie niebezpieczeństwo i nie odpuściłam – zresztą dokładnie tak samo sprawy się miały z moim własnym zdirowatym tatuazem, który powstał tam, gdzie dobry Pan Bóg zamierzył: na moich lędźwiach. Tak, mam tatuaz. Hipokrytka ze mnie, co? Dowalałam Tysonowi, a sama obnosiłam się z gównianą, upokarzającą, nierówno wykonaną dziarą, trochę za bardzo wypukłą, bo facet się nie popisał i wszedł w skórę za głęboko, przez co potem miałam infekcję.

Od lat chciałam mieć tatuaz. Grywając z siostrą w siatkówkę plażową na Long Island, widziałam wiele różnych odmian tej cielesnej ozdoby i uważałam, że wygląda ona zadziornie. Chętnie zrobiłabym sobie taki, który by komunikował: „Nie pogrywaj ze mną, bo mam wszystko w dupie i niejedno już przeszłam”, aczkolwiek miałam tylko osiemnaście lat i jedynym, przez co przeszłam, była alejka z płatkami śniadaniowymi w markecie Key Food. Jednakże brakowało mi tej zadziorności, nie czułam się też ani silna, ani pewna siebie, ani szczególnie uspołeczniona. Miałam nadzieję, że dzięki tatuazowi wszystkie te cechy dosłownie wdrukuję w siebie, a jeśli będę je udawać dostatecznie długo, to staną się rzeczywistością. Wydaje mi się, że w przeciwieństwie do kwestii orgazmu taktyka ta czasem skutkuje. Dobrze, że moje serce poszukiwało tych wartości. Gorzej, że podłączyły się do tego również moje lędźwie.

W tamte wakacje skończyłam osiemnaście lat. Wybrałyśmy się z Kim na dłuższą wycieczkę; nasza trasa wiodła między innymi przez miasto Myrtle Beach. Po dogłębnym rozważaniach, czyli na sam widok zakładu oferującego tatuaze, postanowiłyśmy je sobie zafundować. Spojrzałyśmy na siebie pytająco, pokiwałyśmy głowami, a następnie weszłyśmy do środka. Nim dokonałyśmy wyboru „dzieła sztuki”, które miało pozostać na naszych ciałach do końca życia, dobrze się tam rozejrzałyśmy, głównie zaglądając do książek i analizując gotowe wzory na ścianach. Zatrudnieni w tym salonie faceci wydali mi się bardzo spoko, skoro pozwalali nam na to wszystko, a przecież Kim miała wtedy czternaście lat i była ewidentnie za młoda. Gdy się jednak zorientowali, że chcemy tatuazy od stóp do głów, odmówili mojej siostrze wykonania usługi jako osobie nieletniej. Mimo wszystko podeszłyśmy do kontuaru. Tam, z pewnością siebie, którą można porównać do drżenia osiki na wietrze, oznajmiłam spalonemu słońcem muskularnym surferom, że mają oszpecić nasze młode ciała dwoma fatalnymi artystycznie tatuazami, które z wielkim

trudem sobie wybrałyśmy. „Spoko”, rzekł jeden z nich. „Chodźmy”.

O co tu, kurwa, chodzi?, pomyślałam. To jakaś zabawa w ciuciubabkę, kto pierwszy wymięknie? Spróbowałam ukryć zmieszanie. Aby wyglądać na odważną i pełną sceptycyzmu, spytałam: „Ile to potrwa?”. Jeden z pracowników salonu, najbardziej czerwony na twarzy, wskazał na mnie i odrzekł: „Twój jakieś dziesięć, bo jest większy, a jej – około siedmiu”. „Dziesięć godzin?!” wykrzyknęłam. „Minut”, sprostował czerwonolicy człowiek emotikon. Kim wybrała sobie małą wróżkę, którą chciała mieć na biodrze, ja natomiast wielką plemienną dziarę (to się chyba nazywa tribal), rozmiarów średniego oposa. Dziesięć minut nie wydawało się morzem czasu, a nawet wręcz przeciwnie, tylko co ja wiedziałam o tatuowaniu? „Ile to będzie kosztować?”, spytałam, starając się brzmieć władczo i podkreślając swój nowojorski akcent, żeby za dużo nas nie skasowali. W odpowiedzi usłyszałam, że mój wzorek pójdzie za dwadzieścia dolarów, a ten dla Kim za dziesięć. ŻE CO?!?

Byłam więcej niż zbita z tropu. Spojrzałyśmy po sobie i już wiedziałam, że obie myślimy dokładnie to samo. Jako starsza siostra zabrałam głos, oznajmiając: „Nie macie od nas na co liczyć, koleś. Zapłacimy normalną cenę!”. Wszyscy obecni w zakładzie znieruchomieli. Jakby ktoś zaskrzypiał winylową płytą. Rozejrzałam się dookoła i stwierdziłam, że jesteśmy zdecydowanie najmniej atrakcyjnymi dziewczynami spośród tam zgromadzonych; gdyby ci faceci domagali się przyjemności seksualnych od swoich klientek, to z pewnością nie od dwóch pokracznych nastolatek z Long Island. Wtedy facet w bezrękawniku, spod którego wystawały mu sutki, powiedział: „Wiecie, że to jest tymczasowy punkt oferujący tatuaże, prawda? W Karolinie Południowej są one nielegalne”. I nagle to ja miałam najczerwieńszą twarz ze wszystkich. Powoli wycofałyśmy się stamtąd jak spłoszone koty. W drodze powrotnej do naszego zapluskwionego hotelu nie zamieniłyśmy z Kim ani słowa. Za dużo najadłyśmy się wstydu.

Gdy rok później chciałyśmy sobie zrobić prawdziwy tatuaż (uważałyśmy się za gotowe do podjęcia decyzji o wiecznotrwałych skutkach), najpierw poprosiłyśmy naszą mamę o zgodę. Argumentowałam, że chcemy tych dziar na naprawdę długi czas, że starannie wybrałyśmy zarówno wzory, jak i miejsca na ciele, w których mają się one znaleźć. Mogłoby się wydawać, że po upływie roku nasz zmysł estetyczny nieco dojrzał, ale gdzie tam – ja nadal obstawałam przy plemiennej konfiguracji, a Kim chciała tę głupią wróżkę. Słyszając naszą prośbę, mama zareagowała tak, jak reagują wszyscy rodzice nastoletnich córek: „Nie ma, kurwa, mowy. Śmierdźcie marychą! Wracać do swojego pokoju. Jesteście uziemione, wy nicponiowate zdziry!”. Ach, chwila, no nie, nie nasza mama. Mama powiedziała tak: „No dobra, tylko po co tu jeszcze siedzimy i gadamy? Szybko do samochodu!”. Zawiozła nas do East Village, gdzie udałyśmy się na zaplecze najbardziej obskurnej i podejrzanej syfiarni na świecie. Tam wprowadzono w nas „atrament”, jak mówią kretyni i ignoranci.

Poszłam na pierwszy ogień. Czy bolało? Więcej niż, kurwa, BOLAŁO. Jakby co sekundę żądliło cię tysiąc pszczoł albo genetycznie zmodyfikowane superjadowite osy (to objaśnienie dla wszystkich fanów powieści młodzieżowych). Facet, który mi to robił, nie był specjalnie wykwalifikowany i wchodził zdecydowanie za głęboko w skórę, przez co

rana miała potem tendencję do zablizniania się. *Auć, Aim, opowiedz coś więcej!* No dobra, gościu był pijany, dlatego tatuaż wyszedł mu cokolwiek krzywo. Miał na imię Kurt i wyglądał jak astmatyczny członek gangu motocyklowego Synowie Anarchii, tyle że z nadwagą. Umierałam z bólu, ale udawałam dzielną, aby Kim się nie przestraszyła. Choć łzy spływały mi po twarzy, uśmiechałam się, twierdząc, że wcale nie jest tak źle. Przez cały ten czas mama promieniała zadowoleniem, mogąc współuczestniczyć w tak cudownym wydarzeniu, którego ja zaczynałam już żałować. Oczywiście w mój tatuaż wdała się infekcja, a wokół rany powstały setki małych krostek; goiło się to z okropnym trudem. Każda seksowna młoda dama wprost marzy, aby tuż nad tyłkiem mieć cudowne morze zapalnej wysypki. Do dzisiaj dziara jest wypukła, niczym blizna na głowie któregoś z chłopców wojny w filmie *Mad Max*.

Dzisiaj, piętnaście lat później, gdy jako trzydziestopięciolatka zakładam strój kąpielowy, wszyscy natychmiast wiedzą, że należę do białej hołoty. Ilekroć rozbieram się po raz pierwszy przed mężczyzną, od razu staje się dla niego jasne, że jestem prostytutką i podejmuję fatalne, fatalne decyzje. A ponieważ paparazzi sądzą, iż robienie mi zdjęć podczas leniuchowania na jakiejś plaży jest cokolwiek interesujące, cały świat poznał już mój tatuaż na lędźwiach, który krzywą linią szybuje nad dolną częścią bikini. Zapewniam was jednak gorąco, że totalnie mi to wisi. Noszę swoje błędy niczym odznaki honorowe, celebрую je. To one czynią mnie istotą ludzką. A skoro cała moja praca, moje związki z mężczyznami, tweety, części mojego ciała tudzież moje kanapki podlegają analizie na forum publicznym, z dumą oznajmiam, że uważałam się za normalnego, obarczonego skazami człowieka, zanim jeszcze ktoś mi o tym powiedział. Wyprzedziłam więc wszystkich swoich krytyków i internetowych trolli. Odsądza się mnie od czci i wiary, ale przecież ja sama przypięłam sobie łatkę latawicy, więc niech hejterzy wymyślą w końcu coś nowego.

Podczas wakacji przed ósmą klasą, kiedy jeszcze nie nosiłam tatuażu (czyli, jak mówi mama, w okresie PT, przedtatuażowym), dorobiłam się przezwiska „Baloniara”. W ciepłe letnie wieczory łączyliśmy z koleżankami oraz z chłopakami, którzy się nam podobali, po całej okolicy z piwem w papierowych torebkach, gotowi w każdej chwili zwać przed policją, gdyby ta nas namierzyła – co zdarzało się często. Otóż pewnej nocy w domu mojej przyjaciółki Caroline uraczyliśmy się najpierw drinkami o nazwie Dr Pepper oraz irlandzkimi koktajlami bombowymi. Wyjaśniam tym, którzy wychowywali się wśród amisów: aby zrobić Dra Peppera, trzeba wlać mały kieliszek likieru amaretto do szklanicy piwa i całość natychmiast wypić. Nie wiedzieć czemu smakuje to jak prawdziwy gazowany Dr Pepper. Do wersji płonącej tego drinka potrzebne są jeszcze rum Bacardi 151 oraz zapalka. Natomiast – uwaga, uwaga – „irlandzka bomba samochodowa” powstaje po zmieszaniu kieliszka likieru Bailey’s z pintą guinnessa – i ze względu na swoją nazwę jest bardzo obraźliwa dla każdego Irlandczyka, który stracił bliskich w zamachach w Irlandii Północnej. Raz na rok ktoś prowokuje mnie do spożycia tych okropnych kombinacji napojów alkoholowych i udaje mu się to niemal bez żadnego wysiłku.

Potem poszliśmy ulicą w kierunku podstawówki niedaleko domu Caroline, podnieceni drinkami, swobodą i lekko wstawieni. Kiedy siedzieliśmy sobie na szkolnym

placu zabaw – dziesięciu facetów i sześć dziewczyn – ci pierwsi przekonali te drugie, aby uniosły bluzki i pokazały cycki. Przedstawili uprzednio bardzo dobry argument o treści: „A czemu nie?”. Z braku kontrargumentów ustawiliśmy się w równej linii i po odliczeniu do trzech uniosłyśmy koszulki.

Zacisnęłam swoje czternastoletnie palce na dolnej części T-shirtu marki Gap i z wielką werwą naciągnęłam go sobie na piegowatą, pulchną twarz. Byłam zdenerwowana i podniecona, no i trochę napita. Znad krawędzi koszulki, nabytej po całkiem rozsądnej cenie, zerknęłam na chłopaków i zdałam sobie sprawę, że wszyscy patrzą tylko na mnie. Nie na Denise, która miała największe cycki, nie na Krystal, posiadaczkę najbardziej płaskiego brzucha, ani nie na Caroline, o którą oni wszyscy wówczas zabiegali. Jeśli chodzi o biust, plasowałam się raczej w solidnych stanach średnich, dlatego ich niewątpliwe zainteresowanie wywołało we mnie szok. Pamiętam miny tych chłopców: wyglądali, jakby ktoś wykonał niedozwolony błąd kroków w koszykarskim konkursie wsadów, któremu to błędowi towarzyszy głębokie „Ooooooch!!!”. Zakrywali sobie usta dłońmi i przybijali piątki. Dopiero wtedy, zerknąwszy wzdłuż szeregu, stwierdziłam, że wszystkie dziewczyny pokazały tylko swoje staniki. Wręcz doskonała metafora mojego życia: jak zwykle odsłoniłam za dużo, bo zrzuciłam z siebie także biustonosz. Jedyna w grupie rozebrana do rosołu. Właśnie wtedy dowiedziałam się również – niezapomniana, zabawna lekcja – że rozmiar moich sutków jest więcej niż średni.

Przez wisko „Baloniara” (czasem także „Dwa Srebrne Dolary”) przyłgnęło do mnie na tak długo, że jego ewolucja i trwanie mogłyby stanowić przedmiot niespiesznych, pełnych kronikarskiej dokładności filmów dokumentalnych w stylu Kena Burnsa. Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Lecz tak naprawdę była to jedynie pamiątka po minionych wakacjach. Zostałam UPOKORZONA i myślałam, że nigdy się z tego nie wygrzebię. Oczywiście dzisiaj znam wiele różnych kobiet i obejrzałam mnóstwo pornografii, więc wiem, że nasze ciała przybierają najrozmaitsze kształty i rozmiary. (Męskie też! Wiecie, że ich organizmy wykazują ogromne zróżnicowanie pod każdym względem, lecz o dziwo media prawie nigdy o tym nie dyskutują?). Wtedy jednak doznałam wstrząsu, że moje srebrne dolarówki wykraczają poza średnią.

W każdym razie ów wieczór na szkolnym placu zabaw miał w sobie coś profetycznego. Pokazałam wszystko wszystkim i zrozumiałam, że trzeba za to zapłacić. Było to moje pierwsze doświadczenie tego rodzaju, pierwsze zetknięcie z tą chłodną, surową i niebezpieczną rzeczywistością, w której moja wrażliwość i podatność na zranienie mogą przerodzić się w dwie rzeczy – albo w pewność siebie, albo we wstyd. Dokonałam wyboru i musiałam się nauczyć (ciągle się uczyć), jak być z siebie dumna, a nie sobą zawstydzona. Tak się na szczęście składa, że jestem kobietą, więc mam okazję przerabiać tę lekcję ciągle, ciągle, ciągle, ciągle, ciągle i bez końca. Ostatecznie powiedziałam sobie: „Pierdolić to. Tak wygląda moje ciało i co z tego?”. W takim postawieniu sprawy tkwiło o wiele więcej mocy, niż sobie wówczas uświadamiałam.

Kobieta uczy się – od kiedy skończy, powiedzmy, osiem lat – żeby wszystko układać sobie tak (również relacje z innymi ludźmi), by broń Boże nikt nie nazwał jej słowem na „G” lub „B”: „gruba” albo „brzydka”. Nie ja pierwsza zwracam uwagę, w jaki sposób wychowuje się u nas dziewczynki – otóż wmawia się nam, że nasza wartość zależy

od wyglądu, i większość kobiet potrzebuje całego życia (no, przynajmniej do menopauzy), by dostrzegła to okropne kłamstwo. By się mu przeciwstawiła. Jako osoba szalenie impulsywna, niezdolna do akceptowania bzdur wypowiedzianych przez innych ludzi, jestem krytykowana z każdej możliwej strony, wyśmiewana z najrozmaitszych powodów, najczęściej niesłusznych. Jednakże, o czym wiedzą wszyscy satyrycy i kabareciarze, aby się z ciebie śmiano, aby cię zakrzykiwano, a nawet żeby cię wybuczano na scenie, musisz mieć w sobie to coś. Trochę talentu. Gdy nasze obawy wreszcie się materializują, uświadamiamy sobie, że nie były tak straszne, jak nam się wydawało. Okazuje się bowiem, że lęk przed zniewagą boli bardziej niż ona sama. Przez kilka lat boksowałam się ze światem, a kiedy wchodziłam w zwarcie, bardzo obawiałam się ciosów, tego fizycznego wręcz bólu. Nauczyłam się jednak, że unikanie cierpienia wcale przed nim nie chroni. Dziwne, lecz walenie po głowie albo fangi w brzuch uczyniły mnie silniejszą. Owszem, oberwałam i przez sekundę bolało, ale po chwili zdałam sobie sprawę, że nic mi nie jest i że to wytrzymam. Wtedy cierpienie odeszło. Wszelkie moje obawy stały się rzeczywistością, obrażano mnie też bez żadnej miary – i właśnie dlatego jestem mocniejsza. Fakt, że przez ostatnie dziesięć lat, odkąd wystąpiłam w tamtym pamiętnym reality show, pozostaję pod stałą i baczoną obserwacją, sprawia, że czuję się niezwykczona. I tyle. Co z tego, że ktoś ci powie, że jesteś gruba albo brzydka? NO CO Z TEGO? Większość znanych mi kobiet o wiele bardziej niż przemocy fizycznej boi się usłyszeć te dwa przymiotniki.

Mam łątkę latawicy, a jednak pojawiłam się na okładce „Vogue’a”. Na zdjęciach obrzmiałe, niebieskozielone macki tuszu wiją się pod moją skórą, tworząc bezsensowny wzór, lecz ja odkryłam jego znaczenie. W pełni akceptuję siebie jako dziewczynę z tatuażem na łędźwiach. Co nie znaczy, że nie żałuję paru spraw. Kurwa, tak, żałuję, że zrobiłam sobie tę brzydką dziarę, myśląc, iż stanę się przez to twardzielką, podczas gdy w rzeczywistości był to wyłącznie symbol mojego zagubienia i mojej bezsilności jako osiemnastoletniej dziewczyny. Tylko że ja tej dziewczynie wybaczam. Żal mi jej, kocham ją.

Jak na ironię, dziś ów tatuaż znaczy dla mnie coś dokładnie przeciwnego, niż miał oznaczać kiedyś. Przypomina mi, że warto być wrażliwym, że trzeba czasem zrezygnować z kontroli nad wszystkim i że popełnianie błędów też się liczy. Przypomina mi, iż – jak napisał Whitman – zawieram w sobie wielość. Zawsze taka będę. Jestem skrajną introwertyczką, która była gwiazdą wieczoru w Madison Square Garden – jako pierwsza w historii kobieta uprawiająca stand-up. Odniosłam „niespodziewany sukces”, ale przecież harowałam na niego w każdej chwili swego świadomego istnienia przez ponad dziesięć lat. Kiedyś kradłam w sklepach ubrania, a dziś ich producenci dają mi je za darmo, abym tylko robiła im reklamę. Jestem ZDZIRĄ albo PUSZCZALSKĄ, która przeżyła przygodę na jedną noc tylko raz w życiu. Jestem też kobietą rozmiarów „plus size”: w dobre dni trzydziestką ósemką, w te jeszcze lepsze – czterdziestką dwójką, tak średnio. Znosiłam równie przykre upokorzenia związane z roznoszeniem steków z polędwicy, jak i z sufłowaniem ludziom żartów dla pieniędzy. Jestem silną, dorosłą i potrafiącą o siebie zadbać kobietą, którą emocjonalnie i seksualnie wykorzystywali, a fizycznie maltretowali ci, którym ufałam i o których się troszczyłam. Łamałam innym

serca i swoje też miałam złamane.

Nieważne, czy jestem piękna czy brzydka, zabawna czy nudna, mądra czy nie – moja wrażliwość to moja ostateczna siła. Nikt nie jest w stanie wyrazić o mnie zdania prawdziwszego i trwalszego, bardziej niszczącego czy ohydniejszego niż to, które mam wytatuowane na sobie. Jestem dumna, że umiem śmiać się z siebie – nawet przez łzy, które wszyscy widzą, tak samo jak widzą mój głupi, bezsensowny, kiepski i lamerski tatuaż na lędźwiach.



Podziękowania

Chciałabym wyrazić najszczerze słowa podziękowań następującym osobom:

Mayci Breaux i Jillian Johnson. Zawsze mi towarzyszycie i zawsze będziecie na samej górze każdej listy, jaką kiedykolwiek stworzę.

Wszystkim członkom organizacji Everytown, zwłaszcza Jasonowi Rzepce i Noelle Howey. A także Chuckowi Schumerowi oraz wszystkim ludziom w całej Ameryce, którzy codziennie walczą o rozsądniejsze prawa dotyczące dostępu do broni palnej.

Howardowi Sternowi, który otworzył przede mną świat możliwości.

Estee i Noamowi z klubu Comedy Cellar.

Wszystkim komikom i satyrykom, dzięki którym jestem lepszą i gorszą osobą: Jimowi Nortonowi, Dave'owi Attellowi, Bobby'emu Kelly'emu, Keithowi Robinsonowi, Colinowi Quinnowi, Jess Kirson, Kurtowi Metzgerowi, Pete'owi Dominickowi i Judy Gold.

Opie, Anthony'emu oraz Chrisowi Mazzilli.

Markowi Normandowi. Kocham cię, brachu.

Chrisowi Rockowi. Jesteś po prostu najlepszy.

Juddowi Apatowi, który odmienił moje życie. Dziękuję, że coś we mnie dostrzegłeś.

Eddiemu Vedderowi za to, że jest najlepszą istotą ludzką, jaką w życiu poznałam, że to za jego sprawą śpiewaliśmy w samochodzie razem z moim ojcem i moją siostrą do utraty tchu i że ma czas zadzwonić do mojego taty – człowieka, którego już nie poznacie, bo utknął na dobre w szpitalu i nie może wozić swoich córeczek – tylko po to, aby ten się uśmiechnął.

Carrie Byalick. Jak to się stało, że dotarliśmy tak daleko? Dziękuję.

Allanowi Haldemanowi, Joshowi Katzowi, Guyowi O. i Berkowitzowi. Sama nie wierzę w to, że was kocham, chłopaki. Dziękuję.

Wszystkim ludziom z Comedy Central, zwłaszcza Kentowi Altermanowi, Dougowi Herzogowi i Michelle Gainless – ale jeszcze bardziej Anne Harris oraz JoAnn Grigioni.

Wszystkim ze studia Universal, szczególnie Donnie Langley, Ronowi Meyerowi i Erikowi Baiersowi.

Wszystkim z telewizji Fox, zwłaszcza Stacey Snider.

Alison Callahan, za zredagowanie niniejszej książki oraz za to, że dostrzegła porządek wyższego rzędu w treściowym chaosie, jaki stworzyłam. Sama o tym nie wiedząc, uświadomiłaś mi, że moje życie ma jakiś sens – dzięki za ten podarunek. A także za śmiech we wszystkich miejscach, w których należało się śmiać, oraz słowa zachęty, gdy ich potrzebowałam.

Wszystkim pozostałym z wydawnictw Simon & Schuster oraz Gallery Books, w tym Jennifer Bergstrom, która jest najlepszą i najpiękniejszą cheerleaderką (każdy autor chciałby taką mieć), Ninie Cordes, Jennifer Robinson, Carolyn Reidy i Louise Burke. Wy wszystkie, dowcipne i twórcze dziewczyny z oficyny Gallery, okazywałyście mi wsparcie podczas pisania książki takiej, jaką chciałam napisać. Dziękuję.

Elisie Shokoff, Julesowi Washingtonowi i Chrisowi McClainowi – zespołowi nagrywającemu wersję audio – za to, że pozwoliliście mi głośno łkać, że zapewnialiście herbatę i przytulasy, kiedy ich potrzebowałam.

Davidowi Kuhnowi, który od samego początku wierzył zarówno we mnie, jak i w tę książkę.

Kate White – za to, że jako pierwsza powierzyłaś mi zadanie napisania scenariusza i wspierałaś mnie przez wszystkie te lata.

Markowi Seligerowi.

Marcusowi Russellowi Price'owi.

Moim rodzicom.

Trenerce siatkówki z mojego liceum, Cheryl Scalice, która nauczyła mnie, jak należy ciężko pracować, aby być coraz lepszą.

Cydney – za to, że wspierasz mnie przez ostatnie siedemnaście lat mojego życia. Jesteś wspaniałą matką i przyjaciółką.

Vickie Lee, kocham cię.

Kimmy Cupcakes, Dre Money i Kyrze – za to, że stale podnosicie mnie na duchu i wysłuchujecie tego, co mam do powiedzenia.

Leesie Evans, bo zawsze robisz wszystko, bym dobrze wyglądała. Oraz, co ważniejsze, żebym się zawsze dobrze czuła.

Lenie Dunham – po prostu ci dziękuję, kochanie. Pomagasz mi przetrwać.

Moim „puszczalskim” koleżankom: Rachel Feinstein, Bridget Everett, Nikki Glaser, Jenny T., Angie Martinez, Sappy, Feiny, Ca, D., Kati, Kate, Jessi Klein, Jennifer Lawrence, Jessice Seinfeld, Amber Tamblyn, Natashy Lyonne, Chelsea Peretti, Natashy Leggero, Americie Ferrerze, Vanessie Bayer, Kyle'owi Dunniganowi oraz Danowi Powellowi. Tak, Kyle i Dan, jesteście równie puszczalscy jak ja.

Osobom, które wywarły na mnie największy wpływ: Lucille Ball, Gildzie Radner, Carol Burnett, Pannie Piggy, Glorii Steinem, Whoopi Goldberg, Goldie Hawn, Shari Lewis, Ani DiFranco, Joan Rivers i Janeane Garofolo.

Ludziom, których podziwiam; część z nich dała mi szansę już dawniej, wszyscy natomiast inspirowali do dalszych postępów: Ellen DeGeneres, Davidowi Lettermanowi, Jimmy'emu Kimmelowi, Stephenowi Colbertowi, Jonowi Stewartowi, Jayowi Leno, Sethowi Meyersowi, Tinie Fey, Julii Louis-Dreyfus, Jerry'emu Seinfeldowi, Anne Sexton, Sarah Silverman, Margaret Cho, Parkerowi Poseyowi, grupie Wu-Tang Clan, Steve'owi Martinowi, Chrisowi Harleyowi oraz wszystkim Muppetom.

Kevinie Kane, długoletni mój partnerze w biznesie komediowym, sprawiasz, że staję się lepsza pod każdym względem.

Vin, dzięki, że przemawiasz do rozumu wszystkim szaleńcom, którzy cię otaczają.

Cayce Dumont – za to, że dzięki twojej ciężkiej pracy możliwe było wydanie tej książki, oraz za to, że prowadziłaś mnie przez cały proces pisania. To twoja zasługa. Uwielbiam z tobą pić i rozmawiać o byle czym, oglądając kiepskie programy w TV. Jesteś najmądrzejszą osobą, jaką znam. Kocham cię. Poza tym dzięki, że urodziłaś mojego ulubionego człowieka.

Idzie – nie możemy się doczekać, żeby zobaczyć, co zrobisz.

Jasy'emu, który jest najbardziej spoko i najwspanialszym bratem na świecie; wprost nie mogę uwierzyć, że mam przywilej przebywania z tobą.

Kimby, ponieważ ciągle mnie rozśmieszasz, czynisz szczęśliwą, sprawiasz, że w ogóle żyję. Jesteś moją drugą połówką.

Oraz Jezusowi. Żartowałam.

POŁOŻENIE KRESU PRZEMOCY Z UŻYCIEM BRONI PALNEJ NIE JEST RZECZĄ ŁATWĄ. W OSTATNICH LATACH POWSTAŁ I ROZWIJA SIĘ RUCH SPOŁECZNY, KTÓRY MOŻE SIĘ POSZCZYCIĆ PRAWDZIWYMI SUKCESAMI NA TYM POLU. DZIĘKI NIEMU JESTEŚMY DZIŚ BEZPIECZNIEJSI. JEŻELI CHCESZ SIĘ DO NAS PRZYŁĄCZYĆ, OTO TRZY NAJWAŻNIEJSZE RZECZY, JAKIE MOŻESZ ZROBIĆ OD RAZU:

1. ZAPISZ SIĘ DO NAS. Miliony ludzi w kraju organizują się po to, aby żądać od naszych przywódców, wybranych w demokratycznych wyborach, intensyfikacji działań skierowanych przeciwko zbrojnej przemocy. Każdego dnia od postrzału ginie średnio dziewięćdziesięciu jeden Amerykanów. Największą organizacją próbującą coś z tym zrobić jest Everytown for Gun Safety, z którą współpracuję. Większość kluczowych batalii rozgrywa się już na poziomie stanowym, więc jeśli chcesz się zaangażować w działalność na swoim terenie, wyślij esemes o treści JOIN pod numer 64433. Everytown będzie cię informować o wszystkim, co możesz zrobić dla sprawy zarówno teraz, jak i w przyszłości.

2. DAJ SIĘ USŁYSZEĆ. Pewnie nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale często to, czy dany przepis wejdzie w życie, czy nie, zależy od kilkuset telefonów więcej bądź mniej. Jeden kongresmen reprezentuje średnio 750 tysięcy osób. Narodowe Stowarzyszenie Strzeleckie Ameryki potrafi znakomicie mobilizować swoich zwolenników do wspierania albo blokowania ustaw o broni palnej, na których im zależy. A przecież my, rzecznicy bezpiecznego dostępu do uzbrojenia, powinniśmy być (co najmniej) równie aktywni. Aby uzyskać kontakt ze swoim senatorem, zadzwoń pod numer 1-888-885-4011. Powiedz, czego od niego żadasz: niech głosuje za tym, aby przy sprzedaży broni palnej sprawdzano w kartotekach policyjnych przeszłość nabywcy!

3. GŁOSUJ ZA BEZPIECZECZYSTWEM. Jeśli obecne elity polityczne, wyłonione przez nas w wyborach, nie znajdą rozwiązania dla tej trudnej sytuacji, trzeba będzie wybrać nowych przedstawicieli. Zawsze głosujemy przeciwko tym parlamentarzystom, którzy przyjmują pieniądze od lobby zbrojeniowego, a popieramy tych opowiadających się za powszechną kontrolą kupujących broni.

I na koniec lista kongresmenów, którzy biorą pieniądze od lobby zbrojeniowego i pozostają na jego usługach:

Kelly Ayotte
John Barrasso
Dan Benishek
Sanford Bishop
Roy Blunt
John Boozman
Ken Buck
Richard Burr
Ken Calvert
Shelley Moore Capito
Bill Cassidy
Thad Cochran

Mike Coffman
John Cornyn
Tom Cotton
Ted Cruz
Steve Daines
Sean Duffy
Michael Enzi
Joni Ernst
Deb Fischer
Jeff Flake
Cory Gardner
Lindsey Graham
Chuck Grassley
Heidi Heitkamp
Dean Heller
Jody Hice
John Hoeven
James M. Inhofe
Johnny Isakson
Ron Johnson
John Kline
James Lankford
Mike Lee
Mia Love
Thomas Massie
Kevin McCarthy
Mitch McConnell
Martha McSally
Alex X. Mooney
Jerry Moran
Markwayne Mullin
Rand Paul
Stevan Pearce
David Perdue
Rob Portman
James E. Risch
Pat Roberts
Mike Rounds
Edward Royce
Marco Rubio
Paul Ryan
Ben Sasse
Tim Scott

Richard Shelby
Michael Simpson
Daniel Sullivan
John Thune
Thom Tillis
Scott Tipton
David G. Valadao
David Vitter
Tim Walberg
Roger Wicker